

# London Jack

## Bunt na Elsynorze



calibre 0.9.27

# BUNT NA "ELSYNORZE"

Jack London

# ROZDZIAŁ I

Od samego początku podróż zły wzięła obrót. Musiałem opuścić hotel w mroźny marcowy ranek, przejechać całą Baltimorę od końca do końca, — aby, śpiesząc się bardzo, stanąć punktualnie o dziewiątej na końcu molo. O dziewiątej miał mnie holownik stamtąd zabrać w. dół rzeki i odstawić na pokład Elsynory. Ale stało się inaczej. Co raz bardziej zirytowany, marzłem i czekałem, zsunąwszy się w głąb taksówki. Na przedzie szofer i Wada trwali skurczeni i zgarbieni. Nazewnątrz karoserii mogło być o pół stopnia chłodniej, niżeli wewnątrz. I holownika ani oko.

Possum, foksterier, mały szczeniak, którym mnie Galbraith obarczył tak nierozważnie, skomlił i dygotał mi w zanadrzu pod dachą, którą miałem na sobie. I nie chciał się uspokoić. Ustawicznie skomlił i drapał, i usiłował wydostać się z futra. A kiedy mu się to wreszcie udawało, równie gwałtownie, nie mogąc znieść zimna, usiłował zaszyć się w futro jak najgłębiej.

Ustawiczne skomlenie i ruszanie się tego szczeniaka nie wpływało, bynajmniej, kojąco na moje rozstrojone nerwy. Przede wszystkim nic mnie nie obchodził, bestia. Nic mnie ze szczeniakiem tym nie łączyło. Był mi obcy. I nieraz podczas tego rozpaczliwego wy czekiwania brała mnie chętka oddania go szoferowi. Gdy przechodziły dwie małe dziewczynki — widocznie córki dozorca molo — ująłem już) nawet za klamkę drzwiczek auta, by je zawołać i obdarzyć kwikliwym zwierzakiem.

Possum to pożegnalny podarunek od Galbraitha. Otrzymałem go pocztą, terminową z New Yorku, w hotelu w Baltimore. Zupełnie rzecz w stylu Galbraitha. A mógł przecież, jak to każdy inny przyzwoity człowiek zrobiłby niezawodnie, przysłać mi owoce, lub choćby, kwiaty. Zły duch jakiś natchnął go jednak przewrotną myślą i życzliwość jego dla mnie przybrała postać szcękającego, skomlącego dwumiesięcznego szczenięcia. Z nadejściem foksterierka zaczęły się dopiero kłopoty. Nie zdążyłem się obejrzeć i zdecydować, co z nim zrobić, a już uznany zostałem przez hotelowego szwajcara za podejrzanego indywiduum. A potem Wada z własnego popędu, przez bezdenną swą głupotę, oczywiście, spróbował przesznułować szczeniaka do swego pokoju i został schwytyany na gorącym uczynku przez hotelowego detektywa. Odrazu Wada zapomniał całą swą angielszczyznę i zaczął się posługiwać wybuchową japońszczyzną, detektyw zjechał na rodzimy swój żargon irlandzki, szwajcar zaś, dał mi do zrozumienia, że tego się właśnie po mnie spodziewał.

Niech licho porwie psa, a i Galbraitha, że mnie w to szcenię ubrał! A potem, siedząc i marząc na tym rozpaczonym brekwatrze, zacząłem i siebie kląć w żywe kamienie i mój idiotyczny pomysł wybierania się w podróż na żaglowcu dokoła Przylądka Horn.

Okolo dziesiątej przyszedł piechotą jakiś młodzie niec, nieokreślonego wyglądu, i przyniósł kuferek, który został mi w parę minut potem oddany przez dozorca molo: Dozorca wyjaśnił, że to kuferek pilota, i dał szoferowi wskazówki, jak znaleźć drugie molo, z którego nie wiadomo kiedy miał mnie zabrać na Elsynorę jakiś inny holownik. To mnie jeszcze bardziej rozżłościło. Dlaczego nie zostałem poinformowany tak dokładnie, jak pilot.

W godzinę potem, gdy stałem w mej taksówce u wjazdu drugiego molo, przybył zapowiedziany pilot. Osobnik ten zupełnie nie był podobny do pilota. Spodziewałem się ujrzeć syna mórza z posiekaną, twarzą, opiętego w granatową kurtkę, a stanął przede mną miodousty dżentelmen, typ prosperującego dobrze biznesstena, jakiego na każdym kroku spotyka się w klubach. Przedstawił się z punktu, więc zaprosiłem go do lodowatego wnętrza mej taksówki, w której tkwiłem z Possumem na łonie, obstawiony dokoła bagażami. Ale i on nic nie wiedział. Jakieś zmiany zaszły. Kapitan West zmienił swe zarządzenia. Pilot spodziewał się przybycia holownika każdej chwili.

I holownik przybył rzeczywiście, ale o pierwszej po południu. I cztery godziny musiałem czekać na ten obmierzły holownik i szcząkać zębami. Miałem czas, by przyjść do przekonania, że nie przypadniemy sobie do gustu z Kapitanem Western. Jeszcze go nie widziałem na oczy, ale sposób, w jaki mnie traktował od samego początku, był, oględnie się wyrażając, lekceważący. Kiedy Elsynora, przybywszy z ładunkiem jęczmienia z Kalifornii, leżała na Erie Basin, przyjechałem specjalnie z New Yorku, by obejrzeć ten statek, który miał być mi domem w ciągu wielu miesięcy.

Byłem zachwycony wszystkim, co zobaczyłem na statku, ale szczególnie urządzeniem kabin. Salonik, wybrany dla mnie, był zupełnie zadawalający i o wiele obszerniejszy, niż przypuszczałem. Ale, zajrzawszy do kabiny kapitana, dopiero zrobiłem wielkie oczy. Była urządzona naprawdę z wielkim komfortem. Dość, jeżeli powiem, że przylegała do niej łazienka, a prócz wielu innych rzeczy, stało w niej wielkie mosiężne łóżko, jakiego najmniej można się było spodziewać na frachtowcu.

Zdecydowałem, naturalnie, że łazienka i wielkie łóżko mosiężne dla mnie zostaną przeznaczone. Gdy zwróciłem się do agentów, by ułożyli to z kapitanem, żądanie moje zbiło ich z tropu i zmięszało. — Zupełnie nie zdaję sobie sprawy, ile rzecz taka może kosztować — powiedziałem. I do ceny nie przywiązuję wagi. Czy będzie mnie kosztować pięćdziesiąt, czy pięćset dolarów, muszę mieć to pomieszczenie.

Harrison i Gray, moi ajenci, porozumiewali się chwilę na uboczu, potem zaś oświadczyli, że nie mają wielkich nadziei, by Kapitan West zgodził się na moją propozycję. Nie słyszałem jeszcze — ja na to — by który z kapitanów nie przyjął takiej oferty — oświadczyłem, ufny w wymowę dolarów. — Przecie kapitanowie transatlantyckich parowców stale sprzedają swoje pomieszczenia.

— Ale Kapitan West nie jest kapitanem transatlantyckiego parowca — zauważył spokojnie Mr. Harrison.

— Niech pan nie zapomina, że mam na tym statku spędzić długie miesiące — odparłem. Jeśli będzie trze ba, niech panowie posuną się do zaofiarowania do tysiąca dolarów.

— Spróbujemy — powiedział Mr. Gray — ale uprzedzamy, by pan bardzo nie liczył na nasze starania. Kapitan West jest obecnie w Searsport i napiszemy do niego dziś jeszcze.

Ku memu wielkiemu zdumieniu w parę dni potem Mr. Gray zawiadomił mnie przez telefon, że Kapitan West odrzucił moją propozycję. — Czy zaofiarował mu pan tysiąc dolarów ? — zapytałem. — Cóż on na to ?

— Wyraził żal, że nie może zgodzić się na pańską propozycję — odpowiedział Mr. Gray.

Następnego dnia otrzymałem list od Kapitana Westa. Pismo i zwroty były staroświeckie i ceremonialne. Żałował, że dotąd nie mieliśmy sposobności się widzieć, i upewniał, że przypilnuje, by moje pomieszczenie urządzono jak najwygodniej. Wydał już odpowiednie rozkazy Mr. Pikowi, pierwszemu oficerowi na Elsynorze, i kazał wyjąć grodz między moim salonikiem, a przyległym zapasowym salonem. Poza tym pisał — i, czytając te słowa poraz pierwszy uczułem animozję do Kapitana Westa — że gdybym po wyruszeniu był niezadowolony; z mego pomieszczenia, gotów byłby zamienić się ze mną na apartamenty.

Naturalnie po takiej odmowie nic na świecie nie zdołałoby mnie skłonić do zajęcia wielkiego mosiężnego łóżka Kapitana Westa. I ten to Kapitan Natanael West, którego jeszcze na oczy nie widziałem, zmusił mnie do marznięcia na molach przez cztery bite godziny. Postanowiłem tedy, że im mniej widywać go będę w podróży, tym lepiej; z prawdziwą przyjemnością pomyślałem o pakach książek, które z New Yorku wysłałem na Elsynorę. Dzięki Bogu mogłem się obejść bez towarzystwa kapitana podczas podróży.

Oddałem Possuma Wadzie, zajętemu rozrachunkiem z szoferem. Marynarze z holownika

przenosili bagaż na swój pokład. Zbliżała się chwila powitania z Kapitanem Western. Od pierwszego rzutu oka zorientowałem się, że z wyglądu tak samo nie przypomina on kapitana, jak pilot przeciętnego pilota. Znałem najwybitniejszych przedstawicieli tej profesji i nie był do nikogo z nich podobny, a już z bezczelnym, grubolicym szyprem, o jakich w powieściach czytałem, z szyprem o głosie zdartym i przepitym nie miał nic wspólnego. U boku jego stała kobieta z ogromną mufką, okryta szalem z czerwonego lisa. Nie szarym tle pokładu stanowiła jaskrawą plamę.

— O Boże! — jego żona! — rzuciłem szeptem do pilota. Czy jedzie z nim?...

Układając się z Mr. Harrisonem, wyraźnie zastrzegłem, że z jedną jedyną rzeczą nie mógłbym się pogodzić — gdyby Kapitan Elsynory zabierał z sobą żonę w tę podróż. I Mr. Harrison, uśmiechnąwszy się, zapewnił mnie, że Kapitanowi Westowi żona nie będzie towarzyszyła.

— To jego córka — odpowiedział pilot półgębkiem. — Widać *go* odprowadza. Żona mu umarła więcej niż przed rokiem. Mówią, że to *go* właśnie skłoniło do powrotu na morze.

Kapitan zrobił parę kroków ku mnie. Nim wyciągnięte ręce nasze się spotkały, nim wyraz jego twarzy zmienił się przy powitaniu, a wargi się poruszyły, w zdumiewający sposób przemówiła do mnie jego indywidualność. Wysoki, smukły z piętnem rasy w twa rzy, co raczej wyczułem w pierwszej chwili, był tak chłodny, jak dzionek ten był zimny, zrównoważony, jak król, lub cesarz, tak daleki od wszystkiego, jak najdalsza z gwiazd stałych, tak beznamiętny, jak twierdzenie Euklidesa. A potem, w chwili, gdy ręce nasze miały się zetknąć, w kątach jego oczu zbiegły się drobniutkie zmarszczki i padł z nich błysk takiej nieosiągalnej, opanowanej pogody ducha! Jasny błękit tęczówek nalał się, rzekłbyś, zabarwił wewnętrznym ciepłem; twarz również zdawała się nim nalewać; cienkie wargi, ostro przez chwilę zarysowane, stały się miękkie w linii, niczym wargi Bernhardta, gdy dźwięki urabia na słowa.

I tak wysokiego od pierwszego wejrzenia nabrałem o nim mniemania, że doznałem zawodu, gdy się odezwał. Spodziewałem się, usłyszeć z jego ust słowa mądrości i słowa łaski pełne. Tymczasem w najbanalniejszy w świecie sposób wyraził żal z powodu zwłoki, która zaszła. Powiedział to, co prawda, głosem, który bardziej licował z moim o nim wyobrażeniem. Był to głos cichy, dźwięczący szlachetnym metalem, niemal za niski, a przecie czysty, jak dzwon, z lekkim nosowym akcentem, tracącym staroświecczyzną (New - England).

— I opóźnieniu winna ta oto młoda osoba — zakończył, przedstawiając mnie swej córce — Margarito — to Mr. Pathurst.

Z lisiego futra wyciągnęła się ku mnie ręka w obcistej rękawiczce i dwoje szarych oczu zaczęło we mnie świdrować poważnie i z uporem. Ambarasujący był ten zimny, przenikliwy, inkwizytorski wzrok, nie dlatego, by w nim kryło się wyzwanie, ale że był tak bezczelnie rzeczowy. Podobnie się patrzy na stangreta, którego przyjmuje się na służbę. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że wybierała się również w tę podróż i że budził w niej ciekawość, rzecz naturalna, człowiek, mający być jej towarzyszem podróży w ciągu pół roku. Ale się spostrzegła prędko i zwróciła do mnie z uśmiechem oczu i ust.

Towarzysząc Westom. do kajuty holownika, usłyszałem skomlenie i rozpaczliwe kwiki Possuma, to też poszedłem do Wady, by zabrać psa do ogrzanego wnętrza statku. Wada krzątał się dokoła bagażu i podpierał właśnie jeden z mych kuferków krótkim automatycznym karabinkiem. Byłem zdumiony na widok bagażu, obok którego moje kuferki wyglądały jak kamyki u stóp skał. W pierwszej chwili wziąłem to za zapasy okrętowe, zaraz jednak zmieniłem zdanie, spostrzegłszy, że góra składa się z kufrów, pudeł, walizek, paczek i tobołów wszelkiego rodzaju i kształtu. Wzrok mój zatrzymał się na czymś, mającym podejrzaną wygląd damskiego pudełka do kapeluszy. Widniały na nim inicjały „M. W.". Tak, ale Kapitan West miał na imię Natanael. Rozejrzawszy się lepiej,

dostrzegłem parę „N. W.”, wszędzie natomiast „M. W.”. Wówczas przypomniałem sobie, że Kapitan West nazwał swą córkę Margaritą.

Taka mnie złość wzięła, że nie chciałem wracać do kajuty. Chodziłem wielkimi krokami wzdłuż pokładu, znosząc stoicznie ziąb i gryząc usta. Tak stanowczo domagałem się od agentów, by nie było na okręcie ka pitańskiej żony. Myśl o obecności kobiety w ciasnych pomieszczeniach okrętowych przejmowała mnie dreszczem. Ale nie przyszła mi na myśl córka kapitana. Byłem niemal zdecydowany wyrzec się podróży i powrócić na holowniku do Baltimory.

Zżymając się tak, przeziąłem na wietrze, gdyż szybkość holownika była znaczna i ostry pęd powietrza. Zobaczyłem Miss West wychodzącą właśnie na pokład. Rzuciło się w oczy, ile sprężystości było w każdym jej kroku. Mimo rysów wyrazistych, w twarzy miała coś nadającego jej pozory istoty filigranowej, czemu znów zadawała kłam; mocna budowa *jej* ciała. Tak przynajmniej wnioskowałem z jej poruszeń, gdyż okryta bezkształtnym futrem sylwetka jej zupełnie się zacierała.

Odwróciłem się na pięcie i pograżyłem w melancholijną kontemplację zwału bagaży. Ogromna paka przykuła mój wzrok; stałem z wlepionymi w tę pakę oczami, gdy Miss West odezwała się u mego boku.

— To właśnie była właściwa przyczyna naszego opóźnienia — powiedziała.

— Cóż to takiego? — zapytałem zgoła obojętnie.

— Ależ, fortepian Elsynory, cały odnowiony. Zdecydowawszy się na tę podróż, zaraz zatelegrafowałam do Mr. Pika — to pierwszy oficer, pan wie. Zrobił wszystko, co było w jego mocy. Nie jego wina, tylko firmy fortepianowej. Czekać dziś na fortepian, powiedziałam im parę słów do słuchu, aż im w pięty poszło.

Zaśmiała się na to przypomnienie i zaczęła szperać między kuframi. Upewniwszy się, że to czego szukała, znajduje się na miejscu, odwróciła się i już miała odejść.

— Nie idzie pan do kajuty; tam ciepło? Będziemy na miejscu dopiero za pół godziny.

— Kiedy zdecydowała się pani na tę podróż? — spytałem ni stąd ni zowąd.

Tak szybkim i ostrym obrzuciła mnie spojrzeniem, że musiała zdać sobie sprawę z mego niezadowolenia i wewnętrznego wtrząsu.

— Dwa dni temu — odpowiedziała. — Dlaczego? Jej szybkość orientacji zbiła mnie z tropu i nim zdobyłem się na odpowiedź podjęła:

— Niech pan się nie trapi, że jadę, Mr. Pathurst. Dałabym głowę, że lepiej od pana znam się na dalekich podróżach, i że nam będzie dobrze i wygodnie. Pan, widzę, naprzykrzać mi się nie będzie, a ja, z mej strony, ręczę, że też się panu nie będę naprzykrzała. Już nie raz podróżowałam z pasażerami i nauczyłam się dawać sobie radę sama w wielu sytuacjach, w których oni nie umieli się *znaleźć*. Rozpocznijmy podróż bez urazy, a nic, niezawodnie, nie poróżni nas w drodze. Wiem, o co panu chodzi, — Boi się pan, że będzie panu wypadało mnie bawić. Niech pan wie zatem, że nie potrzeba mi bawienia. Nigdy najdłuższa podróż nie była dla mnie za długa i zawsze miałam tyle do roboty. I nigdy się nie nudzę, i... nie znoszę plotek.

## ROZDZIAŁ II

Świeżo załadowana *Elsynora* *leżała*, w wodzie bardzo głęboko. Przybiliśmy do miejsca. Za mało znam się na okrętach, bym mógł zachwycać się jej linią, a przytem nie byłem usposobiony do zachwyków. Wciąż namyślałem się, czy nie skrócić karku memu projektowi i nie wrócić na holownik. Z tego, co piszę o sobie, możnaby wywnioskować, że należę do typu ludzi chwiejnych. Przeciwnie.

Na nieszczęście, od pierwszej chwili ułożenia planu podróży, nie paliłem się do niej. W gruncie rzeczy wybierałem się w podróż, gdyż do niczego innego również nie miałem ochoty. Od pewnego czasu życie utraciło dla mnie urok. Nie byłem wyczerpany, ani też, w ścisłym znaczeniu tego słowa, znudzony. Ale siła atrakcyjna jakby dla mnie wyparowała z wszystkich rzeczy. Przestałem się interesować ludźmi i ich bezsensownymi, drobnymi, „poważnymi” sprawami. Już od dawna stroniłem od kobiet, zdając sobie sprawę z ich prymitywności, z okrutnego niemal poświęcenia się i przejęcia zadaniem płci; zbyt dobrze je rozumiałem, by móc się nimi przejmować i zachwycać! I uświadomiłem sobie także znikomość sztuki. Sztuki piękne! Ależ to kuglarstwo, szarlataneria, która z całym patosem mydli oczy nie tylko wielbicielom swym, ale i adeptom!

Drapiąc się po schodni na pokład *Elsynory*, szedłem po linii najmniejszego oporu. Równie dobrze mogłem się cofnąć. Nie wiele brakowało, bym, stanąwszy na pokładzie okrętu, kazał zostawić moje rzeczy na holowniku, bym pożegnał Kapitana Westa i jego córkę, życząc im szczęśliwej podróży.

Sądzę nieomal, że tym piórkiem, które przeważyło szalę na stronę podróży, był gościnny uśmiech Miss West, którym obdarzyła mnie, zmierzając przez pokład do kajuty; a potem pomyślałem, że w kajucie musi być rozkosznie ciepło.

Pierwszego oficera, Mr. Pika, poznałem podczas pierwszej mej wizyty na *Elsynorze* w Erie Basin. Uśmiechnął się, ale dziwnie sztywnym uśmiechem. Uśmiech wyrył na twarzy oficera tak głęboką brózdę, że zdawał się ból mu sprawiać. Nie wyciągnął do mnie ręki na powitanie i odwrócił się, wydając rozkazy jakimś dygocącym z zimna wyrostkom i włóczącym nogami starcom, których z pół tuzina wylazło skądś ze śródokręcia. Mr. Pik pił, zgadłem od pierwszego wejrzenia. Twarz jego była nabrzmiąta i bezbarwna, a jego duże szare oczy — pełne goryczy i przekrwione.

Czułem kamień na sercu i kląłem swą słabość woli, że też nie potrafiłem zdobyć się na tych kilka słów, które położyłyby kres wszystkiemu. Ludzie, którzy w owej chwili przenosili mój bagaż na rufie do marynarzy nie byli podobni. Na parowcach liniowych nie widziałem jeszcze marynarzy w ich rodzaju. Jeden z nich, młodzieniec o kwitnącej twarzy uśmiechnął się do mnie oczami, nawskroś włoskimi, ale był to karzeł. Był tak przysadzisty, że cały wchodził w gumowe buty i kaptur. A przytem nie był! czystej krwi Włochem. Tak mnie to uderzyło, że zapytałem o niego pierwszego oficera, który odparł posępnie:

— Ten? Kciuk? To mieszaniec pół-krwi, nawpół Japończyk, czy Malaj.

Pewien stary człowiek, który jak się później dowiedziałem, był bosmanem, miał wygląd człowieka, złamanego kolejami życia, jakby uległ niedawno nieszczęśliwemu wypadkowi. Miał twarz tępą, po prostu wolą. Szurając po pokładzie i powłócząc chodakami, zatrzymywał się co parę kroków, obie dłonie kładł na brzuchu i wykonywał dziwny ruch przyciskania i podnoszenia jednocześnie. Upłynęło parę miesięcy, w ciągu których czynił to w mych oczach tysiące razy, nim się dowiedziałem, że to zwykłe przyzwyczajenie. Twarz jego przypomniła mi Człowieka z Motyką, tylko była nieporównanie, bezdennie głupsza. I nazywał się Sundy Buyers. I był bosmanem na

pięknym amerykańskim żaglowcu, Elsynorze, uważanym za jeden z najlepszych żaglowców na świecie.

Z całej bandy wyrostków i starców, ciągnących bagaże, jeden tylko młody człowiek, mniej więcej szesnastoletni, podobny był, moim zdaniem, do marynarza. Przybył z szkolnego statku, jak mnie poinformował pierwszy oficer, i to była pierwsza jego podróż. Rysy jego były wyraziste, ruchy rzeźkie, miał na sobie ubranie marynarskie, które nosił z właściwym marynarzom zacięciem. W rzeczywistości, jak miałem się , później przekonać, był on w całej załodze jedynym człowiekiem, wyglądającym po marynarsku.

Główna partia marynarzy jeszcze na statek nie przybyła, choć oczekiwano jej, jak zapewniał Mr. Pike, lada chwila. Mówił to warkliwie i złowrogo. Ludzie, znajdujący się na statku, zaokrętowali się sami w New Yorku, a nie za pośrednictwem właścicieli gospód marynarskich. — A jaka będzie to załoga, Bóg raczy wiedzieć — warczał Mr. Pike. Kciuk, pół-krwi Japończyk (lub Malaj), pół-krwi Włoch, jak twierdził pierwszy oficer; miał stopień wykwalifikowanego marynarza, choć służył dotąd tylko na parowcach i była to. jego pierwsza podróż na żaglowcu.

— Zwyczajny marynarz! — M. Pike prychnął w od powiedz! na jedno z mych pytań. — Tych teraz ani na lekarstwo! Szczurów lądowych nie ma więcej. Szczury lądowe, ha, niech pan to zapomni! Każdy drwal, każdy krowiarz teraz jest wykwalifikowanym marynarzem. Taki ma stopień i tak jest płatny. Cały personel marynarki handlowej zeszedł na psy. Nie ma już marynarzy. Wszyscy wymarli na długo przed pańskim przyjściem na świat. Ot co!

Buchało od niego nieoczyszczoną whisky. Nie chwiał się jednak, pewnie stał na nogach i w ogóle nic nie zdradzało, że dobrze musiał pociągnąć z butelki. Dopiero później zorientowałem się, że jego rozmowność była nienaturalna, że to trunek tak mu język rozwiązał.

— Że dożyć musiałem czasów — zawołał — kiedy prawdziwi marynarze i prawdziwe statki przepadają!

— Przecie Elsynora uchodzi za jeden z najlepszych statków — odparłem.

— Bo tak jest... dziś. Ale czymże jest ta Elsynora? — zatraconym frachtowcem. Nie budowano jej do żeglowania, a gdyby nawet, to już nie ma marynarzy, którzy umieliby nią żeglować. Boże! Boże! Gdy wspomnę dawniejsze klipry. To były statki! Czupurny Kogut, Meteor, Ryba Latająca, Wieszcza Fal, Jeleń, Różdżka, Brzozowa, Żagielnik, Rybitwa, Wąż Morski, Gwiazda Polarna. A gdy pomyślę o flotach kliprów herbacianych, biorących ładunek z Hong-Kongu i pędzących na łeb na szyję poprzez Cieśniny Dalekiego Wschodu! O, co to był za widok! Co za widok!

Zaciekawił mnie. Nareszcie miałem przed sobą prawdziwego człowieka, człowieka, żyjącego każdym nerwem. Nie śpieszyło mi się do kabiny, w której przez ten czas Wada rozpakowywał rzeczy. Chodziłem tedy po pokładzie tam i z powrotem, dotrzymując kroku olbrzymiemu Mr. Pikowi. Olbrzymi był bez przesady, szeroki w barach, grubokościsty i, mimo postawy, mocno zgarbionej, wysoki na całe sześć stóp.

— Wspaniały z pana kawał mężczyzny! — pochlebiłem mu.

— Ba, byłem, byłem — zamruczał ponuro. I zaleciała mnie od niego ostra whisky.

Spojrzałem ukradkiem na jego sękatę rękę. Z jednego jego palca możnaby było zrobić ze trzy moje. W przegubach również były te łapy trzykrotnie grubsze od moich.

— Co pan waży? — zapytałem.

— Dwieście dziesięć. Ale za moich lepszych czasów — do dwustu czterdziestu.

— Więc Elsynora źle będzie żeglowała? — powiedziałem, wracając do tematu, który go emocjonował.

— Założę się z panem, o co pan chce, o funt tytoniu, lub o miesięczną pensję, że nie okrzy



Przylądka nawet w sto pięćdziesiąt dni. A na Latającej Chmurze opłynąłem Przylądek w osiemdziesiąt dziewięć dni — osiemdziesiąt dziewięć dni, od Sandy Hook do Frisco. Sześćdziesiąt ludzi było w kasztelu, ale to byli ludzie, do tego ośmiu chłopców do pomocy, i cały czas wskok! wskok! Trzeba siedemdziesiąt cztery mile na dobę pod topłami), a przy szkwałach robiliśmy więcej niż osiemnaście węzłów. Osiemdziesiąt dziewięć dni — bez lawirowania. I raz tylko zostawiliśmy w dziewięć lat po tem prześcignięci przez Andrew Jackson. To były czasy!

— A kiedy to Andrew Jackson prześcignął wasz statek ? — spytałem pod wrażeniem, że bierze mnie na kawał.

— W 1860-ym — odpowiedział bez namysłu.

— I pan żegłował na Latającej Chmurze jeszcze na dziesięć lat przed tym, a teraz mamy 1913-ty? Jakim -że to sposobem, skoro to było przed sześćdziesięciu dwoma laty?

— A ja miałem wtedy siedem lat — zachichotał. — Moja matka była stiuardką na Latającej Chmurze. Przyszedłem na ten świat na morzu. Byłem chłopcem okrętowym, mając lat dwanaście na Heroldzie Dnia, kiedy to opłynął Przylądek w dziewięćdziesiąt dziewięć dni, a była to podróż — połowa załogi w kajdanach conajmniej przez pół podróży, dwóch ludzi zdęło w morze z bocianiego gniazda po drugiej stronie Hornu; ostrza naszych noży poszczerbione i pooblamywane; bolce i klubki latały w powietrzu; trzech ludzi oficerowie zastrzelili jednego dnia; drugi oficer padł trupem i pozostało tajemnicą, kto go zabił; i dzień i noc, nic innego, tylko wszyscy wskok! wskok! wskok! Dziewięćdziesiąt, dziewięć dni od lądu do lądu, siedemnaście tysięcy mil. i wciąż ze wschodu na zachód dookoła Przylądka - Grzmotu!

— Ale w takim razie miałby pan sześćdziesiąt dziewięć lat — nastawałem nań w dalszym ciągu.

— I mam te lata — odparł dumnie — a, w tym wieku zdam się lepiej od dzisiejszych cherlaków. Każdy z nich puściłby ostatnią parę, gdyby musiał przejść przez to, przez co ja przeszedłem. Czy słyszał pan kie dy o Słonecznym Południu, okręcie, który został sprzedany w Hawanie na handel niewolnikami i przechrzczony na Emanuelę.

— I pan żegłował Środkowym Szlakiem ? — zawołałem, przypominając sobie nagle sakramentalny zwrot.

— Tak. Byłem na Emanueli na Mozambickiej Cieśninie kiedy Brisk schwytał nas z dziewięćdziesięcioma niewolnikami w międzypokładzie. A jeżeli nas złapał, to tylko dlatego; że miał przewagę nad nami; będąc parowcem.

I w dalszym ciągu mierzyłem pokład wielkimi krokami tam i z powrotem wraz z tym masywnym zabytkiem przeszłości łowiąc uchem napomknienia, wspomnienia lub zgoła pomruki o minionych dniach gnania i mordowania ludzi. W każdym jego słowie dźwięczała prawda, a zgarbienie jego potężnych bar i starcze powłóczenie nogą dowodziło, że powiedział mi swe prawdziwe lata. Mówił też o pewnym kapitanie, Kapitanie Sonurs.

— Był to wielki kapitan — oświadczył. — Przez całe dwa lata, w ciągu których byłem jego pomocnikiem, w każdym porcie, do którego zawijaliśmy, kryłem się przy wpływaniu i powracałem dopiero przy wypływaniu na morze.

— Ale dlaczego?

— Przez wzgląd na *załogę*. Ludzie przysięgali, że się zemszczą i wydostaną na mnie rozkaz aresztowania. I zdarzało się, że mnie łapali i szyper płacił za mnie wielkie pieniądze — a płacił chętnie, bo miał z mojej roboty grube zyski.

Pokazał mi ogromne swe pięści, łapy z porozbijanymi, zmaltretowanymi kostkami i zrozumiałem co była to za robota.

— Ale wszystko to już się skończyło — lamentował. — Marynarze teraz to, psia ich mać, jaśnie

państwo. Nie wolno na nich podnieść ręki ani nawet głosu.

W tejże chwili z nadburcia pomostu zwrócił się do niego drugi oficer, był to człowiek średniego wzrostu, mocno zbudowany, gładko wygolony blondyn.

— Holownik z załogą widać już, sir — oznajmił.

Pierwszy oficer mruknął coś z akcentem zadowolenia, potem dodał: — Niech pan zejdzie Mr. Mellaire, i zaznajomi się z naszym pasażerem.

Zastanawiający był sposób, w jaki Mr. Mellaire, schodził po schodni pomostu i w jaki się zaprezentował. Jego grzeczność trąciła staroświecczyzną, wyszukaną grzecznością Stanów Południowych.

— Pan jest południowcem — powiedziałem.

— Z Georgii, sir — ukłonił się i uśmiechnął, jak tylko urodzony południowiec potrafi się kłaniać i uśmiechać.

Pogodny i życzliwy był wyraz jego twarzy, a jednak usta tego człowieka były najokrutniejszą ze szram, jaka imitowała kiedykolwiek usta na ludzkiej twarzy. Była to szrama. Nie sposób określić inaczej tych odpychających, bezkształtnych ust o cienkich wargach, ust, które tak uprzejmie wypowiadały same grzeczności. Odruchowo spojrzałem na jego ręce. Jak ręce pierwszego oficera były grubokościste, zdeformowane z rozbitymi i zdefasonowanymi kostkami. A potem podniosłem wzrok z tych wymownych rąk i spojrzałem mu znowu w niebieskie oczy. Przesłonięte były błonką światła, lśnieniem szlachetności i serdeczności, ale wyczułem, że poza tym lśnieniem nie ma ani szczerości, ani miłosierdzia. Poza tym powierzchownym lśnieniem było coś zimnego i strasznego — skradało się to i czyhało, i śledziło — coś kociego, wrogiego śmiertelnie. Poza tą błonką łagodnego światła i iskrą towarzyskiej uprzejmości kryła się istota żywa, przerażająca, która urobiła usta tego człowieka na szramę. To, co wyczułem w tych oczach zmroziło mnie do szpiku kości, przejęło wstrętem i doznaniem obcości.

Gdy tak stałem przy Mr. Mellaire, rozmawiałem z nim, wymieniałem z nim uśmiechy i uprzejmości, doznawałem uczucia, które ma człowiek na puszczy, albo w dżungli, wiedząc, że śledzą go nieustannie ślepią niewidzialnych dzikich bestyj. Bez blagi przerażony byłem tym, co leżało przyczajone w czaszce Mr. Mellaire. Przywykliśmy identyfikować powierzchowność, cechy zewnętrzne człowieka, z duchem, który go ożywia. Ale metoda ta zawodziła w zastosowaniu do drugiego oficera. Twarz jego, postać, maniery i łatwość obejścia to była jedna istota, w której on sam, istota druga, całkiem od pierwszej odmienna, leżał przyczajony.

Spostrzegłem Wadę, stojącego we drzwiach kajutowych i czekającego widocznie na rozkazy. Skinąłem nań i miałem już iść za nim, gdy Mr. Pike znacząco spojrzał na mnie i powiedział:

— Jedną chwilę, Mr. Pathurst.

Wydał jakiś rozkaz drugiemu oficerowi, który, wykręciwszy się na pięcie, ruszył na dziób. Zatrzymałem się i czekałem, co mi ma powiedzieć, lecz Mr. Pike odezwał się dopiero, gdy drugi porucznik oddalił się tak, że nie mógł go usłyszeć. Wówczas nachylił się do mnie i powiedział:

— Niech pan nikomu nie wspomina, ile mam lat. Co roku, podpisując rolę, — podaję o rok mniej. Teraz według roli mam pięćdziesiąt cztery lata.

— I nie dałbym panu więcej — odpowiedziałem z nonszalancją, choć było to moje głębokie przekonanie.

— Bo mnie moje lata nie ciążą. W pracy i wszelkim hazardzie zdystansuję najtęższego młokosa. Więc niech pan nikomu nie mówi, w jakim jestem wieku, Mr. Pathurst. Szyprowie przestają cenić oficerów, którzy mają pod siódmy krzyżyk. Tak samo i armatorzy. Spodziewałem się dostać dowództwo tego statku i byłbym je dostał niezawodnie, ale stary popsuł mi szyki, wracając na morze.

Jakby potrzebował pieniędzy — ten sknera!

— Czy jest zamożny? — spytałem.

— Zamożny! Gdybym miał dziesiątą część jego majątku, mógłbym osiąść na fermie w Kalifornii, hodować drób i opływać we wszystko, jak pączek w maśle — ba, gdybym miał jedną pięćdziesiątą tego, co sobie odłożył. Przecie on ma duży udział w tonażu Blackwoodów, a ich statkom zawsze sprzyjało szczęście i zawsze dawały zyski. Starzeję się, należy mi się dowództwo i właśnie miałem je dostać. I jak na złość stary dusigrosz wpada na pomysł wrócenia na morze i zajmuje koję, która mnie przypadłaby w udziale.

Zrobiłem krok ku wejściu do kajuty, ale jeszcze raz mnie zatrzymał.

— Mr. Pathurst, nie powie pan nikomu o moim wieku?

— Ależ nie, niech pan będzie spokojny, Mr. Pike — zapewniłem go.

# ROZDZIAŁ III

Przeziębłem się do szpiku kości. To też doznałem prawdziwej ulgi, wszedłszy do ciepłej i wygodnej kajuty. Wszystkie drzwi wewnętrzne były pootwierane, tworząc jakby obszerne mieszkanie lub dom wielorybiczny. Wejście z głównego pokładu po lewej stronie prowadziło do wielkiego, wyłożonego kosztownym dywanem korytarza — hallu. Na ten hall wychodziły z lewej strony drzwi pięciu kabin: pierwsza z rzędu — kabina pierwszego oficera, następnie — dwa gabinety z przepierzeniem wyjętym, zamienione w kabinę dla mnie; potem — kabina stewarda a przyległa i ostatnia z rzędu kabina służyła za garderobę.

Po przeciwnej stronie hallu znajdowały się pomieszczenia, bliżej przeze mnie niezbadane, choć wiedziałem, że mieszczą; się tam łazienki, sala jadalna, która w gruncie rzeczy była obszernym salonem, apartamenty kapitana i, niezawodnie, apartamenty Miss West. Nuciała, krzątając się przy rozpakowywaniu. Kredens stewarda poza skrzyżowaniem korytarzy i schodami, wiodącymi do strażnicy na pomoście rufy, mieścił się strategicznie po środku jego pola działania. A więc po prawej stronie kredensu znajdowały się saloniki kapitana i Miss. West, nawprost — sala jadalna i główna kajuta, po lewej zaś stronie — kabiny, opisane już, a z tych dwie moje.

Poszedłem wzdłuż hallu ku rufie. Drzwi znalazłem otwarte do wnętrza rufy Elsynory. Było to jedno obszerne pomieszczenie, mające conajmniej trzydzieści pięć stóp od burty do burty, od piętnastu do osiemnastu stóp długości, zaokrąglone, oczywiście podług linii rufy okrętowej. Był to rodzaj składu. Stały tam umywalki, dużo komód, leżały sztuki płótna, wisiały szynki, połcie słoniny. Schodnia wiodła w górę do małej luki w pokładzie rufy; w pokładzie wnętrza była również luka.

Przemówiłem do stewarda, starego Chińczyka z goloną głową i o ruchach zwinnych, którego nazwiska przez cały czas podróży nie dowiedziałem się, choć zapamiętałem, że liczy sobie lat pięćdziesiąt sześć.

— Co tam jest? — pytałem, wskazując na lukę w pokładzie wnętrza.

— Być lazaret — odpowiedział.

— A kto tu jada? — wskazałem na stół i dwa krzesła okrętowe na śrubach.

— Być drugi stół. Druga oficer i cieśla jeść przy ten stół.

Potem dałem wskazówki Wadzie, jak ustawić moje rzeczy, a załatwiwszy najniezbędniejsze, spojrzałem na zegarek. Było jeszcze wcześniej, zaledwie parę minut po trzeciej. Wyszedłem tedy na pokład, by przyjrzeć się przybywającej załodze.

Ale holownik z załogą już przybył. Tylko przed kasztelem śródokręcia zastałem paru maruderów, którzy ociągali się z wejściem do przedniego kasztelu. Byli pijani. Bardziej wyniszczonych, nędznych, wstrętnych ludzi nie spotykałem jeszcze w żadnej speluncie.

Mieli na sobie łachmany. Twarze ich były obrzmiałe, okrwawione i brudne. Nie twierdzą, by wyglądali na łotrów. Nie, byli tylko brudni i ohydni. Wszystko w nich było odpychające, wygląd, język, którym się posługiwali, i sposób postępowania.

— Zwijać się! Żwawo! Zbierać no graty do kasztelu !

Mr. Pike rzucił te słowa ostro z pomostu. Przez całą długość Elsynory z rufy na dziób, poprzez kasztel śródokręcia i przedni kasztel biegł pomost lekki i smukły ze stalowych prętów i desek.

Gdy padł ten rozkaz z ust pierwszego oficera, ludzie chwiejnie odwrócili się, wlepiając w niego wzrok ponury. Ledwie paru z pośród tych oberwańców zdradziło gotowość wypełnienia rozkazu, zabierając się niezgrabnie do rozrzuconych swych rzeczy. Reszta przerwała pijane lamenty i patrzyła

na oficera z podełba. Osobnik z twarzą, którą szalony bóg jakiś ulepił z magmy cielesnej i rozgniótł, niejaki, jak potem się dowiedziałem, Larry, wybuchnął przeraźliwym śmiechem i plunął bezczelnie na pokład. Z całym rozmysłem odwrócił się do swych towarzyszy, pytając głośno, ochryplym głosem:

— Kto do ciężkiej cholery, ten stary grzmot, nie przymierzając ?

Olbrzymia postać Mr. Pika wyprężyła się konwulsyjnie, ogromne jego łapy zacisnęły się kurczowo na poręczy balustrady. Ale nie były to mimowolne odruchy. Nie stracił panowania nad sobą.

— Zabierać się wy tam — powiedział. Nie będę się z wami wdawał. Włazić do kasztelu!

I z tymi słowy, odwrócił się i poszedł na tył, do miejsca, gdzie holownik się odcumowywał. A więc tyle było warte jego całe perorowanie o *żelaznym* bacie? Dopiero później domyśliłem się, jaka była przyczyna tej tolerancji. Przypomniałem sobie, że, idąc ku rufie, widziałem Kapitana Westa, opartego o balustradę u samej schodni juty, i że patrzył on ku przodowi.

Liny holownika odrzucono. Przypatrywałem się z zainteresowaniem manewrowi odbijania, aż holownik wycofał się rufą poza okręt. W tejże chwili doleciał mnie dziwaczny jazgot, rzekłbyś, szczekanie i wycie. Były to liczne, zmieszane głosy pijanych przybyszy, wołające, że człowiek wypadł za burtę. Drugi oficer zeskoczył po schodni juty i minął mnie, pędząc ku przodowi. Pierwszy oficer, którego wypadek zastał na filigranowym, biało malowanym pomoście, rzekłbyś, na pomoście z sieci pajęczej, wprawił mnie w zdumienie swą zwinnością. Przebiegł wzdłuż pomostu od kasztelu śródokręcia, wskoczył na okrytą brezentem szalupę i wychylił się za burtę. Nim marynarze zdążyli wleźć na poręcz nadburcia, już wśród nich był drugi oficer i on to rzucił zwój liny z nadburcia.

Uderzyła mnie szczególnie umysłowa i fizyczna sprawność tych dwóch oficerów. Choć byli obaj w starszym wieku — pierwszy oficer miał lat sześćdziesiąt dziewięć, a drugi, conajmniej, pięćdziesiąt — umysł ich i ciała działały z prężnością i dokładnością stalowych sprężyn. Działali sprawnie. Byli ze stali. Spostrzegali wszystko w lot, decydowali się i działali błyskawicznie. Byli, rzekłbyś, z innej gliny, niż ich podwładni. Marynarze, będąc świadkami wypadku i znajdując się na jego miejscu, krzyczeli, oszołomieni i bezradni, ciężko myśląc, ciężiej jeszcze się poruszając, włą zili na poręcz nadburcia. Przez ten czas drugi oficer zeskoczył po stromej schodni rufy, przebiegł dwieście . stóp pokładu, wskoczył na poręcz nadburcia, zorientował się w położeniu i rzucił zwój liny na wodę.

W taki sam sposób zareagował Mr. Pike. On i Mr. Mellaire byli panami tych nędznych kreatur, dzięki sprawności swej woli. Doprawdy, różnili się od swych podwładnych bardziej, niżli ci ludzie różnili od Hotentotów i od małp.

Ja również w owej chwili stałem na wielkim knechcie od kabla, skąd mogłem już widzieć człowieka, zdającego się rozmyślnie odpływać od okrętu. Był to jakiś ciemnoskóry syn Śródziemnego Morza, a twarz — mignęła mi zaledwie przed oczami — miał skurczoną konwulsyjnie. Jego czarne oczy ożywił błysk obłędu.

Lina rzucona została przez drugiego oficera z taką dokładnością, że padła poprzez plecy płynącego. Musiał kilkakrotnie wodę rozgarnąć, nim ręce z niej wyplątał. Coś dziko wykrzykiwał i machał rękoma z emfazą. W podniesionym jego ręku błysnęła klinga długiego noża.

Dzwonienie dochodziło z holownika, który zaczął manewrować, chcąc przyjść człowiekowi w wodzie z pomocą. Ukradkiem spojrzałem na Kapitana Westa. Przeszedł na lewą stronę rufy i z rękoma w kieszeniach spoglądał to na miotającego się w wodzie człowieka, to na holownik. Nie wydawał żadnych rozkazów, nie zdradzał najmniejszego zainteresowania wypadkiem i wyglądał, śmiało rzecz można, na zupełnie przypadkowego widza.

Pływak zdawał się teraz zajęty zrzucaaniem z siebie ubrania. Ukazało się nagie ramię, potem

drugie.

Miotając się tak, zapadał czasami pod powierzchnię, lecz za każdym razem się wynurzał, potrząsając nożem i wrzeszcząc przeraźliwie coś zagmatwanego i bez sensu. Usiłował nawet ujść przed holownikami, przepływając pod nimi.

Poszedłem na przód i jeszcze zdążyłem zobaczyć, jak windowano szaleńca przez nadburcie *Elsynory*. Był zupełnie nagi, pokryty krwią i trząsał się w ataku furii. Pokrajał się i pozacinał w wielu miejscach. Z rany w przegubie ręki krew tryskała za każdym uderzeniem pulsu. Przejmował mnie wstrętem, nie było w nim nic ludzkiego. Zdarzyło mi się widzieć skaleczonego orangutanga w ogrodzie zoologicznym i, bez przesady, kreatura ta ze zwierzęcą twarzą, ruszającą się bezustanku i bełkocząca, przypominała mi tego orangutanga. Marynarze okrążyli go, podtrzymywali i ciągnęli, on zaś w dalszym ciągu śmiał się przeraźliwie i rzucał radosne okrzyki. Podbiegłszy z obu stron, oficerowie zmiotli marynarzy z drogi, odebrali im wariata, odciągnęli go po pokładzie ku śródkręciu i zawlekli do kajuty śródkrętowej. Zaimponowała mi siła oficerów. Słyszałem o nadludzkiej sile furiatów, a jednak ten osobnik był w ich rękach jak wosk. Kiedy wariat leżał już na koi, Mr. Pike jedną ręką przygwoździł go do niej i trzymał w tej pozycji. Mr. Mellaire przez ten czas pobiegł po sznur dla skrępowania rąk szaleńcowi.

— Tfu! — wykrzywił się Mr. Pike do mnie z grymasem, imitującym uśmiech. — Widziałem dużo wariackich załóg w moim życiu, ale takiej jak ta, nie pamiętam.

— Co pan zamierza z nim zrobić? — zapytałem. — Ten człowiek umrze z upływu krwi.

— I krzyżyk na drogę — odparł szybko. — Będziemy z nim mieli masę kłopotu, nim go gdzie uda się spławić. Gdy się uspokoi, zaszyję mu rany; ba zaszyję mu je tak, czy owak, choćbym mu dać musiał szcztka w nos.

Znowu spojrzałem na potężne łapy oficera. Niezawodnie pięści tego olbrzyma, to też był środek uśmierzający. Wyszedłszy na pokład, zobaczyłem na rufie niewzruszonego Kapitana Westa, stojącego z rękoma w kieszeniach z wzrokiem, utkwionym w błękitną rysę w północno-wschodniej połaci nieba. Bardziej, niżli oficerowie, bardziej, niżli furiat i bezwstyd pijanej załogi, widok niewzruszonej tej postaci z rękoma w kieszeniach wpoił we mnie przekonanie, że znajduję się w świecie, różnym od wszystkiego, z czym się dotąd w życiu spotykałem.

Wada przerwał mi wątek myśli, meldując, że proszą mnie do kajuty i Miss West czeka z herbatą.

## ROZDZIAŁ IV

Gdy wchodziłem do kajuty uderzył mnie kontrast między kajutą, a resztą okrętu. Elsynora zdawała się krainą kontrastów zdumiewających. Zamiast zimnego, twardego pokładu, pod stopami miałem dywan miękki i puszysty. Byłem przed chwilą w kabinie nędznej i ciasnej o ścianach z nagiego żelaza, a o parę kroków — ten obszerny i piękny apartament. Wciąż jeszcze dzwoniły mi w uszach wrzaski marynarzy, przed oczami stały mi, jak żywe, ich nabrzmiałe - z przepicia, wstrętne twarze, a powitała mnie uśmiechem szykowna kobieta o delikatnych rysach; siedziała ona u wschodniego stolika z laki, zastawionego serwisem z kantońskiej porcelany. Dokoła panował spokój i umiar. Stiuard o twarzy, pozbawionej wszelkiego wyrazu, cicho, jak cień ledwie dostrzegalny, wślizgiwał się do kajuty, podawał coś i wyslizgiwał się zupełnie bez szmeru.

Nie od razu przyszedłem do siebie po wstrząsie, doznanym na pokładzie, i Miss West, podając mi filiżankę herbaty, zaśmiała się:

— Widzę, jest pan pod wrażeniem. Stiuard mówił mi, że człowiek wyskoczył za burtę. Sądzę, że zimna kąpiel musiała go otrzeźwić.

Byłem urażony jej nieczułością.

— To wariat — powiedziałem. — Okręt dla niego to nieodpowiednie miejsce. Powinno go się odstawić na brzeg do szpitala.

— W takim razie musielibyśmy wysłać na brzeg . dwie trzecie naszej załogi — wszyscy oni tacy,

— Ależ — odpowiedziałem — ten człowiek okropnie się poranił. Może umrzeć od upływu krwi.

Podając mi filiżankę, spojrzała na mnie poważnie i badawczo, a w następnej chwili w oczach jej zaigrała iskra uśmiechu. Potrząsnęła głową.

— O, Mr. Pathurst, niech pan się nie zraża tym głupstwem zaraz na wstępie. Takie rzeczy są zwykłymi wydarzeniami. Przyzwyczaj się pan do tego. Niech pan tylko weźmie pod uwagę, co za kreatury z pod ciemnej gwiazdy zaciągają się na okręty. Temu człowiekowi nic nie grozi. Może pan być pewny, że Mr. Pike opatrzy mu rany. Nigdy jeszcze nie żeglowałam z Mr. Pikiem, ale słyszałam o nim wiele. Mr. Pike zastąpi od biedy chirurga. Podobno podczas ostatniej podróży szczęśliwie dokonał amputacji i tak był swym sukcesem przejęty, że chciał zająć się cieślą okrętowym, który cierpiał na pewnego rodzaju nieżyt żołądka. Mr. Pike tak pewny był swej diagnozy, że chciał płacić cieśli, byle się zgodził na wycięcie wyrostka robaczkowego. Urwała i roześmiała się serdecznie, po chwili zaś dodała: — Mówią, że ofiarowywał mu dziesiątki funtów tytoniu. Chciał sobie kupić pacjenta!

— Ale czy nie zagraża bezpieczeństwu okrętu — odezwałem się — obecność na nim takich wariatów?

Wzruszyła ramionami, jakby nie miała zamiaru mi odpowiedzieć i dopiero po chwili odpowiedziała.

— To nic nie znaczący wypadek. Zawsze znajdzie się parę wariatów, lub idiotów w załodze każdego okrętu. I przybywają ci ludzie zawsze w nietrzeźwym stanie, miotając się i szalejąc. Pamiętam raz, dawno już, gdy wyruszyliśmy z Seattle, jaką zdumiewającą rzecz zrobił jeden taki wariat. Nie zdradzał żadnych cech obłąkania. Nagle, najniespodziewaniej w świecie pochwycił dwóch gości z gospody marynarskiej i wyskoczył z nimi za burtę. Odpłynęliśmy tego dnia, nim ciała znaleziono.

Znowu wzruszyła ramionami.

— Cóżby pan zrobił na naszym miejscu? Morze jest bezwzględne, Mr. Pathurst, a na naszych marynarzy dostajemy ludzi najgorszego gatunku. Aż się dziwię czasami, skąd ich biorą. A robimy z nich mimo to, co się da, i jakoś zmuszamy ich do wykonywania pracy i do pomagania nam w naszym zadaniu. Ale to są ludzie upadli. Rekrutują się z mętów społeczeństwa. Słuchając *jej*, patrząc na nią, na delikatne jej rysy, czując jej kobiecość, podziwiając jej strojną suknię, przeciwstawiając wszystkie te wartości koszarowi brutalnych twarzy i łachmanów, musiałem przyznać *jej* pewną rację, zważywszy wszystko na czysty rozum. A jednak w głębi duszy byłem dotknięty jej oschłością serca i nonszalancją, z jaką wypowiadała swe poglądy. Właśnie dlatego, że była kobietą, istotą zupełnie odmienną, niż ci niewolnicy morza, tak trudno było mi pogodzić się z faktem, że wyszła również z twardej szkoły morza.

— Uderzyła mnie... jakby to powiedzieć... sang froid ojca pani podczas tego wypadku — rzuciłem.

— Nie wyjął pewno rąk z kieszeni? — zawołała. Oczy jej zabłyśły, gdy skinąłem potakująco głową.

— Wiedziałam od razu! Taki ma już sposób. Widziałam go tak nieraz. Pamiętam, gdy byłam dziewczynką dwunastoletnią — mama wtedy została sama w domu — wpływaliśmy do portu w San Francisco. Było to na Dixie, statku niemal tak wielkim, jak *Elsynora*. Dęła mocna morka i papa nie wziął holownika. Żeglowaliśmy wprost przez Golden Gate w górę portu wzdłuż nabrzeży San - Francisco. Był przytem wartki przyływ, i cała załoga, obie wachty, na gwałt zwijała żagle.

Wina była po stronie kapitana parowca. Źle obliczył naszą szybkość i usiłował przejść przed naszym dziobem. Nastąpiło zderzenie i dziób Dixie werznął się w parowiec, w kajutę i wnętrze towarowe. Na parowcu były setki pasażerów, mężczyzn, kobiet i dzieci. Papa przez cały ten czas ani razu nie wyjął rąk z kieszeni. Posłał pierwszego oficera na dziób, by miał nadzór nad ratowaniem pasażerów, którzy drapali się po naszym bukszprycie i przez bak dziobu; tonem najzwyczajszym w świecie jakby poprosił kogoś u stołu o podanie masła, powiedział drugiemu oficerowi, by podniesiono wszystkie żagle. I dał mu dokładne wskazówki, od jakich żagli mają zaczynać.

— Ale poco kazał podnieść, wszystkie żagle?

— Bo zorientował się w sytuacji. Czyż pan nic rozumie, że parowiec był rozłupany naroścież? Utrzymywał się na powierzchni tylko dlatego, że dziób *Di-xie* był szczelnie wbity w jego bok nakształt klinu, więc trzymając się pod wiatrem, w dalszym ciągu utrzymywał dziób Dixie wciśnięty w parowiec.

— Byłam okropnie wystraszona. Ludzie, którzy wyskoczyli, lub wypadli w morze, tonęli w moich oczach po obu stronach Dixie, sunącej wzdłuż nabrzeży. Ale pokrzepiał mnie widok papy, który był taki, jak zawsze; z rękoma w kieszeniach chodził powoli po pomoście, tam i z powrotem, rzucając rozkazy do sternicy — musiał, widzi pan, manewrować Dixie pośród masy statków — to znów, czuwając nad pasażerami, przedostającymi się na nasz dziób i tłoczącymi się na pokładzie, wybiegając co chwila wzrokiem przed siebie i wypatrując drogę między stojącymi na kotwicy statkami. Od czasu do czasu rzucał okiem na biedaków tonących po obu stronach okrętu, ale się ich losem nie przejmował.

— Naturalnie, dużo ludzi potonęło, ale dzięki swej zimnej krwi, dzięki temu, że nie wyjmował przez cały czas rąk z kieszeni, ocalił setki ludzi od niechybnej śmierci. Dopiero, gdy nie było już nikogo na parowcu — posłał na nieszczęsny statek ludzi, aby się przekonali — zmniejszył ożaglenie Dixie. I parowiec zatonął w mgnieniu oka.

Urwała i patrzyła na mnie z ogniem w oczach i czekając na słowa uznania, których jej nie poskąpiłem.



— To musiało być wspaniałe — zgodziłem się z zapalem. — Podziwiam ludzi, umiejących zdobyć się na spokój ducha w niebezpieczeństwie. Zachować spokój w podobnych okolicznościach wydaje mi się czymś nieziemskim i nadludzkim. Nie wyobrażam sobie, bym potrafił się na to zdobyć; pewien jestem, że, kiedy się ten biedak miotał na morzu, cierpiałem więcej, niż wszyscy pozostali, razem wzięci.

— Papa cierpi bardzo — zaproponowała lojalnie — tylko tego nie okazuje.  
Skinąłem głową, widząc, że mnie nie rozumiała.

# ROZDZIAŁ V

Gdy wyszedłem po herbacie na pokład, widać już było holownik, który miał nas wyholować w dół Chesapeake Bay na pełne morze. Marynarze wysypywali na pokład z przedniego kasztelu. Wywoływał ich Sundry Buyers, czule przyciskając co chwila brzuch swojemu rękoma. Drugi jakiś człowiek pomagał mu w tym trudnym zadaniu. Spytałem Mr. Pike, kto to taki.

— Nancy, mój bosman. Czy nie okaz? — brzmiała odpowiedź, a z tonu jej wywnioskowałem, że „Nancy” to szydercze przezwisko.

Nancy nie mógł mieć więcej, niż trzydzieści lat, choć wyglądał na człowieka już wiekowego. Był bezzębny i posepny, i niemrawy. Miał oczy szyflowego koloru i mętne, jak ił, a golona twarz była woskowa. Wąski w ramionach, z zapadłą, piersią i głęboko zapadłymi policzkami wyglądał na zaawansowanego suchotnika. Sundry Buyers mało miał sił żywotnych, ale Nancy jeszcze mniej od niego. I to byli bosmani — bosmani pięknego amerykańskiego żaglowca, Elsynory. Nigdy jeszcze nie spotkało mnie tak kompletne rozczarowanie.

Biło po prostu w oczy, że te dwa zdechlaki bały się ludzi, którym mieli bosmanić. A marynarze! Gromada rasowych potępieńców, przy których zblakłyby płótna Doré. Po raz pierwszy zobaczyłem ich w komplecie i nie dziwiłem się bosmanom, że się ich bali. Nie szli oni po ludzku, ale się wlekli ze spuszczonej głowami. Niektórzy nawet potykali się, jak pijani, jak gdyby gonili resztkami sił.

A co za twarze! Przyszło mi na myśl to, co Miss West powiedziała przed chwilą — że wśród załogi każdego statku znajdzie się kilku obłąkanych lub matołków. Ale tu wszyscy wyglądali na wariatów, lub idiotów. I ja z kolei musiałem zadać sobie pytanie, skąd można było wygrzebać taką gromadę pokurczów. Każdemu coś brakowało. Członki powykręcane, twarze pokurczone konwulsyjnie; i prawie bez wyjątku byli mniej niż średniego wzrostu. Było kilku rośliwych dryblasów, ale za to z zupełnie bezmyślnymi twarzami. Jeden był dobrze zbudowany, bez wątplenia, Irlandczyk, ale również bez wątplenia skończony wariat. Wychodząc z kasztelu, mruczał i gadał do siebie. Mały, zgarbiony, zbakierowany człowieczek, z głową wykręconą na bok, z miną najprzebieglejszą, z najzłośliwszą twarzą w świecie, rzucił obłąkanemu Irlandczykowi jakiś sprośny koncept, zwąc go O'Sul-livanem. Ale O'Sullivan nie zwrócił nań najmniejszej uwagi i bełkotał w dalszym ciągu. Depcząc po piętach małemu, zbakierowanemu człowieczkowi, ukazał się nadmiernie wybujały i otyły bałwan, a za nim jeszcze wyższy i tak chudy, że kości jego cudem tylko zdawały, się trzymać w kupie.

W ślad za tym wędrującym szkieletem nadeszła najdziwaczniejsza kreatura, jaką widziałem w życiu. Było to połamane homo, jak od wielkiego bólu, jakby zszedł z madejowego łoża, z tysiäcoletniej tortury. Miał twarz zmaltretowaną niedorozwiniętego fauna. Jego duże czarne oczy były błyszczące, żywe i pełne bólu; biegały pytając od twarzy do twarzy i z przedmiotu na przedmiot. Były tak żałośnie niespokojne, jakby wiecznie usiłowały pochwycić klucz jakiejś zagmatwanej i groźnej zagadki. Dopiero później dowiedziałem się, co tkwi poza wyrazem tych oczu. Był głuchy jak pień, bo bębenki mu pękły od wybuchu kotła, który, zresztą, zrujnował mu cały organizm.

Stiuard stał w drzwiach kambuza i przyglądał się załodze z daleka. Na jego bystrej, inteligentnej twarzy Azjaty z przyjemnością spoczęły na chwilę moje oczy. Również pełna życia była twarz Kciuka, który wyskoczył z kasztelu z chichotem. Ale i ten był jak inni. Był to karzeł, a że miał dobry humor i niewysoką inteligencję, doskonale nadawał się na kłowna.

Mr. Pike przystanął na chwilę. Gdy tak stał i krytycznym okiem taksował swych marynarzy, ja obserwowałem jego samego. Wyglądał na handlarza bydła, oburzonego gatunkiem towaru, który mu

dostarczono.

— Każdemu coś brakuje, piątej klepki, czy tam jeszcze czegoś — mruknął stary wyga.

A w dalszym ciągu rzędem wychodzili: jeden — blady z biegającymi oczyma, w którym natychmiast rozpoznałem palacza opium; drugi — drobny zasuszony starzec, — z pobródzoną twarzą i paciorkowatymi, złośliwymi oczyma; trzeci — mały, zażywny człowiek, który wydał mi się najnormalniejszy z całej galerii tych indywiduów. Mr. Pike miał jednak bardziej wyrobione oko.

— Co z wami? — warknął na niego.

— Nic sir — odpowiedział osobnik, zatrzymując się jak wryty.

— Jak się nazywacie?

Mr. Pike, ilekroć odzywał się do marynarza, zdawał się warczeć.

— Charles Davis, sir.

— Dlaczego kulejecie?

— Ja nie kuleję, sir — człek odpowiedział z należyтым szacunkiem i zwolniony skinieniem, odszedł rześkim krokiem, rzucając zamasyście rękoma.

— To marynarz, jak się patrzy — mruknął pod nosem pierwszy oficer — ale założyłbym się zarówno o funt tytoniu, jak o miesięczną pensję, że coś z nim nie jest w porządku.

Zdawało mi się, że przedni kasztel wszyscy już opuścili, ale Mr. Pike był snadź odmiennego zdania, bo warknął na bosmanów:

— A wy, co do diaska, robicie? — Drzemkę sobie ucieli jak Boga kocham. Niebieskie ptaki, psia...! Właźcie mi kpy do środka i wyrzucić mi tych drabów na zbity łeb!

Sundry Buyers przycisnął swój brzuch z całą pieczołowitością i zawahał się. Nancy z twarzą skazańca niechętnie wszedł do kasztelu. Po chwili doszły nas z wewnątrz przekleństwa, ordynarne, plugawe i przynaglenia, raczej prośby Nancy, wypowiedziane niepewnym, błagalnym tonem.

Uderzył mnie ponury, dziki po prostu wyraz twarzy Mr. Pika, to też spodziewałem się, że zaraz wychyną z kasztelu Bóg wie jakie potwory. Tymczasem, ku memu zdziwieniu, wyszło trzech drabów, wyglądających o całe niebo lepiej od hałastry, która przed nami przedefilowała. Przypuszczałem, że na ich widok Mr. Pike się rozchmurzy, że wyczytam na jego twarzy zadowolenie. Ale nic podobnego. Jego niebieskie oczy tak się zwężyły, że pozostały z nich tylko dwie szparki, a wargi podniosły w kątach, aż upodobnił się zupełnie do warczącego i szczerzącego zęby psa.

Ale wróćmy do trzech maruderów. Wszyscy trzej byli małego wzrostu i młodzi ludzie, tak między dwudziestym piątym, a trzydziestym rokiem życia... Mieli na sobie odzież taną, ale schludną, a po ich ruchach i kształtach, uwypuklonych w tym przyodziewku, znać było fizyczną sprawność. Twarze inteligentne o rysach ostrych. Lecz czułem w nich coś dziwnego, czego nie umiałem określić.

Nie byli to źle odżywieni, zatruci whisky biedacy, tacy, jak reszta marynarzy, ludzie, którzy po przepiciu pobranej płacy głodowali na brzegu, a otrzymawszy awans na nową podróż, natychmiast go również zostawiali w szynku. Nie, ci, przeciwnie byli gibcy i sprężyści. Władali sobą, poruszali się szybko i dokładnie. Patrzyli na mnie kombinującymi, wszystko dostrzegającymi oczami. Wydawali się tak życiowo mądrzy, tak zimni, tak pewni siebie. Dałbym głowę, że nie byli marynarzami. Z drugiej strony nie uważałbym ich za lądowców. Należeli do typu, z którym się jeszcze w życiu nie spotykałem. Najlepiej zrezygnuję z wszelkich prób dania ich charakterystyki i opiszę po prostu, co zaszło.

Przechodząc przed nami obrzucili z kolei Mr. Pika obojętnymi, ostrymi spojrzeniami.

— Jak się nazywacie — wy? — szczeknął Mr. Pike na pierwszego z tej trójki, który wyglądał na irlandzkiego Żyda. Nos miał niewątpliwie żydowski, a niewątpliwie irlandzkimi były jego oczy i szczeka, i górna warga.

Wszyscy trzej zatrzymali się natychmiast i, choć nie spojrzeli na siebie wprost, zdawali się naradzać w milczeniu. Drugi z tego trio, w którego żyłach płynęła, Bóg raczy wiedzieć, jaka krew, semicka, babilońska, czy łacińska, dał sygnał alarmu. O, nie było to nic wyraźnego, ani mrugnięcie okiem, ani skinienie. Wątpiłem nawet, czy to był sygnał, czy *go* naprawdę uchwyciłem w locie, a jednak miałem to głębokie przekonanie, że drugi numer ostrzegł swych towarzyszy. Czy cień jakiś przeleciał mu przez oczy, czy jakiś błysk nagłego światła, czy też co innego, dość, że ostrzegł towarzyszy.

— Murphy — odpowiedział zapytany.

— Sir — ryknął na niego Mr. Pike.

Murphy wzruszył ramionami na znak, że nie rozumie. Zrównoważenie tych ludzi, ich bezczelna pewność siebie — oto co mnie w nich zaimponowało najwięcej.

— Zwracając się do któregośkolwiek z oficerów na tym statku, macie mu mówić „sir” — objaśnił Mr. Pike głosem szorstkim, jak tarka, i z twarzą odpychającą. — Rozumiecie.

— Tak... sir — przeciągnął Murphy z rozmyślną powolnością. — Rozumie...

— Sir! — ryknął Mr. Pike.

— Sir — powtórzył Murphy cicho i niedbale, wprawiając tym pierwszego oficera w większą jeszcze pasję.

— Murphy to dla mnie za długo — powiedział Mr. Pike — Nosey będziecie się zwali na tym statku. Rozumiecie?

— Rozumiem... sir — brzmiała odpowiedź przez samą miękkość i niedbalstwo tonu, przez sposób, w jaki ją rzucił marynarz, zuchwała. — Nosey Murphy ma być... sir.

I roześmiał się — wszyscy trzej się zaśmiali, jeżeli można nazwać śmiechem ich śmiech bezdźwięczny i bez drgnienia twarzy. Oczy ich tylko się śmiały bezradośnie i z całą zimną krwią.

Mr. Pike, oczywiście, niezbyt był zbudowany rozmową, z tymi odrażającymi kreaturami. Zwrócił się do ich przywódcy, tego, który dał sygnał ostrzegawczy i który wyglądał na mieszaninę wszystkiego, co śródziemnomorskie z wszystkim, co semickie.

— A wy, jak się nazywacie?

— Bert Rhine... sir — brzmiała odpowiedź, rzucona tonem równie łagodnym i niedbałym, i jedwabście irytującym, co i odpowiedź jego towarzysza.

— A wy? — zwrócił się do trzeciego z rzędu, najmłodszego z tej trójki hultajskiej, człowieka ciemnokookiego, z oliwkową skórą, o rysach klasycznych, ostrych i czystych jak na kamei. Przyszło mi na myśl, że musiał się urodzić w Ameryce i że rodzice jego na pewno byli emigrantami z Południowych Włoch — z Neapolu albo nawet z Sycylii.

— Twist... sir — odpowiedział w ten sam impertynencki sposób.

— Za długo — szydził Mr. Pike. — Będziecie się zwać Kid. Rozumiecie?

— Rozumię... sir, Kid Twist będę się zwać... sir.

— Kid, starczy.

— Kid... sir.

I trójka hultajska zaśmiała się swym cichym, bezradosnym śmiechem. Mr. Pikiem trzęsła furia, tym gwałtowniejsza, że nie miał pretekstu do wyładowania jej w rękoczynach.

— A teraz powiem wam do słuchu całej waszej paczce, żeby wam wyszło na zdrowie. — Głos pierwszego oficera zgrzytał od hamowanej wściekłości. — Już ja wiem, coście za tacy. Jesteście gniłki. Rozumiecie? Jesteście gniłki! I na tym statku będziecie traktowani, jak gniłki. Będziecie robić, co do was należy uczciwie, albo was rozumu nauczę. Niech tylko który spróbuje brać mnie na kawał, albo zrobi minę brania mnie na kawał, a zobaczy. Rozumiecie? A teraz marsz na przód, do windy!

Mr. Pike wykręcił na pięcie, ja zaś poszedłem z nim w stronę rufy:

— Co pan o nich myśli ? — zapytałem..

— O, to arcyszelmy — chrząknął. — Znam ten rodzaj. Przeszli przez ogień, wodę, miedziane rury i czarcie zęby. Szumowiny, męty społeczne.

Nie dokończył, bo u luki Nr. 2 trafiliśmy na prawdziwe widowisko. Na pokrywie luki leżało pięciu, czy sześciu ludzi a wśród nich ten łapserdak Larry, który zaraz po przybyciu na statek rzucił Mr. Pikowi wyzwisko — „stary grzmot”. Larry nie wypełnił rozkazu, bo siedział oparty plecami o swój worek marynarski, który powinien był znajdować się w kasztelu. Zresztą, i on, i cała banda powinni byli w owej chwili puszczać w ruch winę.

Pierwszy oficer wszedł na! pokrywę luki. Olbrzymia jego postać piętrzyła się wysoko nad marynarzami.

— Wstać! — ryknął.

Larry zrobił wysiłek, by powstać, jęknął i opadł z powrotem bezsilnie.

— Nie mogę, sir. Byłem włany tej nocy i spałem na Rynku Jeffersona. A rano zmarłem na kość. Musieli mnie stamtąd wygmerać.

— Aha, zmarliście na kość... nie przymierzając, jak stary grzmot, he? — wyszczerzył zęby oficer.

— Niech i tak będzie, sir — odpowiedział Larry.

— I czujecie się teraz jak stary grzmot?

Larry zamrugał zmęczonymi do dna, żalonymi, małpimi oczami. Zwiertzył niebezpieczeństwo, choć nie wiedział, co mu właściwie grozi. Uczuł, że stoi nad nim schylony rutynowany dozorca niewolników.

— Już ja cię wystrychnę na starego grzmota, ty, capie! — zagrział Mr. Pike w żargonie Larrego.

I oto, jakiej sceny byłem świadkiem. Proszę sobie przypomnieć, co powiedziałem o wielkich łapach Mr. Pika z palcami o wiele dłuższymi i dwa razy grubszymi, niż moje, i z masywnymi, jak rękajeść maczugi przegubami; równie masywne musiały być jego kości przedramienia i jego łopatki. Z dłonią otwartą końcami palców ledwie tknął twarzy Larrego, ten zaś, poderwany z pokładu, padł jak długi na swój wór marynarski.

Człowiek, leżący obok Larrego, wydał groźny pomruk i porwał się wojowniczo, chciał porwać się na nogi, ale nie zdążył. Grzbietem tejże prawej otwartej ręki Mr. Pike zdzielił go po twarzy, aż człowiek ów zwałił się na bok. Kłasnęcie było tak rozgłośnie, jakby kto z bicia strzelił. Co za zdumiewająca siła! Przyszło to Mr. Pikowi bez najmniejszego wysiłku, jak niedźwiedziowi machnięcie łapą. Jaka ciężka musiała być ta łapa, skoro uderzony potoczył się bokiem i zleciał z pokrywy luki na pokład? Co za katapulta z kości i mięśni!

W tejże chwili, gzygzakując po pokładzie, ukazał się O'Sullivan. Nagle zaczął wybąkiwać namiętnie jakąś długą tyradę, która doszła uszu Mr. Pika. Błyskawicznie pierwszy oficer podskoczył do O'Sullivana, z pięścią gotową wystrzelić na kształt taranu.

— A to co ? — ryknął i powstrzymał rękę. Cofnął się, klnąc.

Bezwiednie rzuciłem okiem, czy Kapitan West jest na rufie i zauważyłem, że od rufy zasłaniała nas kajuta śródokrećca.

Nie zwracając najmniejszej uwagi na powalonego na pokład człowieka, Mr. Pike, stanął nad jęczącym Larrym. Pozostali ludzie, którzy przed chwilą jeszcze leżeli rozwaleni na pokrywie luki, stali już dokoła i czekali ulegle na rozkazy. Ja również czułem respekt dla siły, ujawnionej przez tego przerażającego człowieka z epoki żelaznego bicia. Dowiódł prawdziwości swych słów i roli, jaką odegrał za dobrych, dawnych czasów, kiedy pięść panowała wszechwładnie.

— Kto jest stary grzmot ? — spytał.

— Ja, sir — zajęczał Larry ze skruchą.

— Wstać!

Larry powstał bez najmniejszej trudności.

— Teraz ruszaj mi, trutniu, do windy! I wy reszta także!

I poszli ze zwieszonymi łbami, powłócząc nogami jak zagnane biczem dozorca zwierzęta.

# ROZDZIAŁ VI

Wdrapałem się na pomost po schodni ze strony przedniej nadbudówki (mieścił się w niej, jak się przekonałem, przedni kasztel, kambuz i oddział pomp) i poszedłem wzdłuż pomostu do miejsca u przedniomasztu, skąd widać było załogę, podnoszącą kotwicę, Britania podeszła i ruszyliśmy.

Sporo ludzi manipulowało u windy i spełniało przeróżne czynności na baku). Załoga składała się właściwie z dwóch wacht), po piętnastu ludzi w każdej. Do tego dochodzili żaglownicy), chłopcy okrętowi, bosmani i cieśla okrętowy. Było ich prawie czterdziestu ludzi, ale co za ludzi! Byli posepni i niemrawi. Ani śladu w nich chęci do życia, energii, ruchliwości. Każdy krok, każdy ruch, zdawał się przychodzić im z trudem, jakby byli umarłymi, wyrzuconymi z trumien, albo chorymi, wywleczonymi z łóżek szpitalnych. Chorzy byli, zatruci wódką. Wycieńczeni byli i osłabli od niedostatecznego odżywiania. Ale, co najgorsze, byli upośledzeni na umyśle i wariaci.

Spojrzałem w górę na biegnące i krzyżujące się we wszystkich kierunkach liny, na stalowe maszty potężne, dźwigające wielkie stalowe reje, wyżej i wyżej, aż gdzie stalowe pnie masztów ustępowały miejsca smukłym drągom drewnianym, a liny i pręty na tle nieba tworzyły delikatny rysunek z nici pajęczej. Wydało mi się rzeczą niemożliwą, by takie nędzne wy- . bierki ludzkie były w stanie uruchamiać ten wspaniały okręt po przez burze i niebezpieczeństwa i żywiołową moc morza. Potem przyszli mi na myśl oficerowie, uprzytomniłem sobie arcy-sprawność, fizyczną i umysłową tych dwóch potężnych ludzi — Mr. Pika i Mr. Mellaire. Czyż ci dwaj ludzie byli w stanie zmusić resztę, tłum rozbitków życiowych do pracy, uczynić ich zdolnymi do podołania zadaniu? No, ci dwaj przynajmniej byli zdolni do wielkich rzeczy, do ujarznienia ludzi i morza. Jeżeli naprawdę potrafiliby tego dokonać, to nie miałem zielonego pojęcia o morzu.

Przeniosłem wzrok na zniekształcone, wyglądzone, wynędzniałe, potykające się szczątki ludzkie, które posepnie deptały kręgiem kabestanu. W duchu przyznałem rację Mr. Pikowi. Jakże różnili się oni od sprężystych i muskularnych junaków ze staroświeckich szybkobieżnych kliprów, od zatraceńców, rzucających się na swych oficerów, szczerbiących noże w krwawych rozprawach podczas każdej podróży. Ci zabijali i sami ginęli, ale pracowali, jak wszyscy diabli. Ale te wywłoki u windy — patrzyłem i patrzyłem, nie mogąc jakoś wyobrazić ich sobie wśród burzy leżących na rejach i ściągających rwane wichrem żagle, według słów Kiplinga z „nożami w ręku". Czemu nie śpiewali, podnosząc kotwicę? Dawnymi czasy, czytałem, zawsze podnosiło się kotwicę pod akompaniament pieśni synów morza w długich woskowych opończach i kapturach.

Znudziło mi się przyglądanie niezdarnym manewrom bezdomnych istot i ruszyłem ku tyłowi, rozglądając się na wszystkie strony po smukłym pomoście Elsynory. Była to piękna nadbudowa, mocna choć lekka, biegnąca wzdłuż całego statku w trzech napowietrznych przeskokach. Pomost opierał się na baku, stąd przerzucał się na kasztel przedni, stamtąd na dom śródokręcia, z niego zaś na rufę. Rufa, będąca w gruncie rzeczy dachem i nakryciem całego pomieszczenia kajutowego i zajmująca cały tył statku, była bardzo obszerna. Oddzielnie stała tylko sternica, półokrągła i półkryta na samym zaokrągleniu rufy i tuż przy strażnicy. Ze sternicy dwoje drzwi otwierało się do małej krytej galeryjki, z której wychodziło się do strażnicy i na schody prowadzące do pomieszczeń kajutowych na poziom pokładu.

Schodząc na dół po tych schodach, usłyszałem Miss West, która, nucąc, krzątała się i rozkładała swe rzeczy. Rumor, jaki czyniła w swej kabinie, był po prostu niepokojący. Zdawała się wkładać w to zajęcie całą duszę.

Przechodząc obok kambuza, wsunąłem głowę we drzwi, aby zaznajomić się ze stiuardem i uwiadomić go w uprzejmych słowach, że zdaję sobie sprawę z jego istnienia na tym okręcie. Rzuciło się w oczy, że w małym jego królestwie wrzała wydajna i sprawna praca. Wszystko lśniło, cały sprzęt kuchenny był bez plamki i w zupełnym porządku. Stiuard poruszał się bezdźwięcznie. Cichszego służącego nie miałem nigdy na ładzie. Twarz jego była bez wszelkiego wyrazu, lub, jeśli kto woli, równie wyrazista, jak kamienna twarz Sfinksa. W kosych, czarnych jego oczach tliła się inteligencja.

— Co myślicie o załodze ? — zapytałem, aby czymś upozorować moje wtargnięcie do jego zamku.

— Załoga być całkiem wariat — odpowiedział prędko, trzęsąc głową ze wstrętem. — Za wielka wariat jeden w druga; Wszystko brakować piąta kleпка. Tak. Niedobra. Zgniła. Wszystko na nic.

Tyle mi tylko powiedział, ale potwierdzało to mój własny sąd. Miss West mogła mieć rację, mówiąc, że w, załodze każdego okrętu jest kilku wariatów i idio tów, ale w załodze Elsynory było ich więcej, niż kilku. W rzeczywistości, jak miało się później okazać, załoga nasza nawet na te czasy upadku żeglugi żaglowej była poniżej poziomu przeciętnych załóg na żaglowcach.

Z prawdziwą przyjemnością rozejrzałem się po mojej kabynie (w gruncie rzeczy były to dwie kabiny), Bardzo mi się podobała. Wada wypakował i rozmieścił całą moją garderobę, a liczne półki napełnił książkami, które z sobą w podróż wziąłem. Wszystko było w porządku i na swoim miejscu, poczynając od mego przyrządu do golenia w szufladzie pod miednicą, moich gumowych butów i opończy na podorędziu, a kończąc na przyborach do pisania na biurku, przed którym półokrągłe, wyściełane skórą krzesło na śrubie zdawało się zapraszać. Szlafrok był wyłożony na widocznym miejscu. Pantofle również na zwykłym miejscu u łóżka wyglądały zachęcająco.

Tu, na rufie, wszędzie panował komfort, wszystko nosiło znamię inteligencji. A na pokładzie — koszmarny pomiot istot pozornie ludzkich, ale zniekształconych umysłowo i fizycznie na karykatury ludzkie. Tak, była to załoga niezwykła. Ujęcie jej w żelazne karby, w takie karby, by stała się zdolna do uruchamiania tej wielkiej skomplikowanej maszyny do żeglugi, maszyny, zwanej Elsynorą, zdawało się zadaniem, przekraczającym nawet siły Mr. Pika i Mr. Mellaire.

A kiedy, zasiadłszy głęboko w ruchomym krześle, otworzyłem drugi tom „Witaj i Żegnaj” Moora, opęzło mnie, może wskutek ciężkiego wrażenia wyniesionego z pokładu, uczucie, że podróż będzie katastrofalna. Rozejrzawszy się jednak po kabynie, uprzytomniłem sobie, jak w niej wygodnie i przestronno, zrozumiałem, że wygodniej mi na Elsynorze, niż na najwykwintniejszym z parowców pasażerskich, i otrząsnąłem się z posępnych myśli. Starąłem się nawet wyobrazić sobie, jak mi będzie dobrze między wszystkimi tymi książkami w ciągu całych miesięcy podróży, które przeznaczyłem na zapełnienie luk w mych literackich studiach.

Spytałem Wadę, czy przyjrzał się załodze. Nie, nie widział jej, ale stiuard mówi, że to najgorsza załoga, jaką widział we wszystkich odbytych podróżach.

— On mówić wszystko wariaty, nie marynarze, wszystko na nic — ciągnął Wada. — On mówić wszystka zwariowane i wielka być z tego nieszczęścia. Sam się przekonać — on tak mówi cały czas — przekonać się, przekonać. On dobra stara człowiek — pięćdziesiąt pięć lat, on mówić. Bardzo obrotna człowiek, jak na Chińczyk. Teraz po bardzo długa przerwa on wracać na morze. Przedtem mieć wielka interes w San-Francisko. Potem spaść na niego wielka nieszczęścia — policja. Policja powiedzieć on szumgłować opium. Oh, wielka, wielka nieszczęścia. Ale on wziąć dobra adwokat. On nie pójść do, więzienia. Ale długa czas adwokat pracować, a kiedy nieszczęścia się skończyć, adwokat wziąć cała jego interes, wszystka pieniądz.. On dostawać sześćdziesiąt pięć dolara na miesiąc. Ale on nie być zadowolona. *Załoga*, cała wariat. Kiedy teraz skończyć podróż, on iść precz,



na nowo zacząć interes w San - Francisco.

Później, gdy kazałem Wadzie otworzyć jeden z iluminatorów, doszło mnie bulgotanie wody u burty.

Szliśmy, tedy, na cumach Brytanii, holującej nas w dół Zatoki Chesapeake. Przyszło mi na: myśl, że jeszcze nie za późno. Mogłem łatwo puścić kantem całą wyprawę i zabrać się z powrotem na Brytanię, gdy będzie odcumowywać Elnorę. Ale jednocześnie z wartem prutej przez okręt wody doszło mych uszu dyskretne podzwanie chińskiej porcelany, którą stiuard na stół zastawiał. W kabinie było tak ciepło i wygodnie, a George Moor tak fascynujący.

## ROZDZIAŁ VII

Obiad był wyśmienity, ponad wszelkie spodziewanie. Nabrałem wysokiego mniemania o kucharzu, którego jeszcze nie znałem. Miss West pełniła obowiązki gospodyni domu i dyrygowała stiuardem aż miło. Zdawali się doskonale zgrani. A widząc jak gładko to idzie, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że to służący, który Bóg wie ile czasu przesłużył w domu Westów i chwyta w lot każde skinienie swej pani.

Pilot jadł w strażnicy, więc do stołu zasiadło tylko nas czworo, którzy mieliśmy odtąd przez całą podróż siadać razem u stołu. Kapitan West i Miss West siedzieli naprzeciwko siebie, ja zaś, siedząc po prawicy kapitana, miałem vis - a - vis Mr. Pike. W ten sposób miałem Miss West po prawej stronie, poza rogiem stołu.

Mr. Pike w ciemnym, kortowym ubraniu, które włożył do obiadu i które mu się odymało i fałdowało niemiłosiernie na ogromnych muskułach, na zgarbionych plecach i barach. W ogóle me miał nic do powiedzenia. Ale, że jadał przez długie lata u kapitańskiego stołu, potrafił jeść przyzwoicie. Z początku myślałem, że obecność Miss West go onieśmiela, ale potem przekonałem się, że to obecność kapitana go krępowała. Bo kapitan miał specjalny sposób traktowania oficerów i powoli zacząłem zdawać sobie z tego sprawę. Mr. Pike i Mr. Mellaire, zdając się być z rasy zupełnie odmiennej, niż marynarze, przewyższali ich o całe niebo, ale równie wysoko nad swymi oficerami stał Kapitan West. Był to pogodny, czystej krwi arystokrata. Nie rozmawiał przy stole nigdy o sprawach okrętowych, ani też o jakichkolwiek innych sprawach z Mr. Pikiem. Natomiast stosunek Kapitana Westa do mnie był to stosunek człowieka, równego towarzysko. Byłem pasażerem. Miss West traktowała mnie w ten sposób, częściej jednakże od ojca odzywała się do Mr. Pike. A Mr. Pike, odpowiadając jej — tak, Miss, — albo — nie, Miss — jadł przyzwoicie i spod krzaczastych brwi rzucał na mnie poprzez stół przenikliwe spojrzenia. Studiował mnie stalowymi swymi oczami. Ja również obserwowałem go bacznie. Mimo, że przeszłość miał pełną brutalnych czynów, przewag bokserskich i krwi przelanej, powziąłem dla niego sympatię. Był uczciwy i szczery. Więcej jeszcze mi się spodobał, gdy wybuchnął naturalnym, młodym śmiechem podczas opowiadania przeze mnie komicznych historii. Zły z gruntu człowiek nie mógłby się tak śmiać. Rad byłem, że to on, a nie Mr. Mellaire miał przez całą podróż siedzieć naprzeciw mnie u stołu. A jeszcze bardziej rad byłem, że Mr. Mellaire wcale nie miał jadać z nami.

Ja i Miss West do spółki prowadziliśmy właściwie rozmowę. Miss West była hałaśliwa, pełna życia i wesołości. Zauważyłem po raz wtóry, że delikatnemu owalowi jej twarzy, dowodzącemu jakby fizycznej słabości, zadawała kłam cała budowa jej ciała. Była mocną, zdrową, młodą kobietą. Nie była otyła — broń Boże! — I nawet nie ciężka w linii, tylko sylwetka *jej* odznaczała się tą potężną krągłością kształtów, którą nadają ruchliwe muskuły. Miała dużo ciała, a jednak nie tyle w gruncie rzeczy, jakby się zdawać mogło. Pamiętam moje zdziwienie, gdy wstaliśmy od stołu i zobaczyłem, jak cienka jest w pasie. Odniosłem w owej chwili wrażenie, że wiotka jest i smukła. I w gruncie rzeczy była tak wiotka, i smukła, i gibka, mając kibić normalną, z całą swą tężyzną fizyczną, nadającą *jej* pozory tęższej i bardziej krągłej w zarysie.

Zdrowy wygląd tej panny uderzył mnie i zainteresował. Przyjrząwszy się lepiej jej twarzy, przekonałem się, że tylko owal jej był delikatny, twarz sama nie była ani delikatna, ani tym bardziej eteryczna. Ciało jej było ścisłe, a tkanka skóry mocna. Skóra ślizgała się jedwabiście po prężnych muskułach twarzy i karku. Kark był pięknym i jednolitym filarem z bieli. Ciało na nim było ścisłe,

skóra atlasowa, mięsny rozwinięte. Ręce również zwróciły moją uwagę — niemałe, ale kształtne, delikatne, białe i mocne, i dobrze utrzymane. Mogłem wywnioskować tylko, że była nieprzeciętną córką kapitana, jak ojciec *jej* — niezwykłym kapitanem i człowiekiem. A nosy mieli podobne z lekkim śladem zakrzywienia w dziób — znak potęgi i rasy.

Podczas, gdy Miss West opowiadała nam, jak nagle powzięła decyzję wyruszenia w podróż i jak to wszystko wypadło niespodziewanie — uważała tę podróż za kaprys — jakie miała trudności, jak się wszystko gmatwało i jak musiała się śpieszyć, aby zdążyć, ja układałem w duchu listę dzielnych ludzi na *Elsynorze*. A więc, przede wszystkim Kapitan West i jego córka, dwaj oficerowie, ja sam, oczywiście, Wada i stiuard, a także nie mogło być dwóch zdań, i kucharz. Obiad świadczył na jego korzyść. W ten sposób naliczyłem wszystkiego ośmiu dzielnych ludzi na *Elsynorze*. Ale kucharz, stiuard i Wada byli służącymi, nie marynarzami, a Miss West i ja byliśmy nadliczbowi. Pozostawało do pełnienia żeglarskiej pracy trzech dzielnych ludzi, na całą załogę okrętową, liczącą czterdziestu pięciu. Nie ulegało wątpliwości, że wśród nich musieli być jeszcze zdolni do pracy marynarze, zdawało się rzeczą zgoła niemożliwą, by pierwsze moje wrażenie na widok załogi, ściśle odpowiadało rzeczywistości. Cieśla okrętowy mógł w swym rzemiośle być równie biegły jak kucharz. Potem dwaj żaglowcy, których nie widziałem, mogli być na miejscu.

Po chwili, przy ostatnim daniu wyrwałem się z relacją faktów, które mnie uderzyły, jak to Mr. Pike i Mellaire żelazną ręką zdołali ująć krnąbrną i nic nie wartą wartość. Wszystko to rzecz nowa, dla mnie, wyjaśniłem, ale zdaję sobie sprawę z konieczności dyscypliny. Gdy zacząłem opowiadać wydarzenia na *luce* Nr. 2, jak Mr. Pike jednym uderzeniem palców poderwał Larry z miejsca i odrzucił go nawznak, w oczach pierwszego oficera dostrzegłem ostrzeżenie, a nawet groźbę. Niemniej opowiedziałem cały epizod do końca.

Skończyłem i zapadło ciężkie milczenie. Miss West była zajęta rozlewaniem kawy z miedzianej maszyny. Mr. Pike pochłonięty tłuczeniem laskowych orzechów, nie był w stanie pod krzaczastymi brwiami ukryć nawpół sardonicznego, nawpół mściwego błysku oczu. Kapitan West, natomiast, patrzył mi wprost w oczy, ale, oh, z jakiego oddalenia — z oddalenia, rzekłbyś, milionów mil. Jego czyste niebieskie oczy były równie pogodne, jak zazwyczaj, ton jego głosu równie niski i łagodny.

— Proszę, by pan zechciał zastosować się do jednego przepisu Mr. Pathurst — my nigdy nie dysputujemy o marynarzach.

Był to policzek dla mnie i z silnie zaakcentowanym uczuciem sympatii dla Larry dodałem śpiesznie:

— Nie tylko kwestie dyscypliny miałem na względzie. Zafrapowała mnie siła.

— Marynarze dość nam przyczyniają kłopotu, nawet, gdy o nich nie słyszemy, Mr. Pathurst — Kapitan West ciągnął tonem tak równym i niewzruszonym, jakbym wcale się nie odezwał. — Rządzenie marynarzami pozostawiam moim oficerom i to ich robota. Oficerowie moi wiedzą dobrze, że nie toleruję niezasażenie złego obejścia się z marynarzami i niezasażonej surowości.

Na ostrej twarzy Mr. Pika, który siedział ze spuszczonej oczami, igrał niedostrzegalny niemal cień ironicznego grymasu. Spojrzałem na Miss West w nadziei, że mnie wybawi z kłopotliwego położenia. Zaśmiała się i powiedziała.

— Widzi pan, papa nie ma wcale marynarzy. I to jest dobry system.

— Bardzo dobry system — mruknął pod nosem Mr. Pike.

Potem Miss West skierowała rozmowę na inne tory i rozśmieszyła nas opowiadaniem, jak się pokłóciła z szoferem taksówki w Bostonie.

Wstaliśmy od stołu. Przeszedłem do mojej kabiny po papierosy. Od niechcienia spytałem Wadę o kucharza. Wada był zawołanym plotkarzem.

— Nazywać się Luis — powiedział. — Być Chińczyk także. Nie, tylko pół - Chińczyk. Druga połowa Anglik. Pan znać jedna wyspa, Napoleon tam zostać długo i umrzeć na ta wyspa?

— Wyspa Św. Heleny — rzuciłem.

— Tak! Ta miejsce Luis się urodzić. On mówić bardzo dobrze angielsku.

Właśnie Mr. Mellaire, zastąpiony przed chwilą przez Mr. Pike, zmierzał przez galerię kajutową do obszernej kajuty na rufie, gdzie jadał u drugiego stołu. Przechodząc, powitał mnie. — Dobry wieczór — z ust jego padło tak wytwornie i uprzejmie, jakby to powiedział niezawodnie dżentelmen z południa Stanów za dawnych, dobrych czasów. O, powierzchowność tego człowieka była zgoła różna od ukrywającej się pod nią indywidualności. Mówił i uśmiechał się, a jednocześnie obserwował mnie i badał. I w tejże chwili — bez wątpienia stało się to przez intuicję — przypomniał mi trzech dziwnych młodzieńców, wyrzuconych z kasztelu, którym Mr. Pike zmył głowę. Z zetknięcia z nimi podobne odniosłem wrażenie.

Za Mr. Mellaire kroczył niezgrabnie, wielce sobą przejęty, wielce zakłopotany olbrzym z twarzą nieroz garniętego chłopca. Stopy miał, bodaj, większe od stóp

Mr. Pike, ale ręce mniejsze od rąk pierwszego oficera.

Gdy nas minęli, spojrzałem pytająco na Wadę.

— On być cieśla. Jadać u druga stół. Nazywać się Sam Lawroff. Na okręt przyjść z New - Yorku. Stiuard mówić on być bardzo młoda na cieśla. Może dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy lat.

Podszedłszy do iluminatora, który wypadł nad moim biurkiem, znowu usłyszałem wart i gulgot wody i uświadomiłem sobie, że już żeglujemy. Tak równo i bezszelestnie poruszał się okręt, że zupełnie nie miałem wrażenia żeglowania i okrętu. W każdym razie, siedząc u stołu, czuło się nie jak w kajucie, a jak w wykwintnej jadalni na lądzie. Całe życie podróżowałem parowcami i brak wstrząsu od śruby musiał mi się z początku wydawać nienaturalny.

— Hm, a wy co na to wszystko ? — spytałem Wadę, który, jak i ja, nigdy jeszcze nie podróżował na żaglowcu.

Uśmiechnął się uprzejmie.

— Bardzo dziwna okręt. Bardzo dziwna wszystka marynarz. Kto wie, może wszystko w porządku. My zobaczyć.

— Sądzicie, że dojdzie do czego złego ? — zapytałem wprost.

— Ja myśleć, że wszystka marynarz bardzo dziwna — uchylił się od odpowiedzi.

## ROZDZIAŁ VIII

Zapaliłem papierosa i powędrowałem wzdłuż pokładu na przód, gdzie załoga była przy pracy. Nad głowami przy słabym świetle gwiazd, majaczyły mi mętne zarysy żagli. Rozwijano żagle i przy tym rozwijano je powoli, jak zdawałem sobie sprawę — ja, zupełny laik w żeglarskich sprawach. Czarne sylwetki, zamazane, stuszowane ciemnością, trwały u lin. Ciągnęli za liny. Pracowali w głuchym, przykrym milczeniu, choć Mr. Pike, którego pełno było wszędzie, z każdego możliwego miejsca na okręcie warczał rozkazy i miotał przekleństwa na ich nieszczęsne głowy.

Sądząc z tego, co wyczytałem w książkach, nie było okrętu za dawnych dobrych czasów, który tak posepnie i błędnie wyruszałby na morze. Wkrótce Mr. Mellaire przyszedł z pomocą Mr. Pikowi i do spółki wzięli w obroty marynarzy. Nie było jeszcze ósmej wieczór i cała załoga była przy pracy. Zupełnie miałem wrażenie, że nie znali się na linach. Od czasu do czasu, gdy nieśmiałe polecenia bosmanów pozostawały bez skutku, jeden, lub drugi oficer przyskakiwał do burty i wkładał właściwą linę marynarzowi do ręki.

Ci na dole, wywnioskowałem, byli beznadziejni. Tam w górze, poza dosięgiem głosu, z dala od krzyków, musieli być inni jeszcze ludzie, niezawodnie ci, którzy nadawali się do marynarskiej roboty. To oni rozpuszczali żagle.

Ale reszta na pokładzie! Dwudziestu, trzydziestu nieszczęśników harowało u liny, ciągnąc ją ręką za rękę, długim szeregiem, i hissując reję, ale wysiłki ich były niezgodne, ruchy powolne i obolałe. — Ciąg! — wrzeszczał Mr. Pike. I może dwa, trzy kroki odchodzili z liną, zatrzymując się z wyczerpania, jak zmitrężone konie, które stają i nie mogą uciągnąć pod górę. A jednakże, kiedy który z oficerów przyskoczył i przyłożył rękę, byli w stanie ująć z liną kawał drogi po pokładzie. Każdy z oficerów, choć obaj byli starymi ludźmi, wart był pół tuzina tych cherlaków.

— Ma pan, na jakie psy zeszło się w żegludze żaglowej — Mr. Pike, przystanąwszy na chwilę, warknął mi do ucha — wyciągać liny, czy to oficerska robota? Ale cóż robić, kiedy bosmani gorsi od ludzi!

— Zawsze mi się zdawało, że marynarze śpiewają pieśni przy robocie? — powiedziałem.

— A tak. Chce pan ich usłyszeć?

Wyczułem złośliwość w jego tonie, ale pomimo to odpowiedziałem, że owszem, chciałbym ich usłyszeć.

— Hej wy bosman! — zawarczał Mr. Pike. — Uszy do góry! Zaśpiewać pieśń! Za szkoty topsli!

W ciszy, która po tych słowach zapadła, przysiągłbym, że Sundry Buyers uciska swój brzuch rękoma, a Nancy z twarzą trusi - kostusi, oblizuje wargi, aby dobyć głosu.

I na pewno Nancy to był, który zaczął śpiewać, gdyż nikt inny, bez wątplenia, nie potrafiłby uderzyć w ton tak pogrzebowy. Głos wychynął z ciemności, głos niemelodyjny, fałszywy, drewniany i nieopisanie żałosny. Ale nie głos, nabrzmiały łzami, tylko słowa, pryskające jadem bezprawia i szubienicznym humorem nadawały piekielną gorycz tej pieśni, gdyż oto, co biedny Nancy śpiewał:

— Precz, recz, rcz, cz

Zakatrupim Paddy Doylea, żeby mu capnąć buty.

— Dość tego! Dość! — zaryczał Mr. Pike. — To nie pogrzeb! Czy nie ma wśród was ani jednego, który umie śpiewać? Teraz dalej top-reje

Urwał, by, przyskoczywszy do poręczy nadburcia, wyrwać z rąk marynarzowi niewłaściwe liny i wcisnąć w garść właściwą.

— Dalej bosman! Kolej na was !

Wówczas z ciemności nadleciał głos Sundry Buyersa, który, fałszując okropnie, zaśpiewał pieśń obłąkaną, posępniejszą jeszcze od pieśni Nancy:

Ohej te reje, za szkoty się bierz;  
Whisky dla mego Dżonny!

Pauza. Powinna tu była, prawdopodobnie, refren jakiś podjąć cała załoga chórem, ale tylko dwa głosy wymamrotały coś niezrozumiale. Sundry Buyers zabezczał następną wiersz:

Whisky zabiła moją siostrę, wiesz, —

Wówczas Mr. Pike zagarnął koniec szkota tuż u klubki i podchwycił ze szczególnie demonicznym zacięciem:

I whisky zabiła starego, też;  
Whisky dla mego Dżonny! —

Śpiewał te okropne wiersze raz poraz, niecąc życie w załodze, zachęcając ją do pracy, patetycznym chórem przyśpiewał: — Whisky dla Dżonny!

I pod rytm tych słów ciągnęli liny, poruszali się, niby ludzie żywi, póki nie uciał pieśni okrzykiem: — Mocuj!

A wówczas życie i siły nagle ich opuściły i znów byli do niczego, znowu bredzili w malignie, wchodzili sobie nawzajem w drogę, potykali się i powłóczyli w ciemnościach nogami, nie widzieli, za którą linę uchwycić, a kiedy się wreszcie zdecydowali zagrabić którą, to wybrali na pewno nie tę, co trzeba. Krętaczy wśród nich musiało być też co niemiara; raz od frontu kajuty śródkrętowej doszły mnie odgłosy ciosów, i przekleństwa, i jęki, a z ciemności wychynęli dwaj maruderzy z depcącym im po piętach Mr. Pikiem, recytującym litanie rzeczy okropnych, które niezawodnie ich spotkają, niechno raz jeszcze przyłapie ich na takich sztuczkiach.

Wszystko to, razem wzięwszy, było zbyt przygnębiając, więc odeszłem w górę pokładu i wdrapałem się na pomost po schodni rufy. Po podwietrznej stronie strażnicy Kapitan West spacerował z pilotem. Idąc dalej, zobaczyłem u steru tego starego, zaszuszonego człowieka, na którego zwróciłem uwagę po południu. W poświęcie lampy kompasowej jego małe niebieskie oczki błyszczały złośliwiej jeszcze, niżli za dnia. Był tak drobny, a miedzią okute koło sterowe tak wielkie, że głową sięgał ledwie jego szprych. Twarz miał owietrzoną, ściągniętą, jak od żaru, pokrytą głębokimi zmarszczkami. Wydawał się z pięćdziesiąt lat starszy od Mr. Pika. Był wspaniałym okazem skurczonego na żużelek staruszka, którego nikt nie spodziewałby się *znaleźć* wśród załogi najwspanialszego z żaglowców. Później od Wady dowiedziałem się, że na żywa się Andy Fay; utrzymywał, że nie ma więcej, niż sześćdziesiąt trzy lata.

Oparłem się o poręcz po podwietrznej stronie sternicy i zapatrzyłem na wyniosłe reje, i sieć lin napowietrzną, lin niezliczonych jak nici pajęczyny. Nie, w gruncie rzeczy nie uśmiechała mi się ta podróż. Wzięła odrazu zły obrót. Na wstępie zmroziło mnie to czekanie godzinami na lodowatych

molach. Jak na złość Miss West musiała wybrać się jednocześnie. Załoga składała się z samych cherlaków i wariatów. Pytałem się w duchu, czy ranny Grek w kajucie śródkrętowej wciąż bredzi, czy Mr. Pike zaszył mu już rany? Nie, doprawdy, nie chciałbym być świadkiem tego chirurgicznego eksperymentu.

Nawet Wada, choć nigdy nie podróżował na żaglowcu, krytycznie się na tę podróż zapatrywał. Tak samo myślał stiuard, który większą część swego życia spędził na żaglowcach. A dla Kapitana Westa załoga nie istniała! Co zaś do Miss West, to była ona tak obrzydliwie zdrową, tryskającą zdrowiem istotą, że z natury rzeczy musiała być optymistką. Zawsze wspaniale się miała, zawsze krew wartko krążyła w *jej* żyłach; z tego nurtu czerwonej krwi czerpała pewność, że żyć będzie zawsze, że nic złego nie może się wydarzyć jej szacownej osobie.

O, proszę mi wierzyć, znałem się dobrze na typie czerwonokrwistych. Zdrowie Miss West, to tryskające zdrowie czerwonej krwi, odczuwałem w owej chwili jako afront, bo wiedziałem, jak bezmyślną i nieumiarkowaną czerwona krew bywa. A przez pięć miesięcy, conajmniej, — tak mnie upewnił Mr. Pike, twierdząc, że nie krócej, wyrażając gotowość założenia się o funt tytoniu, lub o miesięczną pensję — miałem być zamknięty z tą czerwonokrwistą istotą na Elsynorze. Prawo natury jest nieubłagane i nie miałem wątpliwości, że nim podróż się skończy będzie mnie prześladowała swą miłością. Proszę tylko słów tych nie tłumaczyć sobie naopak. Nie stąd pochodziła ta moja pewność, że uważałem się za szczególnie niebezpiecznego dla kobiet, a stąd, że kobiety, moim zdaniem, instynktownie polują na mężczyzn. Niezbyt pochlebne to dla kobiet przekonanie, ale oparte na doświadczeniu. Kobiety polują na mężczyzn ze ślepą zaciekłością, z taką zaciekłością, z jaką słonecznik obraca się za słońcem, lub pnącze chwytają się chropowatej powierzchni.

Nazwijcie mnie zblazowanym, niech i tak będzie, jeżeli pod zblazowaniem rozumieć zmęczenie życiem, intelektualne, artystyczne, emocjonalne, jakiemu może ulec trzydziestoletni mężczyzna. Bo miałem trzydzieści lat i czułem się znużony śmiertelnie wszystkimi sprawami tego rodzaju — zmęczony i bez wiary w życie. To właśnie skłoniło, mnie do wybrania się w podróż. Chciałem udać się do samotni, odejść od bitego traktu życia i, zyskawszy odpowiednią perspektywę, przemyśleć wszystko.

Czasami miałem wrażenie, że wstręt do życia doszedł u mnie do punktu kulminacyjnego po sukcesie mojej sztuki — mej pierwszej sztuki, jak wszystkim wiadomo. Ale był to tak wielki sukces, że nasuwał poważne wątpliwości, równie dobrze, jak sukces moich kilku tomów poezji je nasuwał. Czy sąd publiczności był trafny? Czy krytycy mieli rację? Bez wątpienia rzeczą artysty jest dawać wyraz życiu, ale co ja wiedziałem o życiu?

W tych wywodach zaczyna już przebłyskiwać co rozumiem przez zmęczenie życiem. Rzeczywiście fakt faktem, że już od dłuższego czasu życiem byłem zmęczony. Nawiedzały mnie myśli szalone, plan zupełnego odseparowania się od świata. Zacząłem nawet snuć plany wyjazdu na Molokai i poświęcenia reszty swych dni pielęgnowaniu trędowatych — i snułem takie plany ja, człowiek trzydziestoletni, zdrów i silny, nie przeżywszy prawdziwej tragedii, i bogaty. Ba, zarabiałem więcej, niżli mogłem wydać, sobie tylko zawdzięczając, że imię moje było na ustach u wszystkich i że się ze mną liczone. I biorąc na czysty rozum, samemu zdawało mi się dziwne, że imiała się mnie chęć szalona zamieszkania w domu łazarzy!

Powiedzmy, powodzenie zawróciło mi w głowie. Zgoda. Ale chaos w mej głowie pozostawał mimo to faktem tak samo, jak zmęczenie, które odczuwałem, prawdziwym zmęczeniem. Jedno było pewne — że osiągnąłem punkt kulminacyjny w umysłowym, artystycznym życiu, w ogóle w życiu. I, postawiwszy diagnozę mej własnej choroby, przepisałem sobie podróż. I oto spotykam się na tej drodze z okrutnie zdrową i nawskroś kobiecą Miss West — katastrofa prawdziwa z punktu widzenia

planu odbycia kuracji.

Kobiety! Kobiety! — Bóg świadkiem, że dość mnie one w życiu namęczyły i nanękały, bym je poznać musiał. Osądźcie sami — miałem lat trzydzieści, byłem dość przystojny, należałem do elity intelektualnej i towarzyskiej, miałem dochody wprost zadziwiające. I czemuż to kobiety nie miałyby mi się narzucać?

Darzyłyby mnie swymi względami, choćbym był garbaty przez sam wzgląd na moje stanowisko w świecie artystycznym, lub przez sam wzgląd na moje dochody.

Tak, a miłość? Czy znałem miłość, sentymentalną, namiętą, szaloną, romantyczną miłość? Taką miłość zostawiłem kawał drogi poza sobą. I ja pałałem i łkałem spazmatycznie, i wzdychałem — tak, i zznałem wiele bólu, i opłakiwałem swe zawody. Ale było to już tak dawno. Jakże byłem wtedy młody — do dwudziestego czwartego roku życia! A potem życie mnie nauczyło, że nawet śmiertelny smutek umiera, i przeprosiłem się ze śmiechem, z którym wziąłem rozbrat na zawsze, jak mi się zdawało, i dla sportu uprawiałem miłostki z pięknymi, okrutnymi ćmami, kręcącymi się koło ognia mego powodzenia i artystycznego temperamentu; a jeszcze później wycofałem się z tego życia, zrażony przewrotnością natury kobiecej i wyruszywszy na błędne rycerstwo i kruszenie kopii w królestwie myśli. I oto jak się znalazłem na Elsynorze, wyrzucony z siodła przez zakute w zbroje problemy; unosząc z turnieju abstrakcji mocno rozłupaną głowę.

Dumałem tak, wsparty na poręczy nadburcia; i, odganiając kruki przeczuć, myślałem o Miss West, nucącej i krzątającej się po kajucie, wijącej sobie gniazdko. A od niej wiodła już prosta droga do wieczystej zagadki kobiecości. O tak, z całą mą futurystyczną pogardą kobiet, zaplątywałem się zawsze w pajęczą sieć tej tajemnicy.

To nie była dla mnie kwestia iluzoryczna. Kobieta, poszukująca miłości, pętająca i biorąca w posiadanie, krucha i okrutna, słodka i jadowita, pyszniejsza od Lucyfera i, jak on, bezwstydną, ma dla myśliciela nie śmiertelny, owiany rozkładem śmierci urok. Cóż to za płomień w niej się kryje, płomień prześwitający skroś wszystkie *jej* przeciwieństwa i podłości? — co za bezpardonowa namiętność do życia, wiecznie do życia, do coraz liczniejszego życia na naszej planecie? Czasami, zda się, bezczelna to żądza, i okropna, i bezduszna. Czasami drażni mnie i oburza. A czasami szczytnością swego posłannictwa mnie uderza, wznosi ku gwiazdom. Jak dziki człowiek wraca zawsze do mrocznego parowu, gdzie się złe duchy gnieźdzą, a mogą zjawić się i bogowie, powracam do zagadnienia kobiety.

Mr. Pike zbudził mnie z tych rozmyślań, gdyż od dzioba z górnego pokładu doszły mnie jego ryki:

— Na grot — bram — rei hej, wy tam! Żebyście nie pocięli ref—sejzingów, bo rozłupię... wam... baranie łby!

A potem zawołał ze zgoła odmiennym akcentem. Henry, którego zwał, mógł to być tylko nasz praktykant.

— Hej Henry na grot — bom — bram — rei — darł się. — Nie podciągaj ref - bant. Zostaw je tak, i umocuj do rei.

Ściągnął mnie z obłoków i postanowiłem iść do łóżka. Gdy brałem za guz klamki od drzwi sternicy, znowu głos pierwszego oficera aż w uszach mi zadzwonił:

— Prentko tam, wy kawaleria, jaśnie lordy w przebraniu! Żywo! Zwijać się!



# ROZDZIAŁ IX

Sen mnie odbiegł. Przede wszystkim czytałem długo w noc. Dopiero o drugiej po północy zakręciłem naftową lampę stojącą, którą kupił Wada i umieścił u wezłowania mego łóżka. Zasnąłem natychmiast — sen głęboki był najcenniejszym z darów, jakimi obdarzyła mnie fortuna. Ale się wkrótce potem obudziłem. Wszelkie wysiłki zaśnięcia po raz wtóry były daremne ; przewracałem się tylko z boku na bok, zapadałem w półsen, drzemałem; wszystko na nic. Bo co za pech, by przy tak rozstrojonych nerwach, jak moje, dostać wysypki! Co za bolesna rzecz taka pokrzywka zimą, przy takiej pogodzie i kiedy się jest wystawionym stale na działanie lodowatej atmosfery.

O czwartej zapaliłem lampę napowrót i zaczytałem się w Vernona Lee fascynującej filipice przeciwko Williamowi James, zachwyciłem się jego „wołą wiary”, aż chwilami zapomniałem o bolesnym podrażnieniu skóry. Kabina moja mieściła się po nawietrznej stronie okrętu i nade mną przez pokład dochodziły mnie miarowe kroki wachtowego oficera. Wiedziałem, że nie są to kroki Mr. Pika i zastanawiałem się, czy to Mr. Mellaire wachtuje, czy pilot. Ktoś tam czuwał. Praca trwała, czujność nie ustawała, a to dopatrywanie i nadzorowanie miało trwać, oczywiście w ciągu całej podróży.

O pół do piątej usłyszałem, że stiuard zaczął się krzątać na palcach, a w pięć minut potem przywołałem go skinieniem ręki, gdyż mógł mnie widzieć przez otwarte drzwi kabiny. Chciałem dostać filiżankę kawy. Wada w ciągu tych paru lat służby u mnie nauczył się chwytać w lot moje myśli, to też pewien byłem, że nie tylko da stiuardowi moją kawę i maszynkę do kawy, ale i najdokładniejsze wskazówki co do jej przyrządzenia.

O nieba, co za skarb mieliśmy w tym stiuardzie! Nie upłynęło i dziesięć minut, a już podawał mi kawę i to doskonałą. Czytałem do świtu, a o pół do dziewiątej, zjadłszy śniadanie w łóżku, byłem już ogolony, ubrany i na pokładzie. Szliśmy wciąż jeszcze na cumach, lecz wszystkie żagle były rozpięte, drżące pod tchnieniem lekkiego pomyślnego wietrzyka z północy. W sternicy Kapitan West i pilot palili cygara. U steru zobaczyłem marynarza, który od pierwszego rzutu oka wydał mi się dzielnym człowiekiem. Nie był rostry, był mniej niż średniego wzrostu. Na imię mu było Tom, jak później się dowiedziałem — Tom Spink, Anglik. Był niebieskooki, jasnoskóry, dobrze szpakowaty i na oko miał z pięćdziesiątkę. Odpowiedział mi na powitanie żywo: — Dzień dobry, sir — i zwyczajne te słowa okraszył uśmiechem. Nie miał marynarskiego wyglądu, ale wyczułem odrazu, że był marynarzem i to dobrym marynarzem.

Była to wachta Mr. Pika, a gdy go spytałem o tego człowieka, przyznał warkliwym tonem, że to „najlepszy z całej zgrai”.

Miss West wynurzyła ze strażnicy, świeża jak poranek, i zarumieniona, poruszając się sprężysto, i odrazu zaczęła interesować się wszystkim. Na pytanie, jak mi się spało, odpowiedziałem, że okropnie.

Zażądała wyjaśnień. Powiedziałem jej, że dostałem wyrzutów i pokazałem obsypane nimi przeguby rąk.

— To ze krwi — zadecydowała odrazu. — Niech pan poczeka chwilę. Zobaczę, czym można panu pomóc.

Zawróciła, znikła w kajucie i już była z powrotem, niosąc pół szklanki wody. Wsypała do niej łyżeczkę winianu potasu.

Wypiłem. O jedenastej przyniosła mi na pokład, gdzie wylegiwałem się w szezlongu, drugą

porcję tego samego lekarstwa. Jednocześnie sfukala mnie ostro, że pozwoliłem Wadzie dawać mięso Possumowi. Od niej to Wada dowiedział się jakim śmiertelnym grzechem jest dawać mięso małemu szczeniaku. Potem wyłożyła, jak trzeba się z nim obchodzić i jak go żywić nie tylko mnie i Wadzie, ale i stiuardowi, cieśli okrętowemu i Mr. Mellaire. Ponieważ szczeniak kręcił się w wielkiej kajucie na rufie, a cieśla i drugi oficer jadal w niej, Miss West powzięła podejrzenie, że go maltretują. Bez ogródki powiedziała to im w oczy. Cieśla, nie wiedząc, gdzie oczy podziąć i szurając nogami wymrotał łamaną angielszczyzną uroczyste zapewnienia, że mu się nic podobnego nie zdarzyło i nie zdarzy. Protesty Mr. Mellaira różniły się tylko tym od zapewnień cieśli, że były wypowiedziane z gracją i uprzejmością Chesterfielda.

Dość, że z menu Possuma Miss West zrobiła prawdziwą kwestię stanu, nawiązując przy tej sposobności ze mną bliższy kontakt i dając mi do zrozumienia, że oboje, t. j. ona i ja, jesteśmy jego współwłaścicielami. Spostrzegłem się później tego dnia, że to do Miss West zwrócił się Wada po instrukcję, jaką ilością ciepłej wody rozprowadzać skondensowane mleko dla Possuma.

Lunch również był doskonały. Kucharz w moich oczach awansował na mistrza kulinarnej sztuki. Po południu skierowałem kroki do kambuza, by się z kokiem zapoznać! Pod każdym względem był Chińczykiem, póki ust nie otworzył, bo, słysząc, jak mówi, wziąłbym go za Anglika. Doskonałą, zaiste, mówił angielszczyzną i, śmiem twierdzić, z oxfordzkim akcentem. Był stary, dałbym mu sześćdziesiątkę, jak nic, choć przyznawał się do pięćdziesięciu dziewięciu. Trzy rzeczy były w nim uderzające — jego uśmiech, ożywiający odrazu całą, wygoloną twarz i skośne oczy Azjaty; jego równe białe i doskonale zachowane zęby, które z początku wziąłem za sztuczne i dopiero Wada wyprowadzili mnie z błędu, jego ręce i nogi. Rzuciwszy okiem na jego ręce śmiesznie małe i kształtne, spojrzałem na jego nogi. Były tak samo małe i bardzo dobrze obute, ba z pewnego rodzaju kokieterią.

Pilot przesiadł się już w południe, ale Britania holowała nas aż pod sam wieczór i odcumowała dopiero gdy znaleźliśmy się daleko na oceanie, a ląd widniał w kształcie zamazanej smugi na zachodzie. I w owej dopiero chwili, gdy holownik nas opuszczał, nastąpiło nasze „wyjście na morze”, to znaczy, że z fachowego punktu widzenia rozpoczęliśmy podróż, choć całą dobę zajęło nam wypływanie z Baltimory.

Mniej więcej w czasie odcumowania holownika, gdy stałem oparty na poręczy nadburcia rufy i patrzyłem ku przodowi, podeszła do mnie Miss West. Była cały dzień zajęta w kajucie i właśnie wyszła, by, jak się wyraziła, zaczerpnąć świeżego powietrza, Przez całe pięć minut rozglądała się po niebie z miną, znającego się na pogodzie marynarza. Wreszcie oświadczyła: — Barometr stoi bardzo wysoko — 30°60. Ten lekki wiatr północny nie potrwa długo. Albo przejdzie w ciszę, albo wykręci i zmieni się na wicher północnowschodni.

— A co pani by wolała ?

— Wicher, w każdym razie. Odegna nas od lądu i krócej będzie mnie męczyła morska choroba.

— Oh, tak — dodała — jestem dobrym marynarzem, ale na początku każdej podróży muszę przechorować. Nie zobaczy mnie teraz pan przez dni parę. Dlatego to tak się śpieszyłam z urządzeniem wszystkiego.

— Czytałem, że Lord Nelson podlegał morskiej chorobie — powiedziałem-

— A ja widywałam papę chorego, czasami — odpowiedziała. — Tak, widywałam też chorych i najtęższych, najwytrzymalszych marynarzy, jakich znałam.

Mr. Pike, przerywając swój nieustanny spacer w dół i w górę pokładu, podszedł do nas i oparł się o nadburcie.

Widać było wielu marynarzy, ciągnących liny, poniżej na górnym pokładzie. Miałem do nich

wstręt zdecydowany.

— Co za nędzna załoga, Mr. Pike — zauważyła Miss West.

— Najgorsza ze wszystkich, jakie miałem — zawarczał — a miałem w mym życiu niejedną bandę. Uczymy ich rozróżniania lin — wciąż jeszcze. Mało kto z nich zna się na linach.

— Wyglądają na wygłodniałych — zauważyłem.

— Ba, są wygłodzeni, zawsze bywają wygłodzeni — odpowiedziała Miss West i powiodła po nich takim samym wzrokiem, jaki zauważyłem u Mr. Pika, wzrokiem handlarza bydła. — Ale utyją przy regularnym trybie życia, na dobrym wikcie i bez whisky — nieprawdaż Mr. Pike?

— O, nie ma strachu. Tak zawsze bywa. I kto wie, może nabiorą humoru, gdy ich weźmiemy w rękę. Parszywa to hałastrą, bądź co bądź.

Wybiegłem wzrokiem wzwyż ku spiętrzonym hufcom żagli, które zakwitły na masztach. Zdawało się, że więcej płacht już się nie zmieści, a tymczasem marynarze, ciągnąc u naszych stóp pod wodzą Mr. Mellaire, podnosili między masztami trójkątnie żagle, kształtu kliwrów, których było tak dużo, że jedno drugie zakrywały. Widząc jak wolno i niezgrabnie ludzie ci hissują małe te płachty żagielne, zadałem pytanie:

— Ale co, Mr. Pike, zrobiłby pan z tą niezdarną załogą, gdyby pana zaskoczyła burza, a okręt był pod wszystkimi żaglami?

Wzruszył ramionami, jakbym pytał, co zrobiłby podczas trzęsienia ziemi w New - Yorku, gdy drapacze nieba waliłyby się na niego z obu stron alei.

— Poradzilibyśmy sobie — odpowiedziała za niego Miss West. — Ściągnęlibyśmy żagle. Oh, to da się zrobić, Mr. Pathurst ze wszelkiego rodzaju załogą. W przeciwnym razie dawno już utonąłabym.

— I ja też — poparł ją Mr. Pike.

— Oficerowie czynią cuda z najmarniejszą załogą, tak w oka mgnieniu — podjęła Miss West.

I tym razem Mr. Pike skinął twierdząco głową. Zauważyłem, że jego wielkie łapy, wyciągnięte przed chwilą za poręcz nadburcia, skurczyły się przy tych słowach bezwiednie i zacisnęły. Zauważyłem też świeże obrażenia na ich kostkach. Miss West zaśmiała się serdecznie, jakby na wspomnienie czegoś.

— Pamiętam raz, kiedy żeglowaliśmy z San-Francisco, mając jedną z najgorszych załóg. Było to na Lallah Rookh — przypomina pan sobie, Mr. Pike?

— Piąte z rzędu dowództwo pani ojca — skinął głową. — Okręt ten rozbił się później na zachodnim wybrzeżu — wpadłszy na brzeg — podczas tego wielkiego trzęsienia ziemi i szturmu fal zerwało go z kotwic, a gdy wpadł na skałę, skała się na niego zwała.

— Tak, ten sam. Nasza załoga to byli cowboye i murarze i Bóg wie kto. . Przede wszystkim jednak wszelkiego rodzaju włóczykije. Skąd ich werbownicy mogli wydrapać! Podano nam ich tylko za marynarzy. Trzeba było ich widzieć, gdy się po raz pierwszy drapali na maszty. — Znowu się zaśmiała. — Klowni w cyrku nie, daliby takiego przedstawienia. I ledwie holownik odcumował poza Head, gdy zadęło okropnie i trzeba było skrócić żagle na łeb na szyję. Wtedy oficerowie nasi dokazali prawdziwego cudu. Pamięta pan Mr. Hardinga — Silasa Hardinga?

— Jakżeby! — zawołał Mr. Pike entuzjastycznie. — To był człowiek; a musiał być już stary wtedy.

— Stary, ale jary — potwierdziła, dodając niemal z szacunkiem, — Prawdziwy cudotwórca. —

Zwróciła się do mnie i ciągnęła:— Był naszym pierwszym oficerem. Marynarze pochorowali się na morską chorobę, chodzili słabi, jak muchy, i zieloni na twarzy. Ale mimo to wszystko, Mr. Harding zdołał ściągnąć żagle na Lallah Rookh. Pamiętam jeden obrazek: — Byłam na rufie tak, jak

teraz, a Mr. Harding miał zgraję tych chorych ludzi na rei; refowali grot-bom-bramsel. Jak wysoko to mogło być nad pokładem, Mr. Pike?

— Zaraz, niech no sobie wystawię... Lillah Rookh. — Mr. Pike zastanawiał się chwilę. — O mniej więcej ze sto stóp.

— Widziałam na własne oczy. Jeden z żółtodziobów, włóczęga — a musiał już przedtem oberwać od Mr. Hardinga — spadł z grot - bram - reji. Byłam wtedy małą, dziewczynką, ale rozumiałam, że to śmierć pewna, bo leciał z nawietrznej strony rei i wprost na pokład. Nie doleciał, bo wpadł w wydęcie wielkiego żagla, machnął kozła i stanął na pokładzie na równe nogi. Znalazł się przy tym tuż obok Mr. Hardinga, nos w nos. Nie wiem, który z nich był więcej zalękniony, ale, sądzę, że Mr. Harding, który stał jak skamieniały. Był pewny, że człowiek zabije się na miejscu. Rzucił tylko okiem na Mr. Hardinga i skoczył w olinowanie ; w następnej chwili był już z powrotem na grotbram-reji.

Miss West i Mr. Pike literalnie zataczali się ze śmiechu. Przypuszczałem nawet, że nie dosłyszą mych słów:

— Zdumiewające! Jakiego wstrząsu nerwowego musiał doznać ten człowiek, spadając, a napewno to sobie uświadomił, na pewną śmierć.

— Był bardziej wstrząśnięty, ręczę panu, przez Silasa Hardinga — odpowiedział Mr. Pike i znowu wybuchnął śmiechem, a Miss West mu zawtórowała.

Rzecz cała była naturalna z pewnego punktu widzenia. Na okrętach działy się rzeczy niesamowite i, sądząc z tego, co widziałem na własne oczy, surowe traktowanie marynarzy było konieczne. Ale żeby kulturalna młoda kobieta wiedziała o takich rzeczach, co więcej, żeby się nimi przejmowała, była tak oswojona, tak zachwycona odwrotną, stroną życia okrętowego, przechodziło wszelkie wyobrażenia. Rzecz ciekawa, przyznaje, ściągnięty znów byłem z obłoków i postawiony w obliczu rzeczywistości. Dowodziło to stępienia nerwów u Miss West. Przykrość sprawiała mi myśl, że jest tak nieczuła.

Spojrzałem na Miss West i znów rzuciło mi się w oczy, jak skóra jej gładka jest i ścisła. Miała ciemne włosy i brwi ciemne, proste prawie i nisko nad oczami. Oczy miała szare z iskierkami ciepła, życia i inteligencji. Patrzyła wprost w oczy nieustępliwie. W całej twarzy, może najbardziej godny uwagi był wyraz wielkiego spokoju ducha. Zdawała się zawsze spokojna, w zgodzie z sobą samą i ze światem zewnętrznym. Najpiękniejsze w całej twarzy były jej oczy, ocienione rzęsami równie ciemnymi, jak brwi i włosy. Nos był prosty, bardzo prosty i odrobinę za długi, w czym zdradzała podobieństwo do ojca. Ale dzięki kształtowi, chrząstki i doskonałemu wykrojeniu nosił na sobie piętno rasy.

Usta delikatne, zmysłowe i wspaniałomyślne — nie chcę przez to powiedzieć, że duże, gdyż były zupełnie przeciętnych rozmiarów, — ale wspaniałomyślnie darzyły świat pobłażaniem, potęgą i śmiechem. Zdrowie jej i pełnia życia znajdowały sobie wyraz we wrażliwych ustach równie dobrze, jak w jej oczach. Rzadko ukazywała zęby w uśmiechu, gdyż najczęściej uśmiechała się oczami, ale kiedy się roześmiała, można się było przekonać, że ma mocne, białe zęby, równe, nie małe, jak u dziecka, ale normalnej wielkości; zdrowe musiały być, jak wszystko w tej tryskającej zdrowiem osobie.

Nigdy nie nazwałbym jej piękną, choć posiadała wiele tych czynników, które składają się na piękność kobiecą. Uroda jej odznaczała się kontrastowością barw zasadniczych, miała płeć bardzo białą o zdrowym odcieniu przy ciemnych rzęsach, brwiach i włosach. I jednocześnie ciemne rzęsy i brwi, okolone bielą twarzy, podnosiły ciepło szarych jej oczu. Ciało miała dobrze sformowane, harmonijne i skórę zupełnie gładką. Nie zauważyłem u niej ani jednej zmarszczki, ani cienia,

świadczącego o nerwowości, o ołowianych dniach przygnębienia i nocach bezsennych. Miała wszelkie znamiona zdrowego ludzkiego stworzenia płci żeńskiej, istoty, nie trapiącej się nigdy o nic. W organizmie tym każdy proces przebiegał bez zatorów i tarć, automatycznie.

— Miss West już mnie wywróżyła niepogodę — ozwał się do pierwszego oficera. — Chciałbym teraz wiedzieć, jak wypadnie pański prognostyk?

— Powinna być niepogoda — odpowiedział Mr. Pike, podnosząc oczy z gładkiej fali na niebo. — To zwykła pora niepogody na Północnym Atlantyku. — Zastanawiał się chwilę, omiatając wzrokiem morze i niebo. — Sądzę, że wzięwszy pod uwagę wysoki stan barometru, będziemy mieli słabszy wicher z północnowschodu, albo ciszę. Miss West rzuciła mi triumfujące spojrzenie i odruchowo uchwyciła się poręczy, gdy **Elsynora** wzleciała na niezwykle wielkiej fali i zapadła w bródę, przechylając się na nawietrzną stronę, aż żagle straciły wiatr z głuchym trzaskiem.

— Cisza bierze górę — powiedziała Miss West z dąsem. — A jeżeli cisza, to za pięć minut będę w łóżku.

Nie dała mi wypowiedzieć słów współczucia, które miałem na końcu języka. — O, niech mnie pan nie żałuje, Mr. Pathurst. Choroba morska jest to tylko rzecz obrzydliwa, jak mokry śnieg, deszcze, ślota, lub jadowite pnącze. Wolę być chora na morską chorobę, niż mieć wysypkę.

Coś zaszło między ludźmi na pokładzie, ktoś popełnił jakieś głupstwo, czy omyłkę, bo usłyszeliśmy głos Mr. Mellaire. Miał on, tak samo jak Mr. Pike, przykry bardzo sposób warczenia na marynarzy.

Na twarzach kilku marynarzy widniały obrażenia. Jeden szczególnie miał oko tak napuchłe, że się zamknęło.

— Wygląda, jakby wpadł w ciemności na słup balustrady — zauważyłem.

Bezwiednie Miss West obrzuciła szybkim spojrzeniem łapy Mr. Pika ze świeżo startą skórą na kostkach. Spojrzenie to było nader wymowne. Sprawilo mi to dotkliwą przykrość. **Miss West** wiedziała.

# ROZDZIAŁ X

Tego wieczoru tylko my trzej, mężczyźni, zasiedliśmy sami do stołu, na którym zastawa trzymała się ramach, gdyż Elsynora zataczała się wśród ciszy morskiej i Miss West leżała.

— Nie zobaczy jej pan przez dni parę — powiedział do mnie Kapitan West. — Wdała się w matkę, która była doskonałym marynarzem, ale musiała przechorować na początku każdej podróży.

— To od skołatania — Mr. Pike wprowadził mnie w zdumienie najdłuższą, przemową, jaką słyszałem z jego ust u stołu. — Każdy musi się otrząsnąć po zejściu z lądu. Musimy zapomnieć dobre czasy na lądzie i dobre rzeczy, które można mieć za pieniądze, i zacząć wachtować, cztery godziny na pokładzie, a cztery we wnętrzu, i tak ciągle w kółko. A to przychodzi ciężko i cała nasza natura buntuje się, aż się przyzwyczaimy. Czy pan słyszał Caruza i Blanę Arral w New Yorku tej zimy.

Skinąłem głową, zdumiony wciąż jeszcze nagłym przyływem jego swady.

— Więc niech pan sobie wystawi, że ktoś ich słuchał, i Homera, Witherspoon, i Amato noc w noc przez długi czas w Metropolitan Opera, a potem musi się z nimi pożegnać, i iść na morze, i kołatać się wachtę po wachcie.

— Pan nie lubi morza — spytałem. Westchnął.

— Nie wiem. W gruncie rzeczy nie znam nic, prócz morza —

— Tak, ale morze i dalekie podróże wykwitowały mnie z muzyki, która na lądzie przypadłaby mnie w udziale...

— Musiał pan słyszeć Schumanna Heinka?

— Cudowne! Cudowne! — zamruczał entuzjastycznie i spojrzał na mnie płomiennymi oczami. — Mam pół tuzina jego płyt; wypada mi druga nocna wachta we wnętrzu. Jeżeli pan kapitan nie ma nic przeciwko temu... — Kapitan West skinął głową na znak przyzwolenia — a pan chce je usłyszeć? Mam dobry fonograf.

I gdy stiuard sprzątał ze stołu, Mr. Pike, ten sędziwy zabytek z czasów żelaznego bata, ten rozbitek, skołatany przez morze, wyniósł ze swej kabiny wspaniałą kolekcję płyt fonograficznych. Płyty i fonograf postawił na stole. Szerokie drzwi zostały otworzone tak, że jadalnia i główna kajuta utworzyły jedno pomieszczenie. Kapitan West i ja usadowiliśmy się w kajucie w wygodnych skórzanych fotelach, a Mr. Pike puszczał fonograf. Mył w pełnym świetle lamp wiszących i najłżejszy cień wyrazu na jego twarzy nie mógł ujść mojej uwagi.

Daremnie czekałem, że zacznie nucić jakąś popularną piosenkę. Jego płyty były tylko z najlepszych utworów, a pieczołowitość, z jaką obchodził się z nimi, stanowiła dla mnie prawdziwą rewelację. Do ręki brał każdą z nich z prawdziwym pietyzmem, jak rzecz świętą, odwiązywał, odwijał, a kiedy się obracała, nim igłę położył, odkurzał ją szczoteczką z wielbłądziej sierści. Patrzyłem i patrzyłem na ogromne jego ręce dozorczy niewolników z pokaleczonymi kostkami i nie mogłem się nadziwić, ile w każdy gest wkłada uczucia. Każdy ruch tych rąk, bowiem, gdy dotykał płyty, był pieszczotą. A gdy melodia rozplýwała się w powietrzu, duch jego zdawał się ulatywać na jej skrzydłach, aż do siódmego nieba, do rajy tonów, który dla niego jednego stał tylko otworem.

Przez cały ten czas Kapitan West siedział wygodnie wyciągnięty w fotelu i palił cygara. Twarz jego była bez wyrazu i, ściśle mówiąc, była to twarz człowieka, który bardzo daleko odbiegł myślą, tak daleko, że nie dolatywała tam rnuzyka. Wątpiłem, czy ją słyszy. W przerwach nie robił uwag, milczał, nie chwalił, nie ganił, niczym nie zdradzał ani zadowolenia, ani niezadowolenia. Zdawał się nienaturalnie pogodny, nienaturalnie oddalony. I, obserwując go, zachodziłem w głowę, jakie

właściwie spełnia on funkcje na tym okręcie. Co ma za obowiązki? Nie widziałem go jeszcze przy jakiegokolwiek robocie. Mr. Pike zajmował się ładowaniem statku. Kapitan West przybył dopiero, gdy statek był gotów do wyjścia na morze. Nie przypominałem sobie, by przez ten czas z ust jego padł jakiś rozkaz. Miałem wrażenie, że Mr. Pike i Mr. Mellaire robili wszystko, a Kapitan West palił cygara i trwał w błogosławionym zapomnieniu o istnieniu załogi na Elsynorze.

Kiedy przyszła kolej na chór Alleluja z Mesjasza i na Pasterkę, Mr. Pike zaczął się niemal tłumaczyć przede mną, że lubi muzykę religijną; pozostało mu to, twierdził, z krótkiego zresztą okresu życia, kiedy był klerykiem w chórze kościelnym w San Francisco.

— A potem rzuciłem beret na cztery wiatry i dałem drapak na morze — zakończył, przyskajając ostrym śmiechem.

A założywszy „Króla Niebios” Meyebeera i Mendelsohna „Spoczywajcie w Bogu” zapadł w marzenie.

Gdy zegar kajutowy wybił trzy kwadranse na ósmą, zawinął starannie płyty i odniósł je do swojej kabiny. Potem, wróciwszy do kajuty, skrzył sobie papierosa i przegawędziliśmy do ósmej.

— Mam dużo dobrych płyt — powiedział tonem zwierzenia. — Coenana „Przyjdźcie do mnie” i Faure'a „Krucyfiks”, i O Salutaris, i „Prowadź nas Światło Łaski”, wykonane przez Chór Św. Trójcy; mam „Jezusie, Oblubieńcu *mej* duszy”, od którego serce w człowieku topnieje. Założę ją dla pana której nocy.

— Czy pan jest człowiekiem wierzącym? — wyrwało mi się, gdyż nie byłem w stanie pogodzić blasku jego oczu w owej chwili z tymi poobijanymi rękoma dozorczy niewolników.

Zawahał się widocznie, potem odparł:

— Tak... kiedy pieśni tych słucham.

Spałem tej nocy okropnie. Niewyspany po poprzedniej, również nie przespanej nocy, zamknąłem książkę i wcześnie zgasilem lampę. Zapadłem w sen, aby za chwilę się zbudzić od swędzenia wysypki. Przez cały dzień wysypka mi nie dokuczała, ale ledwie zgasilem lampę, ledwie sen skleił mi powieki, przekłete swędzenie powróciło. Wada jeszcze się nie położył i dostałem od niego porcję winianu potasu. Ale tyle to mnie pomogło, co umarłemu kadzidło, i o północy, gdy usłyszałem, że wachta się zmienia, wciągnąłem szlafrok i poszedłem na górę na pomost rufy.

Byłem świadkiem, jak Mr. Mellaire objął wachtę. Zaczął przechadzać się w dół i w górę po lewej stronie pomostu. Uśliznąłem czymprędzej ku rufie, minąłem marynarza u steru, którego nie rozpoznałem, i schroniłem się po nawietrznej stronie sternicy.

I znowu podniosłem oczy na mętne zarysy napowietrznych, ożaglonych rej i niewidoczne prawie nici pajęcze biegnące we wszystkich kierunkach olinowania i pomyślałem o tej wariackiej załodze. Przeszyło mnie ostre przeczucie katastrofy. Czyż to możliwe, aby szczęśliwie odbyć długą podróż z taką załogą na olbrzymim frachtowcu, łupinie stalowej tylko półcalowej grubości, obciążonej pięciu tysiącami ton węgla? Byłem skonsternowany. Podróż wzięła zły obrót od samego początku. Byłem wyprowadzony z równowagi, jak każdy, kto dobrze sypia i nagle pada ofiarą bezsenności, toteż zdecydowałem w owej chwili bezapelacyjnie, że podróż źle się skończy. Ale jak miała się skończyć w rzeczywistości nie wiedziałem ani ja, ani nikt inny na Elsynorze.

Myślałem o Miss West z krwią czerwoną w żyłach, która od urodzenia żyła po królewsku i nie miała najłżejszych wątpliwości, że zawsze żyć będzie. Pomyślałem o Mr. Piku, dozorczy niewolników i melomanie. Zdarzyło się już nieraz, że niejedyn lepiej od niego zachowany zabytek przeszłości wyruszył w ostatnią swą podróż. Co zaś do Kapitana Westa, to on się nie liczył. Był istotą zbyt neutralną, zbyt daleką od *życia*, pewnego rodzaju uprzywilejowanym pasażerem, nie mającym nic innego do roboty tylko trwać w nirwanie swego własnego pomysłu.

Potem przypomniałem sobie Greka, który sam zadał sobie rany, zaszyte teraz przez Mr. Pika, Greka, bełkocącego w malignie wśród czterech stalowych ścian kajuty śródkrętowej. Gdy go sobie wyobraziłem, pierzchły ostatnie moje wątpliwości, gdyż w mych oczach uosabiał on całą obłąkaną, bezradną, matołkową załogę. No, tak, mogłem powrócić do Baltimory.

Miałem dość pieniędzy, dzięki Bogu, by wykonać, co mi strzeli do głowy. Mr. Pike powiedział mimochodem, że dzienne koszty eksploatacji Elsynory w ruchu wedle jego obliczeń wynoszą dwieście dolarów. Mogłem się zdobyć na zapłacenie tych dwustu, równie dobrze, jak dwóch tysięcy dolarów za każdy dzień, potrzebny na odstawienie mnie na ląd, do holownika pilockiego, lub na pokład któregośkolwiek ze statków, żeglujących do Baltimory.

Byłem najzupełniej zdecydowany zejść na dół i zbudzić Kapitana Westa, by mu zakomunikować co postanowiłem, gdy nagle przyszło mi na myśl pytanie, na które nie umiałem znaleźć odpowiedzi: — A więc ty myśliciel, filozof, znużony życiem, boisz się zginąć, dać nurka w ocean niewiadomego? I oto dlaczego stało się, jak się stało. Duma moja z mej pogardy życia nie pozwoliła mi przerwać snu Kapitanowi Westowi. Zdobyłem się tedy na ryzyko podróży na żaglowcu dokoła Przylądka Horn z ładunkiem szaleńców i wariatów, ba, nietylko wariatów, bo przypomniałem sobie tych trzech Babilończyków i Semitów, którzy rozbudzili taki gniew w Mr. Piku i którzy śmieli się milcząc.

O zmoro myśli nocnych! Myśli w noc bezseną! Otrząsnąłem się z nich i ruszyłem z powrotem do kajuty, bo przeziąbłem do szpiku kości. Ale u drzwi strażnicy spotkałem się z Mr. Mellaire.

— Ładna noc, sir — powitał mnie. — Szkoda, że nie ma wcale wiatru, który odegnałby nas do lądu.

— Co pan myśli o załodze? — spytałem po chwili milczenia.

Mr. Mellaire wzruszył ramionami.

— Widziałem w mym życiu dzikie załogi, Mr. Pathurst, ale takiej, jak żyję, nie widziałem. Wyrostki,

starcy, kalecy i — co pan powie o takim, na przykład, Tony, Greku, który wyskoczył w morze? A to początek dopiero. Tony to próbka całego tego towaru. Czy pan zwrócił uwagę na małego zasuszonego Szko- ta?.

— Czy ten, który wygląda tak żałośnie i jakby ciągle był zły i który sterował wczorajszej nocy?

— Ten sam — Andy Fay. Otóż ten Andy Fay skarżył mi się właśnie na O'Sullivan. Mówi, że O'Sullivan grozi mu, zagraża po prostu jego życiu. Kiedy Andy Fay o ósmej zeszedł z wachty, zastał w kasztelu O'Sullivan, ostrzającego brzytwę. Powtórzę panu rozmowę między nimi, według własnych słów Andy Faya:

— Pada O'Sullivan do mnie — Mr. Fay, jedno słówko? — Z ochotom — padam mu — co mogię dla pana? — Niech pan mi sprzeda pańskie gumowe buty, Mr. Fay — pada O'Sullivan bardzo grzecznie. — Ale co panu po nich? — pytam ja jego. — Zrobi mi pan wielkom usługę — O'Sullivan na to. — Ale ja mam tylko te pare — pedam — a pan ma swoje. — Mr. Fay, bede potrzebował mojom pare w złą pogodę — pada O'Sullivan. — Zresztom — padam — pan nima piniendzy. — Zapłace panu po wypłacie w Seattle — pada O'Sullivan. — Tak nie chce — padam — zresztom, nie chciał mi pan powiedzieć, co pan chce z nimi zrobić? Dlaczego nie, o wa — O'Sullivan na to — potrzebuje je, żeby ich cisnąć w morze. — Wtedy ja się odwracam i chce odejść, ale O'Sullivan. pada z minom słodkom jak cukierek, ciągle wecując swoją brzytwę. — Mr. Fay — pada — niech pan przejdzie na te stronę, żeby mi poręcznie belo poderznąć panu grdykę. — Wtedy zrozumiałem, że ten człowiek to nieprzespieczny wariat.

— Albo prędko skończonym wariatem będzie — powiedziałem — zwrócił moją uwagę wczoraj; to rosły drab, bełkoczący ciągle pod nosem.



— Tak to on — potwierdził Mr. Mellaire.

— Czy miał pan takich już dużo podczas pańskiej służby? — zapytałem.

— Więcej niż każdy inny oficer, śmiało mogę twierdzić, sir.

Zapalał papierosa w owej chwili. Błyskawicznym ruchem ściągnął czapkę z głowy i poświecił nad czaszką zapalką, chcąc mi coś na niej pokazać.

Łysinę na czubku jego szpakowatej głowy kryły tylko rzadkie, długie włosy. I przez całą tę łysinę, znikając pod gęstszym pasmem włosów nad uchem, biegła najokropniejsza blizna, jaką widziałem w życiu. Być może przesadzam, gdyż widziałem bliznę przez tak krótką chwilę i widok jej zrobił na mnie tak wstrząsające wrażenie, ale przysięgłbym, że byłbym w stanie włożyć dwa palce w tę straszną szczelinę, że była na całe dwa palce szeroka. Wydawało mi się, że nie ma tam kości tylko wielkie pęknięcie, głęboki parów, kryty skórą tylko, i mózg pulsuje bezpośrednio pod tą skórą.

Włożył czapkę na głowę i roześmiał się z beztrasko.

— Obląkany kok, Mr. Pathurst, zrobił to tasakiem. Byliśmy wtedy o tysiące mil od któregośkolwiek z lądów, na środku Oceanu Indyjskiego, żeglując na wschód, ale kok ułożył sobie, że stoimy na kotwicy w Bostońskiej Zatoce i że ja nie daję mu zejść na brzeg. Stałem tyłem do niego w owej chwili i nie wiedziałem nawet skąd spada na mnie ten cios.

— Ale jak pan się mógł wylizać z rany, z takiej rany? — spytałem. — Wspaniały chirurg musiał być na statku; a i wytrzymałość pańskiego organizmu jest wprost zdumiewająca.

Potrząsnął głową.

— Tak, to dzięki wytrzymałości... i melasie.

— Melasie!

— Tak, kapitan rządził się staroświeckimi zasadami i środków odkażających nie uznawał. Na świeże rany nakładał melasę. Przeleżałem w mojej koi długie koszmarnie tygodnie — była to długa podróż — a gdy dotarliśmy do Hong Kongu rana moja się zamknęła i obyło się bez lekarza z lądu; stałem już wtedy moje wachty trzeciego oficera — tak, angażowano wtedy i trzecich oficerów.

Nie podejrzewałem wówczas, jaką złowrogą rolę ta zabliźniona szczelina w czaszce Mr. Mellaire miała odegrać i w jaki sposób miała przesądzić zarówno o jego losie, jak i o losach Elsynory. Gdybym o tym wiedział w owej chwili, tej nocy Kapitana Westa spotkałaby przykrość nielada — zostałby obudzony przez nawpół ubranego, zdesperowanego pasażera, gotowego na zakupienie nawet Elsynory z całym jej ładunkiem, byle tylko natychmiast zawróciła do Baltimory.

Ale wówczas dziwiłem się tylko, jak Mr. Mellaire mógł przeżyć lat tyle z taką dziurą w czaszce.

Rozmawialiśmy jeszcze długo. Opowiedział mi szczegóły zarówno tego zdarzenia, jak i o wielu innych wypadkach na okrętach, na których wszelkiego rodzaju psychozy i różni szaleńcy zdają się czynić wielkie spustoszenia.

A pomimo to człowiek ten nie budził we mnie sympatii. We wszystkim, co mówił, był bez zarzutu. Bez zarzutu był również sposób jego wystawiania się. Robił wrażenie człowieka z szerokim poglądem na świat i, jak na marynarza, bardzo obytego. Jego niezwykła uprzejmość, wytworne zwroty i znajomość form towarzyskich nie zdołały mnie zbić z tropu. Przez cały czas rozmowy instynkt jakiś ostrzegał mnie przed nim, przez cały czas miałem niepokojące wrażenie, że za oczami tego człowieka, choć ich nawet w ciemności nie widziałem, w głębi jego rozłupanej czaszki, czyha wroga indywidualność, szpieguje mnie, sonduje, bada, każąc ustom mówić jedno, gdy myśli drugie.

Rzuciwszy mu na pożegnanie dobranoc, schodziłem do kajuty, unosząc z sobą wrażenie, że rozmawiałem z jedną połową dwulicowej istoty. Druga jej połowa przez cały czas milczała. Ale czułem ją w tym człowieku, lotną, szybką, i zwinną za maską ze słów i z ciała.

# ROZDZIAŁ XI

O śnie nie było mowy. Zażyłem znów porcję winianu potasu. Przyszedłem do przekonania, że wysypka dokucza mi od zagrzania w łóżku pod kołdrami. Ilerazy dawałem za wygrane, zapalałem lampę i czytałem, swędzenie skóry mniej mi się dawało we znaki. Niemniej wystarczyło zgasić lampę i zamknąć oczy, zaraz wracało. Tak mijała godzina za godziną. W pauzach między daremnymi wysiłkami zaśnięcia udało mi się przebrnąć przez długie rozdziały Rosny'ego *Le Termite* — lektury, śmiem twierdzić, niezbyt pokrzepiającej gdyż na treść jej składają, się drobiazgowo, nadto wystylizowane opisy rzeczywistych i urojonych cierpień bohatera. Wreszcie odrzuciłem tę powieść, wykląłem wszystkich francuskich analityków i z pewnego rodzaju ulgą wziąłem się do bardziej szczerzego i cynicznego Stendhala.

Nad głową dudniły mi kroki Mr. Mellaire, spacerującego niezmordowanie w górę i w dół pomostu. O czwartej oficerowie się zmienili i poznałem krok Mr. Pika ze starym powłóceniem nogą. W pół godziny później rozległ się alarmujący okrzyk stuarda. Azjata ten pierwszy się obudził, gdy Elsynora zaczęła się kłaść na stronę, z której była moja kabina. Usłyszałem warkliwy, tubalny głos Mr. Pika, rzucającego rozkazy. Od czasu do czasu przelatywał mi nad głową tupot nóg obłądnej załogi, wyciągającej na gwałt i luzującej liny. Elsynora kładła się na bok w dalszym ciągu, aż wodę zobaczyłem przez iluminator. Wreszcie nabrała pędu i tak szybko zaczęła pruć wodę, że poprzez krąg z grubego szkła słyszałem wyraźnie naloty i poszumy piany. Stuard przyniósł mi kawę. Czytałem do świtu, czytałem, kiedy Wada przyszedł ze śniadaniem i aby mi pomóc przy ubieraniu. I on się skarżył, że spać nie może. Został umieszczony z Nancym w jednej kabynie śródkręcia. Położenie jego było nie do pozazdroszczenia. Małe te stalowe pudełko drzwi również ze stali zamykały zupełnie szczelnie. Wskutek tego Wada na górnej pryczy dusił się formalnie. Powietrze twierdził, stawało się tak ciężkie, że płomień lampy, choćby nie wiem jak ją podkręcać, kurczył się, kurczył i lampa gasła. Choć Wada ani na chwilę nie mógł zasnąć Nancy chrapał w najlepsze.

— To flejtuch — zakonkludował. — To prawdziwy wieprz. Wada nie sypiać tam więcej.

Wyszedłszy na rufę, przekonałem się, że Elsynora wartko pruć wzburzone morze, chodzące wielkim rozchełstem pod nisko cwałującymi chmurami. Na pomoście znów zastałem Mr. Mellaire, maszerującego w dół i w górę pomostu, w dół i w górę, tak samo, jak go w nocy zostawiłem, i nie chciało mi się po prostu wierzyć, że od czwartej do ósmej nie on wachtował. Miałem to złudzenie nawet, gdy mi powiedział, że spał od czwartej do pół do ósmej.

— Mam sen doskonały, Mr. Pathurst; śpię jak suseł oto co znaczy mieć czyste sumienie, sir, tak czyste sumienie.

A kiedy mówił ten komunał, miałem wrażenie, że istota, przyczajona w jego czaszce obserwuje mnie i bada.

W kajucie Kapitan West siedział z cygarem w ustach i biblią w rękę. Miss West się nie ukazała. Dziękowałem niebu, że mi oszczędziło morskiej choroby, bo przy mojej bezsenności, byłoby to straszne. Nie pytając nikogo o pozwolenie, Wada urządził sobie poślanie w najodleglejszym kącie wielkiej tylnej kajuty, odgradzając ten kąt ścianą z mych kufrów i pustych skrzyń od książek, które mocno jedne do drugich i do ścian przywiązał.

Dzień był posępny i bezsłoneczny. Chmury co pewien czas obryzgiwały nas deszczem, a grzmot na nawietrznej burcie nie ustawał. Woda pluskała i chlustała po pokładzie, spływała z szelestem. Przyłgnąwszy czołem do kajutowych iluminatorów, wychodzących na przód głównego pokładu,

widziałem pod szturmem fal wynędzniałych przemokłych do nitki marynarzy, którzy harowali, wyciągając coś, pchając, luzując. Nieraz widziałem, jak któregoś z nich zbijała fala i jak się tarzał we wrzającej pianie. A jednak pewnym, niezachwianym krokiem wśród tych potaczających się i chwytających za wszystko ludzi przechodził zarówno Mr. Pike, jak i Mr. Mellaire. Ani razu morze z nóg ich nie zbiło. Ani razu nie cofnęli się przed nalotem piany, lub przelewem bałwanu. Inaczej się żywiąc, innym ożywieni byli duchem, byli z żelaza w porównaniu z nędzą tą, którą ujarzmiali. Po południu zdrzemnąłem się pół godziny. Gdyby nie gwałtowne kołysanie, byłbym przespał z trzy godziny, bo wysypka mi nie dokuczała. Kapitan West, wyciągnięty na kajutowej sofie w miękkich dywanowych pantoflach na nogach spał w sposób, budzący dziką zazdrość we mnie. Instynktownie, jak sądzę, choć pogrążony w śnie głębokim utrzymywał się na miejscu zamiast się stoczyć na pokład kajuty. I trzymał w palcach nawpół wypalone cygaro. Nie spuszczałem go z oka przez godzinę i wiedziałem, że śpi; nie mogłem pojąć czym się to dzieje i jak nie puści cygara.

Po obiedzie nie było fonografu. Mr. Pike miał drugą nocną wachtę i twierdził, że kołyszymy się za bardzo. Igła skakałaby i rysowałaby płyty.

A potem znów noc bezsenna! Znowu okropna, męcząca, a po niej dzień posępny, chmurny na szarym beznadziejnie morzu. Mis West nie ukazała się. Wada także chory, choć, czyniąc heroiczne wysiłki, próbował trzymać się na nogach i usługiwać, patrząc na mnie szklanymi, niewidzącymi oczami. Kazałem mu się położyć i czytałem przez nieskończenie długie godziny, aż oczy mnie rozboleły i w mej przemęczonej, bezsennej, skołatanej głowie wszystko zlało się w chaos.

Kapitan West rozmowny nie jest. Im więcej go poznaję, w tym większe wprawia mnie zdumienie. Dotąd nie odkryłem w nim nic, co usprawiedliwiłoby pierwsze wrażenie, jakie na mnie zrobił. Zrównoważony i daleki od życia wydaje się istotą wyższą, ale czasami zachodzę w głowę, czy nie są to tylko pozory. Zacząłem się rozczarowywać, jak rozczarowałem się wtedy przy naszym spotkaniu, spodziewając się, nim jeszcze przemówił, że z ust jego padną słowa, Bóg wie jak ważne i mądre, a usłyszałem najzwyczajniejsze towarzyskie komunały. Powoli przychodziłem do przekonania, że cała jego rasowość, rys drapieżnego ptaka w jego twarzy, arystokratyczna smukłość sylwetki nic poza sobą nie kryją, nie mają w psychice jego odpowiednika.

A z drugiej strony nie było powodu do krytyki mego pierwszego wrażenia. Dotąd nie dał dowodu siły, ale i nie okazał słabości. Zastanawiałem się nieraz, co przebywa za pogodą jasnyniebieskich oczu. Nie odkryłem w nim wartości intelektualnych. Podsunąłem mu Rodzaje Przeżyć Religijnych Williama Jamesa. Przerzucił parę stron i zwrócił mi książkę, powiedziawszy bez ogródki, że go nie zajmuje. Nie miał własnych książek. Najwidoczniej nie lubił czytać. Więc czym się interesował? Zacząłem z nim rozmawiać o polityce. Słuchał uprzejmie, odpowiedział lakonicznie tak, lub nie, a gdy zamilkłem zniechęcony, nie ozwał się ani słowem.

Większa przepaść dzieli Kapitana Westa od jego oficerów, niżli tych oficerów od marynarzy. Nie zauważyłem, by Kapitan West powiedział co kiedy do Mr. Mellaire, prócz zwykłego „dzień dobry” przy spotkaniu na pomoście rufy. A choć Mr. Pike trzy razy na dzień zasiada z nim u jednego stołu, nie wiele więcej słów zamieniają. Zdumiewa mnie, że Mr. Pike w stosunku do swego dowódcy zdaje się zdradzać uszanowanie, graniczące ze strachem.

I jeszcze jedno. Jakie są obowiązki Kapitana Westa? Jak dotąd nie widziałem, by cokolwiek robił. Jadał, coprawda trzy razy dziennie, wypalał dużo cygar i codzień robił z milę drogi, krążąc spacerowym krokiem dokoła rufy — trudno to jednak uważać za pracę. Oficerowie pracują za niego, a ciężka to, nawiasem mówiąc, praca, cztery godziny na pokładzie na cztery godziny wypoczynku; i tak przez całą dobę, noc po nocy, dzień po dniu, jak w kieracie. Godzinami zwykł siedzieć, lub leżeć wyciągnięty w fotelu i patrzeć wprost przed siebie, aż ledwie mogę się powstrzymać od zapytania, o

czym myśli. Czasami wątpię, czy w ogóle myśli o czym. Nie mogę go zgłębić.

Cały dzień jak długi słyhać tylko plusk deszczu i szum wody po pokładach. Przekonywuję się, że zadanie opłynięcia Przylądka Horn z ładunkiem pięciu tysięcy ton jest trudniejsze, niżli mi się zdawało. Elsynora tak głęboko siedzi w wodzie, że ją zmywa nakształt kłody. Jej wysokie na sześć stóp nadburcia ze stali nie są w stanie zatrzymać fal, które wpadają na pokład. Elsynora nie odznacza się bynajmniej pływalnością, którą, zwykliśmy przypisywać statkom. Przeciwnie tak jest obciążona, że stoi jak mur, i zadaję sobie pytanie, ile w ciągu tego posepnego burzliwego dnia zważyło się na nią ton Atlantyku, i spłynęło przez buchające wodą otwory odpływowe i przez huczące, jak młyn wodny, porty.

Ołowiany dzień! Oficerowie wachtowali na zmianę i spali wewnątrz na zmianę. Kapitan West drzemał na sofie kajutowej i czytał biblię. Miss West wciąż jeszcze chora. Ja zaczytywałem się do zawrotu głowy. Bezsenna usposabia mnie jeszcze bardziej minorowo. Nawet na Wadę przykro spojrzeć. W określone godziny wypełza z koji i, patrząc przed siebie szklanymi oczami, sili się zrozumieć, czego mi trzeba. Wolałbym sam być chory. Nigdy mi w głowie nie powstało, by podróż morską mogła być tak beznadziejnie smętna, jak zapowiada się podróż na Elsynorze.

## ROZDZIAŁ XII

Jeszcze jeden ponury dzień. Niebo pokryte chmurami. Ocean ołowiany. Woda grzmi przez otwarte porty, tryska strumieniami z otworów odpływowych. Elsynora pod skróconymi żaglami zmierza na wschód w serce Atlantyku. A ja przez całą drogę nie spałem i pół godziny. Zażywając winian potasu dalej w tym tempie pochłonę wkrótce cały jego zapas z apteki okrętowej. Nie miałem jeszcze nigdy takiego swędzenia i, jakby, wysypki. Nie pojmuję od czego to może być. Póki palę lampę i czytam, czuję się dobrze. Gdy lampę gaszę i zapadam w drzemkę, zaczyna się swędzenie.

Mimo morskiej choroby Miss West czuwa i co pewien czas przysyła mi Wadę ze świeżą porcją winianu potasu.

Dziś doznałem prawdziwego olśnienia. Znalazłem odpowiedź na dręczące mnie pytanie, kim jest kapitan West. Jest on Samurajem. Proszę, sobie przypomnieć Samuraja z Nowoczesnej Utopii H. G. Wellsa, człowieka z lepszej gliny, z gatunku istot, wiedzących wszystko, będących panami życia innych ludzi, rządzących nimi w arcydobrotliwy, arcy-mądry sposób. Niech wolno będzie opowiedzieć zdarzenie, które mi otworzyło oczy i okazało właściwego Kapitana Westa.

Mieliśmy dzisiaj przeskok wiatru. W jednej chwili południowo-zachodni wicher o sztormowej niemal sile przeskoczył osiem rumbów, to znaczy, wykręcił na ćwierć okręgu. Wyobraźcie sobie tylko! Wyobraźcie sobie wicher, dmący z południo-zachodu. A potem wyobraźcie sobie, że wicher, wzmógłszy się jeszcze, zyskawszy na prężności i mocy raptownie uderza w okręt z północo-zachodu. Ale Kapitan West o tym wiedział i uprzedził mnie, że nasz kurs wypada poprzez cykloniczną burzę i każdej chwili można się spodziewać, że wiatr zadmie z innego kierunku róży wiatrów.

Odziany w buty gumowe, opończę i kaptur, stałem uciepiony poręczy balustrady na schodni rufy z oczyma, wlepionymi w nieszczęsnych marynarzy, coraz to znikających w odmęcie po głowę, albo nawet całkowicie unoszonych przez fale jak źdźbła słomy i toczących się po pokładzie. Harowali pod rozkazami Mr. Pike, ciągnęli i luzowali liny, bezmyślnie, na ślepo, w śmiertelnym strachu.

Mr. Pike był wśród nich, zmuszał ich do roboty i sam pracował do spółki z nimi. Narażony był na to samo, co i oni, jednak w cudowny jakiś sposób trzymał się na nogach, choć nieraz znikał pod wodą. Dwa razy przez ten czas szedł na czele szeregu marynarzy, wyciągających linę, i był najbliższym klubki. W tejże chwili cały Północny Atlantyck Ocean zdawał się walić wprost na nich. I za każdym razem Mr. Pike pozostawał sam, trzymając się liny, założonej już na klubce, a wszyscy pozostali zostawali obaleni i bezsilnie, bezradnie toczyli się na pokładzie.

Robiło to na mnie chwilami wrażenie koszmarnego jakiegoś przedstawienia, jakbym przyglądał się błazeństwu kłownów cyrkowych. I dłuższy czas nie zdawałem sobie sprawy z niebezpieczeństwa, któremu ludzie ci stawiali czoło. Nagle wicher zaskowyczał jeszcze przeraźliwiej, ocean spiętrzył się wyżej i świat cały zniknął za welonem mżącej piany, a kiedy góry wodne się przetoczyły, dwóch ludzi nie powstało z pokładu. Jeden został zniesiony na dziób ze złamaną nogą — Iare Jacobson, matołkowaty Skandynawczyk, a drugiego Kida Twista zniesiono do kajuty nieprzytomnego z rozciętą głową.

Wicher harcował po morzu. Trwałem na wyżynie pomostu, gdzie fale nie sięgały podczas najgwałtowniejszych nalotów wichru i z całych sił musiałem się trzymać poręczy, aby mnie nie porwał i nie zniósł. Wysoko lecące welony piany skłuły mi twarz do bólu i miałem uczucie, że wiatr wywiewa mi pajęczyny z wydręzonego bezsennością mózgu.

A przez cały ten czas smukły, z arystokratyczną gracją, w ociekającym płaszczu gumowym czuwał na pomoście Kapitan West. Napozór niczym się nie przejmował. Wydawał rozkazy, spacerował w

dół i w górę pomostu, trzymając się na nogach doskonale przy najgwałtowniejszych chybotach i rozkołychach.

Wtedy to przed samym przeskokiem wichru raczył mnie ostrzec, że przechodzimy przez wirującą burzę i że może dąć z każdego kierunku róży wiatrów. Zauważyłem, że śledził szybki polot ciężkich chmur poprzez niebo. Wreszcie, gdy zdawało się, że wiatr osiągnął maksimum natężenia, znalazł na niebie, to, czego wypatrywał. I w owej chwili usłyszałem po raz pierwszy jego głos — okrętowy głos, czysty jak dzwon, dźwięczny, jak srebro, pełen słodczy nieopisanej i tak donośny, jak dźwięk surmy Gabryela. Co za głos! — który bez wysiłku nad tumultem panował. Burza lecąca łomotała o **Elsynorę**, darła się na sztakach, ryczała na drablinach, naciągniętymi jak struny linami bębniła o stalowe maszty, a z sieci drobnych lin na wyży okrętowej dobywała piekielne gwizdy i wołania rozdzierające. I jednak przez cały ten jazgot, ten krzyk wieży Babel, przebił się głos Kapitana Westa, niby posłannictwo ducha zwiastującego, głos z wysokości, topliwy, jak muzyka i potężny jak archanielskie wezwanie na sąd ostateczny. I natchnął ich zrozumieniem, i dali mu posłuch, zarówno marynarz u sterowego koła, jak Mr. Pike, który warkliwie zaczął wyszczekiwać rozkazy, ciskać je na głowy nieszczęśników, zataczających się przy każdym chybotcie i rozkołychu. Ale zataczając się jak pijani, ludzie ci usłuchali. Jak w głosie, zaszła i dziwna przemiana w twarzy Kapitana Westa. Twarz ta była mi dotąd nieznaną. Było to oblicze ducha zwiastującego, bezgrzesznie, od wewnętrznej mądrości rozjaśnione, okolone aureolą mocy i pokoju. Być może pokój na twarzy tej rozlany uderzył mnie przede wszystkim, pokój, rzekłbyś wysłannika z poza granic chaosu, przybywającego do skołotanych burzą ludzi z zapowiedzią, że wszystko skończy się dobrze. Nie była to twarz wojownika. Oczyma wyobraźni ujrzałem w niej oblicze istoty z poza sfery walk i skłócenia żywiołowego, fermentu krwi.

Samuraj przybył w gromie i błyskawicach, zleciał na skrzydłach burzy, aby olbrzymią, masywną, ciężko przybijającą się Elsynorę przeprowadzić przez odmęty, czyniąc ze słabych jak muchy ludzi posłuszne narzędzie swej woli, będącej wyrazem mądrości.

I umilkł ten głos Archaniola Gabryela. Marynarze na dole harowali, pełniąc jego wolę. A Kapitan West niewzruszony, daleki od wszystkiego, w ociekającym płaszczu gumowym dotknął mego ramienia i z całą nonszalancją wskazał mi coś z tyłu po nawietrznej.

Spojrzałem w tym kierunku, ale nie zobaczyłem nic, prócz mżącej przez powietrze piany i niskiej lawiny chmur, tarzającej się po piersi oceanu. I w tejże chwili wichur z południo-zachodu ustał. Nie było wiatru, najlżejszego tchnienia, nic, tylko wielka cisza napowietrzna.

— A to co? — szepnąłem, wytrącony z równowagi nagłym ustaniem wiatru.

— Przeskok — odpowiedział. — O już wraca.

I nadleciał z północo-zachodu taran wichru, atmosferyczny wart, który oszałamiał, ogłuszał. Znowu Elsynora rozebrzmiała głosami protestu. Wichur ten przygiął mnie do poręczy. Czulem się żdźbłem słomy. Przez chwilę tylko stawiałem czoło nacierającemu wichrowi, ale przez tę krótką chwilę zdołał napchnąć mi tyle powietrza od płuc, że się dusiłem. Czymprędzej odwróciłem głowę. Marynarz u steru znowu słuchał głosu Gabryela i Mr. Pike na pokładzie łowił uchem głos i powtarzał wolę zawartą w nim; a Kapitan West, smukły, trwając we wspaniałej równowadze, wspierał się na wichrze i przechadzał zwolna po pomoście.

O chwilo nieporównana! Wtedy to po raz pierwszy zrozumiałem morze i ludzi, królujących na morzu. Kapitan West dowiódł, co był wart, objawił mi się. W punkcie kulminacyjnym burzy objął dowództwo, a Mr. Pike stał się kim był w istocie — subalternem, dozorcą niewolników, który służył pod rozkazami swego wodza, Samuraja.

Z minutę jeszcze Kapitan West przechadzał się w dół i w górę pomostu, odpychając się od

wichru, albo opierając się oń, jak o ścianę. Potem ruszył na dół. Z ręką na guzie od drzwi strażnicy obejrzał się, by raz ostatni krytycznym okiem obrzucić białe od piany morze i czarne z wściekłości niebo, żywioły, które ujarzmił.

W dziesięć minut później w kajucie, przechodziłem przed otwartymi drzwiami jego kabiny. Nie miał już na sobie sztormowego rynsztunku. Nogi w miękkich pantoflach trzymał oparte na poduszce. Odchylony w swym wielkim skórzanym fotelu, palił w zamyśleniu. Miał oczy szeroko otwarte, zaabsorbowane czymś, niewidzące — ba, jeżeli one i co widziały, to coś, znajdującego się poza skaczącymi ścianami kabiny i poza horyzontem mej myśli. Nabrałem ogromnego szacunku dla Kapitana Westa, choć był jeszcze bardziej dla mnie niezrozumiały, niż wówczas, kiedy wyobrażałem sobie, że go przejrzałem.

# ROZDZIAŁ XIII

Nie dziw, że przy takiej pogodzie Miss West wciąż leży chora. Na oceanie, niczym w kotle wichrów wirujących, tworzą się całe serie nader skomplikowanych, stromych, jak góry fal krzyżowych. W zdumiewający sposób Elsynora utyka w nie dziobem daje nurka, kładzie się z boku na bok i otrząsa ze wszystkimi swymi napowietrznymi rejami i masztami i pięcioma tysiącami ton ładunku brutto. W moich oczach Elsynora jest najbiedniejszym z okrętów, ale Mr. Pike, z którym właśnie spaceruję po rufie, twierdzi, że węgiel jest dobrym ładunkiem i że został dobrze załadowany, a śmiało to może twierdzić, bo sam ładowaniem kierował.

Spędziwszy całe życie na morzu, zdumiewającą ma zdolność przystosowania się do kołysania. W rozruchu krzyżujących się, zderzających fal jest pewien rytm. Ja wyczuwam ten rytm, ale nie mogę go uchwycić. Ale Mr. Pike zna go. Raz po raz podczas naszego ustawicznego spaceru w dół i w górę pokładu, gdy najmniej się spodziewałem nowego baraniego skoku, chwycił mnie za ramię; chwycił mnie w tej samej chwili, kiedy już traciłem równowagę i kiedy Elsynora nagle waliła się na bok, kładła się i kładła coraz bardziej. Kolosalny chybot w jedną stronę, rzekłbyś, nigdy się nie skończy, a kończył się ostro, jak trzaśnięcie biczem, ustępując miejsca chybotowi w drugą stronę, ku nawietrznej. Daremnie łamałem sobie głowę, w jaki sposób Mr. Pike przewidywał te skoki, wreszcie przyszedłem do przekonania, że świadomie sobie z nich nie zdaje sprawy. On je wyczuwa, on je zna na wylot. Morze weszło mu w krew.

Pod koniec naszej przechadzki zniecierpliwilem się i, kiedy znowu wielka jego łapa spadła mi niespodzianie na ramię, strząsnąłem ją, za co natychmiast spotkała mnie kara. Przez całą godzinę naszej przechadzki Elsynora jeszcze nie dała takiego nurka. Runęła wdół, zagrzebując w morzu prawostronną poręcz nadburcia na przestrzeni paruset stóp, ja zaś poleciałem jak wystrzelony w dół pomostu i uderzyłem się o ścianę strażnicy, aż mi dech zaparło. Wciąż jeszcze czuję ból w klatce piersiowej i w ramieniu. Ale skąd on mógł wiedzieć?

I Mr. Pike się nie potyka. Niebezpieczeństwo zbitcia z nóg przy najgwałtowniejszym kołysaniu zdaje się dla niego nie istnieć. Przeciwnie, taki nadmiar zrównoważenia bije od niego, że nieraz używał mi ze swego nadmiaru. Nabieram coraz więcej szacunku nie dla samego morza, ślepego żywiołu, i nie dla tych szczątków ludzkich, niewolników na pokładach Elsynory, ale dla prawdziwych marynarzy, którzy nimi dowodzą — dla Kapitana Westa, dla Mr. Pike, a również dla Mr. Mellaire, mimo całej mej do niego antypatii.

O godzinie trzeciej po południu, wiatr, wciąż o sile wichru, zadał z powrotem z południowozachodu. Mr. Mellaire, który wtedy stał wachtę, zeszedł do kajuty i zameldował o tym Kapitanowi Westowi.

— O czwartej przeprowadzimy okręt na przeciwny hals, Mr. Pathurst — powiedział mi drugi oficer po powrocie na pomost. — Zainteresuje pana pewnie ten manewr.

— Ale poco czekać do czwartej — spytałem.

— Rozkaz Kapitana, sir... Wachty będą się zmieniać i będziemy mogli użyć obu wacht, nie nakładając na wachtę z wnętrza nadprogramowej pracy.

A kiedy obie wachty były już na pokładzie, Kapitan West w swej nieprzemakalnej opończy wyszedł ze strażnicy. Mr. Pike dowodził swą wachtą z pomostu. Ludzie jego na pokładzie i na rufie stanęli u brasów bezań - masztu podczas, gdy Mr. Mellaire udał się na przód okrętu ze swą wachtą, przeznaczoną do fok i grot - masztów. Był to piękny widok, ciekawa gra mechanizmów, za pomocą których znieśli napór wichru na tył Elsynory i skierowali go na jej przód.



Kapitan West nie wydał przez cały czas ani jednego rozkazu i zupełnie nie zdawał się zwracać Uwagi na to, co się na okręcie dzieje. Znowu był uprzywilejowanym pasażerem, który wychodzi na pomost dla zdrowia. A jednak widziałem, że obaj oficerowie byli skrępowani jego obecnością i dokładali wszelkich starań, by popisać się żeglarskim wirtuozowstwem. Wiem teraz, co za rola przypada Kapitanowi Westowi na okręcie. Jest on mózgiem Elsynory. Jest on szefem sztabu. Kierownictwo okrętem na oceanie nie sprowadza się do stania wacht i rozkazywania marynarzom — ciąg i luzuj! To są pionki. Dwaj oficerowie — to laufry, którymi Kapitan West gra swą partię przeciwko falom i wichrom, i niepogodom, i prądom oceanowym. On jeden zna się na tym. Dla wyrażenia swej wiedzy potrzeba mu Języka, a tym językiem oni są właśnie. Ciężka noc — równie ciężka dla Elsynory, jak i dla mnie. Okręt zataczał się od ciosów, tak go Północny Atlantyk boksował. Wyczerpany długą bezsennością, zasnąłem wcześniej i obudziłem się po godzinie od swędzenia i palenia skóry. Znowu było w robocie improwizowane lekarstwo, znowu wczytywałem się w książki i czyniłem desperackie próby zaśnięcia; aż przed samą piątą, gdy stiuard przyniósł mi kawę, wciągnąłem szlafrok i zacząłem się tłuc po kajucie, jak Marek po piekle. Zdrzemnąłem się w skórzanym fotelu i zostałem z niego wyrzucony przy gwałtownym chybocie. Szukałem przytułku na sofie, na której zasnąłem natychmiast, po to tylko, by za chwilę znaleźć się na pokładzie kajuty. Jestem przekonany, że Kapitan West, drzemiąc na sofie, nie śpi snem głębokim, nawpół śpi, a nawpół czuwa. Bo jakżeby mógł się utrzymać na tak ruchomym łóżku — chyba, że ma we krwi morze z całym jego nieukojem i rozruchem.

Zawlokłem się do jadalni, wpakowałem w oporeczane ruchome krzesło, rozparłszy się na stole, zasnąłem z głową na rękach. O kwadrans po siódmej przetarłem oczy. Stiuard trząśł mną za ramię. Był czas nakrywać do stołu.

Po tym śnie ciężkim, choć krótkim, byłem jak zaczadzony. Ubrałem się i, potykając, powędrowałem na rufę w nadziei odzyskania przytomności umysłu, gdy mnie wiatr owieje. Mr. Pike wachtował i mimo starczego pociągania nogą, pewniejszymi krokami mierzył pokład ode mnie. To człowiek zdumiewający. Sześćdziesiąt dziewięć mozolnych lat ma za sobą, a wciąż krzepki jak dąb. I cały czas spędził na pokładzie — od czwartej do szóstej popołudniu, od ósmej do dwunastej i od czwartej do ósmej rano. Za parę minut oficerowie mieli się zmienić, ale od dwunastej znowu była jego wachta.

Oparłem się o poręcz nadburcia rufy i wybiegłem wzrokiem wzdłuż pokładu. Był to przykry widok, rozpaczliwy widok. Ze wszystkich portów, ze wszystkich luk odpływowych buchała woda, której góry bezustannie waliły się na pokład. Wśród wodozwałów w miejscach wolnych od fali smużyły się po pokładach zacieki rdzy. Jakaś drewniana klubkę zniosło pod drabliny bezan - masztu i oplątał się dookoła niej cały kłęb lin i sztuków, popływający przy każdym przyborze wody. Nancy z półtuzinem innych cherlaków pracował nad rozgmatwaniem tego węzła. Harowali tam pod grozą zmycia każdej chwili w morze.

Twarz Nancy była jeszcze bardziej cierpiętliwa, wymacerowana, a ledwie góry wodne zaczynały się spiętrzać nad prawostronną burtę Elsynory, pierwszy ciskał robotę i biegł do lin ochronnych, przeciągniętych przez całą szerokość pokładu na dziobie i na rufie.

Reszta ludzi nie o wiele dawała się wyprzedzić w tym wyścigu do liny ochronnej. Bezpieczeństwo, zresztą, u liny, było bardzo względne. Ledwie jej się chwycili obu rękoma, już pod taraniem fali tracili pokład pod nogami. Zwisali na rękach, szarpani na wszystkie strony, rzekłbyś, w wrzącym kotle lodowato zimnej wody. Nie dziw, że wyglądali na wypranych z wszelkiego życia. I daleko gorzej wyglądali, niżli zaraz po przybyciu na statek. Zniszczyło ich do ostatka te parę dni lodowatego piekła na Elsynorze.

Mr. Pike, spacerując na rufie, tam i z powrotem, zatrzymywał się od czasu do czasu i wybluzgiwał sardoniczne uwagi pod adresem kłębiących się pod nim w wodozwałach potępieńców. Serce miał kamienne. Będąc sam ze stali, wszystko wytrzymał, ale nie miał ani odrobiny współczucia dla tych istot bez hartu.

Zobaczyłem znów głuchego jak pień człowieka. Był to ów koszlawy szczątek człowieka z twarzą zmaltretowanego, matołkowatego fauna. Jego płynne, błyszczące oczy cierpiętника, nalane były bólem po brzegi, a twarz miał jeszcze bardziej zapadłą i wydłużoną. A jednocześnie na twarzy tej można było wyczytać krańcowe napięcie nerwów, chęć do pracy i chęć wyróżnienia się. Biło w oczy, że, mimo swego kalectwa, pracował najlepiej ze wszystkich, ostatni biegł do liny ochronnej, pierwszy ją puszczał i brnął po kolana, albo nawet po pas w wodzie, pierwszy dopadał do kłęba lin i sztuków i zaczynał z nim się szarpać.

Powiedziałem Mr. Pikowi, że ludzie zdają się jeszcze bardziej wynędzniali i słabsi, niż po przyjsciu na statek. Przez dłuższą chwilę nie odpowiadał. Omiałał ich spojrzeniem handlarza bydła.

— A tak — rzekł wreszcie z niechęcią. — Cherlaki, jak się patrzy, ofiary bez kości i tyle. Najbliższa rzecz kładzie ich na obie łopatki. Ba, za moich czasów przy takiej robocie spaślibyśmy się wkrótce. Tylko, że pracowaliśmy tak wściekle, że nigdy nie mogliśmy nabrać ciała. Trzymaliśmy się zawsze w formie jak atleci. Ale to są szumowiny i odpadki ludzkie — ha, czy przypomina pan sobie, Mr. Pathurst, człowieka, którego zagadnąłem pierwszego dnia i który się nazwał Charles Davis ?

— Ten, którego pan o jakiś defekt podejrzewał?

— Tak. Tak się też okazało. Leży teraz w śródkrętowej kabynie razem z Grekiem. Nie ruszy ręką przez całą podróż. Do szpitala się nadaje, a nie na okręt. Podziurawiony jest jak sito. Ma w ciele dziury, że mógłbym pięść w nie wpakować. Nie wiem nawet co to może być, wrzody, rak, czy rany szrapnelowe. I ma czelność twierdzić, że potworzyły się u niego dopiero po przyjęciu na okręt.

— I miał je przez cały ten czas? — spytałem.

— Przez cały ten czas! To dobre. Ręczę, że miał je już lata. Ale to fenomen prawdziwy z tego człowieka. Nie spuszczałem go z oka od pierwszej chwili, kazałem mu drapać się na maszty i rozbijać węgiel w przedniej luce węglowej, i żeby się choć skrzywił. Wreszcie ustawiczna zimna kąpiel w morskiej wodzie zwała go z nóg. A teraz leży sobie wolny od obowiązków na przeciąg całej podróży. Będzie brał pensję przez cały czas, noce będzie spokojnie przesypiał w koji i nie stuknie palcem w palec. Trzeba mieć pecha, żeby się taki parszywiec do nas przybłąkał. Tak, czy owak Elsynora ma znowu o jednego człowieka mniej.

— Znowu? — zawołałem. — Czy Grek umiera?

— Nie ma strachu. Za parę dni postawię go u steru. Co mi z nich, kiedy to gniłki. Z pół tuzina tych wiechci nie zastąpi jednego prawdziwego marynarza. Nie mówię, aby pana nastraszyć, bo nie ma w tym nic zastraszającego, ale będziemy mieli prawdziwe piekło w tej podróży. — Urwał i zapatrzył się na porozbijane kostki swych rąk, jakby się zastanawiał, ile czasu jeszcze posłużą. Westchnął i zakończył: — Ano, będę miał robotę.

Wyraziłem Mr. Pikowi współczucie, ale to był najgorszy system. Współczucie wprawiało go w jeszcze większą melancholię. Znów zrobiłem ten błąd. Mr. Pike się irytował: — Niech pan tylko zobaczy tego drania ze skrzywieniem kręgosłupa z wachty Mr. Mellaire. To prawdziwy tramp i szczur lądowy; nie waży stu funtów i musi mieć z pięćdziesiąt lat. I ze swoim skrzywieniem kręgosłupa jest wykwalifikowanym marynarzem na Elsynorze. Za wszystko to ma pretensję do całego świata — robak nieczysty, jadowity, jak żmija, zły, jak osa. Nie boi się niczego, bo wie, że się go nie tknie z obawy przetrącenia mu kości. Oh, to perła najczystszej wody! Gdyby go pan nie mógł

rozpoznać, niech pan wie, że nazywa się Mulligan Jacobs.

Po śniadaniu, wyszedłszy podczas wachty Mr. Mellaire, odkryłem jeszcze jednego dzielnego człowieka. Stał u steru. Był niskiego wzrostu, dobrze zbudowany marynarz z włosami siwiejącymi na skroniach. Mógł mieć około czterdziestu pięciu lat. Był smagły, o twarzy orlej i inteligentnych czarnych oczach.

Mr. Mellaire potwierdził moje domniemania, mówiąc, że to najlepszy marynarz z jego wachty, prawdziwy żeglarz. Nazwał go londyńskim Małtyjczykiem. Spytałem go, jakże to może być.

— Po pierwsze dlatego, że jest Małtyjczykiem — wyjaśnił — a po drugie, że mówi slangiem londyńskim, jak urodzony obibruk z metropolii. I niech mi pan wierzy, Mr. Pathurst, że pod dźwięki Bow Bels matka go wykołysała.

— A O'Sullivan kupił już buty od Andy Faya?

W tejże chwili Miss West ukazała się na rufie. Była zaróżowiona i pełna życia, jak gdyby wcale nie chorowała. Ani śladu choroby. Gdy podchodziła do mnie z uśmiechem na ustach, znowu uderzyła mnie sprężystość i kocia ruchliwość jej kroku, a jednocześnie wprawiła mnie w podziw jej olśniewająca płeć. Miała na sobie biały sweter, który odsłaniał szyję. Biel jej szyi aż razila moje zaczerwienione od bezsenności oczy. Włosy pod białą włóczkową czapeczką miała gładkie i dobrze uczesane. Była szykowna — rzecz niezwykła jak na córkę kapitana, a tym dziwniejsza, że dopiero przeszła przez chorobę morską. Pełnia życia! — oto co było leit - motiwem jej egzystencji. Pewien jestem, że w jej praktycznej, zrównoważonej, rozsądnej głowie nigdy chorobliwa myśl nawet nie powstała.

— A jak panu się powiodło ? — spytała, nie czekając na moją odpowiedź, potem rzuciła wybuchowo: — Wspaniale się wyspałam. Wczoraj już w gruncie rzeczy było po wszystkim, ale chciałam wypocząć. Przespałam dziewięć bitych godzin — co pan na to?

— *Żałuję*, że nie mogę tego samego o sobie powiedzieć — dałem wyraz mej melancholii, zrobiwszy krok i zatoczywszy się, bo zaproponowała mi spacer po pokładzie.

— A więc był pan chory ?

— Przeciwnie — odpowiedziałem sucho. — Wolałbym być chory. Wszystkiego razem nie przespałem i pięciu godzin, odkąd przybyłem na statek. Te okropne wyrzuty...

I pokazałem jej zaczerwienione przeguby mych rąk. Rzuciła na nie okiem, zatrzymała się nagle i, doskonale dostosowując się do chybotu, wzięła moją rękę we swoje. Przez chwilę badała skórę mej ręki.

— O Boże! — zawołała i zaczęła się śmiać. Byłem w rozterce. Śmiech jej pieścił po prostu moje ucho, taki był harmonijny i zdrowy, i szczery. Z drugiej strony czułem się dotknięty, że śmieje się z mej bolączki. Musiało się to odbić na mojej twarzy, bo, opanowawszy się nareszcie, spojrzała na mnie i zaczęła się śmiać na nowo.

— O biedny z pana chłopiec! — zachichotała wśród wybuchów wesołości. — Gdy pomyślę o tych porcjach winianu potasu, które w pana wpierałam!

Nie spodobało mi się to traktowanie z góry przez znakomicie młodszą ode mnie kobietę. Przyszło mi w owej chwili na myśl, że z łatwością dowiem się ile ma lat. Zdradziła się mówiąc, że miała dwanaście lat, kiedy Dixie zderzyła się z rzeczonym parowcem w Zatoce San - Francisco. A więc pozostawało tylko dowiedzieć się, w którym roku *zaszła* ta katastrofa. Tymczasem śmiała się ze mnie serdecznie.

— Hm, to musi być — naprawdę — komiczne — z pani punktu widzenia — powiedziałem cokolwiek sztywno, ale się przekonałem, że na nic nie zda się obrażać, kiedy się ma do czynienia z Miss West. Odpowiedzią był mi nowy wybuch śmiechu.

— Panu potrzeba było — oświadczyła wreszcie, krztusząc się od śmiechu — kuracji, ale od zewnątrz.

— Może mi pani powie, że mam pokrzywkę, albo wietrzną ospę — zaprotestowałem.

— Nie. — Potrząsnęła głową z całą powagą, śmiejąc się serdecznie. — Zniósł pan heroicznie bardzo dotkliwy atak...

Urwała umyślnie dla zrobienia większego wrażenia i spojrzała mi w oczy.

— Pluskiew — zakończyła. Potem zaś, odzyskawszy całą powagę, ciągnęła już rzeczowym tonem. — Ale załatwimy się z tym prędko. Każę przewrócić całą kajutę do góry nogami, choć wiem że nie ma pluskiew ani w moich kabinach, ani u papy; co zaś do Mr. Pika to u takiego jak on, starego marynarza też ich być nie może. Do pana (zadrzałem, by nie powiedziała, że to ja przyniosłem pluskwy na okręt) musiały przedostać się z pomieszczeń marynarskich na przedzie. Zawsze są pluskwy w kasztelu.

— Idę zająć się pańskim nieszczęściem, Mr. Pathurst. Odrazu niech pan każe Wadzie, by urządził panu obóz. Parę nocy będzie pan musiał spędzić w kajucie głównej, lub w strażnicy. I niech pań dopilnuje, by Wada z pańskiej kabiny usunął wszystkie metalowe, oksydujące się przedmioty. Nastąpi wszelkiego rodzaju podkurzanie i zdzieranie boazerii, a potem dopiero odbudowywanie. Niech pan będzie spokojny. Już ja się znam na robactwie.

# ROZDZIAŁ XIV

Cóż to był za kapitalny remont! Wszystko do góry nogami! Dwie boskie noce —jedną w strażnicy, drugą na sofie w głównej kabinie — przespałem, ba pławiłem, nurzałem się we śnie. Prawdziwa orgia snu, po której jeszcze jestem odurzony. Łąd zdaje się być tak daleko. Jak za sprawą jakiejś czarnoksiężskiej sztuki, wydaje mi się, że tygodnie, ba miesiące upłynęły od pamiętnego mroźnego ranka marcowego, od chwili opuszczenia Baltimory. A jednak był to ranek 28 marca, a teraz jest zaledwie pierwszy tydzień kwietnia.

Zupełnie trafnie oceniłem Miss West od pierwszego wejrzenia. To najdzielniejsza, najgospodarniejsza kobieta, jaką spotkałem. Co zaszło między nią, a Mr. Pikiem nie wiem, to tylko pewna, że nie winiła w niczym pierwszego oficera. Zrządzeniem kapryśnego losu tylko moje kabiny były nawiedzone przez plagę robactwa. Pod kierownictwem Miss West koje, szafki, półki i wszelkie buazerie zostały zdarte. Pierwszy dzień cieśla od świtu do nocy pracował w moich kabinach, potem przez noc je wykurzano, a następnego dnia od samego rana dwaj marynarze z terpentyną i bielą ołowianą wojowali przeciw niedobitkom pluskiew. Cieśla odbudowuje już moje kabiny. Potem mają zostać odmalowane, a po dwóch, trzech dniach, gdy farba wyschnie, mam się wprowadzić z powrotem.

Czterech ludzi zostało powołanych do terpentynowania i bielenia pomieszczenia. Dwóch z nich Miss West wkrótce odesłała jako niezdatnych do roboty. Pierwszy ze zdyskwalifikowanych przez nią, Steve Roberts, był to interesujący osobnik. Zdążyłem zamienić z nim parę słów. Miss West kazała powiedzieć Mr. Pikowi, że potrzeba jej prawdziwego marynarza.

Po raz pierwszy w swym życiu z okazji właśnie tej podróży Steve Roberts ujrzał morze. Jakim sposobem z ferm hodowlanych i od stadium Dzikiego Zachodu dostał się do New -Yorku, a z New -Yorku na Elsynorę, tego nie raczył nam wyjaśnić. Ale fakt faktem, że tak się stało, że jest cow -boyem na morzu i równie na miejscu, jak marynarz na grzbiecie końskim. Choć niski, robi wrażenie bardzo silnego. Jest szeroki w barach i na potężnych jego bicepsach opinają się rękawy koszuli; a jednocześnie jest szczupły w pasie, ma długie kończyny i zapadłe policzki. Tak, ale zapadłe policzki nie oznaczają u niego słabego zdrowia, lub choroby. Jest nowicjuszem w fachu marynarskim, ale to człowiek energiczny, inteligentny... i łotr. Rozmawiając, potrafi patrzeć wprost w oczy, ale w takich chwilach najbardziej odczuwa się w nim łotra Z człowiekiem tym, w razie jakichkolwiek zamieszek na okręcie, trzeba byłoby się liczyć poważnie. Zdradza pewne cechy pokrewne z trójcą, do której Mr. Pike powziął antypatię — Kid Twistem, Nosey Murphym i Bert Rhinem. I zdążyłem już zauważyć podczas wacht nocnych, że Steve Roberts trzyma się z tym godnym trio. Drugiego marynarza Miss West odesłała ledwie po pięciu minutach. Był to Mulligan Jacobs, kaleka ze skrzywieniem kręgosłupa. Lecz nim go odesłała zaszło coś znamiennego, nie bez mego udziału. Byłem w kabinie, kiedy Mulligan Jacobs przyszedł do pracy, i zastanowiło mnie zdumione, chciwe spojrzenie, którym objął półki, pełne książek. Podchodził od nich mniej więcej w sposób, w jaki rozbójnik skradałby się do ukrytego skarbu i spojrzeniem nędzarza, patrzącego na złoto pożerał, ba, pieścił tytuły moich książek. A co za oczy! Cała gorycz, cały jad, który Mr. Pike odkrył w tym człowieku, tryskał z jego oczu. Były małe, jasno niebieskie, ostre i zimne, jak błysk stali. Wskutek zaognienia powiek jeszcze bardziej okrutny, gorzki i przejmujący dreszczem stawał się ten zimny promień, tryskający z jego źrenic. Człowiek ten był uosobieniem nienawiści, nienawidził organicznie i nienawidził wszystko na świecie, prócz książek. — Radziłyście przeczytać którą z tych książek? — spytałem zachęcająco. Odrazu zgasł w jego oczach ogień pieśczośliwości, przeszył mnie grotem spojrzenia i, nim usta

otworzył, już wiedziałem, że mnie nienawidzi. — Życie, to czyste piekło, może nie? — Pan silny na ciele ma służących do dźwigania takiego ładunku książek, a ja bidak muszę na to patrzeć, choć mi w mózgu gmera co jest w tych książkach, jak te haki — Nie mogę nawet w części oddać, jak słowa te jadownie wypowiedział. Pamiętam, że, rozpoznawszy starczy krok Mr. Pika w hallu, odczułem znaczną ulgę. Sam na sam w kabinie z tym człowiekiem miałem takie uczucie, jakbym był zamknięty w klatce z tygrysem. Tyle było diabelstwa, bezpardonowej złości i roziskrzanej nienawiści w jego spojrzeniu, że się omal przed nim nie cofnąłem. Wyznaję, że ślepy strach mnie ogarnął, tak strach. Nie chcę przez to powiedzieć, że opęzło mnie uczucie niebezpieczeństwa, że byłem zaalarmowany, nie, porwał mnie strach niewyrozumowany, ślepy, paniczny. Złośliwość tego urodzonego nienawistnika mroziła krew w żyłach, znajdowała sobie wyraz zewnętrzny bez słów, tryskała z niego, strzelała z jego zaognionych, rozjarzonych oczu, i twarzy, skażonej stygmatem potępienia, z jego drapieżnych łap z połamanymi paznokciami. A w tejże chwili, kiedy instynktownie cofałem się i otrząsałem, przeleciało mi przez głowę błyskawicowo, że, jedną tylko ręką ścisnąwszy kalekę za szyję, mógłbym wydusić z niego ten nadmiar nienawiści.

Ale nie było nic pocieszającego w tej myśli. Ładna pociecha dla człowieka w jaskini żmij, albo w czeluści ze stonogami, że może je rozgnieść samym swym ciężarem — ginąc wyplują w niego jad swych żądeł! Zupełnie tak sarno czułem się z Mulliganem Jacobsem. Mój strach przed nim, to strach przed żmiją. Nie mogłem się temu oprzeć, gdyż przewiała mi przed oczami wizja, jak popsute, czerniałe zęby, które dostrzegłem w jego cuchnącej jamie ustnej, zatapia w moje ciało, zakaża je gryzącym, jadowitym sokiem, który mnie będzie rozkładał...

Jedna rzecz biła w oczy. Kreatura ta nie znała, co to strach. Była bez trwogi. Była jak cuchnący ił, który się depcze w snach koszmarnych. O Boże! istota, która stoi przede mną — to zmora!

— Co takiego sprawia wam ból? — spytałem, symulując sympatię, aby pokryć zmieszanie.

— Haki czuję w mózgu, rozjarzone do białości haki, haki które palą mi mózg i palą — brzmiała odpowiedź. Ale co, u diaska, pan ma za prawo do tych książek i do czytania ich po całych nocach, a ja mam piekło w głowie, ja z krzywym kręgosłupem muszę stać wachtę po wachcie, taki wiecheć ludzki, że nie mogę z sobą uradzić i pół cetnara bibuły!

Jeszcze jeden wariat, zadecydowałem, ale przekonałem się wkrótce, że zagadnienie nie było tak proste, jak mi się zdawało. Chcąc się dowiedzieć, na czym jest pomieszany, zacząłem go wypytywać: Jaką to bibułę wziął z sobą? Jacy są jego ulubieni autorowie? Biblioteka jego, oświadczył, zawiera przede wszystkim całego Byrona. Potem ma kompletne wydanie Szekspira. Trzecie u niego miejsce zajmuje Browning w jednym tomie. Ma poza tym w kasztelu z pół tuzina tomów Renana, jakiś tom Lecky, Windwood Read a Męczeństwo Człowieka, parę rzeczy Carlyla i sześć do ośmiu powieści Zoli. Ale ponad Zolę, ponad wszystko przekładał Anatola France'a.

Byłem zmuszony zmodyfikować mój sąd o nim. Z tego rodzaju obłąkaniem jeszcze się w życiu nie spotkałem. I dalej toczyła się rozmowa o książkach. Był uniwersalny i drobiazgowy jednocześnie. Lubił O'Henry. George'a Moor miał za nieuka. Anatomie Negacji Edgara Saltusa uważał za głębszą od całego Kanta.

Maeterlinck — trąci staroświeczyzną, zwariowany na mistycyzmie dziwak. Emerson — szarlatan. Ibsena Widmo to dzieło, ale sam Ibsen — partacz. Heine, ba Heine! Przekładał Flauberta nad Maupassanta i Turgienjewa nad Tołstoja, ale Gorki był najlepszy z rosyjskiego kotła. John Masefield znał się na tym, co pisał, a Josephowi Conradowi powodziło się za dobrze i pisał gorzej, niż na początku swej kariery.

I tak rozprawiał się z całą literaturą. Wiedziony ciekawością, ściągnąłem go na tematy socjalne. Naturalnie był czerwony, na pamięć umiał Krapotkina, choć nie był anarchista. Socjalizm legalny,

jego zdaniem, to ślepa ulica zabudowana u swego końca czczym reformatorstwem i kwietyzmem. Socjalizm legalny zeszedł na psy, a Marksizm doprowadził do ruchu zawodowego i basta. Ale on, Mulligan Jacobs, uznawał tylko czyn bezpośredni. Wierzył w skuteczność masowych strajków. Wierzył w sabotaż, który zmniejszy wydajność pracy i pozbawi kapitał zysków. Kapitał przestanie się rentować. Oto broń właściwa. Oczywiście, trzeba szerzyć doktrynę, ale drogą konspiracyjną, samemu milczeć i działać, i uczyć działania w milczeniu. On mówił, cóż z tego? Mógł mówić, był kaleką, niezdatnym do bezpośredniego czynu.

A przez cały czas, gdy tak rozprawiał, czułem, że mnie nienawidzi. Zdawał się nienawidzić nawet rzeczy, o których mówił, którymi się przejmował. Musiał być Irlandczykiem, napewno był samoukiem. Gdy go zapytałem, dlaczego poszedł na morze, odpowiedział, że wszystko mu jedno, że wszędzie jednakowo palą go haki, rozżarzone haki, które mu tkwią w mózgu. Raczył mi nawet wyjawić, że za młodu był szybkobiegiem w wschodniej Kanadzie. Potem spadło na niego to nieszczęsne kalectwo i przez ćwierć wieku pędził życie włóczęgi i przeszedł przez setki więzień.

Właśnie, gdy o więzieniach mówił, w drzwiach ukazała się głowa Mr. Pika. Nie rzekłszy słowa, zgromił mnie oczyma. Mr. Pike ma na twarzy kamienną maskę. Maską tą zdaje się pękać przy wesołym wyrazie twarzy, natomiast trzyma się doskonale przy surowym. Toteż surowy wyraz twarzy przychodzi mu z największą łatwością. Pod wyprawną, rzekłbyś, skórą jego twarzy twarde jak żelazo mięśnie uwypuklają się w sposób zgoła naturalny. Najwidoczniej potępiał mnie za to, że daję Mulliganowi Jacobsowi sposobność do próżnowania. Warknął na niego:

— Zabieraj się, no, do roboty. Mleć jęzorem możesz w kasztylu. — W oka mgnieniu Mulligan Jacobs pokazał, co umie, objawił swoją naturę. Zmienił się na twarzy. Twarz, którą dotąd miałem przed sobą, była bez wyrazu wobec tej syczącej furii, tej Meduzy. Jak z gładzonego pod włos kota, posypały się z niej, rzekłbyś, iskry.

— A idź do kata, ty, stary grzmocie! — powiedział Mulligan Jacobs.

Wówczas w oczach pierwszego oficera wyczytałem mord wyraźnie. Podał się cały w głąb kabiny z wzniesioną pięścią. Wystarczyłoby jedno uderzenie tej niedźwiedziej łapy, aby jadowity płomień, trawiący to cherlawe padło, rozpląnął się w ciemnościach na wielki. Ale trzeba mu przyznać, że był nieustraszony. Jak przyparty do muru szczur, jak grzechotnik, sprężony na ogonie, nieustępliwie sycząc, drwił w żywe oczy wściekłemu olbrzymowi. Jeszcze głowę naprzód podał, aby ściągnąć na siebie cios tym pewniej.

Tego było za wiele dla Mr. Pika. Stało się dlań niepodobieństwem uderzyć tego wstrętnego kalekę.

— To ja cię nazywam grzmotem — zasyczał Mulligan Jacobs. — Ja, nie Larry. Nuże wał mię. Czego się boisz?

I Mr. Pike, bezsilny, oszołomiony, nie mógł uderzyć. On, który całe swe życie spełniał na okrętach funkcje takie, jakie zaganiacz bydła, przeznaczonego na ubój, spełnia w rzeźni, nie potrafił zdobyć się na zadanie ciosu temu wyskrobkowi. Przysięgłbym, że walczy z sobą, chce się zmusić do tego uderzenia. I nie może.

— Wracaj do roboty — rozkazał. — To dopiero początek podróży, Mulligan., Jeszcze posmakujesz ty mojej pięści, nim się skończy.

Mulligan Jacobs wyciągnął tylko zbakierowaną, cherlawą swą szyję jeszcze o cal naprzód, jakby miał wyskoczyć ze skóry. Tak przeogromna, tak przytłaczająca furia nim trzęsła, że nie był w stanie słów dla niej znaleźć. Coś mu tak okropnie zagrało, zakrakało głęboko w krtani, że nie zdziwiłbym się, gdyby w twarz oficerowi plunął jadem.

Mr. Pike wykręcił na pięcie i opuścił kabinę pobity, z kretelem pobity.

Nie mogę tej sceny zapomnieć. Ciągłe stoi mi przed oczami obraz pierwszego oficera i kaleki, obraz warczącego brytana i żmii. Tego się w książkach nie wyczyta. To dla mnie przeżycie. Prawdziwa rewelacja. Jakież jest życie zdumiewające! Cóż to za gryzący płomień przybrał kształt i karłą postać Mulligana Jacobsa? Skąd w nim tyle odwagi? Jakim cudem może on się zdobyć, nic nie mając w tym do zyskania — on, ani bohater, ani bojowiec utopii, ani męczennik wiary, tylko zwykły, złośliwy, nędzny robak — na tyle wojowniczości, na targanie za wąsy śmierci. Mulligan Jacobs zapędza w kozi róg i metafizyków i materialistów. On porywa się na śmierć, drwiąc z wszelkiej filozofii. Suszyłem sobie i suszyłem głowę nad tym fenomenem głęboko w noc i nie byłem w stanie rozwiązać zagadki... chyba, że jest obłąkany. Ale to nie uważam za dowiedzione.

Czy okręt jaki wiózł kiedy taką menażerię charakterów, jak ten, na który rzuciły mnie losy?

W kabinach moich z terpentyną i bielą ołowianą pracuje inny znów. Nazywa się Artur Deacon. To ten blady z biegającymi oczami, którego zauważyłem zaraz pierwszego dnia przy wyganianiu załogi z kasztelu i w którym rozpoznałem palacza opium. Bo wygląda na typowego palacza.

Spytałem Mr. Pika, za co go ma.

— Handlarz żywym towarem — brzmiała odpowiedź. — Musiał wypsnąć się z New-Yorku, by ratować się od elektrycznego krzesła. Ten sam rodzaj; co te trzy ptaszki, którym powiedziałem prosto z mostu, co za jedni.

— A za kogo pan tych trzech uważa?

— Założyłbym się, o co pan chce, że są poszukiwani w jakiejś sprawie i że policja New-Yorska deptała im po piętach, gdy się na Elsynorę schronili. Chciałbym mieć te pieniądze, które wyznaczono za ich schwytanie. Znam ten gatunek. — Ale bosmanmaci?

— Cóż z tego? Już ja im pokanceruję skórę. Wezmę ich w ręce, Mr. Pathurst. Podróż ledwie się zaczęła i stary grzmot, kawał czasu ma przed sobą. Bokiem im wyjdzie ta płaca, która im się nie należy. Ba, gorszych od największych łotrów wśród nich, wyrzucałem za burtę z workiem węgla u nogi. I pognębię każdego kto mnie ma za starego grzmota.

Urwał i patrzył na mnie uroczyście z pół minuty.

— Mr. Pathurst słyszałem, że pan jest pisarzem. A gdy u agentów dowiedziałam się, że pan wybiera się z nami w podróż, ciekaw byłem, jak się pan też będzie zachowywał. Co do metod pańskich, ani słowa, ale tylko tyle panu powiem, że jako człowiek pióra dość będzie pan miał tematu z tej podróży. Piekło się tu zacznie, prawdziwe piekło, może pan mi wierzyć, a stary grzmot rękę umacza w tym kotle. Niejeden przekona się na własnej skórze, co wart jeszcze stary grzmot.



# ROZDZIAŁ XV

Śpię jak suseł. Nawrót do normalnego życia jest istotnie rozkoszny — a zawdzięczam to Miss West. Dlaczegoż Kapitan West, lub Mr. Pike, obaj doświadczeni ludzie nie poznali się na mojej bolączce? A Wada? I dopiero trzeba było, aby się wdała w to Miss West. I przy tej sposobności znowu natknąłem się na problemat kobiecości. Takie trywialne błażostki skłaniają do rozmyślań nad problematem kobiecości. Kobieta to matka i zachowawczym rasy. Szydziłem z Miss West, z jej czerwonej krwi i zacierzewienia do życia, a oto musiałem jej być wdzięczny, że mnie postawiła na nogi. Praktyczna, rozsądna, uparta, dbająca o komfort, budowniczką gniazda miała ona wszelkie cechy i instynkty matki. I rad jestem z tego, że wybrała się w podróż, bo w przeciwnym razie byłbym zupełnie snu pozbawiony, ręce gotów byłbym gryźć z rozpacz i wyc — pełen obłąkańczej nienawiści do życia i świata, niczym którykolwiek z mieszkańców kasztelu. Incydent był wyczerpany, i znów stanąłem w obliczu kobiecego Sfinksa. Mężczyzna nie jest w stanie wytrzymać z kobietą, ale z drugiej strony, jak świat światem, nie jest w stanie obyć się bez niej. Ale co do Miss West, to drzę tylko, by w końcu się nie okazało, że jest sufrażystką. Nie, tego bym już nie zniósł.

Kapitan West to Samuraj, ale najzupełniej ludzki samuraj z krwi i kości. W jego beznamiętny, pełen rezerwy sposób bycia wkrađło się trochę zmięszania, gdy dziś rano wyrażał mnie swój żal z powodu plagi robactwa, której padłem ofiarą. W stosunku do mnie zdradza wiele gościnności, uważa mnie za gościa Elsynory i, choć nie pamięta o istnieniu na niej załogi, dba o moją wygodę. W tych paru słowach kondolencji wyczułem pewne niezadowolenie z siebie samego, że też przyjął na wiarę, co mówiłem o swej bolączce. Kapitan West jest człowiekiem, jak każdy inny. Czyż mógłby być w przeciwnym razie ojcem Miss West, kobiety o tak delikatnej twarzy i tak wspaniałej budowie ciała.

— Dzięki Bogu już po wszystkim — zawołała Miss West, gdy spotkaliśmy się rano na rufie i powiedziałem jej, jak wybornie spałem. Zdaniem tym epizod ze zmorą nocną został zamknięty. I natychmiast, czyniąc zwrot radykalny, zwróciła się do mnie ze słowy:

— Chodźmy zobaczyć kurczęta. I wzdłuż pomostu, podobnego do pasma stalowej pajęczyny powędrowaliśmy na nadkajucie śródokrętowe. Ha, trudna rada, trzeba było obejrzeć koguta i cztery tuziny tłustych kur w okrętowym kojcu.

Z prawdziwą przyjemnością, idąc za Miss West, obserwowałem jej elastyczny chód i energiczne, harmonijne ruchy, a jednocześnie rozmyślałem z posmakiem goryczy. Przypomniało mi się, jak obiecywała na holowniku, gdy dobijaliśmy do Elsynory, że nie wymaga, bym jej dotrzymywał towarzystwa.

— Chodźmy zobaczyć kurczęta. — Ile w tej propozycji wibrowało impulsywnej, nawskroś Akobiecej żądy wzięcia w posiadanie? Czy jest na świecie istota, zdradzająca więcej żądy posiadania od tej budowniczką rodzinnego ogniska, tej wijącej gniazdko, zaludniającej naszą planetę samicy ludzkiej? Chodźmy zobaczyć kurczęta! O, mogłem zapewnić Miss West, że był na tym okręcie prawdziwy wyga w sprawach sercowych i matrymonialnych, bardziej ceniący sobie swobodę od tych zatwardziałych grzeszników z kasztelu. Przeszedłem, bowiem, już przez niejedną próbę ogniową, a zarzucały na mnie sieci kobiety pod każdym względem wyższe od Miss West.

Ale wracajmy do kurcząt. Mimo wszelkich przedsięwziętych dla ich obrony środków ostrożności, widać, że ucierpiały podczas sztormu. I bije też w oczy, że Miss West nie zapominała o nich nawet w czasie swej choroby. Wedle jej wskazówek stiuard zainstalował mały piecyk naftowy w tym wielkim kojcu.

Właśnie Chińczyk przechodził z kajuty do kambuza i Miss West skinęła na niego, chcąc,

widocznie, udzielić mu dalszych instrukcji co do karmienia drobiu.

— Gdzie są krupy? Kury potrzebują krup. — Nie wiedział. Worek z krupami zapodział się między innymi różnymi zapasami, ale Mr. Pike obiecał dać po południu paru marynarzy do zrobienia porządku w lazarecie.

— eżeli by marynarz nie czyścił codzien kojca — zapowiedziała — odrazu proszę mnie powiedzieć. I dawajcie im tylko dobre pożywienie — żadnych odpadków. Ile jajek było wczoraj ?

Oczy stuarda błysnęły ogniem szczerego zapału. Dziewięć, ale dziś spodziewał się całego tuzina.

— Biedactwa — rzekła Miss West do mnie. — Nie . ma pan pojęcia, jak chwiejba przeszkadza im nieść jaja. — Odwróciła się do stuarda. — Uważajcie które kury nie niosą i te zabijajcie najpierw. Nim którą zabijecie, proszę mnie uprzedzić.

Czułem się zapomniany na tym zabudowanym, pełnym przeciągów dachu kajuty śródkręcia. Miss West była pochłonięta rozmową z chińskim ex - szmuglerzem opium. Miałem czas dobrze się jej przyjrzeć. Oczy jej zdawały się patrzeć prosto i uparcie, bo były długie i ciemne brwi i rzęsy oczywiście podkreślały również tę właściwość jej spojrzenia. Znowu uderzył mnie dziwny ciepłik jej szarych oczu. Zdałem sobie przy tej okazji sprawę z typu jej urody. Typ urody z dawnej New England.

Wróciliśmy na rufę i Miss West zeszła na dół. Rzuciłem zwykły żarcik, którym witałem Mr. Mellaire: — Czy O'Sullivan kupił już buty ód Andy Faya?

— Jeszcze nie, Mr. Pathurst — brzmiała odpowiedź — choć o mały włos w inny sposób dziś rano ich nie zdobył. Niech pan idzie ze mną, to pokażę panu.

W milczeniu drugi oficer poprowadził mnie ku przodowi ponad kajutą śródkrętową i przednim kasztele. Kiedy stanęliśmy u zrębu kasztelu, na luce Nr. 1 zobaczyłem dwóch Japończyków, zaszywających w żaglowe płótno jakiś podłużny spowinięty kształt, który napewno był ciałem ludzkim.

— O'Sullivan użył brzytwy — rzekł Mr. Mellaire.

— A to jest Andy Fay? — krzyknąłem.

— Nie, sir, nie Andy. To Holender. Christian Jesperson zwał się wedle roli. Podwinął się O'Sullivanowi pod rękę, gdy wariat wybrał się po buty. To ocaliło Andy. Był ruchliwszy od Holendra. Jesperson sobie samemu wchodził w drogę, dlaczegoż by więc nie miał podwinąć się O'Sullivanowi. O tam siedzi Andy.

Poszedłem za kierunkiem wzroku Mr. Mellaire i zobaczyłem tego wypalonego na żużelek Szkota. Przysiadłszy na zapasowej reji, ćmił fajkę. Jedno ramię miał na temblaku i głowę zabandażowaną. Do niego przysiadł się Mulligan Jacobs. Była to nieporównana para. Obydwaj mieli niebieskie złe oczy. Nie ulegało wątpliwości, że zwąchali się od samego początku podróży i łącznikiem im była nienawiść do całego świata. Andy Fay miał sześćdziesiąt trzy lata, choć wyglądał na sto, Mulligan Jacobs miał coś koło pięćdziesiątki, a bijąca z jego twarzy, jak z hutniczego pieca, nienawiść ujmowała mu lat. Zastanowiło mnie, czy siedział przy swym poranionym towarzyszu przez sympatię, czy też, aby napoić oczy; widokiem jego ran.

Z poza węgła kasztelu wolnym krokiem wyszedł Kciuk i powitał mnie swym zwykłym, rzekłbys, rzuconym ku mnie w górę, grymasem kłowna. Jedną rękę miał obandażowaną.

— Mr Pike miał dziś robotę — powiedziałem do Mr. Mellaire.

— Zaszywał rany prawie przez całą swą wachtę, od czwartej do ósmej. — Co? — spytałem — Jest więcej rannych?

— Jeden jeszcze, sir, jakiś mieszaniec. To od Mr. Pika wiem, jak się nazywa — Izaak B. Chantz. Nigdy w życiu nie spotkałem wśród załogi tylu mieszaińców, co tym razem na Elsynorze. Naogół

stronią oni od morza. Dostaliśmy tego towaru więcej, niżli na nas wypadało. Chantz nie jest poważnie ranny, ale żeby pan słyszał, jak skomli!

— A gdzie jest O'Sullivan? — spytałem jeszcze.

— W kajucie śródokrętowej z Davisem. Nic mu się nie stało. Mr. Pike wpadł między nich. Jednym uderzeniem w szczękę zwałił go z nóg. Sullivan omdlał. Teraz leży przywiązany do koji i bełkocze w malignie. Davis trzęsie się ze strachu, siedzi na swej koji z bolcem w rękę i grozi, że gdyby O'Sullivan wyrwał się z więzów, rozłupie mu czaszkę. Wyrzeka, że nie zawijamy po drodze do portu, i że nie może się dostać do szpitala. Chciałby mieć na Elsynorze separatki, kaftany bezpieczeństwa, pielęgniarzy i pielęgniarki, a dla siebie piękne uzdrowisko na rufie.

— O Boże! — westchnął ciężko Mr. Mellaire. — To najniezwyklejsza z podróży przeze mnie odbytych i najdziksza *załoga* w moim życiu. Żle się musi skończyć. To bije w oczy. W środku zimy będziemy koło Hornu z załogą, składającą się z wariatów i kalek. Niech pan spojrzy na tego tam. Co za klasyczny wariat. Każdej chwili gotów znowu wyskoczyć za burtę.

Był to Grek Tony, ten który skoczył za burtę, ledwie stanął na pokładzie **Elsynory**. Właśnie ukazał się z poza węgła kasztelu. Był zdrów jak ryba, tylko rękę jeszcze nosił na temblaku. Szedł sprężystym krokiem. Prymitywne metody chirurgiczne Mr. Pika postawiły go na nogi.

I znowu przykuło mój wzrok ciało Christiana Jespersona w worku z żaglowego płótna. Igły żagielne błyskały w rękach Japończyków. Jeden z nich miał prawą rękę w grubym obandażowaniu.

— Czy i ten oberwał w bójce? — spytałem.

— Nie, sir. To żagielnik. Obydwaj są żagielnikami. Ale miał gangrenę i przez osiemnaście miesięcy przeleżał w szpitalu w New - Yorku. Kategorycznie sprzeciwił się, gdy mu proponowano amputację. Teraz jest zdrów, tylko utracił władzę w rękę; włada, zresztą, wielkim palcem i wskazującym. Teraz uczy się szyc żagle lewą ręką. Mimo to trudno o lepszego żagielnika.

— Furiat z brzytwą to niebezpieczny gość na okręcie — zauważyłem.

— A w rezultacie pięciu ludzi, niezdatnych do służby — westchnął Mr. Mellaire. — O'Sullivan sam i zabity Christian Jespersen, i Andy Fay, i Kciuk i ten mieszkaniec Chantz. A podróż ledwie się zaczęła. Dochodzi do tego Lars ze złamaną nogą i Davis, zwolniony na stałe — jak tak dalej pójdzie, trzeba będzie obu wacht, aby podnieść sztaksel.

Rozmawiając w ten sposób rzeczowo z Mr. Mellaire, byłem pod bardzo ciężkim wrażeniem. I nie śmierć, która zdawała się krążyć po Elsynorze, mnie przestraszała. Dzięki długotrwałym dociekaniom naukowym oswoiłem się ze śmiercią. Nie przejmowałem się samym morderstwem, ale wyprowadzała mnie z równowagi bezgraniczna głupota bohaterów dramatu, który się rozegrał, zupełny brak sensu w ich postępowaniu. Nawet morderstwo z jakimś celem można zrozumieć. Zrozumiałe jest, że ludzie zabijają się w szale zmysłów, nienawiści, patriotyzmu, albo fanatyzmu religijnego. Ale mieliśmy tu zgoła co innego. To było zabójstwo bez przyczyny, orgia ślepego bestialstwa, potworność nawskroś irracjonalna.

Później, spacerując z Possumem po głównym pokładzie, i przechodząc przed uchylonymi drzwiami szpitalnej celi, usłyszałem śpiewny bełkot O'Sullivana i . zajrzałem do stalowego pudła na śródokręciu. Furiat leżał na dolnej koji, przytroczony do niej nawznak, dziko tocząc oczami, nieprzytomny. Na górnej koji, tuż nad nim, leżał Charles Davis i spokojnie palił fajkę. Szukałem oczyma żagielnego ćwieka. Był ćwiek, leżał u niego na kołdrze pod ręką.

— To piekło, może nie piekło, sir? — ozwał się na powitanie. — Człowiek się nawet zdrzemnąć nie może z tym pawianem, bełkocącym bez przerwy. Ani na chwilę nie ustaje, a kiedy śpi, to jeszcze gorzej. Zgrzyta zębami, aż strach, tak okropnie. A teraz niech pan sam osądzi, sir, czy wolno umieszczać furiata razem z chorym. A ja jestem chory.

Gdy tak mówił, potężna sylwetka Mr. Pika zarysowała się poza mną. Mr. Pike stanął tak, że Davis nie mógł go widzieć z koji. Łazarz ten — ciągnął swoje wywody.

— Z mocy prawa należy mi się dolna koja. Sprawia mi ból drapać się na górną koję. To niehumanitarne postępowanie. Prawo broni marynarza, ale prawem się pomiata. Będzie pan świadczył w sądzie, gdy zawiniemy do Seattle, sir.

Mr. Pike wystąpił z poza drzwi.

— Stul pysk, ty przeklęty morski kauzyperdo, ty — zagrzmiał. — Nie dość, żeś wziął nas na kawał, zajmując się w takim stanie! I jeżeli nic z ciebie nie będę miał, to wiedz...

Mr. Pike wpadł w taką wściekłość, że dalszy ciąg groźby uwiązał mu w gardle. Charczał i sapał czas dłuższy, nim odzyskał mowę.

— Ty.. ty... nie wściekaj mnie, radzę ci.

— Znam ustawy, sir — odpowiedział Davis szybko. — Pracowałem w stopniu wykwalifikowanego marynarza na tym tu okręcie. Cała załoga zaświadczyć może. Byłem na masztach od początku. Tak, sir, i w wodzie słonej po szyje, dzień i noc. Posłał mnie pan rozbijać węgiel. Spełniałem swoje obowiązki a nawet więcej, niżli do mnie należało, nim ta choroba; przyszła —

— Byłeś zgniły i zzarty wrzodami, nim stąpiłeś na nasz pokład — przerwał mu Mr. Pike.

— Sąd to rozstrzygnie, sir — odpowiedział niewzruszony Davis.

— A jeżeli nie stulisz pyska, ty adwokacie w przebraniu — groził Mr. Pike — to wyrzucę cię z tej koji i ganiał będę do siódmego potu.

— A rederzy zapłacą ładny piniondz tytułem odszkodowania — szydził Davis.

— Nie zapłacom, jeżeli cie szmyrgnę za burte, nim się ta podróż skończy — odszczeknął Mr. Pike ostro i zaciekle. — I, wiedz, Davis, że nie pierwszy to z ciebie kauzyperda morski, którego pogrzebałem z worem węgla u nóg.

Mr Pike wykręcił się na pięcie, rzucając jeszcze Davisowi na pożegnanie. — Przeklęty kauzyperda morski! — Ruszył w dół, pokładu. Ja za nim. Nagle Mr. Pike się zatrzymał. — Mr. Pathurst!

Zwracał się do mnie tym razem, nie jak do pasażera, tonem groźnym, rozkazującym.

— Odtąd, Mr. Pathurst, im mniej pan będzie pokazywał się na pokładzie, tym lepiej. Ot co. I ruszył dalej.

# ROZDZIAŁ XVI

Nie pobyt na morzu nie należy do przyjemności. Życie na morzu, nieubłagane i twarde, czyni ludzi morza tak twardymi. Kapitan West, naturalnie, nie wie o istnieniu załogi, a Mr. Pike i Mr. Mellaire zwracają się do podwładnych wyłącznie z rozkazami. Ale, rzecz dziwna, Miss West, będąc pasażerem, jak i ja, nie widzi również marynarzy. Wychodząc po raz pierwszy na pokład, nie powie nawet dzień dobry marynarzowi u steru. Ale ja będę nadal zamieniał parę słów powijania ze sternikiem. Czyż nie jestem pasażerem ?

Tak i nie. Wobec prawa nie jestem pasażerem.

Elsynora nie ma koncesji na transport pasażerów i zostałem zapisany do roli jako trzeci oficer z pensją trzydziestu pięciu dolarów miesięcznie. Wada został wpisany jako boy kajutowy, choć jest tylko moim służącym i zapłaciłem za niego ładną, sumkę.

Prędko na morzu pozbywają się umarłych. W godzinę po zaszyciu zwłok Christiana Jaspersena przez żagielników spuszczone je z deski w morze z worem węgla u nóg. Był cichy, spokojny dzień i Elsynora sunęła leniwie z szybkością zaledwie dwóch węzłów, to też przy spuszczeniu ciała w morze odbyło się nawet bez lawirowania. Gdy już wszystko było przygotowane, w ostatniej dopiero chwili Kapitan West wyszedł na przód z książką do nabożeństwa w rękę, przeczytał krótką przepisaną modlitwę i natychmiast powrócił na rufę. Po raz pierwszy przy tej sposobności ukazał się na przodzie okrętu.

Nie będę opisywał tej ceremonii. Pogrzeb był tak pospolity, jak samo życie Christiana Jaspersena i jak jego śmierć.

Miss West przez ten czas siedziała w szezlongu na rufie z jakąś robótką w rękę. Ledwie obciążone węglem zwłoki zapadły z pluskiem w morze, załoga rozproszyła się natychmiast, wolna wachta zeszła do wnętrza, a wachta pokładowa stanęła do roboty. Nie upłynęło i minuty, a już Mr. Mellaire wydawał rozkazy, ludzie zaś je spełniali. Więc powróciłem na rufę. Beztroski uśmiech, którym mnie Miss West powitała, niemiłe zrobił na mnie wrażenie,

— Już go pochowano — zauważyłem.

— Oh — powiedziała matowym, obojętnym głosem i w dalszym ciągu wyszywała pracowicie.

Wyczuła, snadź, mój nastrój, bo po chwili przerwała szycie i spojrzała na mnie.

— Pański pierwszy pogrzeb na morzu, Mr. Pathurst?

— Śmierć na morzu zdaje się panią nie wzruszać — wypaliłem.

— Nie więcej niż na lądzie. — Wzruszyła ramionami. — Tylu ludzi umiera. A skoro są to dla nas obcy... bo co sobie pan z tego robi, gdy pan się dowiaduje, że paru robotników zostało zabitych w fabryce, obok której co dzień, idąc do miasta, pan przechodził ? Zupełnie to samo na morzu.

— Szkoda tylko, że o jednego marynarza mamy mniej — powiedziałem rzeczowym tonem.

To znalazło w niej oddźwięk. Równie rzeczowo odpowiedziała:

— Nieprawdaż ? I na samym początku podróży do tego.

Spojrzała na mnie szybko, a dostrzegłszy uśmiech, którego ukryć nie potrafiłem, uśmiechnęła się również.

— Oh, wiem dobrze, Mr. Pathurst, że ma pan mnie za istotę bez serca. Ale myli się pan, to... rezultat życia na morzu. A przy tym nie znałam tego człowieka. Nie pamiętam nawet, bym go kiedy widziała. To sam początek podróży i wątpię, czy rozpoznałabym i pół tuzina ludzi wśród tych, którzy mi się nawinęli. Więc pocóż zaprzętać sobie głowę losem tego ograniczonego obcego człowieka, zamordowanego przez drugiego wariata i głupca? To zupełnie to samo, co wzruszać się do łez,

czytajac w gazetach nekrologi.

— A jednak jest w tym pewna różnica — zaoponowałem.

— Oh, przyzwyczajai się pan — rzuciła wesoło i zajęła się na nowo robótką.

Spytałem ją, czy zna Okręt Duchów Moody. Nie czytała. Indagowałem ją w dalszym ciągu. Lubiła Browning i zachwycała się szczególnie Pierścieniem i Książką. Interesowała się tylko zdrową literaturą — literaturą życia i jego komunałów.

Śmiała się z Szopenhauera. Cała filozofia pesymizmu była dla niej śmieszna. Czerwona krew, płynąca w jej żyłach, nie uznawała pesymizmu. Nie brała pesymizmu na serio. Spróbowałem skierować rozmowę na tematy, poruszone w dyskusji z De Casseres, którą prowadziłem w New Jorku na krótko przed wyruszeniem w podróż. De Casseres porównywał Jules de Gaultier z Schopenhauerem i Nietsche. „Wolę życia” pierwszego i „Wolę Potęgi” drugiego de Gaultier ujmował ogólną formułą — „Wola Złudzenia”.

Pochlebiam sobie, że nawet de Casseres byłby zadowolony ze sposobu, w jaki przytaczałem jego argumenty. Ale gdy skończyłem moje wywody, Miss West zapytała, czy realisci, czasami, tak się nie płaczą w swych definicjach, jak zwykli śmiertelnicy, którzy operują zwykłymi życiowymi komunałami.

Oto, pomyślałem, przeciętna młoda kobieta, która nigdy nie suszyła sobie głowy problematami. Po raz pierwszy w życiu spotykając się z sofistyką filozofów, usuwa ze swej drogi ten cały balast jednym machnięciem ręki.

— Czy pani wierzy w Boga? — zapytałem znienacka.

Opuściła robótkę na kolana, spojrzała na mnie w zamyśleniu, wybiegła wzrokiem na roziskrzone morze, dalej, aż po lazurową kopułę niebios. Odpowiedziała typowo kobiecym wykrętem:

— Papa wierzy..

— Ale pani?

— Ja, doprawdy, nie wiem. Nie zaprzętałem sobie głowy takimi rzeczami. Myślałam o Bogu, gdy byłam dzieckiem. A teraz... tak naturalnie wierzę w Boga. Nie myśląc o Nim. tak głęboko wierzę w Jego istnienie, jak ten pański przyjaciel, Żyd wierzy w swoje formuły filozoficzne. Wszystko w tych sprawach sprowadza się — do wiary. Ale, powtarzam, poco rozmyślać nad tym?

— Ah, mam panią teraz, Miss West! — zawołałem. — Pani jest prawdziwą córą Herodiady.

— To nie brzmi zachęcająco — powiedziała z minką niezadowoloną.

— Bo i nie jest rzeczywiście zachęcające — triumfowałem. — A jednak córką Herodiady jest pani niezawodnie. To poemat Artura Symonsa „Córy Herodiady”. Przeczytam go pani kiedy i wówczas sama pani powie. Wiem z góry, co pani mi odpowie. Powie — pani — i ja również często patrzyłam w gwiazdy.

Zaczęliśmy mówić o muzyce i w tej dziedzinie Miss West zdradzała zdumiewająco rozległe wiadomości. Mówiła właśnie o Debussy, gdy Possum przerwał nam frenetycznym szczekaniem.

Zawędrowawszy z rufy na śródokręcie, szczeniak kręcił się koło kur. Nagle skoczył. Widząc, że z nim się dzieje coś niedobrego, wstaliśmy oboje. Puścił się ku nam w dół pomostu z szybkością strzały, odwracając pysk za każdym szczeknięciem w stronę śródokręcia.

Ozwałem się do niego i wyciągnąłem rękę, ale klapnął tak złośliwie zębami, że omal mnie nie zadrasnął i potoczył się jak kula dalej po rufie. Nim zdążyłem się zorientować, co się właściwie z nim dzieje, już Mr. Pike i Miss West biegli za nim. Pierwszy oficer dał ogromnego susa i dopadł burty na czas, by ocalić Possuma. Potężnym kopnięciem wyrzucił go na środek pokładu w chwili, gdy wylatywał już niemal z pod prętów balustrady nadburcia. Wyjąc i klapiąc zębami jeszcze gwałtowniej szczeniak dźwignął się niezgrabnie i zatoczył ku przeciwnej burcie.

— Niech pani go zostawi! — krzyknął Mr. Pike, gdy Miss West próbowała chwycić oszalałe zwierzątko. — Niech pani go zostawi. Dostał kręćka.

Ale, nie zważając na Mr. Pika, Miss West schwytała! szczenię w połowie drogi do balustrady i trzymała go od siebie na długość ramienia. Wił się w jej ręku, i wył, i szczekał.

— Typowy napad kręćka — powiedział Mr. Pike, gdy pies osunął się na pokład i drgał konwulsyjnie.

— Może go kura dzióbnęła — powiedziała Miss West. — Mniejsza o to, proszę o wiadro wody.

— Lepiej niech mi pani da go zabrać — zaproponowałem choć czułem sidy n bezradny, nie znając się na psiej kołowaciźnie.

— Nie, już jest dobrze — odpowiedziała. — Zajmę się nim. Trzeba go zlać zimną wodą. Podszedł za blisko do kojca i dziobnięcie w nos go tak przestraszyło.

— Pierwszy raz widziałem, by pies w taki sposób dostawał kręćka — zauważył Mr. Pike, zlewając szczeniaka wodą stosownie do wskazówek Miss West. — Szczeniaki na morzu zawsze przez to przechodzą.

— A mnie się zdaje, że to żagle tak go przestraszyły — oponowałem. — Nieraz zauważyłem, że się ich bardzo boi. Za każdym trzepnięciem żagli, przysiada na łapach i rzuca się do ucieczki. Czy zauważyliście państwo, jak uciekał z głową odwróconą w tył.

— Psy kołowate zawsze tak biegną, choćby ich nic nie nastraszyło — twierdził Mr. Pike.

— Przestraszył się, czy nie, dość, że dostał kręćka — Miss West zadecydowała. A to dlatego, że jest źle karmiony. Odtąd będę go sama karmiła. Niech pan to zapowie swemu boyowi, Mr. Pathurst. Nikomu nie wolno nic dawać Possumowi bez mego pozwolenia.

Na tym stanęło. Wada zjawił się z pudłem, w którym Possum sypiał. Miss West kazała mu zabrać Possuma do kajuty.

— Wspaniale pani go schwytała, Miss West — ozwał się — szybko i pewnie. Nie próbuję nawet pani dziękować. Ale, proszę, niech pani go weźmie. Odtąd to już pies pani.

Zaśmiała się i potrząsnęła głową. Byliśmy w drzwiach strażnicy, które przed nią otwierałem, puszczając ją naprzód.

— Nie chcę, ale biorę go pod opiekę. *Zbyteczne*, aby pan schodził do kajuty. To moja rzecz, a pan by mi tylko przeszkadzał. Wada mi pomoże.

Wróciwszy na szeszląg, zdumiony byłem... jak się ta błahostką przejąłem. Krew żywiej krążyła mi w żyłach i puls miałem przyspieszony. Leżąc na szeszlangu i paląc papierosa, odbyłem w duchu rewiew wydarzeń tej dziwnej podróży. Dzieją się ciągle rzeczy dziwnie nie na żarty. Rozmawiam z Miss West o filozofii i sztuce na rufie pięknego okrętu w kolisku roziskrzonego morza podczas, gdy Kapitan West marzy o swej dalekiej ojczyźnie; Mr. Pike i Mr. Mellaire stoją wachtę po wachcie, warcząc rozkazy; niewolnicy morza harują, ciągną i luzują; Possum dostaje kręćka; Andy Fay i Mulligan Jacobs aż schną i kurczą się od wewnętrznego ognia nienawiści; Chińczyk o zdumiewająco małych rękach gotuje dla wszystkich; Sundry Buyers ustawicznie uciska brzuch rękoma; O'Sullivan szaleje w stalowej celi kajuty śródokrętowej; Charles Davis, leżąc w koi nad nim, nie popuszcza żagielnego ćwieka z ręki, a mile za nami zwłoki Christiana Jespersena spoczywają na dnie oceanu z worem węgla u nóg.

## ROZDZIAŁ XVII

Minęły niepostrzeżenie dwa tygodnie wędrówki po gładkim morzu pod niebem poplamionym tu i ówdzie chmurami. Sunęliśmy spokojnie przez cały ten czas z przeciętną szybkością ośmiu węzłów pod lekką, na ogół wschodnią morką. Kapitan West jest przekonany, że to północno-wschodni passat nas niesie. Dowiedziałem się również, że Elsynora, aby uniknąć niebezpieczeństwa rozbicia na Przylądku SanRoque na Brazylijskim wybrzeżu, musi najpierw przebić się na wschód niemal do brzegów Afryki. Czasami, gdy okręty idą tym kursem, ukazują się im Cape Verde. Nie dziw, że podróż z Baltimory do Seattle obliczają, na osiemnaście tysięcy mil.

Dziś rano, wyszedłszy na pokład, zastałem Tony — samobójcę u steru. Zachowywał się zupełnie rozsądnie i uklonił się, gdy mu powiedziałem dzieńdobry. Chorzy przychodzą szybko do zdrowia, prócz O'Sullivan'a i Davisa. Furiat wciąż jest przywiązany do koi, a Mr. Pike zmusił Davisa do pielęgnowania go. W rezultacie Davis ukazuje się na pokładzie, nosi strawę i wodę z kambuza i każdemu, kogo spotka, opowiada o swych nieszczęściach.

Wada dziwną rzecz mi dziś opowiadał. Zdaje się, że stiuard, dwaj żagielnicy i on schodzą się co wieczór w kabinie koka — sami Azjaci — i dzielą się informacjami. Nieomal nic z tego, co dzieje się na okręcie, nie uchodzi ich skośnych oczu. Wada z kolei przynosi mnie te plotki. Ostatniego wieczoru przedmiotem ich rozpraw było dziwne zachowywanie się Mr. Mellaire. Dziwnie intymne stosunki zdają się łączyć go z bosmanmatami z kasztelu i to się Azjatom bardzo nie podoba.

— Ależ, Wada — odparłem — Mr. Mellaire to zupełnie nie ten rodzaj człowieka. Jest surowy i bardzo szorstki dla marynarzy. Pomiata nimi jak psami. Wiecie o tym dobrze.

— Prawda — przyznał Wada. — Druga marynarz on pomiatać. Ale ta trójka zła człowiek on być przyjaciel. Louis mówić ta druga oficer należeć do kajuty, tak samo jak pierwsza oficer i kapitan. Nie dobrze dla druga oficer mówić z marynarz jak przyjaciel. Nie dobrze dla okręt. Wiele złego. Pan zobaczyć. Louis mówić mr. Mellaire być szalona, on trzymać taka dziwna przyjaźń.

Wszystko to razem wzięwszy — a dlaczegóż by ostatecznie nie miało tak być, jak mówił — wydało mi się podejrzanе i skłoniło mnie do bliższego przyjrzenia się tej sprawie. Rzeczy, o ile mi się zdaje, stoją w ten sposób, że bosmanmacy, Kid Twist, Nosey Murphy i Bert Rhine zawarli przymierze i zrobili się gospodarzami w kasztelu, steroryzowawszy wszystkich innych jego mieszkańców. A potrafią to znakomicie. Mają za sobą praktykę, odbytą w przestępnych norach New-Jorku. Łatwo im przychodzi ujarzmianie cherlaków i matolek, którym przewodzą. Na ile mogłem wywnioskować z opowiadania Wady zabrali się najpierw do dwóch Włochów, z tejże, co i oni, wachty, Guidona Bombini i Mika Cipriani. Wkrótce, nie wiadomo nawet w jaki sposób, zrobili sobie z nich powolnych na każde skinienie niewolników. Ostatniej nocy Bert Rhine zmusił Bombiniego, by wstał z koi i przyniósł mu wody.

Izaak Chantz jest również pod ich komendą, choć traktują go mniej surowo. Herman Lunkenheimer, dobroduszny dryblas, Niemiec z pochodzenia, został przez bosmanmatów dotkliwie pobity za odmowę wyprania Noseyowi Murphy brudnej bielizny. Obaj bosmani drżą przed tą kliką, która powiększa się stale. Steve Roberts, cow-boy, i Artur Deacon, handlarz żywym towarem, zostali przyjęci do godnego grona.

Ja jeden ze wszystkich mieszkańców kajuty posiadam te cenne informacje i, przyznam się, nie wiem, co za użytek z nich zrobić. Mr. Pike, gdybym mu je powtórzył, powiedziałby na pewno, że to do mnie nie należy. O zdradzeniu się przed Mr. Mellaire nie może być naturalnie mowy. Kapitan



West nie ma załogi wcale. Poza tym zdają sobie sprawę, że w każdym kasztelu jest jakiś tyran, albo banda tyranów, a więc to wewnętrzna sprawa marynarzy i kajucie nic do tego. Praca na okręcie na tej tyranii nie cierpi. Cierpią, wnoszę, tylko ci, którzy popadli pod jarzmo hultajskiej trójki.

Jeszcze o jednym przywileju bosmanmatów poinformował mnie Wada. Wybierają sobie najlepsze porcje peklowiny zaraz po przyniesieniu posiłku do kasztelu. Resztę dopiero dzielą między sobą pozostali. Ale wypada zaznaczyć, że wbrew moim przewidywaniom, mieszkańcy kasztelu dobrze są odżywiani. Nie żywi się ich siekaniną, mają wszystko, co im potrzeba. Baryłka z solonym mięsem stoi zawsze otworem w kasztelu. Louis wypieka chleb dla marynarzy trzy razy tygodniowo. Menu mają urozmaicone, choć składające się z prostych potraw. Wodę do picia wydaje się bez ograniczeń. Przy panującej od dłuższego czasu pogodzie, znać na marynarzach poprawę z każdym dniem.

Possum jest bardzo chory. Staje się coraz chudszy i chudszy. Został z niego ledwie szkielet, tak osłabł, że biegać nie może. Co dzień, korzystając z pogody, Miss West każe Wadzie wynosić na rufę szczenię wraz z całym jego pudłem i umieszczać w zacisznym, zasłoniętym od wiatru miejscu. Miss West wzięła Possuma całkowicie pod swoje skrzydła i w nocy nawet trzyma go w swych kabinach. Zastałem ją wczoraj w strażnicy, wertującą medyczne dzieła Elsynory. Później robiła porządek w apteczce. Pochłonięta jest ustawicznie sprawami życiowymi, kwestią urzędzenia i ochrony życia.

A jednocześnie — co mnie zdumiewa — nie zdradza najmniejszego zainteresowania chorymi i rannymi na przodzie statku. Są dla niej byłem pociągowym, a nawet mniej, niż byłem. Wyobrażałem ją sobie w charakterze samarytanki, odwiedzającą regularnie widmowy szpital ze stali na śródookręciu i rozdzielającą hojnie pożywki, uśmiechy i inne dary Boże. Ale pod tym względem Miss West zadaje kłam swojej naturze. Jak i dla jej ojca, nieszczęścia z kasztelu dla niej nie istnieją.

Z drugiej strony, gdy stiuard wbił sobie drzazgę pod paznokiec, zajęła się nim bardzo energicznie i, manipulując szczypcami, wyciągnęła mu ją bezzwłocznie. Elsynora przypomina plantację amerykańską z przed wojny Południowych i Północnych Stanów. Miss West jest panią na tej plantacji i dba jedynie o niewolników domowych. Niewolnicy z pola są poza sferą jej uwagi i działalności, marynarze zaś — to dla niej niewolnicy z pola. Gdy przed paru dniami Wada miał silny ból głowy, przepisała mu i wydała aspirynę. W twardej szkole morza wychowała się i inną już być nie umie.

Korzystając z pięknej pogody, co drugi wieczór słuchamy fonografu. Co drugi dzień Mr. Pike ma wolną wieczorną wachtę i już przy obiedzie nie jest w stanie ukryć chęci urządzenia fonograficznego koncertu. A mimo to za każdym razem czeka, aż sami go poprosimy. Wówczas cała jego skamieniała twarz, choć rysy jej nie łagodnieją, rozjaśnia się jak gdyby od wewnętrznego światła. Oświadcza krótko i szorstko, że może założyć parę płyt. I warto wówczas obserwować Mr. Pike — tego poganiacza i dozorcę niewolników. Z pietyzmem bierze w goryle swe łapy z poobijanymi kostkami swe ukochane kręgi, pieści je każdym dotknięciem, zachwyca się płynącą z nich muzyką i, jak to powiedział w pierwszych dniach podróży, wierzy w Boga.

Życie na Elsynorze to łańcuch nieprzeciętnych, nieznanych mi dotąd wrażeń. Wydaje mi się, że spędziłem na tym okręcie już całe miesiące, a przecie nie mogę się w tym nowym życiu zorientować. Moja myśl ciągle przebiega od rzeczy niezrozumiałych do niepojętych, waha się od bieguna do bieguna, od Kapitana Samuraja z cudownym głosem Archanioła Gabriela, odzywającym się tylko w tumultie i rozgrzmocie burzy, do zmaltretowanego, matołkowatego fauna z błyszczącymi, pełnymi płynnego ognia i cierpienia oczami, do trzech bosmanmatów, rządzących w kasztelu i uwodzących drugiego oficera, do bełkocącego bez przerwy O'Sullivan w stalowym pudle i Davisa, nie wypuszczającego ćwieka żagielnego z ręki, i do Christiana Jaspersena, gdzieś tam w otchłani oceanu z worem węgla u nóg. W takich chwilach życie na Elsynorze staje się tak nierealne, jak nierealnym

jest życie dla filozofa.

Jestem filozofem i dlatego życie dla mnie jest nierealne. Ale czy jest ono nierealne dla Mr. Pika i Mr. Mellaire? — dla obłąkanych i idiotów? — dla reszty głupiego stada na przodzie? Przypomina mi się rozumowanie De Casseres. Było to przy winie u Mouquina. Powiedział on: — Najgłębiej zakorzenionym w człowieku instynktem jest instynkt walki z prawdą, to znaczy przeciwko Rzeczywistości. Człowiek od dzieciństwa ucieka od faktów. Życie jego jest ustawicznym wykrętem. Cuda, chimery i nadzieje na dzień jutrzejszy trzymają go przy życiu. Żywi się fikcją i mitami. To Kłamstwo go oswobadza. Tylko zwierzętom dane jest podnosić zasłonę Izdy; ludziom brak odwagi. Zwierzę na jawie nie może uciec przed Rzeczywistością, bo nie ma wyobrażeń. Człowiek na jawie, jest zmuszony do szukania ustawicznej ucieczki w dziedzinie Nadziei, Wiary, Bajki, Sztuki, Boga, Socjalizmu, Nieśmiertelności, Alkoholu, Miłości. Od Prawdy - Meduzy apeluje do Życia-Maji.

Ben potwierdzić może, że uczciwie go zacytowałem. Dalej przyszło mi na myśl, że dla wszystkich tych niewolników Elsynory Rzeczywistość jest realna, ponieważ fikcyjnie uciekają od niej. Pewien jestem, że wszyscy razem i każdy z osobna mniema się wolnym, działającym z własnej woli czynnikiem. Dla mnie Rzeczywistość nie jest realna, gdyż zdarłem z niej zasłonę fikcji i mitów. Ja, nadrealista, jestem jedynym nierealistą na Elsynorze.

Ciekawym, co praktyczna, prostolinijna Miss West powiedziała by o tych moich spekulacjach filozoficznych. Koniec końców słowa są. to pułapki. Nie wiem dokładnie, co wiem, ani co myślę.

Jedno jest pewne — nie mogę się zorientować. Jestem najbłędniejszą, kroczącą najbardziej po omacku istotą na Elsynorze. Zaczynam podziwiać Miss West, dlaczego, nie wiem, chyba, że jest tak obrzydliwie zdrowa. A przecie właśnie to jej zdrowie, ten brak wszelkiej przymieszki geniuszu, a więc produktu degeneracji, sprawia, że nie może się ona Wzniesć na wyżyny, nie ma skrzydeł... na przykład, w muzyce.

Od czasu do czasu wracam do kabiny, by posłuchać jej gry. Fortepian jest dobry, a Miss West ma doskonałe uderzenie. Ku memu wielkiemu zdziwieniu dowiaduję się, że jest absolwentką z Bryn Maur, a jej ojciec uzyskał przed laty stopień od starego Boudoina. A jednak czegoś brak w jej muzyce.

Ma mistrzowskie uderzenie, silne i ważne jak mężczyzna — ma siłę, której brakuje większości kobiet i z której braku niektóre z nich tylko zdają sobie sprawę. Błędów sobie nie darowuje i dotąd ćwiczy, póki trudności technicznej nie pokona. A szybko się z nimi załatwia.

Jest pewnego rodzaju temperament w jej grze, ale nie ma sentymentu, nie ma ognia. Gdy gra Chopina, oddaje jego precyzję. Opanowała technikę chopinowską, ale nigdy z nim nie wznosi się na wyżyny. Zatrzymuje się tam, gdzie zaczyna się pełnia jego muzyki.

Lubię jej sposób interpretacji Brahmsa. Na moją prośbę odegrała raz po raz Trzy Rapsodie. W Trzecim Intermezzo osiągnęła poziom najwyższy, a był to wysoki poziom wirtuozostwa.

— Mówiliśmy o Debussy — zauważyła. — Mam go tu; ale nie mogę go rozgryźć. Nie rozumiem go i czuję, że wszelkie próby zrozumienia byłyby bezużyteczne. Nie może mnie porwać, jak ja go nie mogę uchwycić.

— A jednak lubi pani Mac Dowella — odparłem zaczepnie.

— Tt...ak — przyznała niechętnie. — Jego New England i Opowieści z Fireside. I lubię tego Finlandczyka Sibeliusa, choć dla mnie za miękki, za rozlewnie miękki, za piękny, jeżeli tak można się wyrazić. Zanadto przesycony.

Co za szkoda, myślałem, że mając to szlachetne, męskie uderzenie, nie, zdaje sobie sprawy z głębi muzyki. Zamknawszy oczy, dałbym głowę, że to palce mężczyzny wprawiają w ruch klawisze wspaniałego fortepianu Elsynory. A jednak im dłużej gra, tym bardziej mnie denerwuje. Ciągłe

spotyka mnie zawód. Już, już zdaje się osiągać szczyt wirtuozostwa i nie dociąga o włos. Właśnie, gdy w nieznośnym napięciu nerwów oczekuję wznoszenia i olśnienia, częstuje mnie jeszcze doskonalszą, niżli dotąd, techniką. Jest zimna. Z natury rzeczy musi być zimna... gdyż jest tak na wskroś zdrowa.

Koniecznie muszę jej przeczytać poemat „Córy Herodiady”.

# ROZDZIAŁ XVIII

Czy kto odbywał kiedy taką podróż? Dziś rano, wyszedłszy na pokład, nie zastałem nikogo u steru. Proszę sobie tylko wyobrazić! Wielka Elsynora, żeglująca przy wietrze, pod spiętrzoną ku niebu górą żagli, wśród których nie brakowało ani trajsli, ani bezań-żagla, sunącą po morzu, gładzonym skrzydłem passatu — i nikogo u steru. Bez sternika. Nikt okrętu nie prowadził.

Nikogo również na rufie. Była to wachta Mr. Pika i poszedłem wzdłuż pomostu na jego poszukiwanie. Znalazłem go na luce Nr. 1, udzielającego jakichś wskazówek żaglownikom. Poczekiałem spokojnie, póki nie podniósł oczu na pomost i nie powitał mnie.

— Dzień dobry — odpowiedziałem. — A kto jest teraz u steru?

— Grek, Tony — odpowiedział.

— Załóżmy się, o co pan chce, że go tam nie ma — zaproponowałem.

Oczy Mr. Pikowi błysnęły.

— Kto jest u steru?

— Nie ma nikogo — odpowiedziałem.

Jakże on skoczył! Bez śladu starczego pociągania nogą biegł w górę pokładu tak szybko, że nikt na okręcie nie zdołałby go dogonić. W paru susach przebył trap rufy i znikł w kierunku sterowego koła poza strażnicą.

W następnej chwili ozwał się jego głos tubalny. Skądś posypał się na marynarzy grad rozkazów. Cała wachta luzowała bezań-brasy z prawej strony i wyciągała bezań-brasy z lewej. Znałem już ten manewr. Mr. Pike zmieniał hals.

Gdy wracałem na pomost w drzwiach kajuty ukazali się cieśla i Mr. Mellaire. Zerwali się widać od śniadania, bo ocierali jeszcze usta. Mr. Pike podbiegł do zrębu rufy i rzucił z góry. rozkaz drugiemu oficerowi, który skierował się na przód okrętu, kazać cieśli stanąć u steru.

Kiedy Elsynora wykonała wiraż, Mr. Pike zawrócił ją na szlak przebyty. Odjął od oczu lornetkę, przez którą omiatał morze, i wskazał w głąb luki, prowadzącej do wielkiej tylnej kajuty pod pomostem rufy. Drabiny w luce nie było.

— Musiał *zabrać* z sobą drabinę lazaretową — powiedział Mr. Pike.

Ze strażnicy, nie spiesząc się, wyszedł Kapitan West. Powiedział każdemu z nas dzieńdobry w zwykły sposób, a zatem mnie uprzejmie, a sztywno — Mr. Pikowi. Poszedł wzdłuż do szafki kompasowej, spojrział na różę wiatrów kompasu, zawrócił i spacerowym krokiem zbliżył się do zrębu rufy. Znowu zawrócił ku nam. Pomilczał dłuższą jeszcze chwilę.

— Co się stało, Mr. Pike? Człowiek w morzu?

— Tak, sir — brzmiała odpowiedź.

— I zabrał z sobą drabinę lazaretową? — rozpytywał kapitan West.

— Tak, sir. To Grek, który wyskoczył już raz za burtę w Baltimorze.

Najwidoczniej sprawa była zbyt małej wagi, by w Kapitanie West przebudził się Samuraj. Zapalił cygaro i pospacerował dalej. A przecie nic nie uszło jego uwagi, nawet zniknięcie drabiny.

Mr. Pike wysłał wartowników na top-reje. Elsynora sunęła po gładkim morzu. Miss West wyszła na pokład i stanęła poza mną. Podczas, gdy opowiadałem jej o wypadku, omiatała morze swymi szarymi oczyma. Nie zdradzała najmniejszego podniecenia i upewniała mnie, że niełatwo pozbyć się człowieka, cierpiącego na ten rodzaj manii samobójczej, co Tony.

— Zawsze dostaje ataku podczas pogody — mówiła z uśmiechem — i przy okolicznościach,

umożliwiających ratunek, kiedy, na przykład można spuścić łódź, lub holownik jest u burty. A czasami zabierają nawet jakie pławy, jak Tony tym razem.

Nie upłynęło i godziny, gdy Mr. Pike przebrasował znów reje na przeciwny hals i skierował *Elsynorę* po szlaku, którym szła, gdy Grek z niej uciekł. Kapitan West spacerował i palił cygara, a Miss West udała się do kajuty, bo zapomniała udzielić Wadzie jakichś wskazówek, dotyczących szacownej osoby Possuma. Andy Fay został wywołany do steru, a cieśla zwolniony, by mógł dokończyć śniadania.

Zdumiewała mnie nieczułość tych ludzi. Nikt nie zdawał się przejmować losem człowieka, zagubionego gdzieś na oceanie. Jednakże robili wszystko, co było w ich mocy, aby go *znaleźć*. Zamieniłem parę słów z Mr. Pikiem. Był zirytowany, że tracą drogi czas na poszukiwania.

Mr. Mellaire z innego punktu widzenia zapatrywał się na tę sprawę.

— Daje się nam we znaki brak ludzi — powiedział do mnie przy pierwszym spotkaniu na rufie. — Trudno się nam pogodzić z utratą tego człowieka, choć to wariat. Potrzebny jest. To dobry marynarz, gdy nie wariuje.

Okrzyk nadleciał z bezań-top-rei. Małtyjczyk pierwszy wypatrzył w morzu człowieka. Pierwszy oficer, który patrzył ku nawietrznej, nagle odjął szkła od oczu, przestawił je z wyrazem zdumienia na twarzy i znów je do oczu *przyłożył*. Potem Miss West, która również stała z lornetką w ręku wydała okrzyk zdumienia i zaczęła się śmiać.

— Co pani widzi, Miss West — spytał pierwszy oficer.

— Nie zdaje się być w wodzie. Stoi na nogach. Mr. Pike skinął głową.

— Stoi na drabinie — powiedział. — Zapomniałem o tym. Z początku nie wierzyłem własnym oczom. Nie mogłem zrozumieć, jak to być może. — Odwrócił się do drugiego oficera. — Mr. Mellaire, spuści pan szalupę i obsadzi ją załogą, a ja tymczasem obrócę wielką reję. Sam schodzę do łodzi. Niech pan zbierze ludzi, zdatnych do wiosła.

— Niech pan się z nimi zabierze — powiedziała mi Miss West. To doskonała dla pana sposobność wydostania się z *Elsynory* i zobaczenia jej pod wszystkimi żaglami.

Mr. Pike skinął głową na znak przyzwolenia. Niebawem znalazłem się w szalupie tuż przy Mr. Piku, który sterował. Pół tuzina marynarzy wiosłowało i posuwaliśmy się rażno ku samobójcy, który w tak niepojęty sposób zdawał się stać na powierzchni morza. Małtyjczyk pierwszy u wiosła nadawał tempo, a wśród pozostałych pięciu ludzi załogi był jeden, którego dotąd nie znałem z nazwiska, Ditman Olanssem, Norweg. Mr. Mellaire, do którego wachty człowiek ten należał, mówił mi o nim, że to dobry marynarz, choć „widzi czerwono”. Gdy zaintrygowany spytałem go, co to znaczy, wyjaśnił, że to człowiek wpadający we wściekłą pasję z lada powodu, a nigdy nie da się przewidzieć . co pasję u niego może wywołać. Zrozumiałem, że to typ Berserkerka. Dłuższą chwilę przyglądałem mu się, gdy pracował u wiosła. Jego jasno-niebieskie duże oczy miały wyraz wolej tępoty. Nigdy nie przypuściłbym, żeby człowiek z takimi oczami mógł wpadać w Berserkerowską furję.

Gdy zbliżyliśmy się do Greka, zaczął bluzgać ku nam stekiem groźb i potrząsać nożem. Pod jego ciężarem drabina siedziała głęboko w wodzie, która mu do kolan sięgała, i na tym zanurzonym fundamencie balansował, wyrzucając dziko ramionami. Przykro było patrzeć na tego człowieka z istną mordą rozwścieczonej małpy. Nóż w ręku furiata mógł być niebezpieczny i zachodziłem w głowę, jak Mr. Pike zamierza go ocalić.

Ale nie doceniałem Mr. Pika. Wydostał bosak z pod nóg Małtyjczyka i położył go sobie pod ręką. Potem kazał wiosłarzom kontrować i rufą zjeżdżać na Greka. Trzymając się za dosięgłem noża, Mr. Pike upatrzył chwilę, kiedy fala podbiła rufę szalupy wysoko, a Tony zapadł się nisko w bródę

między falami. I jeszcze raz się przekonałem z jak błyskawiczną szybkością ten stary człowiek, któremu niebawem miał stuknąć siódmy krzyżyk, władał sobą i z jaką działał precyzją; w tempie ruchu fali, bosak spadł na głowę Greka. Nóż wpadł w morze, a za nim i jego właściciel, którego uderzenie w głowę pozbawiło przytomności. Mr. Pike, rzekłbyś, wyczerpnął go z morza i, na oko bez wysiłku rzucił bezwładny kształt ludzki na dno łodzi u samych moich nóg.

W następnej chwili marynarze nalegli na wiosła i pomknęliśmy ku **Elsynorze**. Potężny to był cios, który Mr. Pike zadał furiatowi. Sznurki krwi sączyły mu się po twarzy ze sklejonych mokrych włosów. Patrzyłem w zamyśleniu na bryłę nieprzytomnego mięsa, ociekającą u moich nóg. Człowiek ten, pełen ruchu i życia, wyzywający cały świat do walki, nagle wtrącony został w bezruch, ciemność i pustkę śmierci. Dokonano tej operacji tak po prostu, za pomocą zwykłego kija, który spadł na jego ludzką czaszkę. Fakt zastanawiający dla filozofa.

Tony, Grek, istniał, teraz przepadł. Gdzież on przepada? A cóż się stanie, gdy powróci do swego ciała, gdy z powrotem w nim zamieszka, to jest, gdy odzyska przytomność? Zarówno fala, jak i omega o fenomenach osobowości i świadomości nie zostały wypowiedziane przez psychologów.

Gdy tak rozmyślałem, zdarzyło mi się podnieść oczy i już ich nie mogłem oderwać od wspaniałej sylwetki Elsynory. Tyle czasu już byłem na tym okręcie i zapomniałem, że jest biało malowany. Tak głęboko siedział w wodzie, taką miał smukłą linię, że olbrzymie rozpięcie jego płacht żagielnych na wysokich, niebotycznych masztach zdawało się niemożliwe, niedorzeczne, zdawało się zadawać kłam prawu ciężenia. Nie bez wysiłku myśli mogłem sobie uprzytomnić, że ten kadłub o smukłej linii dźwigał pięć tysięcy ton węgla ponad dnem oceanu. A także wydało mi się cudem, że takie drobne żdźbła, mole, jak ludzie, potrafiły wymyśleć i skonstruować tak piękną wspaniałą i urągającą żywiołom nawę — mole ludzkie, nieszczęsne mole, jak Grek u mych nóg, które mogą być w każdej chwili strącone w ciemność zapomocą prostego uderzenia kijem po czaszce.

Tony zacharczał z głębi piersi, zakaszał i jęknął. Skądś się znów na ten świat pojawiał. Mr. Pike obrzucił go szybkim spojrzeniem, jakby się obawiał, że porwie się do nowych szaleństw i znów trzeba będzie użyć bosaka. Ale Tony tylko zamrugał powiekami, przez dobrą minutę jego duże czarne oczy zgoła bez zrozumienia były we mnie utkwione aż się zamknęły.

— Co pan z nim robi? — spytałem pierwszego oficera.

— A cóż, zagonię go do roboty — brzmiała odpowiedź. — Dobry jest tylko do roboty. Ktoś musi pracować na okręcie, jeżeli mamy przylądek Horn opłynąć.

Gdy łódź whissowano, Miss West już na pokładzie nie było. Zeszła do kajuty. W strażnicy Kapitan West nakręcał chronometry. Mr. Mellaire również poszedł się przespać z godzinę, lub dwie przed swą wachtą, którą miał od południa. Zapomniałem powiedzieć, że Mr. Mellaire nie sypiał w kajucie, tylko na śródokręciu.

Nikt nie okazał współczucia dla nieszczęsnego Greka. Został on przywiązany na luce Nr. 2, porzucony bez wszelkiej pomocy, nie jak człowiek, nie jak bydłę nawet, ale na kształt jakiejś padliny. Ba, ja sam tak dalece się przystosowałem do otoczenia, że nie czułem już dla niego sympatii. Przed oczami stała mi cudowna wizja Elsynory. Człowiek staje się nieczuły na morzu.

# ROZDZIAŁ XIX

Co za upajający wiatr nas niesie! Żeglujemy, jak na skrzydłach. Już od dłuższego czasu trzymamy się pod północno-wschodnim passatem. Mile za milami rejestruje nasz log za balustradą tylnej burty, kręci się i kręci, i brząka. Wczoraj zarówno wedle logu, jak i wedle obserwacji przebyliśmy około dwustu pięćdziesięciu dwóch mil, onegdaj — dwieście czterdzieści, a jeszcze w przeddzień — dwieście sześćdziesiąt jedną milę. Mimo to człowiek nie zdaje sobie sprawy z siły tego wiatru. Jest on balsamiczny i upajający jak atmosferyczne wino. I nie ziębi i nie przejmuję dreszczem, bynajmniej. Rozkosz mi sprawia pić go płucami, kąpać się w nim całym ciałem. O pierwszej lepszej godzinie nocy, gdy cała kajuta śpi, odkładam książkę i wychodzę na rufę w najcieńszej z moich podzwrotnikowych pydżam.

Nie wiedziałem dotąd, co to passat. A teraz jestem odurzony. W dół i w górę pokładu spaceruję z jednym z oficerów, z tym, który ma wachtę. Mr. Mellaire jest zawsze całkowicie ubrany, ale Mr. Pike w te rozkoszne noce wachtę swą po północy stoi w pydżamie. Jest tak przerażająco muskularny. Wydaje mi się niepodobieństwem, by miał sześćdziesiąt dziewięć lat, gdy paraduje w tym ubiorze, przylegającym jak trykoty do posągowego jego ciała; widać w całej okazałości jego potężne mięśnie i grube kości. Wspaniały z niego kawał mężczyzny. Jakim więc być musiał w kulminacyjnym okresie swego życia, ze dwadzieścia, trzydzieści lat temu!

Dnie, wypełnione rutyną okrętowego życia przechodzą, jak we śnie. Tu na okręcie, gdzie wachta zmienia się co cztery godziny, jakby odcinając równe pasma czasu, gdzie co pół godziny, aby, snadź, dobitniej je w świadomości ludzkiej odmierzyć, bije okrętowy dzwon na dziobie i na rufie, czas istnieć przestaje. Dnie zlewają się z dniami, tygodnie z tygodniami i ja, na przykład, nie jestem w stanie zapamiętać ani dnia, ani tygodnia, ani miesiąca, w ogóle żadnej daty.

**Elsynora** nigdy nie śpi. Dzień i noc dyżurują na niej wachtę, na przedzie kasztelu stoi zawsze wartownik „na oku”, marynarz stoi u steru, a oficer na pomoście. Leżąc w mej koi, znajdującej się po nawietrznej stronie, nad głową moją ustawicznie w ciągu dłużących się nieznośnie nocnych godzin, słyszę kroki jednego, lub drugiego oficera, wyobrażam go sobie wówczas tak dokładnie, jakbym był na pomoście, widzę go oczyma wyobraźni wpatrującego się w noc ze zrębu rufy ku przodowi okrętu, rzucającego okiem na różę wiatrów w szafce kompasowej, nadstawiającego policzek na wiatr, by wyczuć i wymierzyć jego siłę i kierunek, lub obserwującego chmury, ich rodzaj i gęstość, w przelocie poprzez księżyc i gwiazdy.

Ostatniej nocy, a ściślej mówiąc dzisiejszego ranka, około drugiej po północy, gdy leżałem z książką w ręku, a litery rozpląwały mi się przed oczyma skoczyłem na łóżko, obudzony nagłym wybuchem Mr. Pika. Musiał on tkwić gdzieś u balustrady pomostu, a człowiekiem, na którego rzucał gromy był Larry, znajdujący się tuż pod nim na głównym pokładzie. Co się właściwie stało dowiedziałem się dopiero, kiedy Wada przyniósł mi śniadanie.

Płaskonosy Larry z twarzą małpią i żalonymi, kłótliwymi oczami szympansa pozwolił sobie na zuchwałą jakąś uwagę w przekonaniu, że w ciemnościach panujących na głównym pokładzie, Mr. Pike go nie pozna. Wówczas to zadudnił potężny głos pierwszego oficera. Na to nieszczęsny Larry, nawpół diabeł, a nawpół ulicznik, w ataku szewskiej pasji, odkrzyknął coś jeszcze bezwstydniejszego, niżli za pierwszym swym odezwaniem się. W mgnieniu oka Mr. Pi-

ke spadł na niego jak huragan, nałożył mu na ręce menotki, łańcuszek od nich owijając koło jednej z lin bezań - masztu. W ten sposób Larry został przykuty do olinowania.

Pewien byłem, że wywierając swą złość na Larrym, Mr. Pike miał na myśli godną trójkę, Kida Twista Noseya Murphy i Berta Rhina, którzy tkwili poza Larrym. Byłoby absurdem przypuszczać, że pierwszy oficer boi się bosmanmatów. Przypuszczam, że uczucie strachu w ogóle jest mu obce. Z drugiej strony jednak bije w oczy, że Mr. Pike uważa tych ludzi za źródło niepokojów na okręcie i spodziewa się po nich najgorszych rzeczy. Dlatego też chciał dać przykład na Larrym.

Z godzinę wszystkiego stał Larry na łańcuchu; w coraz większą wprawiając się furie, wyzbył się wreszcie wszelkiego strachu i zaczął ryczeć, by Mr. Pike nie krył się na rufie i stanął z nim do uczciwej rozprawy na pięści. Natychmiast oficer znalazł się na pokładzie z kluczem od menotek w rękę. Było to oczywiste szaleństwo ze strony Larry'ego, bo nie miał, przecie, najmniejszych szans w walce z tym osiwiąłym w ciągłych bójkach olbrzymem. Wada twierdził, że przy tej sposobności Larry został zbity na kwaśne jabłko, stracił parę przednich zębów i na dzień jeden został zwolniony od służby, Spotkawszy po ósmej Mr. Pika na pokładzie, spojrzałem szybko na kostki jego rąk. Wygląd ich stwierdzał prawdziwość opowiadania Wady.

Smieszy mnie, że się tak interesuję podobnymi błahostkami. Nie tylko czas tu nie istnieje, ale i świat cały nie istnieje. Coś się w mym życiu urwało, coś zgoła odmiennego się zaczęło. Nie chce mi się wierzyć, gdy pomyślę, że od paru tygodni nie otrzymałem ani jednego listu, ani depeszy, ani nikt do mnie nie telefonował, nikt mnie nie odwiedził. Nie byłem ani razu w teatrze. Nie miałem w rękę gazety. Dla nas przynajmniej ani teatry, ani gazety nie istnieją. Wszystkie rzeczy tego rodzaju znikły dla nas wraz ze zniknięciem z przed naszych oczu świata. Istnieje tylko Elsynora przebijająca się przez kolisko oceanu z linią horyzontu o dwanaście mil od niej odległą.

Przychodzi mi na myśl Kapitan Scott, który jeszcze w ciągu dziewięciu miesięcy po swej śmierci w lodach polarnych uważany był przez świat cały za żyjącego. Do chwili bowiem, w której świat dowiedział się o jego śmierci, był on żywy dla świata. Czyż z tejże racji, z jakiej on uchodził za żywego w oczach świata, tu na Elsynorze świat lądowy nie przestał istnieć? Czy źrenica oka nie może być ośrodkiem świata, ale i samym światem? Zupełnie serio można utrzymywać, że świat istnieje tylko w świadomości. — Świat to moje pojęcie o nim — powiedział Schopenhauer. A Jules Gaultier twierdzi: Świat jest mojego pomysłu. Dogmatem Gaultier było, że fantazja tworzy Rzeczywistość. Wszystko to tak, ale praktyczna, rozsądna Miss West uznałaby moją metafizykę za niezdrową i przygnębiającą.

Dziś, gdy werandowaliśmy na pokładzie w szezlongach, odczytałem Miss West „Córy Herodiady”. Przez cały czas czytania mereżkowała chustkę do nosa dla swego papy, chustkę z płótna cieniutkiego jak pajęczyna. Nigdy, ani przez chwilę Miss West nie próżnuje. Ma cały stos tych chustek. Uśmiechnęła się — hm, jakby ten uśmiech określić — niedowierzająco, triumfująco, z pewnością mądrości życiowej, nagromadzonej w całych pokoleniach kobiet, tak właśnie się uśmiechnęła swymi długimi pełnymi ciepłika oczami, kiedy czytałem:

*Uśmiech ich jest niewinny i uślizgują w płasie,  
Nie mając nic na względzie, prócz wiecznie czujnej myśli:  
Czyż ja nie jestem piękna? Nie winnam być kochana?  
Uzbrójcie się w cierpliwość, bo aż do końca świata  
Nic więcej nie zrozumią i nigdy nie przestaną  
Płasać lekkimi stopy dokoła męskich serc.*

— Ale to dobrze dla świata, że tak jest — brzmiał jej komentarz.

O'Symons przejrzał kobiety! Dała najlepsze świadectwo jego znajomości kobiet, gdy



przeczytałem ten nieporównany passus:

Nigdy nie zechcą przyznać, aby na całym świecie, Na całym wielkim świecie, na ziemi, czy na niebie Było cokolwiek od nich godniejsze pożądaniami, I wierzą one święcie, że bystre oczy mężczyzn Na lustra są stworzone, by obraz ich odbijać, A nie by widzieć rzeczy fatalne, niedosiężne;

— Czyż nie jesteśmy — mówią — i tak wszystkiego celem?

— Bo cóżby wam przyjść mogło z patrzenia poza nas? Wpatrując się w noc ciemną nic w niej nie odkryjecie, My także w życiu nieraz patrzyliśmy w gwiazdy.

— To prawda — powiedziała Miss West, gdy zrobiłem pauzę w czytaniu, by dowiedzieć się jak na tę myśl zareaguje. — „My także w życiu nieraz patrzyliśmy w gwiazdy”.

— Ale niech pani czeka — zawołałem. — Niech pani da dokończyć. — I odczytałem:

My, my jedne tylko wśród wszystkich pięknych rzeczy

Jesteśmy rzeczywiste; reszta to złudne sny, Cóż przyjdzie wam z ścigania ogników nieuchwytnych, Gdy my czekamy na was? Marzyć możecie o, nas I na podobieństwo nasze kształtować siebie!

— Prawda, czysta prawda — mruknęła w zamyśleniu, a oczy jej bezwiednie nalały się dumą i mocą.

— Cudowny poemat — przyznała mi, gdy skończyłem, ba, oznajmiła z własnego popędu.

— Ale czyż pani nie widzi... — Zacząłem impulsywnie i urwałem, uświadomiwszy sobie całą bezpłodność dyskusji. Bo skąd, będąc kobietą, mogła widzieć owe „rzeczy fatalne, niedosiężne”, skoro z taką pewnością utrzymywała, że i ona „w życiu nieraz patrzyła w gwiazdy” ?

Ona? Cóż ona mogła widzieć, prócz tego, co widzą wszystkie kobiety ? — że one tylko są rzeczywiste, a reszta to złudne sny.

— Dumna jestem z tego, że jestem „Córą Herodiady” — rzekła Miss West.

— Hm — bąknąłem niepewnie — a więc zgadzamy się pod tym względem. Przypomina pani sobie, że odrazu tak panią nazwałem.

— Wdzięczna panu jestem za ten komplement — powiedziała. I w jej długich szarych oczach odbiło się zadowolenie i pewność siebie, i świadomość posiadanej potęgi, które to czynniki tak w znacznej mierze składają się na uwodzicielską tajemniczą moc kobiet.

# ROZDZIAŁ XX

Tomy całe przewertowałem przy tej pięknej pogodzie.

Tak mało używam ruchu, że spać nie mogę. Czas na okręcie nie rozprasza się tak, jak na lądzie, więc mogę się zaczytywać do nieprzytomności. Kto odczuwa brak czytania, niech się wybierze w podróż morską. Odrabiam wieloletnie zaległości. Urządzam sobie prawdziwe orgie fantazji. Pewien jestem, że ta niespełna rozumu załoga ma mnie za największego wariata na okręcie.

Czasami tak mi się kręci w głowie od czytania, że korzystam skwapliwie z wszelkiej rozrywki. Gdy wpłyniemy w rejon ciszy między północno-wschodnim passatem, a południowo-wschodnim, każę Wadzie złożyć mój dwudziestokalibrowy, automatyczny karabinek i będę się uczył strzelać. Umiałem strzelać, będąc małym chłopcem. Pamiętam jak włóczyłem za sobą strzelbę po wzgórzach. Posiadałem też strzelbę pneumatyczną, z której udawało mi się nawet ustrzelić ziębę lub gila.

Rufa jest obszerna, leżaki jednak stawia się tylko pod stropami, odbiegającymi w obie strony od dachu strażnicy i kryjącymi niezbyt szerokie galerie. Ale przy wykorzystaniu i tej przestrzeni bierze się pod uwagę, jak daleko sięga skos słońca rano i wieczorem i czy rzeźwa jest morka. Dlatego to leżak Miss West i mój najczęściej stoją przy sobie. Kapitan West wprawdzie ma leżak na rufie, ale z niego nie korzysta. Tak mało zajmuje się okrętem, a obserwacje astronomiczne i zliczenie tak mało zajmują mu czasu, że w strażnicy bywa tylko przelotnie. Godziny całe spędza w głównej kabynie, nie czytając i nic nie robiąc, tylko śniąc na jawie z otwartymi oczyma i pławiąc się w prądzie, powietrznym, ciągnącym poprzez otwarte porty i drzwi kajuty z olbrzymiego dolnego bezań-żagla i dolnego sztaksła.

Miss West nigdy nie próżnuje. W wielkiej kajucie zainstalowała maszynę do szycia. Obrębianiem, haftowaniem i robótkami ręcznymi zajęta jest w szezlongu na rufie. Twierdzi, że kocha morze i atmosferę morskiej dalekiej podróży, a zabrała z sobą przedmioty codziennego użytku na lądzie, całe swe otoczenie domowe, nie wyłączając serwisu z chińskiej porcelany do popołudniowej herbatki.

Jest pełną kobiecości kobietą i budowniczką domowego ogniska. Ma wrodzone zdolności kucharskie. Stiuard i Louis gotują potrawy luksusowe dla kajutowego stołu, ale nikt tak, jak Miss West nie potrafi ich przyprawić. Nie spróbowałszy dania, nie pozwoli podać je na stół. Spróbowałszy potrawę, orientuje się w jednej chwili i wie co jej brak. Ma smak wyśmienity i w sprawach kulinarnych decyduje również w ostatniej instancji. Ba, spojrzy na potrawę i wie, czego w niej za wiele, a czego za mało. Ze wszystkiego, czego się dotknie, czyni coś zgoła odmiennego i łechcącego podniebienie. Mnie zaś zdumiewa mój własny apetyt. Nieprzyzwoicie pozeram. Chwilami rad jestem naprawdę z obecności Miss West na okręcie.

Żeglowała „po Wschodzie”, jak się śmiesznie wyrażać zwykła i przywiozła z tych wód wspaniałe menu smakowitych, korzennych potraw wschodnich. Louis posiada sztukę gotowania ryżu, ale jego „curry” niknie jak świeczka przy słońcu wobec „curry”, którym nas Miss West darzy. W gotowaniu „curry”, jest wprost genialna. A tyle w podróży morskiej zwraca się uwagi na jedzenie!

I przy tej passatowej pogodzie widuję ciągle Miss West. Poświęcając cały niemal mój czas czytaniu książek, czytuję i jej urywki, a nawet całe tomy, bo zawsze jestem ciekaw, jak na to, lub owo zareaguje. A wspólne czytanie książek prowadzi do dyskusji. Niemniej Miss West nic dotąd nie powiedziała takiego, co nie byłoby zgodne z moim sądem o niej. Prawdziwa z niej córa Herodiady.

A jednak nie jest ona tak zwaną rezolutną panną. Nie robi w ogóle wrażenia panny, tylko

dojrzałej kobiety z całą świeżością panny. Ma sposób wzięcia, światopogląd, pewność siebie kobiety, a mimo to niepodobna nazwać ją dumną. Jest to bujna natura. Z drugiej strony jest solidna, rozsądna i uczciwa, a jej tryskająca żywotność, przejawiająca się w każdym jej kroku, w każdym ruchu, sprawia złudzenie dojrzałości. Czasami wygląda na trzydziestoletnią kobietę, czasami gdy przebudzi się w niej chochlik, robi wrażenie podlotka. Mam ciągle na końcu języka pytanie, kiedy to zaszło zderzenie Dixie z rzeczonym parowcem w San - Francisco. Jednym słowem, Miss West to uosobienie naturalności i zdrowia. Takiej kobiety jeszcze w życiu nie spotkałem.

A z tym wszystkim — uosobienie kobiecości. Choćby nie wiem, w jaki sposób czesała swe włosy, leżą one jednakowo gładko i sznytowo, są w stylu całej jej szykowej sylwetki. Nie, elegancja jej różni się cechą pewnej swobody od szyku. Suknie nosi wolne, niekrępujące. Nigdy, ani na chwilę nie przestaje być kobietą. Nigdy, ani na chwilę nie traci powabu swej płci. Może i ma wysoko pod szyję zapięte suknie, ale jej jeszcze w takiej sukni nie widziałem. Nosi bluzki z szerokim wycięciem, odsłaniające całkowicie piękną i muskularną, atlasową szyję. Od czasu do czasu chwytam się na rzucaniu ukradkowych przydługich spojrzeń na tę odsłoniętą szyję i zarysy Wytwornych w linii i powabnie zaokrąglonych ramion.

Odwiedzanie kur weszło w zwyczaj i należy do programu dnia. Conajmniej raz na dzień udajemy się na górę pomostu na dach śródkrętowej kajuty. Towarzyszy nam w tych wędrówkach odbywający rekonwalescencję Possum. Stiuard oczekuje nas już u kurnika, by otrzymać rozkazy i zameldować o ilości jaj zniesionych i wydajności kur. Obecnie nasze okrętowe cztery tuziny kur niosą dwa tuziny jaj dziennie, a Miss West jest z nich bardzo dumna.

Kurom ponadawała już imiona. Kogut nazywa się Peter, a jakże. Mocno plamista kura to Dolly Werden. Smukła, elegancka, chodząca krok w krok za kogutem Wabi się Cleopatra. Inna znów o najharmonijniejszym z pośród wszystkich kur głosie zwie się Bernhardtem. A zauważyłem, że ile razy do spółki ze stiuardem wydadzą wyrok śmierci na którą z nieplodnych swych ulubienic (regularnie jedna ofiara idzie pod nóż co tydzień) Miss West nie bierze do ust potrawy mięsnej, choćby kura rozplynęła się i znikła bez śladu w smakowitym „curry”, lecz ma dla siebie w takich razach inną curry, przyrządzoną, z konserw raka morskiego, krewetek, czy też konserw kurczęcia.

Przekonałem się również, że to nie zainteresowanie moją niegodną osobą — o wybaczenie zarozumiałość! — skłoniło ją do udania się w podróż. To przez wzgląd na swego ojca wybrała się z nim. Coś jest z Kapitanem Western, coś niedobrego. Miss West, zauważyłem, spogląda na ojca wzrokiem, w którym maluje się odcień tkliwości i niepokoju.

Wczoraj przy lunchu opowiadałem zabawną historię. Nie słuchała. Widelec w jej rękę w drodze do ust zawisł w powietrzu. Cała zamieniła się we wzrok tak intensywnie wpatrywała się w twarz Kapitana Westa. W spojrzeniu jej był strach. Zauważywszy, że na nią patrzę, powoli z zupełnym opanowaniem i naturalnością opuściła widelec na talerz, nie przestając wpatrywać się w twarz ojca.

Ale ja widziałem. Zobaczyłem, jak z twarzy Kapitana Westa uciekało życie, jak stawała się niemal alabastrowa podczas, gdy powieki jego wznosiły się i opadały szybko, raz po raz, a usta poruszały się bezdźwięcznie. Potem powieki się podniosły, usta *ułożyły* karnie w zwykły sposób, a policzki zabarwiły na nowo. Zupełnie tak, jakby nas opuścił i dopiero co powrócił. Ja jednak zdołałem uchwycić ten moment, podpatrzeć dziwną tajemnicę.

A jednak siedem godzin później ten sam Kapitan West porządnie przytarł rogów pysznemu, jak diabeł, ze swej sztuki żeglarskiej Mr. Pikowi. Było to podczas drugiej psiej wachty, noc ciemną, choć oko wykol; wachta wyciągała brasy na głównym pokładzie.

Wychodziłem właśnie ze drzwi strażnicy i Kapitan West przeszedł obok mnie z rękoma w kieszeniach, zmierzając w stronę zrębu rufy. Raptem z bezańmasztu rozległ się trzask złamania i

łoskot lecących części omasztowania. Człowiek spadł nawznak i potoczył się po pokładzie.

Chwila ciszy. Ozwał się głos Kapitana Westa:

— Co tam pękło, Mr. Pike ?

— Szkoty, sir — nadleciała odpowiedź z ciemności.

Pauza. I znowu usłyszałem głos Kapitana Westa.

— Następnym razem płachtę żagla zluzuje pan najpierw.

Otóż Mr. Pike jest bezsprzecznie doskonałym marynarzem. Tym razem jednak popełnił błąd. Poznałem go dość, by wiedzieć, jak musiał być dotknięty w swej dumie profesjonalnej. A przytem ma mściwą, złą, prymitywną naturę i, choć odpowiedział z należytych szacunkiem: — Tak, sir — wyobrazałem sobie, co się dzieje w głębi jego duszy. Byłem pewny, że całą swą wściekłość wywrze na nieszczęśnikach, harujących wśród głębokiego cienia nocnych wacht.

I tak się też stało! Rano zauważyłem podbite oko u Johna Hackeya, łapserdaka z San - Francisco; Guido Bombini obnosi napuchły jak bułka policzek. Spytałem Wade, co. znaczą te obrażenia. Ze słów jego wynika, że podczas nocnych wacht odchodzi regularne garbowanie skóry podczas, gdy, my na rufie śpimy spokojnie w wygodnych łózkach.

Od rana Mr. Pike chodzi nasepiony jak gradowa chmura, warcząc przy lada sposobności ze zdwojoną wściekłością na marynarzy. Miss West i mnie odpowiada półgębkiem. Twarz jego jest cierpka i gorzka, jak ocet siedmiu złodziei. Miss West, która nie wie, co zaszło, widzi w tym „okrętowe humory”, na których się zna, pono.

Ale ja znam lepiej, Mr. Pike — tego zajadłego, wierneho psa okrętowego. Ze trzy dni będzie przeżywał swe zmartwienie. Dumny jest ze swej sztuki żeglarskiej i gnębi go, że błąd popełnił i że nagana była zasłużona.

# ROZDZIAŁ XXI

Dziś po dwudziestu ośmiu dniach podróży, żeglując wciąż pod północno-wschodnim passatem, przeszliśmy równik. A Charles Davis upamiętnił ten moment zamordowaniem O'Sullivanana. Dowiedziałem się o tym przy rannej kawie. To Boney, długi i chudy, jak szczapa, wyrostek z wachty Mr. Mellaire przyniósł tę wiadomość. Mr. Mellaire i ja pośpieszyliśmy do kabiny szpitalnej, a zaraz po nas wszedł Mr. Pike.

Nieszczęścia O'Sullivanana się skończyły. Człowiek z górnej koji przeciął długie pasmo jego smutnych i obłądnych dni, a dokonał tego ćwiekiem żagielnym.

Nie mogę zrozumieć Charlesa Davisa. Siedział spokojnie na swej koji i pewną ręką zapalał fajkę. Jest najzupełniej zdrow na umyśle, a z premedytacją, z całą zimną krwią zamordował bezsilnego, bezbronno człowieka.

— Dlaczego to zrobiliście? — zapytał Mr. Mellaire.

— Dlatego, sir — powiedział Charles Davis, przytykając drugą zapałkę do swej fajki — dlatego — puf, puf — że mi przeszkadzał. — Tu zauważył łotr piorunujące spojrzenie, które rzucił na niego Mr. Pike. — Dlatego — puf, puf, — że mnie znudził. Następnym razem — puf, puf — dwa razy pomyślą nim wpakują mi kogo na kark. A przytem — puf, puf, ta górna koja jest dla mnie nieodpowiednia. Sprawia mu dużo bólu. wdrapać się na nią — puf, puf — kładę się z powrotem na dolną koję, gdy tylko zabierzecie stąd O'Sullivanana.

— Ale dlaczegoś to zrobił? — zawarczał Mr. Pike.

— Powiedziałem już, sir — bo mnie znudził. To wszystko zmęczyło, mnie dokumentnie i dlatego dzisiejszego ranka położyłem kres jego cierpieniom. I co pan na to poradzi? Już po nim, ostygł już, może nie? A ja go zabiłem przez samoobronę. O, ja znam prawo. Bo jakie miał pan prawo tego furiata umieszczać w jednej kabine ze mną, chorym i bezradnym?

— Na Boga, Davis! — wybuchnął pierwszy oficer. — Nigdy ty nie splącisz swego rachunku w Seattle. A skąd wiesz, czy sam się z tobą nie rozprawię! Ty bestio! Zabić wariata bezbronno, przywiązane do koi i nieszkodliwego. Pójdiesz ty za nim za burtę, bratku! — Jeżeli pójdę, to będziesz za to dyndał — odparł Davis mierząc go zimnymi, jak lód oczyma. Przeniósł wzrok na mnie. A pan słyszy jego groźby, to dobrze. Będzie pan musiał zaświadczyć o tym na sądzie. Jeżeli mnie spuści za burtę, będzie wisiał, jak amen w pacierzu. Ma już niejedną sprawkę na sumieniu. Będzie się bał stanąć przed sądem — ten recydywista. Tym razem przebrałaby się miarka. Opływałby jak pączek w maśle, ten kto żył tylko z procentów od grzywien, które albo on zapłacił, albo armatorzy za niego zapłacili. —

— Zamknij żuwaczkę, bo ci ją wytrączę z pyska! — ryknął Mr. Pike, podskakując do Davisa z wzniesioną pięścią.

Davis mimowoli się skurczył. Był to wyraz słabości jego ciała, ale nie ducha. Natychmiast się opanował i zapalił wygasłą fajkę.

— Nic mi pan nie robi, sir — szydził z oficera, którego pięść mogła każdej chwili spaść i zdruzgotać go. — Nie umrę ze strachu. Człowiek musi umrzeć prędzej, czy później i nie taka śmierć straszna, gdy na nią nie można poradzić. O'Sullivanowi zmarło się tak łatwo, że aż dziw. A zresztą ja będę żył. Odbędę tę podróż do końca i będę dochodził mych krzywd na właścicielach. Znam ja moje prawa i znam ustawy. I mam świadków.

Wahałem się między podziwem dla tego łotra i sympatią dla Mr. Pika, który nie mógł się zmusić do uderzenia chorego człowieka.

Wreszcie z symulowaną wściekłością rzucił się na Davisa, porwał jego szyję w sękatę swe łapy u nasady karku; trząśł parszywcem okropnie z minutę. Aż się zdziwiłem, że mu nie skręcił karku.

— Wzywam pana na świadka, sir — jęknął Davis, ledwie wydostał się z tych potężnych łap i ledwie zdołał zaczerpnąć powietrza.

Kaszlał i dusił się, obmacywał szyję i kręcił się w sposób, dowodzący, jak ciężko został poturbowany.

— Znaki ukazały się za parę minut — mruknął z zadowoleniem, gdy już odzyskał przytomność umysłu i mógł oddychać.

Tego było za wiele dla Mr. Pika. Odwrócił się i wyszedł z kabiny, rzucając okropne przekleństwa głębokim, dudniącym nisko w krtani basem. Gdy w chwilę później zabierałem się do odejścia, Davis nabijał fajkę i mówił do Mr. Mellaire, że będzie musiał świadczyć za nim przed sądem w Seattle.

Mieliśmy nowy pogrzeb morski. Mr. Pike kłął, bo stosownie do tradycji morskiej Elsynora żeglowała za szybko, by na niej mogła się odbyć ceremonia pogrzebowa. A za tym trzeba było utracić parę cennych minut żeglugi na hamowanie okrętu. Grot - topsel został odwrócony na czas odczytania modlitwy i spuszczenia za burtę obciążonego worem węgla ciała.

— Węgla, spodziewam się, nie zabraknie — mruknął do mnie Mr. Pike z determinacją, gdy spotkałem się z nim w parę minut później.

A my spędzamy czas na rufie, Miss West i ja, otoczeni służbą, popijając popołudniową herbatkę z chińskiej porcelany, wyszywając i mereżkując, dyskutując na tematy filozoficzne, dyskutując o sztuce i nie zwracając najmniejszej uwagi, że o parę stóp od nas zaledwie na tym małym okrętowym światku rozgrywa się tragedia, krwawa orgia bestialstwa i bezsensu wśród nędznych, obranych z rozumu istot. A Kapitan West z niezmaconym spokojem śni na jawie w przyćmionej wielkiej kajucie na drodze powietrznego prądu, który, spływając z wielkiego bezań-żagla ciągnie przez otwarte porty i drzwi kajutowe na przestrzał. Kapitan West wierzy w Boga. Wszystko w jego oczach jest raz na zawsze ustanowione, jest jasne i dobre w miarę, jak on zbliża się do swej dalekiej ojczyzny. W duszy jego panuje godna pozazdroszczenia bezkresna pogoda. A jednak nie mogę zapomnieć jego alabastrowej twarzy, z której krew spłynęła z zamkniętymi powiekami i obwisłymi ustami — twarz jak śmiertelna maska.

Zachodzę w głowę, kto z kolei odejdzie z worem węgla u nóg.

— Oh, to jeszcze nic wielkiego, sir — zauważył Mr. Mellaire wesoło, gdy spacerowaliśmy po rufie w czasie pierwszej wachty. Żeglowałem raz na parowcu z ładunkiem czterystu żółtków — chciałem powiedzieć — Chińczyków. Byli to kulisi robotnicy kontaktowi, którzy wracali z robót.

I wybuchła cholera. Z tych czterystu poszło za burtę trzystu, sir, a z nimi obaj bosmani, cała prawie załoga, kapitan, pierwszy oficer, trzeci oficer, pierwszy i trzeci mechanik. Drugi mechanik i jeden biały smarownik pozostali w maszynach, ja zaś na pokładzie, gdy wreszcie dobiliśmy do portu. Lekarze nie chcieli zejść na pokład. Zatrzymali mnie dlatego na redzie i kazali najpierw powyrzucać truposzy. Zakasawszy rękawy, zabrałem się do roboty. Tak, Mr. Pathurst, trupy szły za burtę bez płócien, węgla, czy żelaznych ciężarów u nóg. Nie było innej rady. Nie miałem nikogo do pomocy, a Chińczycy we wnętrzu nie przyłożyliby ręki za nic.

— Musiałem sam schodzić do wnętrza, wyciągać ciała do pętli, drapać się na pokład z powrotem i wyciągać ciała za pomocą windy parowej. A za każdym razem, powróciwszy na pokład, pociągałem z butelki. Byłem pijany, jak Bela, pod koniec tej roboty.

— I nie zaraził się pan? — spytałem.

Mr. Mellaire podniósł lewą rękę. Już nieraz rzuciło mi się w oczy, że brakowało u niej palca

wskazującego.

— Tyle tylko ucierpiałem przy tej okazji, sir. Nasz stary miał foksterriera, jak pański. A po śmierci jego, szczeniak przywiązał się do mnie. Gdy podnosiłem ostatnie zwłoki, szczeniak wskoczył mi na nogę i zaczął mnie obwąchiwać. Odwróciłem się, by go poklepać, druga zaś moja ręka dostała się w tryby maszyny i ani się obejrzałem, gdy już nie miałem palca u ręki.

— Na Boga! — zawołałem. — Co za pech, przejść przez mór i stracić palec.

— Tak samo też myślałem, sir — zgodził się ze mną Mr. Mellaire.

— Cóż pan zrobił?

— E, nic; podniosłem rękę, spojrzałem na nią i powiedziałem.— Wielkie nieba! — I pociągnąłem z butelki.

— A później nie zachorował pan na cholere?

— Nie, sir. Może byłem tak napompowany spirytusem, że zarazki się mnie nie imały. — Zamyślił się. — Szczerze mówiąc, Mr. Pathurst, nie wiem co sądzić o tej teorii uodparniania się alkoholem. Nasz stary i dwaj oficerowie pokładowi umarli pijani, a pił na umór i trzeci mechanik. Ale pierwszy mechanik był abstynentem i umarł także.

Nie dziwiłem się już ludziom morza. Odszedłem od drugiego oficera i zapatrzyłem się na wspaniale ożaglowanie **Elsynory** — trapezy i trójkąty ciemności chwiały się i jeździły po rozgwiażdżonym niebie.

## ROZDZIAŁ XXII

Coś się stało. Ale nikt nie wie co, nikt, ani na przodzie okrętu, ani w kajucie, prócz osób zainteresowanych, które nic nie powiedzą., chociaż okręt cały trzęsie się od plotek i od domysłów.

Jedno wiem na pewno — Mr. Pike został okropnie uderzony po głowie. Wczoraj spóźniłem się na lunch i, przechodząc z tyłu za Mr. Pikiem, zobaczyłem fenomenalny guz u niego na ciemieniu. Potem, siedząc vis-à-vis starego wygi, zauważyłem, że ma oczy dziwnie nieprzytomne i że ból w nich maluje się wyraźnie. Nie brał udziału w rozmowie, poruszał się jak w zamroczeniu, nic prawie podczas całego lunchu nie wziął do ust i rzucało się w oczy, co go panowanie nad sobą kosztuje.

I nikt nie ma odwagi spytać go, co się stało. Ja, choć jestem pasażerem, osobą uprzywilejowaną, również nie śmiem pytać. Ten imponujący zabytek przeszłości przejmuje mnie uczuciem dziwnego lęku i grozy.

Zachowuje się, jakby cierpiał na wstrząs mózgu.. Maluje się to nie tylko w jego oczach i w naprężonym wyrazie twarzy, ale przebija w całym sposobie jego postępowania, kiedy myśli, że go nikt nie. widzi. Ostatniej nocy, by odetchnąć passatem i spojrzeć w gwiazdy, wyszedłem na główny pokład przez drzwi kajutowe i znalazłem się pod zrębem rufy. Nad samą mą głową ktoś cicho i nieprzerwanie jęczał. Zaciekawiony cofnąłem się do kajuty, bez szmeru, bo miałem na nogach pantofle, wyszedłem przez strażnicę na pomost i podkradłem się ku trapowi juty. To był Mr. Pike. Stał oparty ciężko na balustradzie z głową w rękach. W ciemności dawał upust rozsadzającemu go cierpieniu. O kilkanaście stóp dalej nie było już słyhać tego sapliwego jęku, który przechodził w zawodzenie. Od czasu do czasu rytmicznie, pomrukiwał jednym ciągiem:

— O Boże! Boże! Boże! Boże! Boże! — Za każdym razem wzywał Imię Boskie pięciokrotnie, a potem głos jego przechodził w jęk. Uślizgnąłem równie cicho, jak się podkradłem.

A mimo to Mr. Pike stoi z determinacją wszystkie swe wachty i pełni wszystkie obowiązki pierwszego oficera. Ah, zapomniałem, Miss West odważyła się go zagadnąć. Odpowiedział *jej*, że ząb go boli i że nic by nie pomogło nawet wyrwanie zęba.

Wada nie może dowiedzieć się, co się stało. Wszystko odbyło się bez świadków. Azjaci na zebraniu w kajucie koka uradzili, że to sprawka hultajskiej trójki. Bert Rhine ma bezwładne ramię, Nosey Murphy kuleje wskutek wywichnięcia nogi w biodrze. A kid Twist zbity na kwaśne jabłko, dwa dni musiał przeleżeć w koi. I nie wiadomo nic ponadto o tej sprawie. Bosmanmaci również trzymają język za zębami. Nie łatwiej od nich coś o tym wydobyć, niż od Mr. Pika. Klika Azjatów zadecydowała, że urządzili zamach na Mr. Pika, który ocalał tylko dzięki grubości swej czaszki.

Ostatniej nocy podczas drugiej nocnej wachty miałem znów próbkę, że Kapitan West, wbrew pozorom, wie, co się dzieje na okręcie. Doszedłem pomostem do bezań-maszty i oparłem się o drabliny w jego cieniu. Z pokładu, z przejścia między kajutą śródokrętową, a burtą doszły mnie głosy Berta Rhina, Noseya Murphy i Mr. Mellaira. Nie była to rozmowa służbowa. Rozmawiali przyjaźnie, na stopie równości, gdyż głosy ich brzmiały unisono i od czasu do czasu jeden, lub drugi śmiał się, czasami zaś wszyscy trzej się śmieli.

Przypomniały mi się słowa Wady o tej nielicującej ze stanowiskiem Mr. Mellaira jego zażyłości z bosmanmatami. Nadstawiłem ucha, usiłując dowiedzieć się, koło czego kręci się rozmowa. Ale bosmanmaci mówili cicho i tylko tyle wyrozumiałem, że byli za pan brat z drugim oficerem.

Nagle z rufy zabrzmiał głos Kapitana Westa. Nie był to głos Samuraja, panującego nad burzą, tylko Samuraja spokojnego i zimnego. Był tak czysty, aksamitny i topliwy, jak najharmonijniejszy gong w ręku bonzy, wzywającego wiernych na modlitwę. A jednak lekki dreszcz mną wstrząsnął —



bo był to głos tak nieporównanie słodki i jednocześnie tak beznamiętny jak brzęk stali w noc mroźną. I wiedziałem, że poraził on marynarzy na dole jak prąd elektryczny. Poprostu wyczułem, jak tężeli pod jego dotknięciem, jak od stóp do głów przeszły ich ciarki. Powiedział zaś tylko:

— Mr. Mellaire.

— Jestem, sir — odpowiedział Mr. Mellaire po chwili naprężonej ciszy.

— Niech pan tu podejdzie — zabrzmiał znów głos Kapitana Westa.

Doszły mnie kroki drugiego oficera po pokładzie i zatrzymały się u brzegu rufy.

— Pa głskie miejsce jest na rufie, Mr. Mellaire — powiedział zimny beznamiętny głos.

— Tak, sir — odpowiedział drugi oficer.

I wszystko. Nie padło więcej ani jedno słowo. Kapitan West zaczął na nowo spacerować po nawietrznej stronie rufy, a Mr. Mellaire, wbiegłszy po trapie, mierzył pomost w dół i w górę po podwietrznej.

Poszedłem dalej po pomoście, na przód kasztelu i rozmyślnie zostałem tam z pół godziny, wróciłem zaś po górnym pokładzie. Nie chciałem, by kapitan West i drugi oficer wiedzieli, że słyszałem ich rozmowę.

Znowu zrobiłem odkrycie. 90% załogi to ciemno--włosi. Na rufie, prócz Wady i stiuarda, którzy są naszymi służącymi, jesteśmy wszyscy jasnowłosi. Zwróciłem uwagę na ten ciekawy szczegół pod wrażeniem przeczytanego dzieła Woodruffa, działanie podzwrotnikowego słońca na ludzi białych. Tezą majora Woodruffa jest, że białoskóry, niebieskooki Aryjczyk, urodzony do rządzenia i rozkazywania, opuszczając swą chmurną i mglistą ojczyznę, rządzi i włada resztą świata, jednocześnie jednak ginie od zbyt intensywnego światła słonecznego w podzwrotnikowych krajach. Hypoteza prawdopodobna i zasługująca na bliskie rozpatrzenie. Ale odbiegam od właściwego biegu myśli. Każdy; z nas, żyjących na rufie w wysokim miejscu, był jasnowłosym Aryjczykiem. Na przodzie okrętu dziewięć dziesiątych niewolników, harujących dla nas, są to ciemnowłosi. Ci nie poginą. Według teorii Woodruffa odziedziczą po nas ziemię nie dlatego, by byli zdolni do sprawowania rządów i panowania, ale ze względu na zabarwienie skóry, uodparniające ich na niszczące działanie słońca.

Czworo nas zasiada do kajutowego stołu. — Kapitan West, jego córka, Mr. Pike i ja — a wszyscy jesteśmy jasnoskórzy, niebieskoocy, z rasy, skazanej na zagładę, a rządzącej, która rządzić będzie aż do końca naszej ery. Mamy za sobą przeszłość królewską i we krwi królowanie. Być może, skazani jesteśmy na wymarcie. Ale nie przyszedł jeszcze nasz czas. Do końca naszej ery, sądzono nam deptać po karkach innych ludzi, obracać ich w poddaństwo, uczyć ich poszanowania naszych praw, mieszkać w pałacach, do zbudowania których zmusiliśmy ich siłą naszych ramion.

**Elsynora** przedstawia ten świat w miniaturze. Na nasz stół najwyszukańsze idą dania i mieszkamy w obszernych komfortowych apartamentach. Na przodzie okrętu jest chlew świński i turma niewolników. Kapitan West, jako król, stoi ponad wszystkimi. Mr. Pike, niby dowódca wojsk zmusza do wykonywania rozkazów swego króla. Miss West jest księżniczką krwi. A ja? Hm, czyż ja nie jestem szlachetnie urodzonym dziedzicem swego ojca, który w swoim czasie zmuszał setki słabych istot do stworzenia fortuny, z której ja dziś korzystam.

# ROZDZIAŁ XXIII

Północno-wschodni passat podegnał nas prawie pod południowo-wschodni i pozostawił wśród ciszy morskiej. Pozbawieni siły nośnej chybotaliśmy się ociężale na olśniewającej fali i topnieliśmy literalnie pod prostopadłymi promieniami słońca. Przez te parę dni odkryłem w sobie talent do strzelania. Mr. Pike przysięgał się, że muszę mieć długoletnią wprawę, a ja zaś byłem zdumiony, że mi to tak łatwo przychodzi. Niezawodnie jest to zręczność i aby nabyć tę zręczność, trzeba mieć dar szczególnego rodzaju.

Po półgodzinnym wprawianiu się, strzelając z chyboczącego się pokładu do wyrzucanych za burtę i kołyszących się na długiej gładkiej fali butelek, rozbijałem je za każdym strzałem. Gdy zapas butelek wyszedł, Mr. Pike, który nie mógł wyjść z podziwu nad celnością mych strzałów, kazał cieśli popiłować dla mnie kwadratowe klocki z twardego drzewa, które jeszcze lepiej nadawały się do tego sportu od butelek. Celny strzał wyrzucał je z wody w powietrze i można było strzelać długo do jednego klocka, aż zupełnie z falą nie spłynął. Strzelając z bliska na małą odległość, mogłem szpikować klocek przez godzinę i trafiałem dziewięć razy na dziesięć wystrzałów, a nawet dziesięć — na jedenaście.

Nie uważałbym się za szczególnie dobrego strzelca, gdybym nie przekonał się jak Miss West i Wada pudlują. Wreszcie namówiłem Mr. Pika do próby swych sił. Wziąwszy mój karabinek, poszedł za sternicę, by załoga nie mogła widzieć, jak złym jest strzelcem. Nie trafił ani razu; haniebnie dziurawił gładką powierzchnię oceanu.

— Nigdy nie miałem zapału do strzelby — oświadczył z niezadowoleniem — ale gdy przyjdzie do starcia na bliską metę, doskonale daję sobie rady. Przy tej sposobności odczyszczę przynajmniej moją starą spluwę i złożę ją, jak się należy.

Zeszedł do wnętrza i powrócił z olbrzymim 44-o kalibrowym pistoletem i z garścią nabitych magazynów od niego.

— Mierząc w brzuch z tą maszynką można dokonać nadzwyczajnych rzeczy, co prawda z bliska tylko, nie dalej, niż na dwanaście stóp. Ale co panu po strzelbie, gdy w ruch są puszczone pięści i noże? Raz zbili mnie z nóg, a cała banda wierzgała mnie buciarami, aż wyrwałem tę sztukę. Żeby pan widział jakich w oka mgnieniu narobiła spustoszeń. Jeden z tych drabów częstował mnie właśnie chodakiem w nos, gdy go dosięgła moja kulka. Weszła cokolwiek powyżej kolana, a wyszła przez obojczyk, który złamała i urwała jeszcze drabowi ucho. Przewierciła całego człowieka i nie utknęła. Czasami zdaje mi się, że nic nie byłoby w stanie tej kuli zatrzymać. W razie czego, dajcie mi tylko poręczne miejsce, a napatrzycie się ładnych rzeczy.

— Czy pan się nie boi wystrzelać całą swą amunicję ? — spytał mnie niespokojnie w pół godziny później, gdy nie przestawałem trzaskać z mojej nowej zabawki. Ale się uspokoił, gdy mu powiedziałem, że Wada zabrał dla mnie pięćdziesiąt tysięcy paczek ładunków.

Podczas strzelania nadpłynęły dwa rekiny i zaczęły krążyć dokoła okrętu, były bardzo duże i, jak twierdził Mr. Pike, miały z piętnaście stóp. Była niedziela i cała załoga, prócz sternika, miała czas wolny. Cieśla na linę z żelaznym hakiem, na który założył kawał wieprzowiny wielkości mojej głowy, złapał najpierw jednego, a potem drugiego potwora. Gdy ich whissowano na pokład, rozegrała się scena okrucieństwa niesłychanego.

Cała załoga zabrała się z kordelasami, siekierami, maczugami i wielkimi nożami kuchennymi, wypożyczonymi z kambuza. Nie będę wdawał się w detale, dość, że napawali się i rozkoszowali

lubieżnie okrucieństwami, które popełniali, wybuchali rykami i przeraźliwymi krzykami uciechy. Koniec końców pierwszy rekin został wyrzucony za burtę z zaostrzonym kołem, wrażonym między szczęki tak, że nie mógł zamknąć paszczy. Czekwały go tortury głodowe.

— Pokażę wam coś, chojraki — krzyknął Andy Fay, gdy gotowali się do oprawiania drugiego rekina. To, co potem zrobili, więcej, niżli cokolwiekby innego usposobiło mnie przeciwko tym bestiom. Ostatecznie nieszczęsny potwór ciskał się po pokładzie zupełnie wypatroszony.. Nic z niego nie zostało, prócz powłoki mięsnej, a mimo to żył niezaprzeczenie. To życie mięsa, pozbawionego żywotnych organów, było zdumiewające. Ale bardziej zdumiewające rzeczy jeszcze miały nastąpić.

Mulligan Jacobs, jak rzeźnik, z rękoma unurzany krwią po łokcie, ni stąd ni z owąd, ledwie mruknawszy „za pozwoleniem” wpakował mi do ręki czerwony kawał mięsa. Odskokczyłem przestraszony i wypuściłem na pokład tę bryłę, na widok czego radosne wycie wyrwało się z kilkudziesięciu gardzieli. Mimowoli byłem zawstydzony. Te dwunogie bestie lekcewały mnie, a natura ludzka jest tak złożona, że nawet filozof nie lubi, gdy go inni lekceważą, choćby to były męty społeczne.

Spojrzałem na leżący u mych nóg kawał mięsa. Było to serce rekina i — gdy tak patrzyłem na nie z góry, w oczach moich na rozpalonym pokładzie, z którego szwów sączyła się smoła, serce to biło, pulsowało.

Jednakże zdobyłem się na odwagę. Nie dam — powiedziałem sobie — tym zwierzętom okazji do wyśmiewania mnie, nie dam okazji do nazywania mnie papinkiem. Nachyliłem się wziąłem to potworne serce do ręki. Przewyciężyłem mój wstręt i obrzydzenie. Trzymałem serce w ręku i czułem jak bije.

Zatknąłem tym plugawą gębę Mulliganowi Jacobsowi, który przestał się mną zajmować i powrócił do rozkosznego zajęcia zadawania tortur rekinowi, który wciąż jeszcze nie był martwy. Widząc, że zwierz już od kilku minut nie daje znaków życia, zdzielił go w sam nos tępym końcem siekiery, a kiedy zgalwanizowany tym ciosem stwór zaczął się miotać po pokładzie, jadowity ten padalec ludzki zapiszczał przeraźliwie w sadystycznej ekstazie:

— Haki w nim tkwią! — haki w nim tkwią! — Haki rozpalone do białości!

Aż się wił padalec od diabelskiej uciechy i znów zdzielił zewłok rekina w nos.

Tego było już dla mnie za wiele. Udając znudzenie i brak zainteresowania, wycofałem się. Odchodząc, mimowoli trzymałem bijące serce w ręku.

Wszedłszy na rufę, zauważyłem Miss West, wychodzącą właśnie z lewostronnych drzwi strażnicy. Szezlongi stały po tej stronie, więc przekradłem się naokoło na prawą stronę strażnicy, aby niepostrzeżenie odrzucić tę ohydną rzecz za burtę. Ale na upale serce, wciąż pulsując, obeschło zzewnątrz i przywarło mi do ręki, a wskutek tego poleciało w złym kierunku. Zamiast wylecieć za balustradę nadburcia, uderzyło w klubkę i u niej też pozostało w cieniu. Schodząc, by umyć ręce, rzuciłem na nie okiem po raz ostatni i przekonałem się, że jest w miejscu, gdzie upadło, leży i bije.

Gdy wróciłem na rufę — pulsowało. Usłyszałem głośny plusk u burty śródokrętowej i domyśliłem się, że tuszę rekina wyrzucono za burtę. Ale nie poszedłem na drugą stronę do Miss West, stałem jak zahyponotyzowany widokiem tego serca, bijącego na podzwrotnikowym upale.

Burzliwe krzyki mnie doszły. Marynarze powłazili na najwyższą poręcz balustrady i obserwowali coś za burtą. Poszedłem za kierunkiem ich spojrzeń i zobaczyłem rzecz wstrząsającą. Wypatroszony rekin nie był martwy. Ruszał się, pływał, ciskał się z boku na bok i ciągle usiłował skryć się w głębię. Czasami zagłębiał się na pięćdziesiąt lub sto stóp, a potem, nie ustając w usiłowaniach pogrążenia się, wypływał mimo to na powierzchnię. Za każdym ukazaniem się witany był dzikim śmiechem marynarzy. Dlaczego się śmieli? Zjawisko było przerażające, niesamowite, ale

nie śmieszne. Cóż mogło być śmiesznego w widoku ryby storturowanej, przewalającej się bezradnie po powierzchni z wyprutymi wnętrznościami?

Odwróciłem się, ale w następnej chwili znowu rozległy się krzyki. Ukazało się z pół tuzina pomniejszych rekinów z dziewięć, dziesięć stóp długości. Zaatakowały swego bezsilnego towarzysza. Rozrywały go na sztuki, pożerały. Wkrótce ostatni ochłap nieszczęśnika znikł w paszczach i kadłubach. Znikł, rozkładał się pogrzebany i trawiony w żywych ciałach istot tego, co i on rzędu. A jednakże pozostał ślad jego tam, na klubce — to potworne serce, które biło i biło.

# ROZDZIAŁ XXIV

Dążymy do katastrofy i zagłady. Znam teraz Mr. Pike'a i, jeżeli tylko odkryje on kiedykolwiek, kim jest Mr. Mellaire, nic go nie powstrzyma od popełnienia morderstwa. Mr. Mellaire, bowiem, nie jest to Mr. Mellaire. Nie pochodzi on z Georgii. Pochodzi z Wirginii. Jest to jeden z Walthamów, parszywa owca w tej zasłużonej rodzinie, ale Waltham. Tego tak jestem pewien, jak tego, że Mr. Pike, o ile dowie się, kim jest nasz Mr. Mellaire, zabije go. Niech mi wolno będzie opowiedzieć, jak zrobiłem to doniosłe odkrycie. Było to ostatniej nocy. Wyszedłem na rufę przed samą północą, aby odetchnąć lotnym szampanem południowo-wschodniego passatu, pod którym żeglujemy bejdewindem, aby z nawietrznej opłynąć Przylądek San Roque. Mr. Pike miał wachtę i spacerowałem po nim po okręcie. Opowiadał mi epizody ze swego życia. Nieraz gdy nie był „zawiany przez morze”, dzielił się ze mną swymi wspomnieniami i nieraz wspominał z dumą, ba, i z szacunkiem, kapitana, pod którego rozkazami żeglował przez pięć lat. — Stary Kapitan Somers — mawiał — był to najdzielniejszy, najprostszy, najszlachetniejszy człowiek ze wszystkich kapitanów, pod których rozkazami byłem, tak sir.

Otóż ostatniej nocy rozmowa zбочyła na tematy posępne, jak noc, nas otaczająca, i Mr. Pike, który sam był złośliwym, zgryźliwym, starym człowiekiem, zaczął rozwodzić się o podłości tego świata, a szczególnie o podłości mordercy Kapitana Somersa.

— Był to stary człowiek i miał przeszło siedemdziesiąt lat — ciągnął Mr. Pike. — I mówiono mi, że pod koniec życia tknęło go i był częściowo sparaliżowany. Nie widziałem go lata. Musiałem trzymać się z dala od brzegów. A ten podlec, drugi jego oficer rzucił się na starego, leżącego w koi, i zatłukł go na śmierć. Straszny koniec. Opowiadano mi o tym szczegółowo. A stało się to w samym San - Franciscu na Jason Harrison jedenaście lat temu.

— I cóż mu zrobili? Po pierwsze darowali temu mordercy życie, kiedy powinien był wisieć. Zasłaniał się obłudą, bo na długo przed tym zwariowany kok rozłupał mu czaszkę. A po siedmiu latach więzienia gubernator go ułaskawił. Był to łotr, ale pochodził ze starej, potężnej w Virginii rodziny, z Walthamów — musiał pan o nich słyszeć. — Rodzina wywarła wszelkiego rodzaju presje na gubernatora. Nazywał się Sidney Waltham.

W tejże chwili od steru rozległo się jedno uderzenie dzwonu, powtórzone natychmiast przez wartownika z dziobu, stojącego na oku. Był to sygnał na kwandrans przed zmianą wachty. Mr. Pike, przejęty swym opowiadaniem, zatrzymał się w swej peregrynacji. Staliśmy tak chwilę u trapu rufy. Zrządzeniem losu Mr. Mellaire pośpieszył się o kwandrans tym razem i, wdrapawszy się po trapie, stał za nami, gdy Mr. Pike kończył swe opowiadanie.

— Nie zaprzątałem sobie głowy mordercą — ciągnął Mr. Pike — póki siedział w więzieniu i pokutował na ciężkich robotach. Ale, kiedy po siedmiu zaledwie latach darowali mu karę, przysiągłem, że go dostanę. I dostanę go. Nie wierzę w Boga, ani w diabła, i świat ten głupio i podle jest urządzony, ale wierzę w los. Los płata ludziom figle. I wiem, że dostanie mi się w ręce ten parszywiec.

— I cóż pan wówczas zrobi? — zapytałem.

— Co zrobię? — w głosie Mr. Pike'a przebijająco zdumienie, że mogę o to pytać. — Co zrobię? Hm, to co ten drab zrobił z Kapitanem Somersem! Od trzech lat znikł, prawda, i nie daje znaku życia, wpadł jak kamień w wodę. Ale jest marynarzem, wróci na pewno na morze i przyjdzie dzień...

W świetle zapałki, którą drugi oficer zapalał swą fajkę, zobaczyłem goryle ramiona Mr. Pike'a i zacisnięte olbrzymie jego pięści, wzniesione ku niebu, i twarz jego wykrzywioną, którą przebiegały

konwulsyjne drgawki. W tymże oka mgnienu dostrzegłem, że ręka drugiego oficera drży i nie może trafić w otwór fajki.

— I nigdy nie widziałem jego fotografii — dodał Mr. Pike. Ale wyrobiłem sobie o jego wyglądzie pewne pojęcie i jest on doskonale naznaczony przez tego koka. Po szczybie w czaszce poznałbym go w ciemności. Poczulbym go przez skórę. Przyjdzie dzień, że wpakuję mu palce w tę szczybę.

— O kim pan mówił, sir? Jak się ten kapitan nazywał? — rzucił Mr. Mellaire od niechcienia.

— Somers — stary Kapitan Somers — odpowiedział Mr. Pike. Mr. Mellaire parę razy powtórzył to nazwisko głośno, wreszcie zaryzykował:

— Czy nie dowodził on Lammermoorem przed laty trzydziestu?

— Tak, to on.

— Zdaje mi się, że go sobie przypominam. Stałem na kotwicy obok jego statku w Table Bay, przed trzydziestu laty.

— Oh, jaki podły jest ten świat, jaki podły jest ten świat — zamruczał Mr. Pike, odwracając się i odchodząc.

Powiedziałem dobranoc drugiemu oficerowi i skierowałem się ku drzwiom kajutowym, gdy zawołał on za mną przyciszonym głosem — Mr. Pathurst.

Zatrzymałem się, a wówczas powiedział on pośpiesznie i z zaambarasowaniem: — Nie, już nic, sir... Przepraszam pana... ja — ja się rozmyśliłem.

Znalazłszy się w kajucie i leżąc na koi, nie mogłem czytać. Coraz to, wbrew woli, myśl moja powracała do tego, co zaszło na pokładzie, i przyszłość przedstawiała mi się w jak najczarniejszych kolorach. Ogniwko po ogniwie, przebiegałem w myślach łańcuch najfatalniejszych wydarzeń.

I w tym czasie przyszedł Mr. Mellaire. Ześlizgnął się po trapie tylnej kajuty, a przez nią i przez galerię dostał się do mej kabiny. Wszedł bez szmeru stąpając na palcach i przyłożonym do ust palcem na znak milczenia. Ozwał się dopiero, będąc u samej koi mojej, i ozwał się szeptem:

— Proszę o wybaczenie, sir, Mr. Pathurst... Ja — ja proszę o wybaczenie, ale ja, sir, właśnie przechodziłem i, wiedząc, że pan nie śpi... pomyślałem, że nie przerwę panu spoczynku... widzi pan, pomyślałem, że mogę poprosić o małą przysługę... wobec tego, że nie przerwę panu wypoczynku, sir... ja... ja...

Czekałem, by się wytłumaczył. A przez chwilę, kiedy tak stał u mej koi i oblizywał wyschłe wargi, bestia, przyczajona w jego czaszce, wyjrzała mu z oczu, rzekłbyś, przysiadając na tylnych łapach do skoku, aby się rzucić na mnie.

— A więc, sir — zaczął już mniej chaotycznie. — To drobnostka. — Może to niemądre z mojej strony — kaprys, że się tak wyrażę — ale proszę, niech pan sobie przypomni, że na początku podróży pokazałem panu szramę na głowie... wskutek nieszczęśliwego wypadku. Ta szrama oszpeca mnie i kryję się z nią dlatego. Za żadne skarby, sir, nie chciałbym, aby Miss West, naprzykład, dowiedziała się o tej mojej szpetnej szramie. Jestem mężczyzną, sir — pan pojmuje — a rzecz to zawsze przykra dla mężczyzny być zeszepeconym w oczach kobiety. Czy pan nie mówił jej o tym.

— Nie — odpowiedziałem — tak się złożyło, że nie mówiłem.

— Ani też nikomu innemu? — Kapitanowi Westowi, dajmy na to? — albo Mr. Pikowi?

— Nie, nie wspominałem o tym nikomu — stwierdziłem zgodnie z prawdą.

Widać było, jaką mu to ulgę sprawiło. Wyraz załterowania znikł z jego twarzy i ze sposobu jego zachowania się. Przyczajona w nim bestia odstąpiła znów w głąb swej jaskini.

Przysługa o którą, proszę, Mr. Pathurst, polega na tym, by pan nikomu nie wspomniał b moim zeszepeceniu. Mam wrażenie (uśmiech jego był uprzejmy, jak uśmiech światowca) że to mała

zarozumiałość z mojej strony — pojmuje pan — ale to silniejsze ode mnie.

Skinąłem głową, czyniąc niecierpliwy ruch książką na znak, że chcę powrócić do niej.

— Mogę w zupełności polegać na pańskim przyrzeczeniu, Mr. Pathurst?

Głos jego i całe zachowanie zmieniło się w jednej chwili. Był to w gruncie rzeczy rozkaz. Niemal ukazały się mym oczom kły obnażone i lśniące w szczękach bestii, czyhającej za oczami tego człowieka.

— W zupełności — odpowiedziałem zimno.

— Dziękuję panu, sir — dziękuję panu — powiedział i bez dalszych ceremonii wyszedł z pokoju, jak przyszedł.

Naturalnie nie czytałem tej nocy. Czyż mogłem czytać? I nie spałem także. Po głowie tłukły mi się myśli i tłukły. Zdrzemnąłem się na krótko przed przyniesieniem kawy przez stiuarda, a więc dopiero przed piątą.

Jedno w tym wszystkim jest pewne. Mr. Pikowi się nie śni, że morderca Kapitana Somersa przebywa na **Elsynorze**. Nie dostrzegł tej okropnej szczeliny, zakrytej tylko błoną, w czaszce Mr. Mellaira, a właściwie Sidneya Walthama. A ja, rzecz pewna, nie pisnę ani słowa Mr. Pikowi. I wiem nareszcie, dlaczego od pierwszego wejrzenia czułem taką antypatię do drugiego oficera. I rozumiem teraz, jakie to drugie ja czai się w nim i wygląda przez jego oczy. Tę samą bestię rozpoznałem w trzech bosmanmatach z kasztelu. Jak i drugi oficer, są to ptaszki, które wyleciały z klatki, pensjonarze więzienni na gościnnych występach. Przymus, milkliwość i żelazna dyscyplina więziennego życia wyhodowały w nich wszystkich to okropne drugie ja.

A z tego wypada niezbiecie, że na tym okręcie zmierzającym przez Południowy Atlantyk, na samą zimę w mroźne okolice Hornu są wszystkie elementy tragedii. Nie węglem jesteśmy załadowani, ale dynamitem ludzkich namiętności, które każdej chwili mogą rozsadzić nasz pływający świat.

# ROZDZIAŁ XXV

Dnie mijają za dniami niepostrzeżenie. Południowo-wschodni passat stężał i bluzgi fali wpadają od czasu do czasu do mej kabiny przez otwarty iluminator. Kabina Mr. Pike została wczoraj zalana. Nic bardziej znamiennego, ani sensacyjnego nie wydarzyło się od pewnego czasu. Bosmanmaci rządzą w kasztele. Larry i Kciuk pobili się, ale nieszkodliwie. Rozpalone do białości haki w dalszym ciągu tkwią w mózgownicy Mulligana Jacobsa. Charles Davis znajduje się w odosobnieniu swego stalowego pudła, wychodząc tylko do kambuza po Strawę. Miss West gra i śpiewa, kuruje Possuma, zajmuje się bielizną i szydełkową robotą. Mr. Pike co drugi wieczór, kiedy nie ma wachty, puszcza w ruch swe pudełko z muzyką. Mr. Mellaire ukrywa szczerbę w swej czaszce. Ja pilnie strzegę jego tajemnicy. A Kapitan West jeszcze bardziej daleki od życia, niżli dotąd, siaduje na przewiewie w przyćmionej kajucie.

Jesteśmy już trzydzieści siedem dni na morzu, a przez cały ten czas, po dziś dzień nie widzieliśmy ani jednego statku. Dziś natomiast z pokładu zobaczyliśmy naraz sześć. Dopiero, zobaczywszy te statki, zdałem sobie sprawę z pustki tych wód.

Mr. Pike mówi, że paręset mil dzieli nas od wybrzeży Południowej Ameryki. Z drugiej strony onegdaj byliśmy, pono, nie na wiele dalej od Afryki. Dziś rano wielka aksamitna ćma polatywała nad pokładem. Zachodziliśmy w głowę, skąd się wzięła mogła! Jakim cudem mogła nadlecieć z Południowej Ameryki, setki mil przeciwko passatowi?

Krzyż Południowy skrzył się nad nami tygodnie całe. Gwiazda Polarna znikła za wypukłością globu. Wielka Niedźwiedzica kulminuje nisko bardzo nad horyzontem. I ona wkrótce zniknie, a wówczas ujrzymy Mgławice Magellana.

Przychodzi mi na myśl, jak się to Kciuk z Larrym pobił. Mr. Pike, według słów Wady, miał się przyglądać tej błazeńskiej bójce przez czas dłuższy. Wreszcie, nie mogąc dłużej znieść widoku takiej niezręczności ze stron obu, wziął ich za kark i zderzył głowami, mówiąc, że, póki nie nauczą się lepiej władać pięściami, on bierze na siebie całe garbowanie skóry na Elsynorze.

Wydaje mi się nie do uwierzenia, by miał sześćdziesiąt dziewięć lat. Podziwiam jego tors kolosu, jego zbójcekie łapy i wyobrażam go sobie w roli mściciela Kapitana Somersa.

Życie jest jednym pasmem okrucieństw. Między pięcioma tysiącami ton węgla w towarowym wnętrzu Elsynory, tysiące szczurów są uwięzione. Nie ma dla nich wyjścia z stalowego więzienia, bo wszystkie wentylatory są zamknięte gęstą i mocną siatką drucianą. Podczas poprzedniej podróży okrętu z ładunkiem jęczmienia rozmnożyły się one niesłychanie. Teraz zostały uwięzione wśród węgla i pożerają się nawzajem. Mr. Pike twierdzi, że gdy przybędziemy do Seattle, zostanie z nich tuzin, lub dwa dziesiątki najwyżej, najsilniejszych i najokrutniejszych okazów, wielkich, jak koty. Często, przechodząc obok wentylatora w tylnej ścianie strażnicy, słyszę żalosne ich kwiki i pisk z głębi węgla.

Lepszy los przypadł w udziale szczurom w pomieszczeniu międzypokładowym na przodzie statku, gdzie złożone zostały zapasowe *zagle*. Wychodzą stamtąd i biegają w nocy po pokładach, kradną prowiant z kambuza i zlizują rosę. W związku ze szczurami przychodzi mi na myśl, że Mr. Pike nabrał nagle antypatii do Possuma. A rzecz się tak miała. Wada, inspirowany przez pierwszego oficera, schwytał szczura w oddziale pomp. Wada przysięgła się, że szczur miał osiemnaście cali od nosa do końca ogona. Zamknąwszy szczura i foksteriera w kabinie Wady, szczuli psa na szczura i odwrotnie, przyczyni foksa sromotnie podwinął pod siebie ogon. Musieli sami zabić szczura, a Possum po całej hecy, położył się i dostał ataku hysterii.



Mr. Pike ma wstręt do tchórzy, to też odwraca się teraz od szczeniaka. Nie bawi się z nim więcej, nie przemawia do niego, a ilekroć pies mu się podwinie na pokładzie, obrzuca go wzgardliwym i ponurym spojrzeniem.

W Instrukcjach Żeglugi po Południowym Atlantyku wyczytałem, że wpływamy w rejon najpiękniejszych na świecie zachodów słońca. Dziś wieczór mieliśmy jeden z nich. Porządkowałem książki w swym pomieszczeniu, gdy Miss West zawołała mnie z kajutowych schodów:

— Mr. Pathurst! — Niech pan przyjdzie prędko! O niechże pan prędko idzie! To coś dla pana.

Pół nieba, od zenitu do horyzontu na zachodzie było cudownym liściem z czystego jasnego jednolitego złota, a poprzez tę przesłonę na zachodzie przepalało się słońce, krąg z intensywniejszego jeszcze złota. Złoto nieba stało się bardziej jeszcze pozłociste, potem zmierzchno w naszych oczach i zaczęło się słabo rumienić. W miarę jak stawało się czerwieńsze, tuman przesłaniał cały liść ze złota i palącą żółć słońca. Na płótnach Turnera nie widziałem takiej złotolitości, tyle złotego pyłu.

Potem, wypełniając całkowicie krąg nieba i morza, poprzez tuman zaczęły przebijać sylwetki wełnistych chmur passatowych. Występując coraz wyraźniej zabarwiały się po brzegach różowo, a w głębi pulsowały błękitną bielą. Wiem, co mówię. Wszystkie kolory tej panoramy nieba pulsowały.

W miarę rozpylania się i blednięcia złota na kopule niebieskiej, wszystkie kolory stawały się jaskrawe, zdecydowane; turkusy przeszły w zieleń, a różane blaski w czerwień krwi. Purpura i indygo długich fal oceanicznych pokrywały się nalotem z brązu, z niebios zaczerpniętym, a jednocześnie po wodach, jak olbrzymie węże przepęły czerwone i zielone odbłaski. Potem zaś wspaniałe żary nieba szybko się spopieliły i ciepła podzwrotnikowa ciemność otoczyła nas.

# ROZDZIAŁ XXVI

Elsynora to prawdziwy światek, świat w miniaturze. Pruje ona fale oceanu, jak glob nasz, niosący dole i niedole ziemian, pruje przestrzeń. Dlatego to zestawienia na niej, porównania dają wyniki tak zdumiewającej tyle na niej kontrastów.

Przyjrzyjmy się, jak życie płynie na tym okręcie. Co się działo dziś wieczór na rufie ? — Oto Miss West w kostiumie marynarskim z mocnego lśniącego płótna, nieposzlakowanie białego z wyrzucanym kołnierzem, związanym na czarny krawat z jedwabiu na wzór mundurowego krawatu wojennego marynarza. Jej elegancko, gładko ułożone włosy, wzburzone cokolwiek były imponujące. Ja obok niej w białych spodniach, białych pantoflach i białej jedwabnej koszuli, tak samej nieskazitelnie białych, jak jej cała sylwetka. Stiuard nam podawał herbatę w cieniutkiej chińskiej porcelanie, a w głębi krzątał się Wada.

Mr. Pike wyrzucił właśnie z siebie kanonadę rozkazów. A ja cytowałem De Casseresą:

— Wzbijając się w czysty błękit abstrakcji, dostępnej zresztą tak niewielu, budzi się w człowieku widz. Życie przestaje być dobrym i złym. Jest to nieustanna gra sił bez poczętka i końca. Oswobodzony z więzów ciała intelekt zlewa się z Wolą Światła, która w istocie swojej nie jest etyczna, tylko estetyczna...

I w tejże chwili wachta wdarła się na rufę, by wyciągnąć lewostronne brasy bezań-szczyt topsła, topsła, i bramsla. Marynarze mijali nas, pracowali obok nas ze spuszczonej oczami. Nawet na nas nie patrzyli, tak wysoko staliśmy ponad nimi. Był to uderzający kontrast. Oto — myślałem, uogólniając sytuację — wysoko postawieni i nisko, władcy i niewolnicy, piękno i brzydota, czystość i brud. Nogi ich były białe, a na stopach widniały im plamy narosłego brudu i plamy smoły. Ich ciała niekapane, były okryte skąpo brudnymi łachmanami. Byli w drelichowych spodniach i bawełnianych koszulkach.

My zaś wyciągnięci w wygodnych szeszlach z dwoma służącymi na każde skinienie, istoty z innego, eleganckiego i próżniaczego świata, popijaliśmy aromatyczną herbatę z prawdziwych cacek i patrzyliśmy z góry na *tych* nieszczęsnych, których praca rak umożliwiała nam żeglugę, umożliwiała ruch naszego małego światka skroś bezmiar oceanu. Nie odzywaliśmy się do nich, zdawaliśmy się ich nie widzieć, a oni też nie śmieli do nas ust otworzyć.

Miss West błędziła po nich krytycznym okiem plantatorki, dbałej o siłę pociągową swych niewolników.

— Widzi pan, jak nabrali ciała — powiedziała, gdy, założywszy koniec lin na klubkach, odeszli z rufy. Składa się na to regularny tryb *życia.*, ładna pogoda, ciężka praca, czyste powietrze, dostateczne pożywienie i brak whisky. I będą w dalszym ciągu tyli, aż nie wpłyniemy na zimne wody. Wtedy zaczną tracić na wadze z dnia na dzień. Żegluga w zimowe miesiące dokoła Hornu zawsze w ten sposób odbija się na załodze.

— Lecz ledwie miniemy mroźny przylądek, znów równie szybko zaczną się poprawiać przy pogodzie, panującej na Pacyfiku. Wpływając do Seattle każdy z nich będzie jak tur. Potem, zeszedłszy na brzeg, przepiją w parę dni swe zarobki i zaciągną się na inne statki w takim samym fatalnym, obmierzłym stanie zdrowia, jak kiedy się do nas zaciągnęli w Baltimorze.

W drzwiach strażnicy ukazał się Kapitan West, obdarzył nas uprzejmym słowem i uśmiechem, spacerowym krokiem obszedł **Elsynorę** dokoła. Pewien byłem, że nie uszło jego uwagi nic, ani z tego, co się działo na okręcie, ani układ żagli, morze i niebo, wiatry, a, wysnuwszy prognostyk co do

stanu pogody, znikł w drzwiach strażnicy, jak się zjawił — ten jasnowłosy Aryjczyk, pan, król i Samuraj.

Wysączyłem herbatę o nieporównanym aromacie. Nasi kosoocy i ciemnoskórzy słudzy zabrali kosztowny serwis, ja zaś powróciłem do De Casseresa:

—— Instynktem twórczym, pchającym do czynu i

dokonywującym dzieła stoją rasy. Intelktem, który zaprzecza, który ironizuje, giną. Instynkt stwarza życie z rozrzutnością bez miary i chaotycznie, ze ślepym zaciętrzewieniem wypycha na scenę swych kłownów, tragiców i komików. Intelkt pozostaje wieczystym widzem tej gry. Czasem z rozmysłem bierze w niej udział, ale nigdy nie oddaje się bez reszty temu sportowi. Intelkt oswobodzony z oków woli osobniczej, wzlatuje w eter abstrakcji, dokąd instynkt podąża za nim w tysiącnych przebraniach, usiłując go ściągnąć z powrotem na ziemię.

## ROZDZIAŁ XXVII

Znajdujemy się na południe od Rio i zdążamy na południe. Minęliśmy szerokości, w których wieją passaty. Wiatr mamy zmienny. Szkwały deszczowe i szkwały suche wstrząsają Elsynorą. Godzinę chybozemy się wśród ciszy morskiej do zawrotu głowy, a przez następną godzinę prujemy fale z szybkością czternastu węzłów i skracamy żagle, ile tylko marynarze nadążą zrefować. W nocy znów cisza morska, powietrze stoi nieruchome i zatęchłe, że o spaniu nie ma mowy; za dnia gładka oleista fala z południa, co dowodzi, że sztormy panują na wodach, na które zdążamy. Są dni kiedy Elsynorą ze skróconymi górnymi żaglami nurza się i utyka dziobem pod porywem wichru na krótkiej, nieregularnej, przeciwnej fali.

A taka kapryśna pogoda przyczynia ludziom roboty. Zdaniem Mr. Pike nie mogą oni sprostać swemu zadaniu, choć zdążyli już poznać liny. Stary wyga warczy i zrzędzi, prycha i szydzi przy dozorowaniu ich roboty. Dziś o jedenastej rano wicher był tak gwałtowny, z taką nadleciał furją i coraz to gwałtowniejszymi skokami, że Mr. Pike kazał zwinąć wielki żagiel. Wielki bramsel został już przedtem zwinięty. Ale służbowa wachta nie mogła zluzować tej wielkiej płachty. Czas pewien trwało bezpłodne zawodzenie pieśni, szarpanina z żaglem w dół i w górę, w końcu wywołano drugą wachtę z wnętrza.

— O nieba! — jęknął Mr. Pike, zwracając się do mnie. — Obie wachty do zwinięcia takiego łacha kiedy pół wachty powinnyby na to wystarczyć! Niech pan tylko spojrzysz na tę pokrakę, tego, pożałuj Boże, mego basmana!

Biedny Nancy! Co za pożałowania godna była z niego kreatura! Był wyciśnięty, jak cytryna, bezsilny, bezradny jak kaleka. A Sundry Buyers jeszcze gorzej się przedstawiał. Na twarzy jego malowało się cierpienie i zupełna beznadziejność, uciskał rękoma brzuch i rozglądał się dokoła jakby chciał coś zrobić i nigdy nie znajdował czego mu było trzeba. Przez minutę i dłużej gapił się na jedną linę, idąc oczyma za jej biegiem wśród sieci innych lin i drągów, wśród masy mechanizmów, zapatrzony, jakby rozwiązywał jakiś zawiły problemat. Potem, z ręką na brzuchu posuwał się parę kroków, włączając nogami, i wybierał inną linę do dalszych studiów.

— O Boże, Ty widzisz i nie grzmisz! — lamentował Mr. Pike. — Jak tu żegłować z taką załogą i takimi bosmanami? A mimo to, gdybym był kapitanem tego okrętu, musieliby mi skakać, jakbym im zagrał. Pokazałbym, co to znaczy żegłować, choćby mi przyszło paru z nich ukatrupić. A im bliżej Hornu, tym będą słabsi, i co wtedy z tymi cherlakami pocniemy? Obie wachty trzeba będzie trzymać na pokładzie i z sił jeszcze prędzej opadną.

Opłynięcie zimną Hornu nielada to widać przeprawa. Najeżona być musi niebezpieczeństwami wszelkiego rodzaju, o jakich się czyta w opisach podróży sławnych żeglarzy. Obaj nasi oficerowie, ludzie żelaznego: hartu są z całym respektem dla tego najskrajniejszego cypla amerykańskiego kontynentu, zwanego przez nich „Przyłądkieni-Grzmotem”. Śmiesz mi zawsze, gdy słyszę tych żelaznych ludzi, mających taki plugawy język, a wołających — O, Boże! — w poważnych chwilach życia.

Korzystając z ciszy morskiej między wichrami zabawiałem się strzelaniem z mego karabinka. Wystrzeliłem już pięć tysięcy paczek ładunków i nabrałem ogromnej wprawy. Mam zacięcie urodzonego strzelca i doskonałe oko. Wróciwszy na ląd, wezmę się do strzelania do celu.

Possum boi się nie tylko żagli i szcurów, ale i strzelania. Przy pierwszym trzasku broni rzuca się, jak postrzelony, ujada i skomli. Antypatia Mr. Pike do tego szczeniaka jest wprost komiczna. Powiedział mi, że, gdyby to był jego pies, wyrzuciłby go za burtę i strzelał do niego do celu. Ale ja

go cenię. Cenię go za szczerze przywiązanie do mnie i wdzięczny jestem Miss West, że go ode mnie nie przyjęła. Tak go, polubiłem.

I o zgrozo! — piesek sypia ze mną, zwijając się na kołdrze w nogach mego łóżka. Mr. Pike jest zgorszony. — Nie długo będzie pan mu czyścił zęby swoją szczoteczką — warknął na mnie Mr. Pike. A szczeniak kręci się ciągle przy mnie i nie ma dla niego większej uciechy, jak ułożyć się w nogach mego łóżka. Oczywiście, drażni mnie przy tym nie mało, bo jest w śmiertelnym strachu, kiedy znajdziemy się po podwietrznej i fala z trzaskiem bije w szkło iluminatora. Wówczas nieszczęsny tchórz, cały najeżony ze strachu, przywarowuje, jednocześnie warcząc groźnie i skomląc błagalnie na płynnego potwora z poza iluminatora.

— Papa zna morze — powiedziała do mnie Miss West tego wieczora. — Rozumie je i kocha.

— Może to być i przyzwyczajenie — rzuciłem. Potrząsnęła głową.

— Zna morze. I kocha je. Dla tego na nie powrócił. Wszyscy jego przodkowie byli z morza. Jego dziad, Antoni West, odbył czterdzieści sześć podróży między 1801, a 1847 rokiem. A ojciec jego dziada, Robert, był kapitanem okrętu, utrzymującego komunikację z północno-zachodnim krajem przed odkryciem w nim złota, a po odkryciu — kapitanem jednego z najszybszych kliprów, kursujących dokoła Hornu; Elias West, ojca prapradziad był korsarzem w czasie Rewolucji. Dowodził wojennym brygiem New Defence. Ba i ojciec Eliasza, ojca Eliasza ojciec byli również kapitanami i właścicielami dalekobieżnych handlowych okrętów.

— Anthony West w 1813 i 1814 r. dowodził Davidem Bruce, statkiem korsarskim. Statek ten należał do niego do spółki z firmą Gracie et Son. Był to dwustotonowy skuner, spuszczone z doków w Maine. Był uzbrojony w długą osiemnastofuntową haubicę, dwa działa dziesięciofuntowe i dziesięć dział sześciofuntowych. Przerwał się przez linię angielskiej blokady z Newportu dostał się na La Manche i Zatokę Biskajską. I czy pan uwierzy, że stateczek ten, który kosztował wszystkiego dwanaście tysięcy dolarów, nabral angielskich przyzów na więcej, niż trzysta tysięcy. Brat Anthony West dowodził Osą.

— Jak pan widzi morze mamy we krwi. Morze jest naszą ojczyzną. Jak daleko wstecz sięga genealogia naszego rodu, wszyscy szliśmy na morze. Zaśmiała się, dodając. — Mamy piratów i handlarza niewolników w rodzie, i wszelkiego rodzaju rozbójników morskich. Stary Ezra West, a kiedy to mi wypadło z pamięci, został stracony za rozbój na morzu, a ciało jego wywieszono w łańcuchach w Plymouth.

— Papa ma morze we krwi. Zna się on na okrętach, jak inni ludzie znają się na psach i koniach. Każdy okręt, którym dowodzi, ma dla niego indywidualność. Obserwowałem go w chwilach wielkiego napięcia nerwów i widziałam, jak myślał. Ba! ileż razy nie myśli wcale — a czuje i wie wszystko, nie myśląc. We wszystkim, co dotyczy okrętów jest wirtuozem, artystą. Nie ma na wyrażenie tego jego kuszku innego słowa.

— Jest pani wysokiego mniemania o swym ojcu — zauważyłem.

— Jest on najcudowniejszym człowiekiem, jakiego znam — odpowiedziała. — Niech pan weźmie pod uwagę, że nie widzi go pan w pełni sił. Zmienił się bardzo od śmierci mamy. Jeżeli kiedy mężczyzna i kobieta byli jedną duszą, jednym ciałem, to byli rodzice. — Urwała i dodała porywczo. — Pan. go nie zna. Pan wcale go nie zna.

# ROZDZIAŁ XXVIII

— Będziemy mieli piękny zachód słońca — zdecydował kapitan Kest po południu.

Miss West grała ze mną w wista. Nie skończywszy robra pośpieszyliśmy na pokład. Jeszcze słońce nie zachodziło, ale już się miało ku zachodowi. Niebo zbierało wszystko, co było potrzebne do iluminacji. Grupowało szare chmury w długie zagony i wysokie wieże, rozrzucało po swej palecie zwolna gęstniejące, żarzące się kolory i balony ognia.

— To Golden Gate — zawołała Miss West wskazując na zachód. — O, niech pan patrzy! Jesteśmy w przystani. Niech pan spojrzysz na południe. Czyż to nie sylwetka San-Francisco na tle nieba! Tam Call Building, a tam daleko w dole, Ferry Tower, a to zupełnie wygląda na Fairmount. — Spojrzała przez szczelinę w masach chmur i nagle klasnęła w ręce... Mamy zachód słońca w zachodzie słońca! Niech pan spojrzysz! To Farellony! — a pływają na tle pomarańczowoczerwonego zachodu słońca w miniaturze. — Czyż to nie Golden Gate i San-Francisco i Farellony? — zwróciła się do Mr. Pika, opartego opodal o balustradę rufy i spoglądającego złym okiem to na Nancy, który z zadartą głową gapił się na olinowanie, to z obrzydzeniem na Possuma, który przysiadł ze strachu za każdym trzaskiem tracącego wiatr bramsla.

Pierwszy oficer obrzucił niebo ponurym spojrzeniem.

— Czy ja wiem? — mruknął. — Pani w tym widzi Farellony, a ja okręt wojenny, wpływający w Golden Gate przeciwko fali, z szybkością dwudziestu węzłów.

Miał rację. Popływające w słonecznej szreżodze wyspy Farellony przemieniły się w olbrzymi okręt wojenny.

I wybuchły z nieba kolory jedne przez drugie, w niesłychanej obfitości, a dominował wśród nich kolor zielony. Wszędzie zieleń, zieleń i zieleń, poczynając od niebieskawej zieleni wiosny do zwiędłej, żółtawej i brązowanej zieleni jesiennej. I wśród tego potopu zieleni tliły się wszystkie odcienie zielonego złota, pomarańczowy, złotolity i miedziany. Intensywność wszystkich tych odcieni zieloności urąga wszelkim opisom. A mimo to szybko w oczach naszych cały ten potop zieloności wsiąkł w szarzyznę chmur i oceanu. Wody wówczas pokryły się nieporównanym złocisto-rumianym nalotem, stały się, rzekłbyś, z polerowanej miedzi podczas, gdy wnęki gładkich jedwabistych fal zabarwiły się najeteryczniejszym w świecie seledynem.

Szare chmury przybrały postać długich nisko położonych wstęg z mieszaniny rubinów i kwiatu granatu — były tego odcienia, co kielich starego burgunda, trzymany pod światło. Tak głęboka była ta purpura! A poniżej oddzielony od głównej purpury pasmem szaro-białej mgły na horyzoncie, znajdował się drugi pomniejszy basen z purpurowym winem.

Przeszedłem przez-rufę na drugą jej stronę.

— O! niech pan wraca. Proszę tylko spojrzeć! Prędeż! — zawołała na mnie Miss West.

— Co się stało? — odezwałem się. — Z tej strony mam równie piękny widok.

Wschodnia część niebios była również, godna widzenia. Przedstawiała gładką wnękę z najczystszej błękitu, przechodzącą u góry poprzez wszelkie odcienie barw w błądy, choć. ciepły, róż, drżący, pulsujący, mieniący się tonacją płatków róży, a zmieszany z niebieskim. Refleksy tej niebiańskiej muszli na wodzie przemieniały ją w jedwab z połyskiem płynnym, jedwab pastelowy, niebieski, wpadający w zieleń Nilu, i różowy kolor łososiny. Nie woda, powtarzam, ale jedwab, satyna rozplywna, a falująca.

A błądy księżyc był nakształt zwilżonej perły, przebijającej przez barwny tuman tej wnęki niebios.

Na południowej ćwierci niebios odkryliśmy zupełnie odmienny zachód słońca. Był to zachód pomarańczowy i złoty z nawisłymi nisko szarymi chmurami, obrębionymi kolorową obwódka.

— Phu! — mruknął Mr. Pike ochryple, gdy okrzykami zachwytu witaliśmy nasze odkrycie. — Spójrzcie państwo na ten zachód, który mam tu na północy. I tu jest wcale niezłe.

Miał rację. Północna ćwierć nieba była wielkim wachlarzem z piór różanych i miękkich, jak runo, trzymających się na brytach z chmur, rozchodzących się od horyzontu do zenitu. Wszystko, razem wzięwszy, było uczta dla oka. Cztery zachody słońca na niebie jednocześnie! Każda ćwierć niebios jarzyła się, płonęła i pulsowała słońcem własnym!

A na kolorowym więdącym niebie w coraz gęstszym powolnym zmierzchu księżyc, wciąż za woalem, ronił łzy błyskotliwego ciężkiego srebra w morze liliowe. A potem padło na świat tłumiące brzemie ciemności i ocknęliśmy się z zachwytu, nasyceni pięknem, zbliżeni do siebie i teraz dopiero spostrzegając, jak blisko staliśmy przy sobie, oparci o balustradę nadburcia.

Znajdujemy, się poza Plate, w rejonie, znanym z burz, i Mr. Pike ma się na bacności przed pampero. Kapitan West nie zdaje się mieć na bacności przed czymkolwiek, jednak zauważyłem, że więcej czasu spędza na pokładzie, kiedy stan nieba i barometr źle wróżą.

Wczoraj mieliśmy próbkę zaburzeń atmosferycznych, panujących na tych wodach, a dziś zapowiadała się Bóg wie jaka burza i spełzła na niczym. Pierwsze pampero przyszło między zmierzchem, a zapadnięciem na dobre ciemności. Nie było wiatru i Elsynora trzymała się na kursie tylko dzięki spontanicznym podmuchom z północy. Chybotą się rozpaczliwie na olbrzymich gładkich wzgórzach wodnych, nadbiegających z pola jakiejś burzy na południu.

Przed nami jak na skinienie różdżki czarodziejskiej tworzył się gęsty tuman ciemności, rzekłbyś, — formowały się mgły, ale nie biała, tylko czarna, potężna chmura lotnej czerni. Piętrzyła się wyżej i wyżej, aż nad nami nawisła, rozlała się na prawo, na lewo i zasłoniła pół morza.

I wciąż lekkie podmuchy z północy wypełniały żagle, które nie trzymały wiatru i coraz to traciły go z głuchym rozgrznotem. I wciąż, szastając się po olbrzymich gładkich wzgórzach wodnych, Elsynora posuwała się powoli ku złowrogiej ciemności. Na wschodzie leżała chmura, przesycona elektrycznością, mrugająca ustawicznie błyskawicami w mgławicy cienia, przed nami porywały się balony i tryskały smugi błyskawicowego światła.

Ostatnie podmuchy nas odleciały. W momentach głuszy między rozgrznotami i coraz bliższymi piorunami głosy marynarzy, leżących na rejach, dochodziły tak wyraźnie, jakby odzywały się obok nas, nie zaś na setki stóp ponad nami. Musiał ich strach zdjąć nie lada, bo robota szła szparko. Obie wachty pracowały pod rozkazami obu oficerów, a Kapitan West w zwykły nonszalancki swój sposób przechadzał się po rufie, nie wydawał rozkazów, tylko od czasu do czasu rzucał parę cichych słów Mr. Pikowi, wbiegającemu na rufę po wskazówki.

Miss West, zniknąwszy na pięć minut, powróciła w butach, opończy i kapturze — prawdziwa kobieta morza. Stanowczym głosem nakazała mi przyodziać się tak samo. Nie chciałem jednak schodzić z pokładu ani na chwilę, bojąc się, że w tym czasie może się wydarzyć coś szczególnego.

I nadleciał z ciemności wiatr, uderzył błyskawicznie. Rozpętało się prawdziwe pandemonium. Piorun walił za piorunem. Wraz z deszczem, z piorunami naprzemian ogarnęła nas ciemność. Była to ciemność namacalna. Przelatywała obok nas w *ryczącym* wichrze, niby wyczuwalna dotykiem substancja. Wicher i ciemność wartkim prądem w nas uderzały. Nie potrafię odmalować tych ciemności. Nie było widać własnej ręki, trzymanej przed oczami.

— Czyż nie wspaniałe? — krzyknęła mi do ucha Miss West.

— Cudowne! — krzyknąłem jej również do ucha z tak bliska, że włosy jej załaskotały mnie po twarzy.

I nie wiem nawet jak się to stało, że zbliżyliśmy się do siebie wśród tych nieprzeniknionych, ryczących ciemności. Ręce nasze odruchowo splotły się i zacisnęły na balustradzie nadburcia, której trzymaliśmy się z całych sił, kurczowo, by nie dać się oderwać wichrowi.

— Córka Herodiady — mruknąłem do siebie ze złością, ale nie usunąłem ręki.

— Co się dzieje? — krzyknąłem jej do ucha.

— Straciliśmy pęd — zabrzmiała w wicherze jej odpowiedź. — Zdaje się, znosi nas w tył. Ster położony na podwietrzną burtę, a okręt się nie poddaje..

I rozebrzmiał archanielski głos Samuraja: — Na przeciwną burtę ster! — Był to zew marynarza do steru. Dźwięczał metalem i urągał burzy. — Na przeciwną burtę ster! — nadleciał w odpowiedzi głos sternika, rozbity, rozchwiany, chrypiący z natężenia i zgłuszony.

Wytrysły błyskawice z przodu, za nami, z boków *zalewając* nas błyskawicowym światłem, trzepoczącym z minutę i dłużej za jednym wybuchem. Nieustający rumor piorunów ogłusza nas. Czarodziejski był to widok ! Wysoko w górze szkielet rej i masztów, z których żagle zostały ściągnięte i poniżej marynarze, zwisający nakształt potwornych pluskiew, pełzali bowiem po rejach od ref-sejzingu, do ref-sejzingu, ściągali żagle i związywali je ref-bantami, pod nimi kilka żagli, wydętych ku masztom, żagli, lśniących białawo, niesamowicie, koszmarnie przy tej wstrząsającej iluminacji, na samym zaś dole pokład i pomost, i kajuty Elsynory, i płatanina lecących gdzieś rej z czerniejącymi tu i ówdzie grupami chwiejących się, pchających coś, lub ciągnących istot ludzkich .

Chwila była groźna. Spychało nas wstecz, cały nasz ogrom, cały tonaż z masą machin okrętowych i ze strzelającymi na dwieście stóp w górę masztami. A nasz władca był z nami, tam, na rufie, wśród wiejące- . go płomienia; trwał, czuwał smukły, niewzruszony, mając tylko dwóch ludzi do pomocy — a jeden z nich był mordercą, dwóch ludzi tylko do pełnienia jego woli, do narzucenia *jej* hordzie słabeuszy i cherlaków. Zgalwanizowana jego wolą horda musiała siłą swych nędznych mięśni wprawiać w ruch nasz pływający światek i przeprowadzić go zwycięsko poprzez furie skłóconych żywiołów.

Co się działo potem, co zrobiono, nie wiem. Od czasu do czasu słyszałem, jak najczystszy dzwon, głos archanielski Samuraja. Zapadła zupełna ciemność. Potoki deszczu leciały poziomo, wprost w oczy. Wypełniały mi usta, dusiły mnie, jakbym wypadł za burtę. Zdawały się siec nas zarówno z góry na dół, jak z dołu do góry, znajdowały drogę pod moją oponcę, za mocno przylegający do ciała kołnierz i do moich gumowych butów. Byłem oszołomiony, zamroczony tym łącznym szturmem piorunów, błyskawic, wichru, czerni i fali. A mimo to nasz pan i władca, tuż obok na rufie poruszał się w tym wszystkim i działał z zupełną swobodą, głosząc swą mądrość. Chwytała ją w lot załoga, składającą się z dwóch wilków morskich i hordy połamańców o siłach komara, a pełniących pracę olbrzyma. Oni to pod urokiem Samuraja wyciągali brasy, luzowali płachty, obracali reje, spuszczaali je, ciągnęli szkoty i fały, napinali olbrzymie płachty żagielne.

Miss West i ja pod osłoną grzmiącego na wicherze płótna nadburtowego trzymaliśmy się kurczowo nad burda; była mocno plecami do mnie przyciśnięta i trzymała się wolną ręką za wyłogi mojej oponczy.

W godzinę później zmierzaliśmy ostrożnie do strażnicy, podtrzymując się nawzajem przy chybotach i podrzutach **Elsynory**, która pod naporem wichru na parę niezwinionych jeszcze żagli wzbijała się i zarywała głęboko. Wicher ucichł po ostatnim deszczu, ale nawrócił w paru spontanicznych porywach, aby ustalić się wreszcie w sztormowej sile. Wszystko to dzielnie wytrzymał nasz okręt. Burza złamała kark, a okręt się ostał i my ostaliśmy się na nim. Za chwilę już z ociekającymi twarzami byliśmy w jasno oświetlonej strażnicy. Patrzyliśmy na siebie błyszczącymi oczami i śmieliśmy się wesoło.



—Kto może się nam dziwić, że kochamy morze? — zawołała Miss West entuzjastycznie, wyżymając wodę z włosów, które jej się rozleciały podczas szarpaniny z burzą. — I ludzi morza! — wołała — Panów morza. Pan widział mego ojca...

— To król — powiedziałem.

— To król — powiedziała za mną.

Elsynora wleciała na przelewającej się górze wodnej i padła na bok, aż rzuceni o siebie, poleciliśmy na ścianę i padliśmy na nią bez tchu.

U stóp kajutowych schodów powiedziałem Miss West dobranoc. Przechodząc obok otwartych drzwi kajuty głównej, zjrzałem do wnętrza. Siedział w niej Kapitan West. Zdziwiło mnie to, bo sądziłem, że jest jeszcze na pokładzie. Nie miał już na sobie sztormowego rynsztunku, stopy jego nie tkwiły w gumowych butach, a w miękkich pantoflach; odchylony wtył w swym wielkim skórzanym fotelu siedział z szeroko otwartymi oczami i łowił wizje w skrętach i zwojach dymu cygara, rozplywającego się fantastycznie na tle dziko jeżdżącej ściany.

Dziś zrana o jedenastej huraganowa pogoda zawiodciana zupełnie. W nocy mieliśmy prawdziwe, pampero, choć słabe. Dziś zapowiadał się orkan, a, nasrożywszy się okrutnie, żywiły w nos się nam roześmiały. W nocy wiatr tak opadł, że o dziewiątej rano podnieśliśmy bom-bramsle. O dziewiątej przewalaliśmy się ciężko wśród ciszy morskiej. O jedenastej powstał złowrogi rozruch na południu.

Zawleczone chmurami niebo osiadło. Wyniosłe szczyty naszych masztów brózdziły niebo w zenicie. Horyzont zacieśnił się do tego stopnia, że zdawał się ledwie o pół mili od okrętu. Elsynora wpłynęła jakby na krągłe jezioro z mgły i *morza*. Błyskawice polatywały. Niebo i horyzont zbliżyły się w zdumiewający sposób. Miało się wrażenie, że Elsynora zostanie wessana w niebo i uniesiona w tuman.

Wtem niebo pękło u zenitu rozgałęzioną błyskawicą. Zielone, widmowe światło przesyciło wilgotną atmosferę. Wśród zupełnej ciszy morskiej deszcz począł padać spokojnie, potem coraz gwałtowniej i rześściej, aż wreszcie przeszedł w iście tropikalną ulewę. Stawało się coraz ciemniej, ciemniej i, choć to było w południe, Wada ze stiuardem pozapalali lampy w kajucie. Brodziliśmy wśród zielonej nocy. Błyskawice migały coraz bliżej, wkrótce spowiły, oplątały nasz statek. Noc zieloną i pulsującą płomieniem co chwila rozdzierały olśniewające zygzaki. W miarę jak deszcz ustawał błyskawice tryskały coraz gwałtowniej: Snadź płynęliśmy głównym korytem elektrycznego melsztromu, gdyż rozgrzmotów i piorunowych trzasków niepodobna było powiązać z błyskawicami. Cała atmosfera naokół przeraźliwie bladła i płomieniała. Ogłuszająca kanonada! Spodziewaliśmy się ciągle uderzenia piorunu w Elsynorę. Nigdy w życiu nie widziałem takiego bogactwa odcieni w świetle błyskawicowym. Niezależnie od oślepiających rozprysków piorunowego ognia, powietrze było przesycone pulsującymi, pastelowymi światłami, zlekka niebieskawymi, szkarłatnymi, purpurowymi, które mieniły się wszystkimi odcieniami kwiatu lawendy...

A wiatr nie przychodził. Nie nadleciał wcale. Nic się nie stało. Elsynora, najeżona nagimi masztami i rejami, pod sztormowymi tylko żaglami, ze zwiniętym beżań-żaglem prostym i grotmarslem, była przygotowana na wszystko. Jej topsle, zwisały ociążale z toprej. Ociekały wodą i łopotały głucho za każdym chybotem. Chmury się przetarły, zaświtało światło dzienne, zielonkawa ciemność przekształciła się w szary mrok, błyskawice zblakły i odleciały, pioruny oddaliły się od nas, a wiatru wciąż nie było. Po upływie pół godziny świeciło już słońce, od czasu do czasu tylko grzmot turkował na horyzoncie, a Elsynora wciąż chybotwała się wśród zupełnej ciszy.

— Nigdy nie można wiedzieć, sir — zawarczał do mnie Mr. Pike. — Trzydzieści lat temu tu, poza Plate, nagły nalot orkanu zniósł mi maszty.

Był czas zmiany wacht i Mr. Mellaire, przyszedłszy zastąpić pierwszego oficera, stał poza mną.

— To są jedne z najgorszych wód na świecie — potwierdził. — Osiemnaście lat temu i ja tu przeszedłem przez katastrofę. Utraciliśmy połowę omasztowania, dwadzieścia godzin stawaliśmy na bimsach, ładunek się przesunął i zatonęliśmy od przechyłu. Dwa dni spędziłem w łodzi, nim angielski parowiec nas wyratował. I oprócz naszej łodzi, nie ocalała ani jedna.

— Elsynora doskonale sprawowała się dzisiejszej nocy — wtrąciłem wesoło.

— O, diabli, to nic nie było — zrzędził Mr. Pike. — Niech pan poczeka na prawdziwe pampero. To podłe wody, tak czy owak, i będę rad, zostawiwszy je poza sobą.. Wolałbym przejść tuzin wichrów u Hornu, niż tu jeden. A pan Mr. Mellaire?

— Ja również, sir — odpowiedział. — Południowo-wschodnie wichry są to uczciwe wichry i kwita. Wiadomo, czego się po nich spodziewać. Ale tu nigdy nie wie się nic Najlepszy kapitan może utracić swój statek poza Plate.

Bez wątpliwości cienia Nabrać sem przeświadczenia

Mr. Pike nucił z Newcomba Celeste, schodząc z tropu rufy.

# ROZDZIAŁ XXIX

W pobliżu Argentyny, gdzie obecnie jesteśmy, zachody słońca stają się coraz bardziej dziwaczne, i sceniczne. Wczoraj wieczorem mieliśmy wysokie chmury, przepaściste, przeświecające na zachodzie, białe i złociście na graniach, rozrzucone w artystycznym nieładzie z rozrzutnością niebywałą podczas, gdy na wschodzie stał jak malowany drugi zachód słońca — odbicie, być może, pierwszego. W każdym razie niebo wschodnie pokryte było ławicą chmur białych, z pod których sypały się promienie białego i niebieskiego światła na szaro-niebieskie morze.

A onegdaj mieliśmy wspaniały zachód, przedstawiający krajobraz w chmurach, rzekłbyś, żywcem przeniesiony z Arizony. Nad oceanem spiętrzały się kondygnacje chmur, ogromne i wyniosłe, aż się utworzył w naszych oczach Wielki Kanion, milion razy rozleglejszy i bardziej niebiański, niżli prawdziwy Wielki Kanion w Colorado. Chmury sprasowane, uwarstwione i różowe upodobiły się do złudzenia skałom a ich załamy i wnętrza zasnuły się cieniami niebieskimi i mgłami purpurowymi, charakterystycznymi dla Kolorowego Kraju.

Według Instrukcji Żeglugowych owe cudowne zachody słońca powstają wskutek obecności w atmosferze kurzu, wzbitego bardzo wysoko i nawianego przez wiatry z pampasów Argentyny.

A nasz zachód dziś — piszę te słowa o północy, siedząc w łóżku, owinięty w kołdrę i obstawiony poduszkami podczas, gdy Elsynora przewala się okropnie przy bezwietrzu na ogromnej martwej fali, nadbiegającej z burzliwych okolic Hornu. Tak, ale zachód! Turner powinien go być uwiecznić. Zachód wyglądał tak, jakby malarz rzucał kleksy szarej farby na zielone tło. Na zielonym niebie chmury zbierały się i rozpląwały.

Otóż właśnie to tło! Co za orgia zieleni! Była to harmonia zieleni, w której nie brakowało ani jednego jej odcienia. Po zieleni pływały mleczne loki obłoków. U samej góry zieleń Nilu, a potem w ordynku wszystkie odcienie, rozplływające się jeden w drugi milionem tonów, niebieskawa zieleń, pawia, brązowa zieleń, szara zieleń i cudowna oliwkowa zieleń, która zmierzchła na patynę brązu.

Podczas tego świetlnego igrzyska reszta horyzontu żarzyła się szerokimi wstęgami różowymi, niebieskimi, seledynowymi i żółtymi. Chwilę później, gdy słońce zupełnie zaszło, w głębi za zsiadłymi chmurami dymiła wielka masa koloru czerwonego wina, która zmierzchła na brąz i powlokła wszystkie odcienie zieleności nalotem krwi. Nawet chmury zapłonęły całą tonacją, różowych odcieni, a wachlarz olbrzymich strumieni jasno-różowych wytrysnął ku zenitowi. Szybko przemieniły się one w wartkie rzeki różowego ognia, które pały jeszcze długo przy zwołna zapadającym zmroku.

Dłużej znacznie symfonia barwna tego cudownego zachodu płonęła przed oczyma mej duszy, mimo, że dochodził mnie z góry warkliwy głos Mr. Pika i ciężkie kroki jego niewolników, powłóczących nogami od liny do liny. Wiatr się wzmaczał. Z szybkości, z jaką żagle zwijano można było wnosić, że storm niedaleko.

Niemniej świt zastał nas przewalających się wśród ciszy morskiej na martwej fali. Miss West twierdzi, że, choć barometr stoi nisko, za długo to już trwa, aby miało cokolwiek oznaczać. Burze, zwane pampero, nadlatują tu prędko. Choć Elsynora, trzymana w ciągłej gotowości, ogołocona jest z żagli aż po górne topsle, za godzinę może już płynąć pod wszystkimi żaglami.

Mr. Pike był tak zbity z tropu, że kazał podnieść bramsle. Właśnie rozpuszczano refy bombramsli, gdy Samuraj wyszedł na pokład, pospacerował w dół i w górę, a potem powiedział coś półgłosem do Mr. Pika. Mr. Pike bardzo tego nie lubi. Nawet, dla mnie, laika, jasne było, że krytykuje on w duchu swego kapitana.

Pomimo to w następnej chwili krzyczauchu już do ludzi na bom-bram-rejach, by wszystko skrócić do pierwotnego stanu. Potem nastąpiło wciąganie szkotów i halsów i spuszczenie rej, gdyż zwijano bramsle. Prosty bezań-żagiel zwinięto również i niektóre z pomniejszych fok i bezań-żagli, których nazwy zawsze wypadają mi z pamięci.

Ustała się morka z południo-zachodu, dmąc rzeźwo przy jasnym niebie. Widziałem, że Mr. Pike był uradowany. A więc Samuraj się pomylił. Mr. Pike oglądał się na bram i bom-bram-reje z taką miną jakby nie mógł darować Kapitanowi Westowi, że zostały z żagli ogołoczone. I ja byłem głęboko przekonany, że Kapitan West nie połapał się w nastrojach tych diabelskich wód. Miss West myślała, jak i ja, a będąc również osobą uprzywilejowaną, nie ukrywała swego zdania:

— Papa każe podnieść żagle za pół godziny — wróżyła.

Ale Kapitan West jeden miał rację. Czulszy jest na zmiany atmosferyczne od najczulszego barometru. Musi mieć jakiś dar wrodzony. Niebo, jak powiedziałem, było jasne, wiatr stosunkowo słaby, a morze, marszczone morką, skrzyło się wspaniale na słońcu. Ale w niecały kwadrans wszystko się zmieniło. Powróciłem właśnie z wnętrza. Miss West wyładowywała swą animozję na te diabelskie wody za River Plate.. Nowy zawód! Nowa niespodzianka! A Mr. Pike sapnął ciężko i parsknął z wściekłości.

— Oto i ciągnie nasz kochany River Plate — ozwał się żałośnie. W słowach tych przebijała nuta zdetonowania i poczucia swej niższości wobec Samuraja.

Patrzył ku południo-wschodowi. Poszedłszy za kierunkiem jego wzroku, spostrzeżliśmy, o czym mówił. Było to kłębowisko chmur, zamazujących słońce i ćmiących blask dzienny. Zdawało się puchnąć i pryskać, i toczyć się z szybkością dowodzącą, co za wicher je gnał. Pędziło to kłębowisko z szybkością oszałamiającą, a pod nim po powierzchni morza włókł się szary tren z mgły.

Kapitan West ozwał się do pierwszego oficera, który powtórzył rozkaz grzmiącym głosem i obie wachty *razem*, zaczęły ściągać wielki grot-żagiel i fok-żagiel. Ludzie wdrapali się olinowanie.

— Do zwrotu! Na burtę ster! — zawołał Kapitan West do sternika swym metalowym głosem.

I wielkie pióro steru zagarnęło wodę, a Elsynora wypadła z pod wiatru, by jej nadciągający orkan nie odwrócił żagli i wstecz nie odepchnął.

Pioruny cwałowały w czarnej chmurze na złamanie karku i błyskawice ją rozdzierały na wszystkie strony, i tak na nas spadała.

Owinał nas deszcz, wicher, mrok gęsty i błyskawice. Raz i drugi zamajaczyli mi przed oczami ludzie na niższych rejach i znów znikli zjawiskowo przy rozkołysach wzdłużnych Elsynory. Było po piętnastu ludzi na każdej rei. Zdążyli skrócić żagle, nim czarny wicher nadleciał. Jakim sposobem dostali się na pokład, nie wiem i nie wyobrażam sobie, gdyż Elsynora, która w owej chwili była tylko pod górnymi i dolnymi topslami, leżała na boku z lewostronną burtą w morzu i nie podnosiła się.

Zaiste, trudno było się utrzymać na nogach. Pokład był przechylony karkołomnie. Kto żyw uczepił się czego się dało. Mr. Pike otwarcie schwycił się balustrady, a Miss West i ja, czepiając się na wszystkie strony, robiliśmy desperackie wysiłki, aby tylko się utrzymać. Mimo to Samuraj stał na tym niebezpiecznie pochylonym pokładzie lekko, jak ptak zrywający się do lotu. Jedną tylko ręką opierał się na balustradzie. Nie wydawał rozkazów. Nie było nic do zrobienia. Pozostawało tylko czekać. I on też czekał spokojnie. Były trzy tylko alternatywy — albo maszty pójdą, albo Elsynora podniesie się z nietkniętymi masztami, albo nie podniesie się już wcale.

Tymczasem leżała bezwładnie. Końcami rej nieledwie grabiła morze, które ponad zagrzebaną, niewidoczną, balustradą nadburcia sięgało do luków i wrzącymi pianami zaśliniało ich pokrywy.

Mijały minuty dłużące się jak stulecia. Nareszcie Elsynora wykręciła się pod wiatr i stanęła

równy na kilu. Ledwie się wyprostowała, Kapitan West wprowadził ją pod wiatr, i w tejże chwili wielki żagiel wyrwał się z lejkliny i poszedł. Cios, a właściwie szereg ciosów, które spadły potem na *Elsynorę* były wstrząsające. Zdawało się, że nasz okręt rozleci się w kawały. Niemniej widziałem wszystko, obserwowałem wszystko. Kapitan i jego pomocnik stali w owej chwili przy sobie. Wyraz ich twarzy był charakterystyczny dla każdego z nich. Na twarzy *Mr. Pika* wyryta była pogarda dla nędznej załogi, która spartoliła robotę i naraziła okręt na stratę wielkiego żagla. Twarz *Kapitana Westa* nie zdradzała nic, prócz zwykłej zadumy i pogody. Natomiast po obu tych twarzach nie przemknął ani cień strachu. I nic nie robiono w dalszym ciągu, bo nic nie było do zrobienia. Za pięć minut *Elsynora*, jakby dostała się w szczęki niewidzialnego przedpotopowego potwora, aż ostatnie strzępy wielkich płacht z grot i fok-masztu poszły.

— Nasz fok-żagiel poleciał do Afryki — roześmiała mi się *Miss West* do ucha.

Uczucie strachu, snadź, jak i jej ojcu, było obce.

— A teraz możemy już zejść do kajuty — powiedziała w parę minut później. — Będzie tylko dać, dać i będzie wielka fala.

Cały dzień dęło, a wielka fala, która nadbiegła, czyniła życie na *Elsynorze* wprost nieznośnym. Jako tako czułem się tylko w łóżku obstawiony poduszkami, podpartymi dokoła pustymi pudełkami od mydła. Wada urządził mi to legowisko. *Mr. Pike*, uczepiwszy się futryny, stanął w drzwiach mojej kabiny. Trzymał się tylko rękoma, bo co chwila z nóg go zbijało. Wszedł by mi powiedzieć, że nie widział jeszcze takiego pampero. Przyszło nieprzewidzianie i było zupełnie inne.

Zatrzymał się zbyt długo, aby to mogło być naturalne. Był śmieszny, usiłując ukryć, że składa mi tę wizytę z pewnym ukrytym celem, że nad czymś myśl jego pracuje.

Po pierwsze, absurdalne było jego pytanie, czy *Possum* zdradza objawy choroby morskiej. Następnie wyładował swoją wściekłość na niezdarnych marynarzy, którzy przyczynili się do utraty fok-żagla i żałował żaglowników, obarczonych wskutek tego nadprogramową robotą. Potem prosił mnie o pożyczenie jakiej książki. Uczepiwszy się mej koi, wybrał tom *Buchnera Siła i Materia*, zapychając w puste miejsce między książkami podwójnie złożony magazyn, którego do tego używałem.

Wciąż ociągał się z odejściem i, susząc sobie mózgownice, co by jeszcze powiedzieć, zaczął rozwodzić się o pogodzie poza *River Plate*. Zachodziłem w głowę, co się za tym wszystkim kryje. Nareszcie wyszło szydło z worka.

— Ale, ale, *Mr. Pathurst* — rzucił — czy pan nie pamięta przed ilu to laty *Mr. Mellaire* stracił maszty i zatonął na tych wodach?

Od razu zorientowałem się do czego stary wyga zmierza.

— Przed ośmiu, nieprawdaż? — skłamałem.

*Mr. Pike* przyjął moje słowa w milczeniu, zastanawiał się nad nimi. Przez ten czas *Elsynora* zatoczyła się trzykrotnie na lewą stronę i z powrotem.

— Zastanawiam się, co za statek zatonął poza *Plate* przed ośmiu laty? — przemówił jakby do siebie. Będę musiał spytać o nazwę tego statku *Mr. Mellaire*. Zupełnie sobie nie przypominam.

Podziękował mi ze zbędną wielomównością za tom *Buchnera*, którego, nie łudziłem się, że do ręki nie weźmie. Czepiając się ścian, zaczął posuwać się ku drzwiom. U drzwi stał dłuższą chwilę, jakby go jakaś myśl nagle uderzyła.

— Ale, czy przypadkiem *Mr. Mellaire* nie powiedział, że to było przed osiemnastu laty? — zapytał.

Potrząsnąłem głową.

— Nie, przed ośmiu — powiedziałem. — Przypominam sobie dobrze. Nie wiem, dlaczego

utkwilo mi to w pamieci, ale na pewno powiedzial, ze przed osmiu laty — ciagnalem tonem zwierzenia.

Mr. Pike patrzył na mnie badawczo. Poczekał, a nie Elsynora opadła na równy kil. Pożegnał się i odtoczył się w dół hallu.

Szedłem za biegiem jego myśli. Przekonałem się niejednokrotnie, że ma doskonałą pamięć. Był prawdziwą kroniką morską. Wiedzieć zdawał się wszystko, co dotyczyło okrętów, oficerów, ładunków, burz, katastrof.

# ROZDZIAŁ XXX

Okropna noc! Co za cudowna noc! Czy spałem? Może zapadałem od czasu do czasu w krótką drzemkę, lecz dałbym głowę, że słyszałem dzwon za dzwonem, aż do pół do czwartej rano, kiedy odczułem ulgę. Nie było to już uparte, ciężkie przebijanie się kłody drzewnej poprzez mury ciśnień. Elsynora żeglowała. Czułem, jak przemyka się, sunie, rzuca naprzód, wlatuje. Dotąd waliła się stale na lewy bok, ale teraz chybotwała się zarówno na jedną, jak na drugą stronę.

Wiedziałem, co się stało. Zamiast lawirować, żeglując bajdewindem, Kapitan West zrobił zwrot na przeciwny ciąg i gnał pod wichrem. Wywnioskowałem z tego manewru, że burza była naprawdę groźna, gdyż na północo-wschód żeglować znaczyło się cofać. Ale ruch statku, choć gwałtowniejszy, był mniej przykry. Zasnąłem. Obudził mnie o piątej łoskot fal, które runęły na pokład, przetoczyły się po głównym pokładzie i rozbiły o ścianę kajuty. Przez otwarte drzwi widziałem wodę, szorującą w górę i w dół hallu. Na pół stopy spienionej wody wylało się z pod mojej koi i chlupało po kabynie od ściany do ściany za każdym razem, gdy okręt przetaczał się na prawą stronę.

Stiuard przyniósł mi kawę. Obstawiony dokoła pudełkami i poduszkami, siadłem i, wykonywując sztuki ekwilibrystyczne, wypilem filiżanką duszkiem. Na szczęście zdążyłem na czas, gdyż nastąpił szereg okropnych przechyłów, przy których trysnęła kaskada książek z jednej z moich półek. Possum, leżący u mych nóg, przepelzł wzdłuż łóżka. Skomlił rozdzierająco, gdy fale rozбивały się z łoskotem, a na nas leciała lawina książek. Uśmiechnąłem się tylko, gdy Korona Papierowa spadła mi na głowę, a szczeniak dyszał ciężko, uderzony przez Na co świat cierpi? Chestertona.

— No i cóż wy na to? — zapytałem stiuarda, który pomagał nam ratować książki.

Wzruszył ramionami. Spojrzał na mnie swymi błyszczącymi skośnymi oczami, które w owej chwili jeszcze mocniej błyszczały, niż zazwyczaj.

— Dużo raz moja widzieć taka rzecz — odpowiedział. — Moja stara człowiek. Dużo raz moja widzieć gorzej. Za duża wiatr, za duża robota. Wszystko nic nie warta.

A co musiało dziać się na pokładzie? O szóstej, gdy szary świt zajrzał przez iluminatory i przerwał pomiędzy jednym zanurzeniem ich, a drugim, wdrapałem się na poręcz koi i pochwyciłem moje popływające pantofle. Z dreszczem wsunąłem nagie stopy w namiętkłą i ziębiącą skórę. Nie chciałem tracić czasu na ubranie się. W samej pydżamie wybrałem się na rufę, co widząc Possum pożegnał mnie żalnym skomleniem.

Przedostać się przez wąską galerię było rzeczą trudniejszą, niżli zdawać by się mogło. Coraz to stawałem i warowałem, aż końce palców mi drętwiały. Posuwałem się naprzód" w momentach jakiego takiego zrównoważenia. I przeliczyłem się. U stóp szerokich schodów, wiodących do strażnicy, było skrzyżowanie korytarzy, mające ze dwanaście stóp długości. Byłem zbyt pewny siebie. Szczególnie szalony skok Elsynory spowodował katastrofę. Runęła na prawy bok tak raptownie i z takim rozmachem, że posadzka uciekła mi spod nóg i poleciałem jak wystrzelony po pochyłości. Usiłowałem uchwycić w przelocie słup u wejścia na schody, ale mi się nie udało; zdołałem jeszcze osłonić twarz ramionami; dzięki szczęśliwemu zwrotowi uniknąłem zderzenia ze słupem i, padając w dalszym ciągu, uderzyłem łopatką we drzwi kabiny Kapitana Westa.

Młodość, pono, zawsze znajduje sobie ujście. Ale i ważący sto siedemdziesiąt funtów mężczyzna znaleźć je musi. Piękny blat z orzechowego drzewa w drzwiach kabiny poszedł w drzazgi, klamka odleciała, ja zaś, usiłując zagrabić pękające drzwi, połamałem sobie tylko cztery paznokcie u czterech palców prawej ręki, znacząc politurę drugiego blatu czterema równoległymi rysami. Poleciałem dalej wprost przed siebie i wpadłem do obszernej kabiny Kapitana Westa z wielkim

mosiężnym łóżkiem.

Owinięta w wolny wełniany szlafrok Miss West, która stała uczepiona w drzwiach, wiodących z wielkiej kajuty, rzuciła na mnie zdumione spojrzenie spod ciężkich od snu powiek. Nie mniejsze zdumienie odmalowało się w moich oczach. Po raz pierwszy zobaczyłem ją z włosami w nieładzie. Wyglądała cudownie.

Nie było czasu na komunały. Leciałem w dalszym ciągu jak wariat, złapałem się za postument łóżka i, zakreśliwszy półkole, rozciągnąłem się na nim jak długi, na mosiężnym łóżku Kapitana Westa.

Miss West zaczęła się śmiać.

— Doskonale pan wycelował — zachichotała.

Z tuzin dwuznaczników, jeden drastyczniejszy od drugiego, miałem na końcu języka, więc milczałem. Trzymałem się łóżka lewą ręką, a bolącą i kłującą prawą rękę ukryłem pod pachę. W głębi wielkiej kabiny zobaczyłem stiuarda w pogoni za biblią Kapitana Westa i zeszytem nut Miss West. Śmiała się ze mnie w dalszym ciągu, jakby kto perły przesypywał. A widząc ją tak zaskoczoną przez burzę i w negliżu — myślałem :

— Ona jest kobietą. Pożadam jej.

Czy wyczuła ten ulotny, niewypowiedziany przebłysk mej myśli? Nie wiem. Ale przestała się śmiać i ozwała się zgoła odmiennym konwencjonalnym tonem :

— Usłyszałam, że wszystko lata w kabynie u papy. Przez całą noc nie było go tu. Więc słysząc ten rumor... Ale co panu? Czy się pan skaleczył?

— Połamałem sobie paznokcie, nic więcej — odpowiedziałem, spoglądając na moje pokaleczone palce i powstając ostrożnie.

— To dopiero chwiejba! — ozwała się z nutą współczucia w głosie.

— Szedłem na schody — powiedziałem — a wpadłem do łóżka pani ojca. Żałuję, że rozbiłem drzwi.

Nastąpiła nowa seria wielkich chybotów. Usiadłem na łóżku i trzymałem się go lewą ręką. Miss West bezpieczna w futrynie drzwi zaczęła się śmiać na nowo. Poza nią przemknął stiuard po dywanie głównej kabiny, trzymając w objęciach mały pulpit do pisania. Musiał, szukając oparcia, złapać się go i oderwać z miejsca, gdzie był umocowany. Znowu fala za falą waliła z rumorem w przednią ścianę kajuty. Stiuard, nie zdążywszy niczego się uchwycić, przemknął z powrotem po dywanie głównej kabiny, piastując w dalszym ciągu pulpit.

Korzystając z pauzy w chwiejbie, zdołałem wyjść i dotrzeć do rzeźbionego słupa u stóp schodów i tam dopiero nowa seria chybotów mnie zaskoczyła. A trzymając się z całych sił i wyczekując na sposobność posunięcia się dalej, wystawiałem sobie to, co przed chwilą dane mi było oglądać w rzeczywistości — obraz Miss West z mętными jeszcze od snu oczyma z rozwichrzonymi włosami, istne uosobienie kobiecości.

— Kobieta i pożadam jej — pulsowało mi w głowie.

Ale zapomniałem o tym wszystkim, gdy niemal u samego szczytu schodów, zostałem pchnięty naprzód. Schody tak się przechyliły, że szczyt znalazł się w dole. Nogami zacząłem przebierać ze schodu na schód i poleciałem — spadałem, w istocie lecąc w górę — aż na samym szczycie co sił uczepliłem się poręczą, gdyż rufa Elsynory wzleciała ku niebu na wielopiętrowej fali.

I takie skoki wyprawiał tak ogromny okręt! Użyć by śmiało można oklepanego, trącającego myszką wyrażenia, że był igraszką żywiołów. Naprawdę igraszką był, łupiną, rozhuśtaną między dwiema otchłaniami. A chociaż zdawałem sobie sprawę z własnej niemocy, z własnej nicości, czułem się bezpieczny. Mieliśmy Samuraja. Natchniona wolą jego i mądrością Elsynora nie była już fraszka.



Wszystko, co się działo, pod jego czujnym działo się okiem. Elsynora czyniła tylko to, co Samuraj *jej* nakazywał, i miałem tę pewność, że, choćby, nie wiem jakie tytaniczne burze ryczały dokoła niej, boksowały ją, miotaly, rzucały, maltretowały, nie przestanie spełniać jego rozkazów.

Zajrzałem do strażnicy. Tam oto siedział zasunięty głęboko w ruchome krzesło na śrubach z nogami, obutymi w gumowe buty, wciśniętymi mocno w oparcie kozetki. Trzymał się tak wśród najgwałtowniejszej chwiejby. Jego czarny gumowy płaszcz połyskiwał w świetle lampy i drżały na nim tysiączne krople wody, dowodzące, że przed chwilą wrócił z pokładu. Jego kaptur, czarny i błyszczący był na kształt hełmu jakiegoś legendarnego bohatera. Palił cygaro. Powitał mnie uśmiechem. Ale wyglądał na bardzo zmęczonego, bardzo starego, nie latami, ale wewnętrznym przejrzeniem i doznaniem, na bardzo mądrego słowem, człowieka. Rumieniec znikł z jego twarzy, jak zmyty; nigdy nie miał przezroczyściej cery, chociaż nigdy nie był pogodniejszy, nigdy nie wyglądał więcej na Samuraja i na władcę naszego małego kruchej świata. Wiekowy jego wygląd nie zdawał się rezultatem lat przeżytych na ziemi. Zdawał się zupełnie beznamiętny, pozbawiony cech wieku, nadludzki. Nigdy jeszcze nie wydał mi się tak wielki, tak od wszystkiego oderwany, tak podobny do ducha z zaświatów.

A gdy zbliżyłem się do drzwi strażnicy, aby się z niej na rufę wydostać ostrzegł mnie przed skokiem Elsynory i powiedział, kiedy wyjść, swym dźwięcznym, topliwym i życzliwym głosem. On wiedział, kiedy po temu była odpowiednia chwila, wiedział za mnie.

Woda była wszędzie. Elsynora rwała przez oślepiający wir wodny. Wrące bałwany zlizywały białymi jęzorami pomost rufy, to z prawej strony, to z lewej. Wysoko w powietrzu się spiętrzając i nawisając groźnie gnały za nami, jak pogoń oceanu. Mżył deszcz rozpylonej wody, gęsty, jak mgła, lub piana. Nigdzie nie dostrzegłem któregośkolwiek z oficerów. Na rufie było tylko dwóch marynarzy u steru w półotwartej sternicy. Stali u koła w ociekających opończach. Skinąłem im na powitanie.

Jednym z nich był Tom Spink, starszy, ale sprężysty i pewny marynarz angielski. Drugim był Bill Quigley. Należał on do małej grupy niezależnych w kasztelu. Dwaj pozostali z tej grupy Frank Fitzgibbon i Richard Giller wchodzili w skład wachty Mr. Mellaire. Ci trzej dowiedli, że potrafią władać pięściami i ująć się jeden za drugiego. Stoczyli wściekłe bitwy z kliką bosmanmatów i wywalczyli sobie pewnego rodzaju niezależność i neutralne stanowisko. Nie byli oni z zawodu marynarzami — Mr. Mellaire szydęro nazywał ich „mularzami” — mimo to potrafili uchylić się od jarzma bosmanmatów.

Niełatwe to było zadanie przedostać się ze strażnicy do zrębu rufy, ale postawiłem na swoim. Uczepiłem się balustrady, a wicher chłostał mnie po twarzy wyłogami rozpiętej pydżamy. W owej to chwili, po raz pierwszy od dłuższego czasu Elsynora legła równo na kilu, mknąc wzdłuż i w dół fali, toczącej się jak lawina. Pokład pokryty był wodą od burty do burty. Po kolana w wodzie Mr. Pike i pół tuzina marynarzy wisiało na linie bezpieczeństwa, przeciągniętej do bezań-masztu.

Przy następnym chybocie stoczyło się z pół tysiąca ton wody z pokładu poprzez burtę prawą, a wszystkie jej porty otworzyły się automatycznie i wybluznęły potężnymi strumieniami. Chybot na lewo. Prawe porty zamknęły się z rozbrzękiem żelaziwa. Setka ton spłynęła przez lewą burtę podczas, gdy wszystkie żelazne drzwi z tej strony rozwarły się jak szerokie i dały ujście zebrany wodom. A przez cały ten czas, nie zapominajmy, Elsynora rwała naprzód po morzu.

Jedynie trzy górne topsle pozostały na masztach. Na dziobie — ani jednego z trójkątnych żagli. Nigdy jeszcze nie widziałem Elsynory pod tak skąpym ożaglowaniem, a jednak te trzy wąskie płachty, wydęte i rozciągnięte na podobieństwo blachy żelaznej, do ostatnich granic wytrzymałości ciągnęły okręt z szybkością zdumiewającą.

Gdy wody z pokładu spłynęły, ludzie odbiegli od liny bezpieczeństwa. Jeden oddział pod wodzą

groźnego Mr. Pika usiłował zawładnąć masą desek i pogiętej stali. W pierwszej chwili nie poznałem, co to takiego. Cieśla z dwoma pomocnikami skoczyli na lukę Nr. 3 i zaczęli pracować pośpiesznie i nerwowo. I zrozumiałem, dlaczego kapitan West żeglował z burzą. Luka Nr. 3 była rozbita. Prócz innych uszkodzeń belka, zwana pałąkiem, była złamana. Musiał uciekać, bo zatonałby. Nim nowa powódź rozhulała się na pokładach, na luce Nr. 3 dostrzegłem ślady roboty cieśli.

Belkami, klinami i sznurami zbijał futrynę luki Nr. 3, zcalał ją, ile się dało.

Elsynora zaryła się lewą burtą i zachłysnęła kilkuset tonami Południowego Atlantyku, a w następnej zaraz chwili chybnęła się prawą burtą, która znikła pod szturmem fal. Marynarze, ilu ich tam było, rzucili robotę i na łeb, na szyję skoczyli do liny bezpieczeństwa. Znikli w rozprysku i pianach. Potem zobaczyłem ich znów i policzyłem. Znów czekali aż wody opadną.

Masa szczątków, za którą pogonił Mr. Pike i jego ludzie, osiadła na pokładzie o jakie sto stóp dalej, a gdy rufa zapadła w jakąś przepaść, szczątki powróciły na falę i uderzyły z łoskotem o ścianę kajuty. Rozpoznałem wśród nich przęsło pomostu, które brakowało pomiędzy bezań-masztem i kajutą śródkręcia podczas, gdy prawostronna łódź na kajucie śródkrętowej była kupą drzazg i łomu.

Gdy tak obserwowałem z rufy, gonitwę za oderwanym przęsłem pomostu, przypomniał mi się opis z Wiktora Hugo urwania się armaty na okręcie i walki marynarzy z tym spiżowym potworem. I ze zdumieniem przekonałem się, że fabuła Wiktora Hugo większe na mnie zrobiła wrażenie, głębiej mną wstrząsnęła od rzeczywistej walki, którą miałem przed oczyma.

Powtarzałem już do znudzenia, że morze czyni człowieka nieczułym. W owej to chwili poznałem w całej pełni, jak mnie już morze znieczuliło. Stojąc tak u zrębu rufy w wichrem podszytej, pianą przesiąkłej pydżamie, nie miałem najłżejszego współczucia dla mieszkańców kasztelu, którzy porali się ze szczątkami u moich stóp pod ciągłą *grozą* zmycia w morze. Nie istnieli dla mnie. Ba, byłem ciekaw nawet, co się też stanie, czy zwali się na nich która z tych grzmiących, płynnych, lawin, nim zdołają dopaść liny bezpieczeństwa.

I zobaczyłem coś naprawdę godnego widzenia. Mr. Pike, jak zawsze kroczący na czele po pas w wartkiej wodzie, skoczył, uchwycił pędzące przęsło liną i obłożył ją krótko na jednej z lewostronnych drablin bezańmasztu. Elsynora pochyliła się gwałtownie na lewą stronę i wysoka ściana zieleni, przelewającej się u szczytu, spiętrzyła się na dwanaście stóp nad burtą. Ludzie w panice rzucili się do liny bezpieczeństwa. Ale Mr. Pike, trzymając mocno za końce owiniętej na przęsło pomostu liny, spojrzawszy z podełba na górę wody i dostał się pod nią. Wynurzył się, a lina była wciąż w jego ręku, na linie zaś trzymało się przęsło pomostu.

Matołkowaty faun (który był głuchy, jak pień) prowadził resztę oddziału na pomoc Mr. Pikowi. Za nim biegł Tony, za nim Paddy, Kciuk, uczeń okrętowy Henry i Nancy ostatni, naturalnie, z miną skazańca idącego na ścięcie.

Wody na pokładzie nie było więcej, niż po kolana, choć rwała z siłą górskiego strumienia. Mr. Pike i sześciu jego ludzi wyruszyli z miejsca przęsła pomostu i ciągnęli je ku przodowi okrętu. Chwiali się i potykali, ale ciągnęli.

Cieśla pierwszy zobaczył nadchodzącą górę oceaniczną. Po ruchu ust poznałem, że krzyknął do swych pomocników, a potem do Mr. Pika. Skoczył do liny bezpieczeństwa. Ludzie Mr. Pika byli w złym miejscu. Po prawej stronie kajuty śródkręcia, nadbiegłszy różnolegle do niej, z wysokości piętnastu stóp nad burtą i dwudziestu nad pokładem góra runęła na okręt. Z dachu śródkrętowej kajuty potrzaskana łódź została zmyta na czysto. Woda, uderzywszy o ścianę kajuty, wyprysła aż po bram-reję. Ciężar tego bałwanu, wzmożony siłą odbicia, runął z wysokości na Mr. Pika i jego ludzi.

Znikli. Pomost znikł. Elsynora przechyliła się na lewą stronę i nabrała wody po brzegi nadburcia; potem dała nurka dziobem, a cała ta masa wody potoczyła się naprzód. Na wrącej, spienionej

powierzchni od czasu do czasu ukazywało się to ramię, to głowa, to grzbiet, a migające w kąpielu zęby popękanych desek i poskręcane stalowe pręty dowodziły, że przeszło pomostu obracało się i przewracało w tym wodozwale. Ciekaw byłem, kto się pod tę maszynę dostał i jakie poczyniła spustoszenie.

Marynarze nic mnie nie obchodzili. Bałem się tylko o Mr. Pika. On jeden należał, bądź co bądź, do mojego otoczenia, a więc i do mojej klasy społecznej i kasty. Byliśmy obaj z rufy, z wysokiego miejsca, jadaliliśmy u jednego stołu. I ponad całym kłębowiskiem mych przeżyć dominowało pragnienie, by nie uległ nieszczęśliwemu wypadkowi, nie został skaleczony, lub zabity. Reszta się nie liczyła. Ludzie ci byli poza obrębem mego świata. Mam wrażenie, że tak rozumowali i kapitanowie starożytnych kliprów, którzy pośrednim szlakiem zdążali z ładunkiem żywego hebanu.

Dziób *Elsynory* wbił się w niebo podczas, gdy jej rufa opadła w spienioną dolinę. Ani jeden z marynarzy nie dźwignął się na nogi. Ludzie i przeszło pomostu spłynęli ku mnie i wszystko to razem zaplątało się w drabliny bezań-masztu. I nagle wynurzył się z wody ten *Herkules*, ten sędziwy olbrzym. Stał mocno na nogach i ciągnął za sobą w każdej ręce po bezwładnym ciele ludzkim. W jednej ręce miał *Nancy*, w drugiej — *fauna*. Serce mi zabiło dumą i radością na widok tego potężnego człowieka — zabójcy i dozorczy niewolników, prawda, ale *Herkulesa*. On pierwszy skoczył w paszczę oceanu, by dać przykład swym ludziom, i wyszedł nietknięty, i jeszcze ciągnął za sobą nawpół utopionego *cherlaka* w każdej ręce.

Rozpierała mnie, nieledwie unosiła pycha szalona, gdy tak na niego patrzyłem — pycha, że oczy moje były niebieskie jak jego *oczy*, i skórę miałem jasną, jak on, i należałem z nim i z *Samurajem* do jednego klanu, do domu na rufie, na wysokim miejscu skąd się wydaje rozkazy. Poczulem łyż uniesienia w oczach, wstrząsnął mną dreszcz pokrewny grozie ekstazy — zimnym strumieniem spłynęła mi elektryczna fala do mózgu. *Mr. Pike* ocalał. Co zaś do reszty, to czyż się liczyła? Co znaczyły dla mnie te *cherlaki*, wyrzutki wszelkiego rodzaju, ciemno-skóre kreatury bez kasty, mięszańcy i potomkowie od dawien dawna zwyciężonych ras? Stalowymi oczami przyglądałem się tańcowi ich słabości w wirze niebezpieczeństw. Wielki Boże ! Przez dziesięć tysięcy pokoleń i stuleci deptaliśmy im po karkach, ujarzmiając ich i urabiając na igraszkę naszej woli.

Znowu *Elsynora* przechyliła się na prawą, potem na lewą stronę, a piany rozbitych bałwanów wytrysły po dolne reje i tysiące ton Południowego Atlantyku przewaliły się między burtami. I znowu wszystko na pokładzie zakręciło się w diabelskim tańcu z zębatymi szczapami i poskręcanymi prętami stalowymi. I tym razem ten zdumiewający jasnoskóry olbrzym wynurzył się z odmętów i trzymał w każdej ręce półtopielca jak szczura. Torował sobie drogę poprzez pędzące, sięgające mu po pas wody, wspomagany przez cieśnię, złożył swe brzemie wśród lin bezpieczeństwa i zawrócił niezwłocznie, by wyciągnąć *Larry*, który mu się podtoczył pod nogi. Umieścił go w bezpiecznym miejscu. Z odmętu wylazł na czworakach *Grek*, *Tony*. Nie zdradzał w owej chwili instynktów samobójczych. Silił się i silił powstać na nogi, ale nadaremnie. Dopiero pierwszy oficer, schwyciwszy go za kołnierz gumowej opony, rzucił do rąk cieśli.

Następnym był *Kciuk* z twarzą, ociekającą krwią, jednym ramieniem, zwisającym bezwładnie, i zdartymi z nóg butami. *Mr. Pike* rzucił go między liny i powrócił w wir po ostatniego ze swych ludzi. Był nim *Henry*, uczeń okrętowy. Zobaczyłem go popływającego bez ruchu na powierzchni fali. Robił wrażenie topielca. Zanurzył się z powrotem w falach, pędzących na rufę, a po chwili rzuciło nim o ścianę kajuty. *Mr. Pike*, po pachy w wodzie, dwukrotnie zbity z nóg i rzucony na kolana przez fale, które się nad nim zamknęły, wyłowił mimo to wyrostka, położył go sobie na plecach i odwlókł go ku przodowi okrętu.

W godzinę później spotkałem się w głównej kajucie z *Mr. Pikiem* który przyszedł na śniadanie.

Zdążył nawet zmienić ubranie i był ogolony. Cóż mogłem powiedzieć do tego bohatera ? Rzuciłem okolicznościowo, że ciężką miał wachtę.

— Ba! — odmrugnał również jak od niechcenia. — Przemokłem do nitki.

I to wszystko. Nawet mnie nie spostrzegł przez cały czas, gdy stałem u balustrady zrębu rufy. Nie miał czasu mnie tam dostrzedz. Tak go pochłaniała zwykła okrętowa praca — praca męska — uchylmy czoła przed tą męskością. Tylko mnie jednemu z pośród mieszkańców rufy dane było ją ocenić, gdyż tylko mnie zdarzyło się być świadkiem tych tytanicznych zmagañ. Gdybym nie znalazł się na rufie przypadkiem o tak wczesnej godzinie, nikt z nas nie wiedziałby o czynach heroicznych tego człowieka ze stali, o tych czynach na miarę olbrzyma.

— Czy ludziom się co stało? — spytałem.

— Paru się skąpało, Henryk zwolniony na jeden dzień. Fala go toczyła i stracił przytomność, uderzywszy się głową. A Kciuk, zdaje się, ma wywichnięte ramię. Ale niech pan sobie wyobrazi, że Davisa mamy znów w górnej koi! Fale go zalały w dolnej i musiał się wdrapać na górną. Jest cały przemoczony i ma wszystko mokre. Za pieniądze nie wyrzekłbym się tej satysfakcji. Należała się bydlakowi ta kąpiel. — Urwał i westchnął. — Hm, starzeję się. Trza mu było poprostu kark skrócić i kwita, ale brak mi w kościach wigoru. Tak czy owak, dałbym głowę, że pójdzie za burtę, nim wpłyniemy do Seattle.

— Stawiam pensję miesięczną przeciwko funtowi tytoniu z pańskiej strony, że nie przyjdzie — powiedziałem czupurnie.

— Pójdzie — odrzekł Mr. Pike z rozmysłem. — Tak jestem swego pewien, że gotów jestem założyć się z panem o funt tytoniu al pari, lub o miesięczną pensję al pari, że będę miał przyjemność uczenia mu wora z węglem u kikutów. Na Boga, nie będzie to węgiel stracony.

— A więc zakład stoi?

— Stoi — odrzekł Mr. Pike. — I coś mi mówi, że ja go wygram, nie pan.

# ROZDZIAŁ XXXI

Im dłużej przebywam z Miss West tym więcej mi się podoba. Można to tłumaczyć zbliżeniem, można tłumaczyć odcięciem od świata. Nie zawracam sobie głowy wyjaśnieniami. Odczuwam pewną dumę, że jestem mężczyzną, jak każdy inny. Nocne birbantki i awanturki miłosne, widzę z zadowoleniem, nie popsują mnie do gruntu.

Jak natrętna melodia uczepiło się mnie to zdanie — kobieta i pożądam jej. Tłucze mi się po głowie, pulsuje mi we krwi. Krążę dokoła niej. Podkradam się, by poprzez perspektywę galerii kajutowej, albo przez drzwi kajutowe, gdy mnie widzieć nie może, napatrzeć się na nią do syta. Kobieta jest cudowną istotą. Cudowne są włosy kobiece. Kobiecość w kobiecie działa magicznie. O, wiem, jakie są kobiety, cóż z tego, że je znam. Tym bardziej mnie fascynują. Jeżeli myślę teraz tak o Miss West, ona, dałbym głowę, już z tysiąc razy o mnie w ten sposób pomyślała. Cóż z tego, pytam? — Jest kobietą i pożądam jej.

I nieustannie mam na ustach nieporównany czterowiersz Richarda La Galliene:

Bodaj to być kobietą! — W sobie zakochaną, Pytającą się lustra, co wieczór, co rana, Z ruchem kotki spłoszonej, z pieszczotliwym gestem; Powiedz mi o zwierciadło, jakże piękną jestem!

Niech mi wolno będzie poradzić wszystkim cierpiącym na spleen filozofom, by przedsięwzięli daleką morską podróż z kobietą, taką jak Miss West.

W opowieści tej nie będę jej już więcej nazywał „Miss West”. Przestała być dla mnie „Miss West”. Nazywam ją w myślach Margarytą. To piękne imię kobiece. Wymyślił je pewnie poeta. Margaryta. Powtarzam je bez końca. Usta moje są w nim zakochane. Margaryta West! Imię brzmiące, jak zakłęcie. Imię skłaniające do marzeń, imię symboliczne. Cała historia przeboju naszej rasy na zachód jest tym jednym imieniem pisana. Tchnie z niego duma i panowanie, i wielka przygoda i podbój. Gdy je wymawiam, przed oczyma moimi wstają zjawy smukłych okrętów z zakrzywionymi dziobami, skrzydlatych hełmów, zakutych w zbroje ludzi, pełnych nieukoju, królewskich kochanków, królewskich awanturników, królewskich witezów. Ba, nawet teraz, w schyłkowej erze, kiedy nas słońce pożera, siedzimy wciąż jeszcze na wysokim miejscu i z niego wydajemy rozkazy.

Ale — nawiasem mówiąc — wykryłem, ile lat ma Margaryta. Spytałem Mr. Pika, kiedy Dixie zderzyła się z parowcem rzeczonym w zatoce San-Francisco. Było to w 1901 roku. Margaryta miała wtedy dwanaście lat. Mamy 1913-ty. Eureka. Ma dwadzieścia cztery lata. Zwie się Margaryta. I pożądam jej. Tyle rzeczy naraz do opowiedzenia. Gdzie i jak skończy się ta szalona podróż z wariacką załogą, nie potrafię sobie wyobrazić. A **Elsynora** żegluje dalej i dzień po dniu rejestr jej krwi jest pisany. Zachodzą ciągle morderstwa, okręt, pływająca scena tych mordów, zmierza na Południowy Ocean Antarktyczny w lodowate wichry Hornu, ale ja, śmiało rzecz mogę, trwam na wzniesieniu rufy bez trwogi. Siedząc z władcami **Elsynory** u jednego stołu i nie przejmuję się. Powtarzam tylko: — **Margaryta jest kobietą i pożądam jej.**

Ale do rzeczy. Już pierwszego czerwca. Dziesięć dni minęło od przejścia przez pampero. Gdy pałak luki Nr. 3 został naprawiony, Kapitan West zrobił zwrot przeciwko wiatrowi i wylawirował ze sztormu. Odtąd wśród ciszy i mgły, i par, i burz przebiliśmy się na południe, aż na szerokość wysp Falklandzkich. Wybrzeże Argentyny leży na zachód pod linią horyzontu i dziś rano przepłynęliśmy 50° południowej szerokości. Stąd według żeglarzy zaczyna się szlak dokoła Hornu — od 50° na Atlantyku do 50° na Pacyfiku.

Mimo wszystko pogoda na ogół nam dopisuje. **Elsynora** sunie naprzód pod pomyślnymi

wiatrami. Codzień jest zimniej. W salonie aż huczy w rozpalonym do czerwoności wielkim piecu i wszystkie drzwi w całej kajucie stoją otworem, by ciepło rozchodziło się po niej równomiernie. Ale na pokładzie zimno szczypie. Wkładamy mitenki, my, to znaczy Margaryta i ja — wybierając się na spacer wzdłuż naprawionego już pomostu i w odwiedziny do kur na śródokręciu. Biedne, nieszczęsne są to stworzenia. Cierpią wskutek przystosowania się do klimatu, z którego pochodzą. W miarę, jak wpływają w sam środek zimy, gdzie będą potrzebowały całkowitego upierzenia, zaczynają lenieć i tracą pióra, dlatego, że w tym czasie panuje lato w stronach, skąd przybywają. Czy też to *zależy* od pory roku, w której przyszły na świat? Muszę się zapytać. Margaryta będzie wiedziała.

Złowróźbne przygotowania czynione są do żeglugi dokoła Hornu. Wszystkie brasy zostały zdjęte z klubek na pokładzie i umocowane tak, by nimi władać można było z dachów nadbudówek. Brasy od fokii przeprowadzono na dach przedniego kasztelu, brasy od grot masztu zgrupowano na dachu śródokręcia, a od bezań-masztu są na rufie. A więc pokład ma być często gęsto pod wodą. Nie ulega wątpliwości, że *Elsynora*, obładowana do utraty pływalności, będzie zmywana, jak kłoda, i dlatego na przodzie i z tyłu okrętu, z obu stron pokładu na chłopa wysoko liny bezpieczeństwa zostały przeciągnięte. Żelazne drzwi z prawej i lewej strony, wiodące z kajuty na główny pokład, zostały zabarykadowane i pociągnięte wapnem dla uszczelnienia. Dopiero na Pacyfiku, w powrotnej drodze na północ, zostaną te drzwi otworzone.

I podczas, gdy gotujemy się do przebycia tych najburzliwszych wód dokoła lutego przylądka, sytuacja na okręcie pogarsza się. Dziś rano znaleziono *Petro Marinkowicza*, marynarza z wachty *Mr. Mellaire*, zabitego na luce Nr. 1. Ciało było pokłute nożami i z poderżniętym gardłem. Oczywiście było to dzieło jednego, lub kilku mieszkańców kasztelu, ale nikt nie pisnął o tym ani słowa. Mordercy milczeli, rzecz prosta, a jeżeli ktoś jeszcze o tej ciemnej sprawie coś wiedział, to dobrze trzymał język za zębami.

Jeszcze nie wybił południowy dzwon, a ciało było już za burtą ze zwykłym worem węgla u nóg. A wraz z pluskiem za burtą pamięć o *Marinkowiczu* się zatarła. Niemniej mieszkańcy kasztelu są pełni złowrogich oczekiwań. Dziś popołudniu zaszedłem na przód okrętu. Poraz pierwszy odczułem w stosunku do mnie niedwuznacznie wrogi nastrój. Uświadomili sobie ci ludzie, że należę do grupy rządzącej na *Elsynorze*. O, nie padło ani jedno wrogie słowo, ale z każdego spojrzenia, a nawet z odwracania oczu przez tych ludzi wyzierała nieprzyjaźń. Tylko *Mulligan Jacobs* i *Charles Davis* zdradzali chęć do rozmowy.

— I szczęśliwej drogi — rzekł *Mulligan Jacobs*. — Nie miał odwagi za grosz. I lepiej mu teraz, może nie? Żył po świńsku i umarł po świńsku, a teraz rozstał się z całym tym świńskim życiem. Są tu tacy, co mu zazdroszczą. Niech się pocieszą, prędzej, czy później, ale ich to nie minie.

— Co rozumiecie...? — spytałem.

— Może pan sobie to tłumaczyć, jak się panu żywnie podoba — rzucił mi z jadowitym spojrzeniem ten pokurcz.

*Charles Davis*, gdy zajrzałem do jego żelaznego pudła, powitał mnie potokiem szumnych słów.

— Ładny casus dla trybunału w *Seattle* — wybuchnął. — Zyskała tylko na tym moja sprawa. A dopiero, niech no reporterzy zwąchają pismo nosem. Piekielny okręt *Elsynora*, tytułik do artykułu jak ułał. I będzie chleb z tej mąki.

— Nie widzę tu żadnego piekła — odpowiedziałem zimno.

— Widział pan jak mnie traktują? — powiedział zaczepnie. — Widział pan piekło, przez które przechodzę.

— Uważam was za mordercę, który popełnił zbrodnię z premedytacją — odpałilem.

— To rzecz sądu, sir. Sąd rozstrzygnie, kto tu morderca. Do pana należy tylko zaświadczyć o

faktach.

— Zaświadczę, że, będąc na miejscu pierwszego oficera, powiesiłbym was na rei za morderstwo.

Oczy jego literalnie się zaiskrzyły.

— Przypomnę panu te słowa, gdy będzie pan zeznawał pod przysięgą — zawołał zawzięcie.

Wyznaję, że człowiek ten budził we mnie szczególnego rodzaju, nieprzychylny, że się tak wyrażę, podziw. Rozglądałem się po jego nędznej kabinie o ścianach z żelaza. Biała farba odchodziła wielkimi płatami i wszędzie widniały zacieki rdzy. Podłoga była szlamem pokryta. W powietrzu stał zaduch owrzodzonego jego ciała. Jego kubek i nie myte talerze tłukły się po podłodze. Jego kołdry były mokre, jego odzież mokra. W kącie — kupa namiękłych, obrzydliwych łachmanów. Miesiące całe przeleżał już w tej obrzydliwej dziurze. A miał do przetrwania okres jeszcze dłuższy. Zdumiewała mnie jego iście szczerza żywotność, a jednocześnie czułem do niego wstręt i obrzydzenie, i odpychałem go w duchu od siebie.

— Czy was strach nie bierze? — spytałem. — Skąd macie tę pewność, że przeżyjecie tę podróż? Czy nie wiecie, że są tu na okręcie ludzie, którzy założyli się, że jej nie przeżyjecie?

Tak go to zainteresowało, że podniósł się na łokciu, rzekłbyś nadstawił uszu.

— I pan się boi, abym czasami nie wyżył? — zadrwił.

— O, ja założyłem się, że przeżyjecie — zapewniłem go.

— To znaczy, że kto inny postawił na moją śmierć — zaterkotał pospiesznie. — Aha, więc to znaczy, że są teraz ludzie na Elsynorze materialnie zainteresowani w usunięciu mnie.

W tej samej chwili stiuard wyskoczył z kambuza i zatrzymał się w drzwiach kabiny. Słuchał, szczerząc zęby. Co do Davisa, to ten parszywiec minął się z powołaniem. Powinien był zostać lądowym kauzyperdą zamiast uprawiać ten proceder na morzu.

— Bardzo dobrze, sir — ciągnął. — Będzie pan musiał zaświadczyć o tym w Seattle. I zaświadczy pan, chyba, że pan sobie teraz kpi z nieszczęśliwego chorego człowieka, albo będzie pan odpowiadał za krzywoprzysięstwo.

Dopiął swego, bo rozgniewany odpowiedziałem.

— Oh, zaświadczę o tym, Davis. Choć, powiedziawszy szczerze, nie mam wielkich nadziei na wygranie mego zakładu.

— Na pewno pan przegrać, sir — wtrącił stiuard, kiwając głową. — Ta chora człowiek umrzeć niedługo.

— Niech się pan z nim założy, sir — prowokował mnie Davis. — To będzie dla niego napiwek ode mnie.

Sytuacja była makabryczna i groteskowa jednocześnie. Tak głupio się wplątałem w ten dyskurs, że przez chwilę zapomniałem języka w gębie.

— To czysty interes — nalegał Davis. — Ja nie umrę. He, stiuard, o ile gotowicie się założyć.

— Pięć dolar, dziesięć dolar, dwadzieścia dolar — odpowiedział stiuard ze wzruszeniem ramion na znak, że nie bierze sprawy na serio.

— A więc doskonale, stiuard. Mr. Pathurst stawia tyleż, dajmy na to, dwadzieścia. Pan się zgadza, sir?

— Dlaczego nie założycie się z nim sami? — rzuciłem.

— Dobrze, założę się, sir. Słuchajcie, stiuard, zakładam się z wami o dwadzieścia dolarów, że nie umrę.

Stiuard potrząsnął głową.

— Stawiam dwadzieścia dolarów przeciw dziesięciu — nalegał chory. — O co wam chodzi?

— Wy żyć, ja stracić, ja wam płacić — wyjaśnił stiuard. — Wy umrzeć, ja wygrać, ale wy być umarli i nie zapłacić mi.

Szczerząc zęby i trzęsąc głową, poszedł dalej.

— Tak, czy, owak, sir, świadczy to na moją korzyść — zachichotał Davis. — Niech pan sobie wyobrazi, co za historia dla reporterów.

— Gotów jestem sam się z panem założyć, jeżeli pan myśli, że umrę — zawołał w ślad za mną.

Na marynarzach ostatnia burza odbiła się okropnie. Zdumiewająca rzecz, jak w czasie tak krótkim twarze im się wydłużyły i pokryły zmarszczkami. Bielizna musi dopiero wysychać im na ciele. Pod gumowymi opończami noszą odzież namięklą. I jak na kpiny wydają się bardzo korpulentni. Pozorna ta korpulencja zadaje kłam ich wynędzniałym twarzom. Chodzą jak kaczkki i opończe na nich się odymają. Nałożyli na siebie literalnie wszystko, co mają. Pod opończą Larry miał na sobie dwie kamizelki, dwie marynarki i palto. Ruszają się jak słonie i na domiar wszystkiego poowijali sobie gumowe buty z zewnątrz ścierkami z worków.

Jest zimno, choć termometr pokładowy wskazywał w południe trzydzieści trzy stopnie. Kazałem Wadzie zważyć ubranie, które wkładam, wychodząc na pokład. Nie licząc opończy i butów gumowych, waży ta odzież do osiemnastu funtów. I nie jest mi w tym wszystkim za ciepło, gdy wiatr wieje. Nie pojmuję, jak marynarze, którzy raz odbywali podróż dokoła Hornu, ważą się drugi raz zaciągać na okręty, wyruszające w taką podróż. To daje miarę ich głupoty.

Żał mi Henry, ucznia okrętowego. Uważam go za coś lepszego. Przyjdzie nań dzień wyzwolenia, kiedy stanie się pomocnikiem kapitana, jak Mr. Pike, i będzie zamieszkiwał na rufie. Tymczasem jednak z drugim uczniem, niejakim Buckwheat, dzieli kabinę w kabinie śródokrętowej i znosi to samo, co reszta załogi. Ma bardzo jasną skórę. Dziś popołudniu, gdy wyciągał brasy zauważyłem, że od tarcia rękawów opończy i od wody morskiej przeguby rąk mu opierzchły, popękały, krwawią i porobiły mu się na nich wrzedzianki. M. Mellaire powiedział mi, że tydzień nie minie, a wszyscy marynarze będą obsypani takimi wrzedziankami.

— Kiedy, sądzi pan, rozstaniemy się z tym Hornem — spytałem Mr. Pika bez złej myśli.

Skoczył, jak oparzony, jak *bym go* obraził, literalnie warknął mi w twarz i, niezaszczytwszy mnie odpowiedzią, odtoczył się dalej. To jasne, że bierze on morze na serio. Dlatego to, przypuszczam, jest tak doskonałym marynarzem.

Marynarze są naprawdę w opłakanym stanie. Podczas burzy do kasztelu przedniego dwa razy woda się wdarła. Dwa razy wszystko w kasztelu pływało, a więc cała odzież namokła, materace i kołdry namokły i mokre już pozostaną przy tej okropnej pogodzie, aż nie opłyniemy Hornu i nie znajdziemy się w bardziej przyjaznych szerokościach. Taki sam los spotkał kajutę śródokrętową. Wszystkie kabiny w niej, prócz kabin koka i żagłowników (które wychodzą na lukę Nr, 2) są zmyte i pełne wilgoci. A nie ma w nich pieców, by można było wysuszyć pościel i ubranie.

Zajrzałem, do kabiny Charlesa Davisa. Przedstawiała widok okropny. Wyszczrzył zęby i kiwnął mi głową.

— Czy nie dobrze, że nie było tu O'Sullivana, sir ? — powiedział. — Utopiłby się w dolnej koi. Ja sam musiałem pływać, zanim dostałem się do górnej. A słona woda to tortura na moje wrzody. Gdzie jak gdzie powinienem być, tylko nie w tej dziurze podczas burz na wodach Hornu. Widzi pan lód na podłodze. Cały dół kabiny zamarza w tej chwili, a kołdry moje są mokre i jestem obłożnie chory, o czym każdy może zaświadczyć na tym okręcie.

— Gdybyście zachowali się przyzwoicie względem pierwszego oficera, bylibyście również lepiej traktowani — powiedziałem.

— Phu! — odezwał się cynicznie. — Niech się pan nie boi mnie stracić, sir. Jeszcze utyję od tej



kąpieli. Slinka mi idzie na myśl o sędzie w Seattle. I ja miałbym umrzeć! Nie, niech pan lepiej posłucha mnie, sir, i załóż się ze stiuardem. Radzę panu przez sympatię, przez czystą sympatię, sir. Nie straci pan na pewno.

A kto załóż się, że pójdę rybom na frykasy, przegra, jak dwa razy dwa cztery.

— Jak mogliście się zaciągać na okręt przy takim stanie zdrowia? — spytałem.

— Stanie zdrowia? — odpowiedział mi pytaniem, doskonale symulując zdziwienie. — Jakto, dlaczego się zaciągnąłem? Byłem zdrow, jak ryba wtedy, gdy się zaciągałem. Choroba przyszła dopiero potem. Widział mnie pan, przecie, na masztach i po szyję w wodzie. I rozbijałem węgiel we wnętrzu, czyż nie? Chory człowiek temu by nie podolał. I niech pan pamięta, że będzie pan musiał zaświadczyć przed sądem, jak spełniałem moje obowiązki, nim mnie choroba rozebrała i musiałem się położyć.

Klika Azjatów, obradująca w kabinie koka, ma jakieś podejrzenia co do śmierci Marinkowicza, ale nie chce nic wyjawić. Otrzymuję w odpowiedzi tylko znaczące potrząsanie głową i niezrozumiałe bąkanie pod nosem. Nic nie mogę wydobyć ze stiuarda i z Wady. Gdy rozmawiałem z żaglownikiem, skarżył się na ból i martwienie ręki. Chce tylko, by podróż jak najprędzej się skończyła i by mógł się udać do chirurga w Seattle. Co zaś do morderstwa, to, przyparty do muru, dał mi do zrozumienia, że żaden Chińczyk, ani Japończyk do tego ręki nie przyłożył.

Ale Louis, Chińczyk pół-krwi z wybitnie oksfordzkim akcentem był bardziej szczery. Zatrzymałem go na rufie, gdy szedł z kambuza do lazaretu po prowiant.

— Jesteśmy innej krwi, sir, niż ci ludzie — powiedział. — I najbezpieczniej dla nas nie mięszać się do nich i ich spraw. Omówiliśmy rzecz całą między sobą i zdecydowaliśmy, że nie mamy w tej sprawie nic do powiedzenia, o tak, zupełnie nic do powiedzenia. Niech pan wejdzie w moje położenie. Pracuję na przedzie w kambuzie i jestem w ciągłej styczności z marynarzami; sypiam nawet w zajmowanej przez nich części okrętu. Jedyne rodak mój, jakiego mam na okręcie, to stiuard, a on sypia na rufie. Pański służący i dwaj żaglownicy są Japończykami. Są tylko nam pokrewni, choć ułożyliśmy się, że będziemy trzymali się razem, cokolwiek by zdarzyć się mogło, i zdala od wszystkiego.

— Jest jeszcze Kciuk — powiedziałem, przypomniawszy sobie co Mr. Pike rzekł o jego pochodzeniu, mocno zagmatwanym.

— Ale my go nie uznajemy za krewniaka, sir — odpowiedział nader uprzejmie. — Jest on Portugalczykiem, jest Malajem, jest w nim trochę krwi japońskiej, to prawda, ale mieszaniec z niego, sir, mieszaniec i bękart. Toteż jest szalony. I niech pan, proszę, zechce wziąć pod uwagę, że nas jest bardzo niewiele i że zmuszeni jesteśmy do zachowywania ścisłej neutralności.

— Ależ co nas czeka? — nastawałem. — Jak myślicie, czym się to wszystko skończy?

— Przybędziemy do Seattle najprawdopodobniej, większa część z nas. Ale mogę panu tylko to powiedzieć, sir, przeżyłem długie lata na morzu, nigdy nie widziałem takiej załogi, jak ta. Mało wśród nich marynarzy, są wśród nich źli ludzie, a reszta to wariaci i gorzej, niż wariaci. Nie wymieniam nazwisk, sir. Są ludzie na okręcie, w których nie chciałbym mieć wrogów. Jestem tylko Louis, kok. Spełniam swoją robotę najlepiej, jak tylko umiem i o niczym nie chcę wiedzieć.

— A Charles Davis, czy dojedzie do Seattle? — zapytałem, zmieniając temat, przyznając, że ma prawo do zachowywania milczenia.

— Nie przypuszczam, sir — odpowiedział, dziękując mi za porzucenie śliskiego tematu. — Pan założył się podobno, jak mi mówił stiuard, że on wyżyje. Co do mnie, to uważam to za ryzykowny zakład. Będziemy się tłukli dokoła Hornu. Odbywałem tę drogę już nieraz. Mamy tam środek zimy, a żeglujemy ze wschodu na zachód. Kabinę Davisa fale będą zmywać w ciągu całych tygodni. Będzie

stale mokry; silny i zdrowy człowiek, zamknięty w niej, mógłby umrzeć od takich ustawicznych natrysków. A cóż dopiero taki Davis, z którym wcale nie jest dobrze. Znany mi jest stan jego zdrowia. Jest fatalny. Lekarze mogliby przedłużyć mu życie, ale na tym żaglowcu nie pożyje długo. Widziałem już tylu, umierających na morzu. Wiem, jak to jest, sir. Dziękuję, sir.

I z ukłonem chińsko-angielski dżentelmen oddalił się.

## ROZDZIAŁ XXXII

Gorzej jest, niż przypuszczałem. Oto znów dwa przykłady wewnętrznego rozprężenia. Po pierwsze, Mr. Mellaire wali się w gruzy. Nie jest w stanie znieść na okręcie obecności człowieka, który poprzysiągł pomścić śmierć Kapitana Somersa, tak groźnego notabene mściciela, jak Mr. Pike. Od paru dni i ja i Margaryta dziwiliśmy się, że Mr. Mellaire ma przekrwione oczy i bolesny grymas nie schodzi mu z twarzy. Przypuszczaliśmy, że jest chory. A dziś to wykryto. Wada, jak wiadomo, nie lubi Mr. Mellaire. Dziś rano, gdy przyniósł mi śniadanie, po błysku złej radości w jego oczach poznałem, że delektuje się jakąś świeżo upieczoną plotką okrętową: Wiem, że do kilku dni on i stiuard głowili się nad rozwiązaniem zagadki, polegającej na tym, że gąsior ze spirytusem drzewnym, stojący na półce w tylnej kabynie stracił część swej zawartości. Porównali swe obserwacje i kreowali się na okrętowego Szerloka Holmesa i Doktora Watsona. Najpierw wymierzili dzienny ubytek spirytusu. Następnie robili pomiary parę razy na dzień i przekonali się, że ilekroć spirytusu brakowało, dało się to zauważyć po lunchu lub po obiedzie; ustalwszy fakt, wiedzieli już kogo podejrzewać, gdyż do stołu w tylnej kabynie siadał tylko cieśla i Mr. Mellaire. Ilekroć Mr. Mellaire przychodził wcześniej od cieśli, brakowało spirytusu. Gdy przychodzili i wychodzili razem, ilość spirytusu w gąsiorze pozostawała ta sama. Cieśla nigdy nie był sam w kabynie. Stąd już wniosek prosty. I teraz stiuard przechowuje spirytus drzewny pod swoją koją.

Ale spirytus drzewny jest śmiertelną trucizną. Co za silny organizm musi mieć ten pięćdziesięcioletni człowiek? Nie dziw, że miał oczy przekrwione. Dziw tylko wielki, że go te dawki trucizny z nóg nie zwały.

Nie napomknąłem o tym nawet Margarycie, ani też zamierzam napomknąć. Chciałbym ostrzec Mr. Pika, by miał się na baczności, a boję się, bo wiem, że odkrycie tożsamości Mr. Mellaire dałoby impuls do nowych mordów. I wciąż mkniemy na południe, żeglując bajdewindem, ku niegościnnemu przylądkowi. Dziś jesteśmy już na południe od linii, przeciągniętej od Cieśniny Magellana do wysp Falklandzkich, a jutro jeśli morka się utrzyma, powinniśmy już widzieć wybrzeże Tierra del Fuego u samego wejścia do Cieśniny Le Maire, przez którą kapitan zamierza przepłynąć przy sprzyjającym wietrze.

Drugi wypadek zaszedł ostatniej nocy. Mr. Pike nic nikomu nie mówi, choć wie dobrze, co się dzieje wśród załogi. Od śmierci Marinkowicza dawałem na wszystko na okręcie pilne baczenie i zauważyłem, że Mr. Pike nigdy nie wychodzi na górny pokład po zapadnięciu zmroku. Milczy jednak, nikomu z marynarzy nie ufa i prowadzi w tajemnicy walkę na śmierć i życie, uważając to za rzecz zwykłą i należącą do zakresu swej służby.

Ale przejdźmy do samego wydarzenia. Na krótko przed końcem pierwszej nocnej wachty poszedłem na przód okrętu do kur, by spełnić prośbę Margaryty. Miałem się przekonać, czy stiuard spełnił sumiennie jej rozkazy. Płótna, pokrywające kojce miały być spuszczone do samego pomostu, wentylacja zabezpieczona i piecyk naftowy miał się palić dobrze. Stwierdziwszy to wszystko i przekonawszy się ku memu wielkiemu zadowoleniu, że na stiuardzie można polegać, zamierzałem właśnie wracać na rufę, gdy doszły mnie niesamowicie brzmiące w ciemnościach krzyki pingwinów i charakterystyczny odgłos wydmuchiwania wodu przez wieloryba.

Okrzyknąłem łódź lewostronną i zatrzymałem się tam, zupełnie niewidoczny w jej cieniu wśród panujących ciemności, gdy usłyszałem starcze pociąganie nogą Mr. Pika. Szedł na śródokręciu po pomoście z rufy. Było dość ciemno, choć noc gwiazdna, i Elsynora pruła spokojne wody po

podwietrznej stronie Tierra del Fuego z szybkością ośmiu węzłów.

Mr. Pike zatrzymał się u przedniego końca platformy śródkręca i stał w pozycji człowieka nad słuchującego. Z dołu, z głównego pokładu, skądś w pobliżu luki Nr. 2 dochodziło mamrotanie wielu głosów, wśród których rozpoznałem głosy Kida Twista, Noseya Murphy i Berta Rkina — trzech bosmanmatów. Ale Steve Roberty, cow-boy, też tam był, a również i Mr. Mellaire, obaj z nieczynnej wachty, którzy powinni byli być we wnętrzu, bo o północy zaczynała się ich wachta. Szczególnie ciężką obrazą etyki i dyscypliny okrętowej była obecność Mr. Mellaire, któremu nie wypadało prowadzić rozmów z marynarzami na równej stopie.

Zawsze odznaczałem się ciekawością. Zawsze chciałem wszystko wiedzieć, a na Elsynorze udało mi się uchwycić in flagranti niejedną scenę o wysokim dramatycznym napięciu. To też nie zdradziłem mej obecności i wyglądałem z poza łodzi.

Minęło pięć minut. Dziesięć minut minęło. Wciąż rozmawiali. Kląłem przeszkadzające mi słuchać pingwiny, a i wieloryb, najwidoczniej igrając, podpłynął blisko i pluskał i dmuchał, że można było stracić cierpliwość. Widziałem, że Mr. Pike zwrócił na ten dźwięk głowę i popatrzył z ukosa w moją stronę, ale mnie nie zobaczył. Potem znów przysłuchiwał się mamrotowi głosu w dołu.

Czy Mulligan Jacobs podwinął się przypadkowo, czy rozmyślnie pilnował, nie wiem. Powiem tylko, co zaszło. Po obu końcach platformy kajuty śródkrętowej są drabinki. I po jednej z tej drabinek Mulligan Jacobs wdrapał się tak cicho, że z obecności jego zdałem sobie dopiero sprawę, gdy usłyszałem warczenie Mr. Pika.

— Co, u diabła, tutaj robisz?

Wówczas zobaczyłem Mulligana Jacobsa w ciemnościach o dwa kroki od pierwszego oficera.

— A co panu do, tego? — odwarknął Mulligan Jacobs.

Głosy na dole umilkły. Wiedziałem, że każdy z tych ludzi sprężony wewnątrz, naciągnięty jak struna, cały w słuch się zamienił. Nie, psychologowie całego świata nie byliby w stanie wytłumaczyć psychiki Mulligana Jacobsa. I ostatniego słowa, zagadki, którą on przedstawia, nie ma w żadnej książce. Stał oto w ciemnościach, nędzna, bezsilna kreatura z krzywym kręgosłupem i nie bał się wcale.

Mr. Pike zwymyślał go okropnymi, nie do powtórzenia słowy i poraz drugi zapytał, co tu robi.

— Zostawiłem tu moją prymkę tytoniu, gdy ostatni raz układałem zwój liny — odpowiedział ten pokurcz — nie, nie powiedział. Wypluł to niby jad grzechotnika.

— Wynoś się stąd, bo cię na łeb zrzucę ciebie i twój zatracony tytuł — pienieł się pierwszy oficer.

Mulligan Jacobs podskoczył do Mr. Pika i w ciemnościach zamajaczył, jakby wraz z chybotem okrętu chciał tryknąć łbem w twarz Mr. Pikowi.

— Na Boga, Jacobs — zdołał tylko wykrztusić w pasji pierwszy oficer.

— Ty, stary grzmocie, — brzmiała odpowiedź tego strasznego kaleki.

Mr. Pike chwycił Jacobsa za kołnierz i unióś w powietrze.

— Zlizesz ty? — Czy mam cię zrzucić? — spytał oficer.

Nie potrafię oddać ani tonu, ani sposobu wypowiedzenia tych słów. Było to podobne tylko do klapania szczękami dzikich bestii.

— Spróbuj! — padło w odpowiedzi z zaciśniętej grdyki.

Mr. Pike chciał coś powiedzieć, wciąż trzymając kalekę w powietrzu, ale się tylko dławił w bezsilnej złości.

— Stary grzmot, stary grzmot, stary grzmot — zabełkotał Mulligan Jacobs zaszczytnym od tępej

furii jęzorem.

— Powtórz to jeszcze, a jak cię rymnę — udało się wykrztusić Mr. Pikowi.

— Stary grzmot — tchnął Mulligan Jacobs. Wyleciał. Przecinał powietrze z siłą rzuconego oszczepu, ale lecąc tak skroś ciemność, jeszcze powtarzał :

— Stary grzmot! stary grzmot!

Padł między ludzi na luce Nr. 2, na dole powstało zamieszanie i rozległy się jęki.

Mr. Pike spacerował w górę i w dół wąskiego dachu kajuty śródokrętowej i zgrzytał zębami. Potem zatrzymał się. Oparł się łokciem o balustradę nadburcia, stał z głową, podpartą na rękach dobre pięć minut, potem zajęczał:

— O Boże, Boże, Boże, Boże!

I na tym się skończyło. Odszedł powoli na rufę, pociągając ciężko nogą.

# ROZDZIAŁ XXXIII

Dnie stają się szare. Słońce nie grzeje i codziennie w południe stoi niżej na północnym niebie. Wszystkie znane gwiazdy oddawna już zniknęły i słońce, rzekłbyś, idzie w ich ślady. Świat — jedyny świat, jaki znam został daleko za nami w północnej stronie, a góra globu jest między nim a nami. Smutny nienawiedzany ocean, gdzie następuje koniec i zaćmienie wszystkich rzeczy. Tymczasem staje się tylko coraz zimniej, coraz szarzej i pingwiny krzyczą po nocach, i ogromne ssaki morskie lamentują i skowyczą, a wielkie albatrosy, niosąc na skrzydłach z Hornu osędzieliznę lutych burz, zwijają się w powietrzu i wirują.

— Łąd, ahój! — zabrzmiał okrzyk wczoraj rano. Ciarki mnie przeszły, gdy zobaczyłem ten łąd, pierwszy kawałek stałego łądu od wyruszenia z Baltimory. Ranek był bezsłoneczny, wilgotny i zimny z wiatrem ostrym, przenikającym do szpiku kości, choć by się nie wiem co na siebie włożyło. Termometr na pokładzie wskazywał 30° — dwa stopnie poniżej punktu zamarzania wody i od czasu do czasu nadlatujące szkwały obwijały nas śniegiem.

Cały łąd, widziany z pokładu pokryty był śniegiem.

Długie, niskie grzebienie górskie, okryte płaszczem śniegu, wznosiły się z oceanu. Podpłynęliśmy bliżej, nie dostrzegając nigdzie śladów życia. Był to nagi, dziki, przynębiający, daleki od świata łąd. O jedenastej u wejścia do Cieśniny Le Maire, szkwały przestały nadlatywać, wiatr się ustalił i prąd zaczął nurtować w kierunku naszego kursu.

Kapitan West nie zawahał się. Wydawał Mr. Pikowi rozkazy krótko, stanowczo. Marynarz u steru zmienił kurs, a obie wachty skoczyły na reje strząsnąć bramsle i żaglę szczytowe. A jednak kapitan West musiał zdawać sobie sprawę z ryzyka wpłynięcia pod wszystkimi żaglami na to cmentarzysko okrętów.

A gdy wpłynęliśmy w wąską cieśninę pod pełnymi żaglami i porwał nas prąd gwałtowny, zębate brzegi Tierra del Fuego pomykały obok nas z szybkością zawrotną. Blisko było do nich i równie blisko do najeżonego pobrzeża Staten Island z przeciwnej strony. I w owym przesmyku z dziko rwącymi wodami, między dwiema czarnymi prostopadłymi ścianami skalnymi, gdzie nawet śnieg nie miał się gdzie zatrzymać, kapitan West, który przez szkła omiatał cieśninę, wpatrzył się nagle w jedno miejsce. Naprowadziłem moją lornetę na nie i dreszcz mną wstrząsnął, gdy zobaczyłem tam sterczące z wody cztery maszty wielkiego żaglowca. Był równie wielki jak Elsynora i niedawno musiał zatonać.

— Jeden z okrętów, storpedowanych przez Niemców — powiedział Mr. Pike.

Kapitan skinął głową, nie odejmując szkieł od oczu, potem rzekł:

— Wygląda na opuszczony. Pomimo to niech pan pośle, Mr. Pike, paru naszych marynarzy, mających najbystrzejszy wzrok, na maszty i niech się dobrze przyjrzą. Zawsze może tam być jeszcze paru rozbitków, choć nie próbują dawać nam sygnałów.

Ale minęliśmy wrak i nie dostrzeżono na nim sygnałów. Mr. Pike nie ukrywał swego zadowolenia z tego powodu. Losy zdawały się nam sprzyjać. Chodził po pokładzie, zacierał ręce z ukontentowania i śmiał się w kułak. Mówił, że poraz ostatni przepłynął Le Maire w 1888 roku. Mówił mi też o kapitanach, którzy odbyli czterdzieści podróży dokoła Hornu i nie mieli ani razu szczęścia przepłynąć przez cieśninę. Zwykły szlak przechodził daleko na wschód dokoła Staten Island, co było równoczesne ze stratą przybliżenia zachodniego, a tu na kopule świata, gdzie potężny wiatr zachodni, nie napotykając zapory łądu oblatuje dokoła mały krąg globu ziemskiego,

przybliżenie zachodnie trzeba wywalczać milę po mili i cal po calu. Instrukcje Żeglugowe dają kapitanom, opływającym Horn tę zasadniczą wskazówkę: Żeglujcie na zachód. Cokolwiek wypadnie wam czynić, zdobywajcie przybliżenie zachodnie.

Kiedy wypłynęliśmy z cieśniny, a było to dość wczesnie popołudniu, trzymała się wciąż ta sama stała morka. Pruliśmy spokojne wody po podwietrznej stronie Tierra del Fuego, ciągnącej się w południowozachodnim kierunku do samego Hornu.

Mr. Pike był w siódmym niebie. Zwlekał z zejściem do wnętrza, choć wypadła mu wolna wachta. Zacierał ręce z zadowolenia, mruzczał pod nosem i nucił urywki z Dwunastej Mszy. Gadatliwy był nawet.

— Jutro rano będziemy poza Hornem. Miniemy go zbliśka, o jakie dwanaście, piętnaście mil. Proszę sobie wyobrazić! Przekradniemy się dokoła Hornu! Nigdy nie miałem takiego szczęścia ani mieć je spodziewałem się kiedykolwiek. Stara, dzielna Elsynoro, choć masz najpodlejszą w świecie załogę, ale Ręka Pańska czuwa nad tobą!

Raz, przechodząc pod płótnem ochronnym na rufie, zaskoczyłem go. Mówił do siebie. Brzmiało to zupełnie jak modlitwa.

— Gdyby tylko nie zaczęło gwizdać — powtarzał. — Gdyby tylko nie zaczęło gwizdać!

Mr. Mellaire w zgoła odmiennym był usposobieniu.

— To się nie zdarza — powiedział mi. — Jeszcze nie było wypadku, aby jaki okręt tak się przekradł. Zobacz pan jak nadleci. Sztormy przychodzą tu zwykle, dymiąc z południo-zachodu.

— Czyż naprawdę żaden statek nie może się tak przekraść? — spytałem.

— Małe są na to szanse, sir, bardzo małe — odpowiedział mi. — Założę się, sir, o funt tytoniu, że nie upłynie doba, a trzeba będzie lec w dryf pod sztormowymi żaglami. Stawiam dziesięć funtów przeciwko pięciu, że nie znajdziemy się na zachód od Hornu nawet za tydzień od dziś. Licząc szlak dokoła Hornu od 50° do 50° południowej szerokości, stawiam dwadzieścia funtów przeciw pięciu, że upłyną i dwa tygodnie, a jeszcze nie będziemy poza tym 50° szerokości na Pacyfiku.

Co zaś do Kapitana Westa, ledwie niebezpieczna cieśnina pozostała za nami, już był w kajucie w wygodnym swym fotelu i wyciągnąwszy przed siebie nogi w miękkich pantoflach, palił cygaro. Nic jednak nie miał do powiedzenia, Margaryta zaś i ja byliśmy w doskonałych humorach i bawiliśmy się wyśmienicie przez cały wieczór.

A dzisiaj rano przy spokojnym morzu i łagodnej morce Horn ukazał się niemal na północy, jak powinien był się ukazać, nie więcej, niż na sześć mil od nas. Oto byliśmy naprzeciw żelaznego przylądka w drodze na zachód.

— Czy nie straci pan czasami tego funta tytoniu? — kpiłem sobie z Mr. Mellaire.

— Nie ma obawy — rzucił w odpowiedzi — żałuję, że nie porobiłem więcej takich zakładów, jak z panem, sir.

Omiotłem wzrokiem niebo i morze, określiłem szybkość po rozmiarach prawego odkosu Elsynory, ale nie zobaczyłem nic, co usprawiedliwiałoby tę uwagę. Panowała pogoda, stiuard również był tego zdania, bo na zagiętą szpilkę i nitkę próbował łapać gołębie, które zawitały na nasze pokłady z samego Hornu.

Na przodzie rufy zderzyłem się z Mr. Pikem. Było to prawdziwe zderzenie, gdyż powitał mnie groźnym pomrukiem.

— No, idzie jak po maśle — powiedziałem wesoło. Nie odpowiedział i odwrócił się, patrząc w południowo-zachodnim kierunku z ponurym jak noc wyrazem twarzy. Zamamrotał pod nosem coś niezrozumiałego, a na moją prośbę powtórzenia tych słów powiedział: — Zaczyna się niepogoda. Czyż pan nie widzi?

Potrząsnąłem głową.

— A dlaczego, według pana, ściągamy szczytowe żagle? — warknął.

Spojrzałem w górę. Żagle szczytowe były już zwinięte, bramsle zwijano, bom-bram-reje opadały w dół, a szkoty i halsy zbierały refy w żaglach. A mimo to północna morka, pod którą przez cały ten czas żeglowaliśmy, trzymała się, a nawet osłabła cokolwiek.

— Niech mnie diabli porwą, jeżeli wiem, gdzie jest ta niepogoda — powiedziałem.

— To niech pan idzie do strażnicy i spojrzysz na barometr — wychrząknął, wykręcił na pięcie i odtoczył się ode mnie.

W strażnicy *zastąłem* kapitana Westa. Wciągał swoje długie gumowe buty. Ten fakt był już sam przez się dość wymowny, choć barometr wskazywał niedwuznacznie. Ostatniej nocy stał na 30.10, w owej zaś chwili na 28.64. Nawet podczas pampero stan barometru nie był tak niski:

— Zwykły program Hornu — powiedział kapitan West z uśmiechem i z właściwym sobie wdziękiem sięgnął po gumową opończę.

Mimo wszystko nie mogłem uwierzyć. — Ale ten sztorm jest bardzo daleko? — pytałem.

Potrząsnąłem głową i na znak milczenia podniósł rękę. Elsynora przewalała się niepokojąco, a z zewnątrz dolatywał zgłuszony trzask żagli, tracących wiatr i wywracanych na przeciwną stronę aż opinały się na omasztowaniu i olinowaniu.

Rozmawialiśmy zaledwie z pięć minut, gdy kapitan West znów podniósł głowę i nadśluchiwał. Tym razem Elsynora położyła się zlekka na bok i pozostała w tej pozycji, a w olinowaniu powstał świst, chór niezliczonych westchnień.

— Już ciągnie — rzekł kapitan West.

W następnej chwili usłyszałem Mr. Pika, ryczącego rozkazy. Nie mogłem sobie darować, że Przylądek Horn, czy Przylądek — Grzmot, jak go zwą marynarze, miałem dotąd w tak małej estymie.

W godzinę potem żeglowaliśmy lewym ciągiem pod górnymi topsłami i fok-żaglem. Wicher nadleciał z południo-zachodu i dryfowaliśmy na podwietrzną, a więc na ląd. Kapitan West wydał Mr. Pikowi rozkaz, by przygotował okręt do przejścia na przeciwny ciąg. Obie wachty refowały żagle. Cała załoga została wywołana do wykonania manewru.

Rzecz nie do wiary, w jak krótkim czasie powstały olbrzymie fale. Wicher sztormowy w porywach coraz gwałtowniejszych wzmagał się stale. O sto jardów nic widać nie było. Dzień upodobił się nocy. W kajutach lampy się paliły. Widziany z rufy pokład ciężko przebijającego się okrętu wyglądał wspaniale. Bałwany przelewały się i waliły przez nawietrzną burzę i dzięki nieustannemu dopływowi woda na pokładzie stała do pół wysokości burty, choć otwory odpływowe i porty toczyły całe rzeki.

Na każdej z nadbudówek i na rufie załoga okrętowa, w opończach i kapturach, stała grupami. Na dziobie dowodził Mr. Mellaire. Mr. Pike miał w swojej pieczy śródkręcia i rufę. Kapitan West spacerował w dół i w górę pomostu, widział wszystko i nic nie mówił; wykonanie rozkazów należało do oficerów. Mr. Pike kazał położyć ster na burzę, podnieść reje bezań - masztu i częściowo podnieść reje masztu, a to aby zmniejszyć parcie wiatru na tył okrętu, Fokżagiel, górne i dolne topsle pozostały rozwinięte, by można było dokonać zwrotu przez owersztag. Wszystko to wymagało czasu. Ludzie poruszali się wolno, nie byli silni, ani też sprężyści. Z ruchów i ze sposobu, w jaki pracowali, przypominali mi woły. A sztorm który wciąż ryczał głośniej i głośniej, ryczał teraz jak wszyscy diabli. Chwilami tylko widziałem oddział marynarzy na przednim kasztelu. Raz po raz olbrzymie spienione grzywacze waliły się na zgiętych w pół marynarzy, którzy ze spuszczonej głowami trwali pod ich naporem. Raz po raz bałwany przybijały do burty, wytryskiwały po najniższe reje i przetaczały się, jak płynne góry na podwietrzną. A Mr. Pike jak olbrzymi pajak w wichrem



wstrząsanej sieci pajęczej poruszał się tam i z powrotem wzdłuż kruchej pomostu wibrującego, jak antena, pod tchnieniem burzy.

Tak przerażające były porywy wichru, że przez dłuższy czas Elsynora odmawiała posłuszeństwa. Leżała pod parciem wichru, zataczała się jak pijana, a fale przez nią przeskakiwały, ale wypaść z pod wichru Elsynora nie chciała i przez cały czas sztorm nas pchał na ten fatalny, rzekłbyś, brzeg. A świat był zmierzchły, niemal czarny i brutalny i mroźny, i rozbryzgi piany marzły na lód, gdziekolwiek padły.

Więc czekaliśmy. Marynarze z głowami pochylonymi, jakby wicher brali na rogi, czekali. Mr. Pike niecierpliwy, zły, z oczyma, ścinającymi lodem, jak mróz, z twarzą, podobną do tybetańskiej maski, czekał. Samuraj czekał też spokojny, pełen nonszalancji, wzniesiony ponad wszystko. I przyłodek Horn czekał także tam z podwietrznej strony na żebra naszego okrętu i na nasze kości.

I wreszcie dziób Elsynory wykręcił. Kąt uderzenia wichru zmienił się i niebawem z szaloną szybkością pędziliśmy wprost pod wiatrem i wprost na niewidzialne skały. Ale niebezpieczeństwo minęło. Powodzenie manewru było zapewnione. Mr. Mellaire do którego dotarł posłany po pomoście goniec od Mr. Pika, kazał wciągnąć reje fok-masztu. Mr. Pike szerokim giestem zasygnalizował sternikowi, by położył ster na lewą burtę, aby nie dopuścić do wyskoczenia Elsynory z pod wiatru, kiedy już poszła prawym ciągiem. Ruch zapanował na okręcie. Reje grot i bezańmasztu zostały wciągnięte z powrotem i Elsynora tylko pod szturmowymi żaglami miała tysiące mil Południowego Atlantyku po podwietrznej stronie.

A wszystko to zostało dokonane na bujowisku burzy, na końcu świata, przez dość wynędzniałych cherlaków, zagrzanych i zniewolonych do walki z żywiołami przez dwóch tylko oficerów, poza którymi stał pogodny i nieugięty Samuraj.

Przejście na przeciwny ciąg trwało trzydzieści minut ; zrozumiałem jak najlepszy kapitan może bez winy ze swej strony stracić okręt. Przypuśćmy, żeby Elsynora nie wykręciła w ogóle. Przypuśćmy, żeby w omasztowaniu lub z olinowania coś zniosło. Co wówczas? I tu wchodzi w grę Mr. Pike. Do niego należy zawsze dbać, by każda lina i blok, i każda drobnostka z miliona drobnych rzeczy w skomplikowanych mechanizmach Elsynory była na swoim miejscu. Nigdy władcy naszej rasy nie mogli się obejść bez pomocników w rodzaju Mr Pika i od wieków wiecznych rasa nasza ich wydawała.

Nim wszedłem do wnętrza, usłyszałem, jak Kapitan West powiedział Mr. Pikowi, żeby przed zwinięciem zrefowali fok-żagiel. Wielki grot-żagiel i prosty bezań-żagiel były zwinięte, więc widziałem czarne cienie ludzkie na fok-reji. Nie widać było rezultatów ich pracy u fok - żagla. Pracowali pod bezpośrednim nadzorem Mr. Mellaire, natomiast Mr. Pike, na rufie patrząc na te niezdarne zabiegi ział wartkim potokiem najokropniejszych wyzwisk.

— Co się stało? — spytałem.

— Dwie wachty na jednej rei i nie mogą zrefować tej chustki do nosa! — ryknął. — A cóż będzie, jeżeli tak potrwa z miesiąc!

— Z miesiąc! — krzyknąłem.

— Miesiąc, jak nic może nas zatrzymać Przyłodek - Grzmot — rzekł, zgrzytnąwszy zębami. — Zdarzyło mi się tu tuc siedem tygodni, a potem musieliśmy zawrócić i gnać drugą drogą.

— Naokoło świata? — spytałem z zapartym oddechem.

— Była to jedyna droga do San Francisco — odpowiedział. — Z Hornem nie ma żartów i sztormy tu ciągną za sztormami. Nie ma pogody na tych wodach!

Trochę później, siadając do stołu spojrzałem przez iluminator na dziób i między dwiema falami dostrzegłem marynarzy wciąż jeszcze na reji, jak gdyby do niej przymarzli. I znowu we czworo

siedliśmy do stołu. Było nam zupełnie wygodnie, choć *Elsynora* literalnie stawała dęba. Ramy na stole doskonale trzymały zastawę.

Stiuard podawał i poruszał się na pozór swobodnie, ale zauważyłem niespokojny błysk w jego oczach, kiedy *Elsynora* skoczyła i poleciała jak na złamanie karku.

I od czasu do czasu przypominali mi się biedacy na reji. Hm, ich rzeczą było sterczeć tam na reji, jak naszą rzeczą trwać w komfortie tej kajuty. Patrzyłem na Mr. Pika i obliczyłem, że wystarczyłoby z półtuzina takich, jak on do opanowania tego upartego fok-żagla. A Samuraj ? Byłem pewien, że nie ruszając się z miejsca, wyłącznie działaniem skoncentrowanej woli byłby w stanie dokazać tego.

Lampy się paliły. Kołysały i huśtały się z rozmachem w pałkowatych obsadach, wojując ustawicznie z cieniami, tańczącymi w odmętach mroku. Z drewnianych podkładów, przedmiotów i buazerii dobywały się jęki i trzaski. Dolny pień masztu tylnego, olbrzymi cylinder z wydrążonej stali, który przechodził przez całe pomieszczenie, przez pokład u dołu, powalę u góry rozbrzmiewał całą kakofonią przeraźliwych głosów burzy. Wysoko, wysoko nad pomostem i pokładem, naciągnięte jak struny liny uderzały weń nawalnie, że rozbrzmiewał jak warsztat kotlarza. Rozlegały się piorunowe trzaski fal, przewalających się po pokładzie, przybijających do przedniej ściany kajuty, a dziesięć tysięcy lin i prętów w górze, na wysokości ryczało, wyło i piał pod strasznym tchem sztormu.

A jednakże burza była nazewnątrz. U stołu w komfortowej kajucie nie odczuwało się nawet przeciągów, bo nie było nawet tchnienia wiatru. Ostre napryski piany osiadały na iluminatorach. Fala szorowała o ściany. Byliśmy otoczeni wyjącą burzą, a jednocześnie w twierdzy pokoju. Margaryta była w wspaniałym humorze i śmiech jej rozbrzmiewał przy akompaniamencie pnia masztu. Mr. Pike był ponury, ale znałem go zbyt dobrze, żeby móc przypuścić, że to burza nawiała troskę na jego czoło. Srożył się, myśląc o niezdarnej załodze, marznącej na reji. Co do mnie, to dziwnego doznawałem uczucia. Oto siedzieliśmy u kajutowego stołu wszyscy czworo niebieskoocy, szaroocy, jasnoskórzy i jasnowłosi, na kształt wikingów. I nawiedzało: mnie jakby przypomnienie, że przeżywałem podobne sceny już nieraz, że żyją we mnie moi przodkowie, że ich przeżycia i wspomnienia we mnie się gnieżdżą, że nieobcy mi jest tumult wichru i morza, i ciężkie przebijanie się przez nie okrętu, że to przechodziłem, przeżywałem tysiące, tysiące razy.

# ROZDZIAŁ XXXIV

— Gdyby tak wdrapać się na maszt? Co pan na to? — zaproponowała mi Margaryta, wkrótce po skończonym obiedzie.

Stała wyzywająco w otwartych drzwiach mej kabiny w opończy, kapturze i gumowych butach.

— Nigdy nie widziałam jeszcze pana w olinowaniu — ciągnęła. — Czy nie ulega pan zawrotom głowy?

Założyłem książkę, wytoczyłem się z koi, w której byłem osadzony, i klasnąłem w ręce na Wadę.

— Idzie pan? — zawołała z zapalem.

— Jeżeli pozwoli mi pani prowadzić — odrzekłem dumnie — jeżeli pani obiecuje trzymać się mnie mocno. Dokąd?

— Na bocianie gniazdo tylnego masztu. To najłatwiejsze. Co zaś do trzymania się pana, to drapać się na maszty dla mnie nie pierwszozna. Inna rzecz z panem.

— Dobrze więc — odpowiedziałem — pani prowadzi, a ja będę trzymał się pani.

— Niejeden lądowiec boi się drapać — pokpiwała sobie. — Nie ma otworów na drabliny w gniazdach naszych masztów.

— I prawdopodobnie będę się bał — nie oponowałem. — Nigdy nie drapałem się na maszty, a skoro nie ma otworów w gniazdach masztów — —

Patrzyła na mnie napoły z niedowierzaniem podczas, gdy ja wyciągnąłem ramiona, dając Wadzie odziać się w opończę.

Na rufie było wspaniale, groźnie i mroczno. Cały wszechświat otaczał nas ze wszystkich stron, zbliska. Owijał nas sztormowy wiatr, lecąca piana i mrok gęsty. Po głównym pokładzie przejść nie było można i nowy sternik, śpieszący na zmianę zdążył do steru po pomoście. Była druga po południu i przez dwie piekielne godziny nieszczęśni marynarze leżeli i marzli na fok-rei, byli na niej jeszcze bezsilni, ledwie żywi. Kapitan West, wyszedłszy na podwietrzną strażnicy, przyglądał się im z parę minut.

— Trzeba zrezygnować ze zrefowania tego żagla — powiedział do Mr. Pika. — Niech pan tylko umocuje żagiel. Lepiej niech pan każe założyć podwójne rabandy.

I powłócząc nogami, zatrzymując się od czasu do czasu, gdy piana i grzebiecie grzywaczy leciały na niego, pierwszy oficer poszedł wzdłuż pomostu na dziób okrętu, aby wyładować swą złość i swą wzgardę na załogę, na obie wachty czteromasztowca, które nie były w stanie zrefować fok żagla.

Nie ulegało wątpliwości, że naprawdę, rzecz była nad ich siły i że nie mogli sobie poradzić, pomimo najlepszych chęci, gdyż, jak się przekonałem, ludzie czynią wszystko, co w ich mocy, ilekroć wydany zostanie rozkaz skrócenia żagli. Przypuszczalnie dlatego, że się boją. Brak im hartu Mr. Pika, hartu i mądrości Kapitana Westa. Nie było wypadku, aby na rozkaz skrócenia żagli, nie skoczyli go spełnić z całą gotowością. Dlatego są na przodzie, w brudnym, jak chlew, kasztelu. Brak im hartu. Co do mnie, to gdybym nawet miał tremę przed drapaniem się na maszt, jak o to mnie posądzała Margaryta, to widok tych zakazanych kreatur, tych ofiar bez kości nie pozwoliłby mi się cofnąć. Jakże mógłbym się bać wobec ich słabości — ja, postawiony na rufie, na wysokim miejscu?

Margaryta nie pogardziła moją pomocą, wstępując na klubkę u stóp nawietrznej drabiny tylnego masztu. Ale oparła się na moją rękę tylko *przez* uznanie dla mej rycerskości, gdyż w następnej chwili wysunęła swą rękę z mojej, zuchwale przerzuciła się oburącz za burtę, przeciwko wichrowi i znalazła się po zewnętrznej stronie drablin. I zaczęła się drapać. Ja poszedłem w jej ślady, nie zdając sobie niemal sprawy z *ryzyka* podobnej ekwilibrystyki dla nowicjusza, tak dalece działał na mnie jej

przykład i taką czułem pogardę dla cherlaków z kasztelu. Gdzie inni mogą zejść, tam i ja zajdę. Co inni mogą zrobić, i ja zrobię. A córka Samuraja nie zawstydzi mnie i nie zwycięży.

A była to ciężka robota i postępy robiliśmy nader powoli. Przy chybotach ku nawietrznej stronie byliśmy przygwożdżeni bezradnie do drablin, jak motyl na szpilce. Tak wielkie wówczas było ciśnienie powietrza, że nie mogliśmy ruszyć ani ręką, ani nogą. Zresztą *trzymać* się nie było potrzeby. Jak powiedziałem, byliśmy literalnie przygwożdżeni do olinowania.

Przez śnieg, zaczynający padać, pokład wydawał się coraz mniejszy i mniejszy, aż znalazłem się tak wysoko, że upadek pociągnąłby za sobą złamanie kręgosłupa lub śmierć na miejscu, chyba, że wpadłbym do morza, aby utonąć w lodowatej wodzie. I wciąż Margaryta drapała się wyżej i wyżej. Bez przerwy wchodziła pod nawisającą platformę gniazda, zmieniała punkty oparcia, przewinęła się dokoła olinowania swobodnie, niedbale, w tempie rozkołtychów okrętu i już stała bezpiecznie na gnieździe.

Drapałem się za nią. Nie modliłem się, ani mi się w głowie nie kręciło, kiedy zwisając grzbietem do pokładu drapałem się pod platformą, szukając poomacku, rękoma i nogami punktów oparcia, których nie widziałem. Byłem w ekstazie. Odważyłbym się na wszystko. Gdyby wyskoczyła w powietrze z wyciągniętymi rękoma i pomknęła, uniesiona wichrem, bez wahania poszedłbym w jej ślady.

Gdy głowa moja ukazała się z poza brzegu platformy, patrzyła na mnie szeroko rozwartymi i błyszczącymi z zachwyty oczami. A gdy dźwignąłem się na rękach lekko w górę i znalazłem na platformie w oczach jej zabłysło uznanie. Potem się nadała.

— Oh, pan już musiał się drapać na maszty nieraz — zawołała z wyrzutem w głosie bardzo głośno i ustami ucha mego niemal dotykając, bym mógł usłyszeć mimo ryku wichru.

Potrząsnąłem głową na znak przeczenia. W oczach jej znów błysnęło światelko uznania. Uśmiechnęła się i siadła na brzegu gniazda, opuszczając nogi w wirującą płatkami śniegu przepaść i kołysząc nimi w takt ruchu okrętu. Usiadłem poza nią i patrzyłem w dół, w śnieg, dzięki któremu pokład zdawał się pod nami bardzo głęboko.

Byliśmy zupełnie sami, dwoje ptaków podbiegunowych, odpoczywających w locie na stalowym drągu, który wylaniał się z śnieżycy i znikał powyżej w zawiei śnieżnej. Dostaliśmy się na koniec świata i nawet ten koniec świata przestał egzystować. Ale nie, nie byliśmy sami. Ze śnieżycy, pod wiatrem, z rozpostartymi nieruchomo skrzydłami, mknąc z szybkością osiemdziesięciu, bądź dziewięćdziesięciu mil na godzinę ukazał się olbrzymi albatros. Musiał mieć z piętnaście stóp w rozwinięciu, od końca skrzydła do końca skrzydła. Zobaczył nas, nim my go zobaczyliśmy; kładąc skrzydło na wiatr, zawirował i maszt wyminął. Jego głowa i szyja srebrzyły się od szronu, czy od siwizny — któż zgadnie, od czego — a błyszczące paciorkowate oko musiało nas dostrzec, gdy zataczał szeroki krąg ku podwietrznej.

Ręka Margaryty wyciągnęła się ku mojej.

— Dla tego jednego warto było się wdrapać! — zawołała.

A zaraz potem Elsynora runęła w dół. Palce Margaryty zacisnęły się na sznurach, a z niewidocznych głębi doleciał nas rumor i łoskot potężnego; zachodniego wichru, hulającego po naszych pokładach.

Śnieżny szkwał, jak nadleciał tak i w mgnieniu oka przeminął, i jak na skinienie różdżki czarnoksiężskiej zobaczyliśmy w dole cały, smukły, wydłużony okręt — główny pokład, pełen wracej powodzi, dziób, wbity w pękające fale, sylwetkę wartownika, który się schronił na bak i zwisał na rękach z głową podaną naprzód przeciwko najazdowi oceanu, i prostopadle pod nami Mr. Mellaire, który z garścią ludzi naciągał zapasowe bloki do rudla. I zobaczyliśmy Samuraja wychodzącego ze

strażnicy po podwietrznej stronie i stąpającego z cudowną wprost pewnością po rozszalałym pokładzie, zwracającego się do Mr. Pika, dającego mu, snać, instrukcje.

Szare koło widzenia oddaliło się od nas na paręset jardów i zobaczyliśmy potężny szturm fal. Góry wodne z rozwartymi srebrzystymi grzywami mające sześćdziesiąt stóp od dna brzozy do grzebienia, wytaczały się z nawietrznej, z mętnego zmierzchu i jedna za drugą, bez przerwy i wytchnienia waliły się na okręt nawisały nad smukłym i pozornie kruchym jego kształtem, przelewały się, zatapiały pokład setkami ton oceanu, a w następnej chwili przelatywały pod nimi w piennym rozgrzmocie, brały go na bary i podrzucały ku niebu, aby zaraz potem zniknąć w odmętach zmierzchu po podwietrznej. A wielkie albatrosy wirowały i krążyły dokoła nas, wdzierając się w rwącą, lotną lawinę wichru i mknąc przed nią i szybciej od niej samej.

Margaryta odwróciła oczy od tego oszałamiającego widoku i patrzyła na mnie pytająco. Cóż ja na to? Zgrabiałymi palcami odchyliłem jej kaptur i wołałem:

— To nic nowego dla mnie. Byłem tu przedtem. Byłem tu w życiu ojców moich, praojców. Mróz kąsa mnie w policzki, sól wgryza się w moje nozdrza, wicher zawodzi mi w uszach, a są to dla mnie wszystko stare dzieje. Wiem teraz, że przodkowie moi byli wikingami. Pochodzę od nich w prostej linii. Z nimi najeżdżałem angielskie brzegi, ważyłem się poprzez Słupy Herkulesa, płądrowałem po Morzu Śródziemnym i siedziałem w wysokim miejscu ponad słabymi, przez słońce rozpieszczonymi narodami. Jestem Hengist i Horsa, jestem z krwi starożytnych bohaterów, którzy dla nich nawet byli legendarni. Rozpieniałem i prułem różne wody, a jeszcze na długo, długo przedtem przed lodowym okresem nosiłem na gołym ciele skórę rena, walczyłem z mastodontem i wydrapywałem kronikę mych przewag na ścianach głęboko ukrytych jaskiń, ba, i ssałem wilczyce, bok o bok z moimi braćmi-wilczkami, pazury których czuję teraz na duszy, jak je w owe czasy czułem na ciele. Zaśmiała się rozkosznie, a śnieżny szkwał nas obwinał, klując w policzki; Elsynora wzleciała na fali i położyła się, jakby już nigdy powstać nie miała, my zaś, uczepieni z całej siły, zatoczyliśmy przez powietrze ogromny, zawrotny łuk. Margaryta puściła się jedną ręką, aby, śmiejąc się wciąż, odchylić mój kaptur. — Nic o tym nie wiem — zawołała. — Brzmi to jak poezja. Ale wierzę w to, co pan mówi. Musiało tak być. Słyszałam to już nieraz, gdy w skóry odziani ludzie śpiewali u ognisk, rozpraszających noc i mróz.

— A książki? — zapytała złośliwie w chwilę potem, gdy zabieraliśmy się do schodzenia.

— Niech sobie leżą na półkach i niech mnie nie nudzą razem ze zwariowanymi ich autorami — odpowiedziałem.

Znowu roześmiała się rozkosznie, a wiatr zerwał *jej* ten uśmiech z ust i poniósł. Zawisła na rękach, rzuciła się w przestrzeń, znalazła nogami niewidzialne punkty oparcia i znikła z przed mych oczu pod karkołomnym kręgiem gniazda,

# ROZDZIAŁ XXXV

— A jak tam z tytoniem? — powitał mnie Mr. Mellaire, gdy wyszedłem na pokład dziś rano, czując nieznośny ból w kościach i w mięśniach po sześćdziesięciu godzinach okrutnej chwiejby.

Wiatr pod rano zcichł i *Elsynora* wśród ciszy z paroma rozwiniętymi żaglami kołysała się jeszcze gorzej, niż podczas burzy. Mr. Mellaire wskazał w pół prawej burty dziobu. Dojrzałem w tej stronie ponury ład, najeżony śnieżnymi szczytami.

— *Staten Island*, wschodni koniec tej wyspy — powiedział Mr. Mellaire. — *Staten Island*, aby stąd przebić się dokoła *Hornu*. A jednakże przed czterema dniami przepłynęliśmy przez Cieśninę *Le Maire* i podkradliśmy się już do samego przylądka. Przed czterema dniami porównaliśmy się już z *Hornem*, a nawet byliśmy o parę mil dalej na południe. A teraz musieliśmy wszystko zaczynać na nowo, cofnięci daleko poza nasz pierwotny punkt wyjścia.

Dnie mijają — jeżeli krótkie przerwy między nocami, kiedy panuje mętny szary zmrok można nazwać dniami. Przez tydzień już nie widzieliśmy słońca. Nasze miejsce okrętu, miejsce, gdzie *Elsynora* się znajduje na tych burzliwych wodach jest hypotetyczne. Razu jednego, jak obliczyliśmy według metody przekładania kursu, zagnało nas na sto mil poza *Horn* na południe. A potem nadleciał nowy południowo-zachodni sztorm, który zdarł nam z lejklin fok-topsel i nowiutki, ledwie z igły trajsel i zniósł nas przypuszczalnie gdzieś na wschód od *Staten Island*.

Oh, teraz znam ten wielki Zachodni Wiatr, który wieje bez przerwy dokoła globu ziemskiego poza 55° południowej szerokości. I rozumiem, dlaczego na mapach morskich i w podręcznikach nawigacji pisze się z wielkiej litery i nazywa „Wielki Zachodniego Wiatru Dryf”. I wiem, dlaczego Instrukcje Żeglugowe dają tę wskazówkę: Cokolwiek wam czynić wypadnie, zyskujcie przybliżenie zachodnie!

Ale Zachodni Wiatr i Dryf Zachodniego Wiatru nie dają *Elsynorze* zdobyć przybliżenia zachodniego. Wicher sztormowy następuje po wichrze, zawsze z zachodu, i zamiast na zachód żeglujemy na wschód. A zimno jest przytem i każdy z tych mroźnych wiatrów niesie przed sobą śnieżycę.

W kajucie lampy palą się przez cały dzień. Mr. Pike nie wygrywa już na fonografie, a Margaryta nie podchodzi do fortepianu. Skarży się ona na ból w całym ciele. I Wada i stiuard kuleją. Czuję się możliwie tylko w mojej koi, tak wyłożonej pudełkami, poduszkami, że z niej, przy najdzikszych chybotach i przechyłach okrętu nie wylatuję. Wstaję do stołu, albo, żeby przebiec po pokładzie, użyć trochę ruchu, i zaczerpnąć powietrza, poza tym czytani i czytam. Po osiemnaście godzin na dobę czytam. Pomimo to czuję ból w całym ciele i zmęczenie od ustawicznego naprężenia mięśni.

Co musi znosić nieszczęsna załoga, przechodzi ludzkie pojęcie. Kasztel przedni został zmyty już wielokrotnie i wszystko tam namiękło i ocieka. Ponadto ludzie ci osłabli i dwóch wacht trzeba do spełnienia roboty jednej wachty. Muszą oni spędzać na zmywanych pokładach i okładani lodowatym wichrem na rejach tyleż godzin, ile ja spędzam w ciepłej i suchej koi, Wada mówił mi, że się nie przebierają, a włączają do koi w opończach i butach gumowych i mokrym ubraniu.

Wystarczy popatrzeć, jak pełzają po pokładzie lub po rejach, a niedobrze się robi. Naprawdę z sił opadli. Policzki im pozapadały, twarze ich są koloru popiołu, oczy błędne i wielkie, i ciemne kręgi mają pod oczami. Przepowiedziana przez Mr. Mellaire plaga wrzedzianek i pęknięć od wody morskiej gnębi ich niesłychanie; przeguby u rąk i ręce, i ramiona mają niemi pokryte. To ten, to ów, czasami po kilku naraz wskutek pobicia przez fale lub ogólnego upadku sił zwalniany bywa na dzień, lub na wachtę, by lec w koi: To przyczynia jeszcze więcej roboty pozostałym i ludzi, którzy

trzymają się jeszcze na nogach, są bez litości dla słabszych; człowiek musi być naprawdę chory, by go towarzysze nie wyciągnęli i nie zapędzili do roboty.

Nie mogę się nadziwić Andy Fayowi i Mulliganowi Jacobs. Starzy są i tak życiem steram, że wydaje się niemożliwym, by mogli znieść to, co znoszą. I nie mogę w ogóle pojąć, dlaczego którykolwiek z nich Haruje i spełnia rozkazy w tym lodowatym piekle Hornu. Czy strach przed śmiercią sprawia, że pracują i nas ochraniają przed śmiercią? A może dlatego, że są wołami roboczymi, niewolnikami, mają psychologię niewolniczą i przywykli przez całe życie być zaganiani do roboty przez swych panów i w głowie im się nie mieści odmówić spełnienia rozkazu?

A mimo to wszystko, co przechodzą, większość z nich w tydzień po zawinięciu przez nas do Seattle znajdzie się na pokładzie innych okrętów, mających opłynąć Horn z przeciwnej strony. Margaryta twierdzi, że marynarze wąż się na to, bo zapominają. Mr. Pike z nią się zgadza. Mówi on, że po tygodniu pomyślnej żeglugi pod południowo-wschodnim passatem w górę Pacyfiku, nie będą już pamiętali, że zostawili za sobą Horn i co wówczas z nimi się działo. Przyznam się, że ich nie rozumiem. Czyż mogą być tak głupi? Czy przebyte cierpienia nie zostawiają śladu w ich pamięci? Czy boją się tylko tego, co im bezpośrednio zagraża? Czy troszczą się tylko o dzień następny? W takim razie mają, na co zasłużyli.

Są tchórzliwi. Przekonałem się o tym ostatecznie dziś w nocy o drugiej nad ranem. Nigdy w życiu nie byłem świadkiem tak panicznego strachu — a był to strach przed bezpośrednio zagrażającą rzeczą — strach bezsensowny i zwierzęcy. Dziwnym trafem czytałem właśnie Umysł Człowieka Pierwotnego Boasa, gdy usłyszałem tupot nóg nade mną. Elsynora dokonywała właśnie zwrotu na przeciwny ciąg pod mocno skróconymi żeglami. Dziwiłem się co takiego mogło się zdarzyć, co też sprowadza wachtę na rufę, gdy doszedł mnie nowy tupot nóg nadbiegającej drugiej wachty. Nie słyszałem ani ciągnięcia ani luzowania i na myśl mi przyszło, czy to nie bunt.

Nic podobnego jednak się nie działo i, zaciekawiony, wciągnąłem buty, półkożuszek, płaszcz gumowy, kaptur, mitenki i wyszedłem na pokład. Mr. Pike już się ubrał i był na rufie przede mną. Kapitan West, który w złą pogodę sypia w strażnicy stał z podwietrznej strony w drzwiach, przez które światło lampy padało na wystraszone twarze marynarzy.

Ludzi ze śródokręcia nie było, ale wszyscy mieszkańcy kasztelu z wyjątkiem tylko dwóch, a mianowicie Andy Faya i Mulligana Jacobsa, jak się potem dowiedziałem, ogarnięci paniką znaleźli się na rufie. Andy Fay, który należał do wolnej wachty, z całą zimną krwią pozostał spokojnie w swojej koi, a Mulligan Jacobs skorzystał z zamieszania, aby wślizgnąć się do kasztelu i nabić sobie wypaloną fajkę.

— Co się stało, Mr. Pike ? — spytał Kapitan West. Nim oficer zdążył odpowiedzieć, podchwycił Bert

Rhine drwiącym tonem:

— Diabeł jest na okręcie, sir.

Ale drwiący ton był symulacją zimnej krwi, która go opuściła. Im więcej się nad tym zastanawiam, tym więcej zdumiewa mnie, że tacy sprytni ludzie, jak bosmanmaci przestraszyli się tego, co się stało. Ale niewątpliwie byli wystraszeni wszyscy trzej. Wskoczyli prosto z koi, trwoniąc drogocenny czas krótkiego wypoczynku.

Larry był tak wystraszony, że szczekał zębami i krzywił się jak małpa, i oglądał się za siebie, i usiłował ujść z ciemności w smugę światła, padającego ze strażnicy. Grek Tony wił się w paroksyźmie równie obłądnego strachu, bełkotał coś do siebie i ustawicznie się żegnał. Pod tym względem imitowali go dwaj Włosi, Guido Bombini i Mike Cipriani. Artur Deacon był bliski omdlenia, Żyd Chantz i Deacon podtrzymywali się nawzajem. Bob, otyły i wybująły wyrostek stękał

astmatycznie, a drugi wyrostek, Bony Patyk dygotał na całym ciele i zgrzytał zębami. Ba, nawet dwaj najlepsi marynarze z kasztelu, Tom Spink i Londyńczyk z Malty, stali w tyle poza innymi, odwróceniu od ciemności i z upragnieniem wpatrując się w smugę światła.

Pomiędzy wszystkimi obrzydliwymi rzeczami na świecie są dwie, których absolutnie nie znoszę: histeria u kobiety, strach i tchórzostwo u mężczyzny. Wobec hysterii poprostu lodowacieję. Zhistryzowana kobieta nie budzi we mnie ani iskierki sympatii. Strach tchórze wywołuje u mnie mdłości. Tchórzostwo u mężczyzny mdli mnie, poprostu mdli. A ten rozdygotany tłum, te ogłupiałe od strachu bestie ludzkie na naszej pochylonej rufie były mi obmierzłe. Zaiste, gdybym był bogiem, unicestwiłbym w owej chwili całą tę kanalię. Nie, nie całą. Zlitowałbym się nad Faunem. Jego błyszczące, do głębi nalane cierpieniem, wysilające się by zrozumieć oczy biegały pytająco od twarzy do twarzy. Nie wiedział, co się stało, a będąc głuchy jak pień, przypuszczał, że załoga zbiegła się na rufę na wezwanie.

Obserwowałem Mr. Mellaire. Boi się on Mr. Pike i jest mordercą, ale w każdym bądź razie nadprzyrodzonych rzeczy się nie boi. Choć jemu wypadła ta wachta, lecz obecność na rufie jego przełożonych zwalniała go od odpowiedzialności. Kołysał się naprzód i wtył, w takt gwałtownych rozkołysów Elsynory i przyglądał się całej scenie z drwiącym i cynicznym zmrużeniem oczu,

— Jak diabeł wygląda, mój człowieku? — spytał Kapitan West.

Bert Rhine wyszczerzył zęby z idiotycznym grymasem.

— Odpowiadaj kapitanowi! — Mr. Pike ryknął na niego.

Oh, szął mordu, czerwony ogień mordu prysnął w tejsze chwili z oczu bosmanmata. Ale odpowiedział Kapitanowi Westowi:

— Nie czekałem na niego, sir. Ale jest wielki, jak wieloryb.

— O mój Boże, sir! — jęknął Larry. — Jak on wyrznął w kasztel, sir. Było to jak wezwanie na Sąd Ostateczny.

— Wasza teologia jest mętna, mój człowieku — łagodnie uśmiechnął się Kapitan West. Ale uśmiech ten rozjaśnił twarz alabastrową. Rzuciło mi się w oczy jak zmęczona była jego twarz i jak zmęczone jego cudowne oczy Samuraja.

Odwrócił się do pierwszego oficera.

— Mr. Pike, zechce pan zapoznać się z tym diabłem. Niech pan go zwiąże i umocuje, abym mógł mu się przyjrzeć rano.

— Tak, sir — odpowiedział Mr. Pike; i przyszedł mi na myśl werset z Kiplinga:

Kto z nas bał się kiedy kogo. — niewiast, czy mężów,  
diabła czy Boga?

Poszedłem za Mr. Pikiem i Mr. Mellaire przez wały ciemności po śliskim od gołoledzi pomoście — ani jeden marynarz nie ośmielił się nam towarzyszyć — a w uszach mi dźwięczała taka naprzykład zwrotka z „Galernika”:

Rozpycha nam grodzie bawełna, a maszty nasze tkwią  
w złocie —

We wnętrzu ładunek hebanu przy każdym się tłucze chy-  
bocie...

Albo taka:

Na piętno mego ramienia, na blizny batogiem pisane...

Na ślady od kajdan noszenia, ropiącą w sercu mem ranę...



Albo znów:

Ciąg kajdaniarzy przez pokład, sznur lat siwiejących przemija...

A przed oczyma duszy zamajaczyła mi wizja potężnej sylwetki Mr. Pika. Ujrzałem go, jakim był w istocie swojej. Ujrzałem *tego* galernika rasy i dozorcę niewolników zawsze pod rozkazami ludzi wysoko nad nim stojących. Oto wierny drużynnik, śmiały żeglarz, sterany, osiwiwały w trudach wypraw, napiętnowany stygmatem więzienia, sługa wodzów, którzy ujarzmili dla nas morze. Znam go. teraz. Nigdy nie będę się na niego obrażał. Wybaczam mu wszystko — dech siwuchy, którym mnie powitał, kiedy przybyłem na pokład w Baltimorze, jego opryskliwość, gdy daje się we znaki niepogoda, maltretowanie marynarzy, jego głos warczący i zjadliwy.

Na platformie śródokręcia zostałem zlany od stóp do głów, aż dreszcz mną wstrząsa na same wspomnienie. W pośpiechu zapomniałem zawiązać opończę około szyi i lodowata woda dostała mi się za kołnierz. Nie zostało na mnie suchej nitki. Po następnym prześle pomostu przebiegliśmy przez welon pyłu wodnego i byliśmy na platformie przedniego kasztelu, gdy coś popływającego na pokładzie grzmotnęło jak taran w przednią ścianę kasztelu.

— Cokolwiek to jest, gra dobrze rolę diabła — Mr. Pike wrzasnął mi do ucha, puszcżając ze swej latarki elektrycznej strumień światła w kierunku, skąd doszedł nas odgłos uderzenia.

Pręt światła sunął po czarnej wodzie, poplamionej tu i ówdzie oparzeliskami piany, która wrzała na pokładzie.

— O tam pędzi! — krzyknął Mr. Pike, gdy Elsynora dała nurka dziobem, a cała lawina runęła na kasztel.

Światło zgasło, wszyscy trzej uchwyciliśmy się, czego się dało, i przygięli niemal pod szturmem oceanu. Wychynawszy z wodozwałów, z pod zrębu platformy kasztelu usłyszeliśmy okropne walenie. Potem dziób wzleciał i w smudze światła mignął mi tylko nierozpoznawalny w pędzie czarny przedmiot, skaczący po nachylonym wolnym od wody pokładzie. I natychmiast znikł w ciemnościach i już nie wiedziałem, co się z nim stało.

Mr. Pike, a za nim Mr. Mellaire zeszli na pokład. I znowu, gdy Elsynora dała szczupaka dziobem i powódź wody morskiej potoczyła się pod burtami ku tyłowi okrętu, zobaczyłem ciemny przedmiot. Mknął jak pocisk wprost na oficerów. Uskoczyli przed nim i światło zgasło. Nowy lodowaty wał potoczył się na okręt.

Przez pewien czas nie widziałem wcale obu oficerów. Potem światło wytrysło i zrozumiałem, że Mr. Pike gonił przedmiot. Musiał go schwytać u burty i przycisnąć do prawostronnych drablin. Obwinał go końcem liny, który mu się pod rękę podwinął. Gdy okręt zatoczył się ku nawietrznej, wywiązała się między Mr. Pikiem a niesamowitym przedmiotem pewnego rodzaju walka. Drugi oficer skoczył na pomoc pierwszemu i obaj przy pomocy lin i linek opanowali, zdało się, tę rzecz.

Zeszedłem na pokład, by ją na własne oczy zobaczyć. W świetle elektrycznej latarki przekonaliśmy się, że była to duża, muszlami porośła baryła.

— Musiała pływać z czterdzieści lat — oświadczył Mr. Pike, przyjrząwszy się baryłce. — Można sądzić o tym po wielkości muszli i po wąsach.

— I jest pełna czegoś — powiedział Mr. Mellaire.

— Mam nadzieję, że to nie woda.

Gdy zaczęli przetaczać baryłkę ku kasztelowi, gdzie było spokojniej, korzystając przy tym bardzo umiejętnie ze skoków i chybotów okrętu, energicznie im dopomagałem. W rezultacie przez grube

moje mitenki pokaleczyłem sobie rękę o ostre brzegi połamanych muszli.

— Tam jest płyn jakiś — powiedział oficer — ale otworzę ją dopiero ranem.

— Ale skąd to przyszło? — spytałem.

— Przez burtę tylko mogło zważyć się na pokład. Mr. Pike puścił na baryłkę strumień światła. —

Tłukła się po morzu lata, dziesiątki lat.

— Jeżeli to wino, to musi być stare — zauważył Mr. Mellaire.

Zostawiłem ich przy uwiązywaniu baryłki, sam zaś przekradłem się po pokładzie i zajrzałem do przedniego kasztelu. *Załoga*, w panicznej swej ucieczce zapomniała zamknąć drzwi i wszystko wewnątrz pływało. W mrugającym świetle małej i filującej okropnie lampy wiszącej był to obraz nędzy i rozpacz. Żaden szanujący się człowiek jaskiniowy, pewien jestem, nie wytrzymałby w tej dziurze.

I w tejże chwili spieniona fala wypełniła przejście między kasztelem a burtą, i przez drzwi, w których stałem wpadła lodowata woda, sięgając mi po pas. Musiałem się trzymać, by mnie nie wepchnęła do wnętrza. Z górnej koi, leżąc na boku, Andy Fay wpatrywał się we mnie uparcie swymi niebieskimi, złymi oczami. Siedząc na nieheblowanym stole z nogami w gumowych butach, chybotającymi się w takt rozruchu okrętowego, Mulligan Jacobs pykał z fajki. Gdy mnie zobaczył, wskazał na rozmiękłe tomy, pływające dokoła.

— Moją bibliotekę diabli wzięli — mówił tonem żalonym. — Oto mój Byron. A Zola i Browning i kawałek Szekspira tłuką się bok o bok, z tym ogryzkiem mego Antychrysta. A tam Carlyle i Zola tańczą, policzek przy policzku.

Przy ostatnich jego słowach Elsynora położyła się na prawą stronę i woda, wylewająca się z kasztelu, zabalgotła mi u kolan i sięgnęła pasa. Moje mokre mitenki ześliznęły się po żelaznych odrzwiach, prąd wody mnie porwał i zniósł w otwory odpływowe, skąd dłuższy czas nie mogłem się wydostać, tłukąc się w odmętach nowej fali, która zwała się z nawietrznej.

Byłem zupełnie oszołomiony i musiałem połknąć sporo słonej wody, nim dopłynąłem na czworakach do drabliny, uchwyciłem się żelaznych jej szczebli i wdrapałem się na pomost. W drodze na rufę spotkałem załogę, wracającą do kasztelu. Mr. Mellaire i Mr. Pike rozmawiali po podwietrznej stronie strażnicy, w której, schodząc na dół, zobaczyłem Kapitana Westa, palącego cygaro.

Po mocnym obtarciu całego ciała położyłem się w suchej pydzamie. Ledwie jednak otworzyłem z powrotem odłożoną książkę Boasa, gdy powtórzył się tupot nad moją głową. Poczekałem, aż nadbiegnie druga wachta i nadbiegła. Wówczas zacząłem się ubierać na nowo.

Scena poprzednia powtórzyła się na rufie, tylko, że marynarze trzęśli się w paroksyźmie jeszcze większej trwogi. Bełkotali i szczękali zębami wszyscy razem. Powstała prawdziwa wieża Babel.

— Stulcie gęby! — ryknął na nich Mr. Pike w chwili, gdy znalazłem się na rufie. — Niech jeden naraz mówi i odpowiadajcie na pytania kapitana.

— To nie baryłka tym razem, sir — powiedział Tom Spink. — To jest żywe. To nie diabeł, a duch topielca. Widziałem go wyraźnie. To jest człowiek, albo był człowiekiem kiedyś.

— Jest ich dwóch, sir — przerwał Richard Giller, Jeden z „murarzy”.

— Wyglądał na Petro Marinkowicza, sir — podjął Tom Spink.

— A drugi to był Jespersen — widziałem go — dodał Giller.

— Było ich trzech, sir — powiedział Nosey Murphy. — O'Sullivan, sir, był trzeci. To nie diabły, sir. To topielcy. Dostali się na pokład prosto przez burty dziobu i ruszali się wolno jak topielcy. Olansen pierwszy zobaczył pierwszego z nich. Złapał mnie za rękę i pokazał mi ich i ja też go zobaczyłem. Był na platformie kasztelu. I Olansen widział go i Deacon, i Hackey, wszyscy go

widzieliśmy, sir — i drugiego z nich; a gdy reszta dała nogę, pozostałem jeszcze i zobaczyłem trzeciego. Kto wie, może ich jest więcej. Nie czekałem dłużej.

Kapitan West przerwał tę paplaninę.

— Mr. Pike — rzekł zniecierpliwiony. — Niech pan się przekona, o czym bredzi ten człowiek.

— Tak, sir — odpowiedział Mr. Pike; zwrócił się do marynarzy: — Chodźcie wszyscy! Mamy teraz trzech diabłów do związania.

Ale marynarze cofnęli się z zabobonnym strachem i odskoczyli od niego odmawiając niedwuznacznie spełnienia rozkazu.

— Za grosz... wstydu — Mr. Pike warknął wzgardliwie, urwał jednak i machnął ręką.

Odwrócił się i ruszył po pomoście. Za nim szedł Mr. Mellaire, a na końcu ja, zupełnie jak poprzednim razem. Przebiegliśmy szczęśliwie, tylko fala nas zmyła dwa razy, w połowie pierwszego przesła i na platformie śródokręcia.

Stanęliśmy dopiero na platformie kasztelu. Nadaremnie Mr. Pike świecił latarką na wszystkie strony. Nic nie było widać, prócz poplamionej bielą pian czarnej wody, nic słyhać, prócz ryku wichru w olinowaniu, rozgrzmotów i trzasków fal, walących się na pokłady. Ruszyliśmy dalej poprzez końcowe przęsło pomostu na sam dziób i musieliśmy się zatrzymać w drodze i u fok-masztu szukać schronienia przed szturmem oceanu.

Między dwoma zamieciami piany, Mr. Pike zaświecił latarką. Usłyszałem jego okrzyk. Potem poszedł na koniec pomostu wraz z Mr. Mellaire, ja zaś czekałem u fok-masztu trzymając się lin z całych sił. Wały wodne przetaczały się przeze mnie. W chwilach, gdy woda oczu mi nie zalewała, widziałem smugi świetlne, płasające w ciemnościach to tu, to tam. W parę minut potem oficerowie powrócili.

— Pół przedniego omasztowania i olinowania nam zniosło — powiedział Mr. Pike. — Musieliśmy się z czymś zderzyć.

— Uczułem wstrząs, zaraz po zejściu; przez pana na dół, sir, ostatnim razem — powiedział Mr. Mellaire.

— Tylko myślałem, że to przybiła fala.

— I mnie się tak zdawało — zgodził się Mr. Pike.

— Właśnie zdejmowałem buty. Byłem pewien, że to fala. Ale gdzie są te trzy diabły?

— Pewnie u baryłki — przypuścił drugi oficer. Dostaliśmy się na koniec pomostu, zeszliliśmy po żelaznej drabinie, a stamtąd! ruszyliśmy na dziób po powietrznej, uchodząc z drogi wichru i morza. Znajdowała się tam baryłka, umocowana bezpiecznie. Muszle na niej były zdumiewająco wielkie jak duże jabłka i na parę cali głębokie. Dziób poleciał w dół i u nóg naszych przybrała woda na jaką stopę wysoko. Potem dziób wjechał na górę wodną, i na spływających wodach rozwinęły się długie wodorosty, którymi baryłka była obrośnięta.

Z Mr. Pikiem na czele, posuwając się, kiedy ruch okrętu na to pozwalał, przebiegliśmy po pokładzie między kasztem i burtami, ale nigdzie diabłów nie znaleźliśmy. Pierwszy oficer wszedł w odrzwia kasztelu i światło latarki jak miecz przecięło przestrzeń, wypełnioną mętnym półmrokiem wiszącej lampy okrętowej. I zobaczyliśmy diabłów, Nosey Murphy miał rację. Było ich trzech.

Cóż to był za widok! Zalane wodą i lodowate pomieszczenie z zaciekłymi rdzą żelaznymi ścianami, z których zesła farba, niskie i z dwóch stron obstawione szeregiem koj o dwóch kondygnacjach, cechujące po marynarzach, pomimo zmycia przez morze. W górnej koi w opończy gumowej i butach leżał bokiem Andy Fay, patrząc przed siebie niebieskimi, zimnymi jak lód oczami. Na stole, pociągając z fajki, za zwisającymi nogami, w spienionej wodzie siedział Mulligan Jacobs z osłupieniem wpatrując się w trzech przybyszów; byli w butach gumowych, byli pokrzwawieni, stali

jeden przy drugim, jednego niemal, wzrostu, kołyszając się unisono w takt rozhuśtanej **Elsynory**.

Ale co za ludzie! *Znam*. East Side i East End, przyzwyczajony jestem do typów wszelkich ras i zlewków wszelkich ras, lecz tych trzech daremnie siliłem się sklasyfikować. Śródziemne Morze — nie mogło być dwóch zdań — ich nie wydało, ani też wydał ich półwysep Skandynawski. Nie byli blondynami. Nie byli jednakże i brunetami. Ani czekoladowi, ani czarni, ani żółci. Mieli skórę jasną pod ogorzelizną od wiatru A włosy ich, choć mokre, były niezawodnie bezbarwne, piaskowego koloru. I oczy mieli ciemne — nie, nie mogę określić ich jako ciemne. Ani niebieskie, ani szare, ani zielone, ani piwne oczy. Ani też czarne. Były topazowe, blado topazowe; fluoryzowały, śniły na jawie jak oczy wielkich kotów. Wyglądali na chodzących we śnie; zupełnie na lunatyków wyglądali ci piaskowołosi, topazoocy rozbitkowie. Nie skłonili się, nie uśmiechnęli, niczym nie zdradzali, że zdają sobie sprawę z naszej obecności, tylko patrzyli na nas i śnili. Powitał nas zato Andy Fay.

— Piekło zważyło się tej nocy, czy co! ani oka zmrużyć, a potem włożą ci trzej — powiedział.

— I skąd mogło ich zdąć tu w noc taką, jak ta? — skarżył się Mulligan Jacobs.

— Zapomniałeś języka w gębie; nie możesz spytać? — warknął na niego Mr. Pike.

— Jakbyś nie wiedział stary, że umiem obracać językiem, ty stary grzmocie. — odwarknął Jacobs.

Ale nie była to odpowiednia chwila do załatwiania porachunków. Mr. Pike zajął się śniącymi na jawie przybyszami i zwrócił się do nich z pytaniami coś w dwunastu językach, łamiąc je w sposób niesłychany. Padały z jego ust dziwaczne słowa i zdania, jakie obijający się po świecie anglosaksończyk może sobie przez całe życie na morzu przyswoić, pomimo wyraźnego wstrętu do wszelkiej obcej mowy.

Przybysze nie odpowiadali. Nie skinęli nawet głową. Na fizjonomiach ich panował zupełny spokój i zupełny brak wszelkiego zainteresowania, a w oczach przewijały się jeszcze głębsze sny. Mimo to byli istotami z krwi i z kości. Poplamieni byli i odzież ich była poplamiona krwią, sączącą się ze skaleczeń.

— Holendrzy! — prychnął Mr. Pike z całą wzdargą dla wszystkich innych ras i narodów, wskazując im ręką, by zajęli koje.

Mr. Pike nie ma pojęcia o etnologii. Prócz rasy, do której należy, znał tylko trzy rasy: Negrów, Holendrów i jakichś Dagojczyków.

I znowu mogliśmy się przekonać, że z krwi i z kości są nasi goście. Zrozumieli giest pierwszego oficera, spojrzeli najpierw jeden na drugiego, a w następnej chwili leżeli już w trzech górnych kojach i zamknęli oczy. Przysiągłbym, że w pół minuty potem wszyscy już spali.

— Musimy uprzętać na dziobie, bo reje nam zwałą się na łeb — powiedział Mr. Pike, zabierając się do wyjścia. — Niech pan ludzi zbierze, Mr. Mellaire, i wywoła cieśnię.

# ROZDZIAŁ XXXVI

Żeglujemy na wschód, nie na zachód! Zniosło nas na wschód na trzy stopnie od nocy, w której zstąpili na nasz pokład trzej goście. Są spowici płaszczem tajemnicy, ci trzej dziwaczeni ludzie morza. „Cyganami z Hornu” przezwala ich Margaryta, a Mr. Pike przezywa ich „Holendrami”. To tylko jest pewne, że rozmawiają między sobą we własnym, nikomu nie znanym języku. Ale choć mamy w kasztelu zbieraninę z całego świata, nikt nie uchwycił jakiegoś znanego dźwięku z tej mowy, ani też podejrzewa jakiej są narodowości.

M. Mellaire postawił hipotezę, że są fińskiego pochodzenia, ale zaprzeczył temu z oburzeniem nasz wielkostopy i wybujwały cieśla okrętowy, który sam, jak twierdzi, jest Finlandczykiem. Kok Louis przypomina sobie, że gdzieś na świecie, w jakiejś zapomnianej zupełnie podróży spotykał się z ludźmi w ich rodzaju, ale gdzie, jak, kiedy, w jakiej podróży ani rusz, nie może sobie przypomnieć. On i pozostali Azjaci przechodzą nad obecnością przybyszów do porządku dziennego i liczą się po prostu z tym faktem; cała załoga jednak, prócz Andy Faya i Mulligana Jacobsa boczy się na nich z zabobonną trwogą i nie chce z nimi mieć do czynienia.

— Nic dobrego nam nie przynoszą, sir, ci trzej — powiedział Tom Spink, który stał u steru, trzęsąc złowróżbnie głową.

Margaryta oparła się ręką na moim ramieniu dla odzyskania równowagi przy rozkołychu okrętu. Była to pora naszego spaceru, gdyż od jedenastej do dwunastej spacerowaliśmy dzień w dzień. Skrupulatnie przytrzymywaliśmy się tych godzin.

— Dlaczego, cóż oni nam szkodzą? — spytała, mrugnawszy okiem, abym wiedział, czego się trzymać.

— Bo nie są ludźmi, Miss, to jest ludźmi we właściwym znaczeniu tego słowa. Nie są zwykłymi ludźmi.

— Cokolwiek niezwykły był sposób, w jaki dostali się na okręt — zaśmiała się.

— O to właśnie chodzi — zawołał Tom Spink, rozjaśniając się w przypuszczeniu, że go zrozumiano. — Skąd przychodzą? Nie chcą powiedzieć. Naturalnie, że nie chcą. Bo nie są ludźmi. Są duchami — duchami marynarzy, którzy potonęli wtedy, gdy ta baryłka poszła w morze z tonącego okrętu, to znaczy dużo, dużo lat temu, Miss, jak to widać po wielkiej muszli na baryłce.

— Myślicie tak naprawdę? — pytała Margaryta.

— Wszyscy tak myślimy, Miss. Niedarmó całe życie tłukliśmy się po morzu. Szczury lądowe nie wierzą w Latającego Holendra, ale to są szczury lądowe. Co oni wiedzą? Im się takie rzeczy nie zdarzają jak mnie, na przykład, przed trzydziestu pięciu laty na Kathleen, kiedy mnie duch złapał za nogę między beczkami z wodą słodką. Może nie zerwał mi wtedy ten duch buta z nogi? A potem we dwa dni później nie przewaliłem się może przez pokrywkę luki i nie złamałem obojczyka?

— Czy można im wierzyć, Miss? Pokazywali na migi, Mr. Pikowi, że Elsynora wpadła na ich okręt kiedy szli przeciwnym ciągiem? Ale właśnie, był taki okręt!

— Więc jak wytłumaczycie, że zniosło nam z dziobu omasztowanie? — spytałem.

— Jest dużo rzeczy niezrozumiałych, których nikt nie potrafi objaśnić, sir — brzmiała odpowiedź Toma Spinka. — Kto objaśni, w jaki sposób Finowie zaklinają niepogodę? A wszyscy wiedzą, że tak jest. Dlaczego mamy ciężkie przejście dokoła Hornu, sir? Niech mnie pan tylko powie. Dlaczego, sir?

Potrząsnąłem głową.

— A przez tego cieślę, sir. Dowiedzieliśmy się, że jest Finlandczykiem. To Fin. Dlaczego o tym,

że jest Finlandczykiem milczał od samej Baltimory?

— Czy o tym nie mówił? — zagadywała Margaryta.

— Nie, nic nie mówił, Miss — dopiero powiedział, kiedy ci trzej dostali się na pokręt. Odrazu podejrzewałem *go*, że więcej wie o pogodzie, niżli daje poznać po sobie. I proszę tylko zauważyć, co mamy za niepogody i jaką z tego powodu zwłokę. A przecie wiadomo, że Finowie to są prawdziwe wilkołaki i zaklinacze niepogody.

Nastawiłem uszu zaciekawiony.

— Skąd wzięliście to słowo wilkołak? — spytałem.

Tom Spink zrobił wielkie oczy.

— Co w tym złego, sir? — zapytał.

— Nic złego. Wszystko w porządku. Lecz skąd je wzięliście?

— Znikąd nie brałem, sir. Zawsze je znałem, Ot, co są Finowie. Finlandczycy — wilkołaki.

— A ci trzej przybysze — nie są Finami? — spytała Margaryta.

Stary Anglik potrząsnął głową z miną złowrogą.

— Nie, Miss. Oni są topielcami, marynarzami, potopionymi od dawna, od bardzo dawna.

Wystarczy im się przyjrzeć. I cieśla mógłby sam o nich sporo powiedzieć, gdyby tylko chciał.

Niemniej nasi dziwaczni goście są pożądanymi wobec zdekompletowania i upadku sił załogi. Przyglądam im się, gdy pracują. Są silni i chętni do pracy. Mr. Pike, choć nie rozumie ich zupełnie, twierdzi, że są prawdziwymi marynarzami. Suponuje on, że pochodzą z jakiegoś obcokrajowego małego stateczku, najechanego i zatopionego przez **Elsynorę**, gdy szedł przeciwnym niż ona, ciągiem.

Zapomniałem dodać, że obrośnięta muszlami baryłka została otworzona. Zawierała doskonałe w smaku wino, które nikt z nas nie może rozpoznać. Gdy tylko sztorm przycichł, Mr. Pike kazał baryłkę przetoczyć na rufę i przewiercić. Teraz stiuard i Wada mają całą zawartość jej w butelkach i gąsiorkach. Wino jest dobrej daty i Mr. Pike uważa je za nieznaną gatunek brandy. Mr. Mellaire nic nie mówi, tylko się na jego widok rozpromienia, Kapitan West, Margaryta i ja utrzymujemy natomiast, że to jest wino.

Żałoga podupada na siłach coraz bardziej! Zawsze z wyciąganiem lin szło im niesporo, ale teraz potrzeba dwóch, lub nawet trzech do roboty, do której przedtem wystarczał jeden. Podtrzymuje ich jeszcze niewybredna, ale obfita strawa. Jedzenia mają w bród. Za to pozostałe warunki są okropne. Wiecznie ziąb i wilgoć, i woda, i brud w kasztelu, i brak snu. Z krótkimi przerwami obie wachty muszą na pokładzie harować. Każda z wacht oddzielnie nie jest w stanie podołać choć cokolwiek trudniejszemu zadaniu i trzeba wywołać wreszcie drugą wachtę. Udało się zmusić załogę do zrefowania fok-żagla podczas sztormu. Ale zajęło to dwie godziny obu wachtom, a Mr. Pike twierdzi, że za dawnych dobrych czasów w zupełnie podobnych okolicznościach jedna wachta zrefowała przy nim fok-żagiel w dwadzieścia minut.

Przekonałem się jaką kapitalną *zaletę* ma żaglowiec stalowy. Jest szczelny, choćby był, nie wiem jak załadowany. Od miotania na wielkiej fali, prócz małego przecieku na samym dziobie, z którym, wypłynęliśmy z Baltimory i który wysusza się raz na parę tygodni za pomocą wiadra, spuszczanego na lince, *Elsynora* jest zupełnie nieprzepuszczalna. Mr. Pike mówił mi, że okręt drewniany tej wielkości, co nasz, i z takim ładunkiem, przeszedłszy przez tyle sztormów, nabierałby wody, jak sito.

A Mr. Mellaire opowiedział mi coś nie coś ze swoich przeżyć z Przylądkiem Grzmotem, do którego coraz większego nabieramy szacunku. W młodości swej jeszcze tłukł się dokoła Hornu, to znaczy od 50° do 50° południowej szerokości, okrągłe osiem tygodni. Innym razem statek, na którym służył, dwukrotnie musiał uciekać na Falklandy do doków. I jeszcze innym razem, gdy żeglował na drewnianym okręcie, musieli w stanie, bliskim zatonięcia uciekać na Falklandzkie Wyspy i zatoneśli

ostatecznie przy wirażu wiatru u samego wejścia do Portu Stanleya. Taką opowiedział mi historię:

— Miesiąc temu już siedzieliśmy, sir, gdy zawinęła do portu Lucy Powers. Warto było ją zobaczyć — z wyrwanym fok-masztem, z połową rej tylko, bez kapitana, którego zabiła reja, zwaliwszy mu się na głowę; porucznik miał złamane obie ręce, drugi oficer był chory, a reszta załogi u pomp. Ponieważ byliśmy rozbitkami, mój kapitan objął dowództwo nad tą ruiną okrętu, wyreperował go, jak się dało, a obie załogi złączył w jedną. Ruszyliśmy do lądu przeciwną stroną, to jest naokoło świata, pompując dwie godziny w każdej wachcie, aż do samego Honolulu.

Biedne, nieszczęsne kury! Źle wybrały się z lenieniem i potraciły pióra. Nie dziwiłbym się, gdyby wszystkie pozdychały, tymczasem straciliśmy tylko sześć z nich. Margaryta każe stale podtrzymywać ogień w piecyku naftowym i ochraniać je wszelkimi sposobami, łudząc się nadzieją, że zostaną przy życiu i że będą nam znów jaj dostarczały, gdy tylko wypłyniemy na spokojne wody Pacyfiku.

Zbędnym byłoby i nużącym opisywanie monotonnych zachodnich sztormów. Są zupełnie identyczne. Tak szybko następują jeden po drugim, że morze nie ma czasu się uspokoić. Tak długo już chybotaliśmy i obijaliśmy się, że coś stałego, jakiś przedmiot nieruchomy wydaje się mytem, rzeczą niepojętą zgoła. W poprzednich inkarnacjach zdarzało mi się widzieć rzeczy nieruchome... ba, ale było to w poprzednich inkarnacjach.

Dwa razy w ciągu ostatnich dziesięciu dni docieraliśmy do Skał Diego Ramirez. Ale według zliczenia jesteśmy znów o dwieście mil na wschód od nich. Dwa razy nas morze kryło po pokrywy luk. Sześć mocnych żagli z najgrubszego płótna, zwiniętych i przywiązanych podwójnymi rabandami, wichry ściągnęły i wysiepały z rej. Często marynarze bywają tak słabi, że tylko połowa z nich może się stawić na wezwanie całej załogi.

Lars Jacobsen, który złamał nogę na początku podróży, został zбитy z nóg przez falę i nogę złamał na nowo. Ditman Olansen, Norweg, o którym Mr. Mellaire mówił, że „widzi czerwono” wpadł ostatniej nocy w Berserkerowską pasję i pobił pół kasztelu. Wada opowiada, że ledwie mu podolali. Uległ dopiero, gdy hurmem na niego rzucili się trzej marynarze, Fitzgibbon i Gilder, Londyńczyk z Małty i Steve Roberts, cow-boy. To wszystko działo się w wachcie Mr. Mellaire. W wachcie Mr. Pike zaszła tylko zmiana na gorsze, bo John Hackey, łazik z San-Francisco, który walczył uparcie z bosmanmatami, poddał się wreszcie przemocy i *przyłączył* się do bandy. A nie dalej, jak dziś rano Mr. Pike wyciągnął za kark Charlesa Davisa z kasztelu, zastawszy go na wykładaniu zasad prawa nieszczęsnym współtowarzyszom. Mr. Mellaire, nawiasem mówiąc, pozostaje nadal w nieprzyzwoicie -zażytych stosunkach z bosmanmatami. I wciąż nic ważnego nie zaszło.

Charles Davis nie umiera. Przeciwnie, zdaje się nabierać ciała. Nigdy nie omieszka stawić się na posiłek. Przy najgorszej burzy ukazuje się w tej porze ze swej śródokrętowej nory. Często, stojąc za płótnem ochronnym u zrębu rufy, gdy po pokładach toczą się lodowate wodozwały, widuję go, wykradającego się pomiędzy dwoma falami ze swej kabiny z talerzem i dzbankiem w ręku i zataczającego się na dziób do kambuza; idzie po jedzenie. Doskonale zna się na ruchach okrętu i nigdy nie widziałem, by się porządnie skąpał. Parę razy byłem świadkiem, jak piana go opryskała, lub fala sięgnęła mu po kolana, ale naprawdę go nie ma, gdy wielki grzywacz wali się na pokład.

# ROZDZIAŁ XXXVII

Niesłychane wydarzenie dzisiaj! Przez pięć minut, w południe, słońce naprawdę było widoczne. Ale co za słońce! — błydy, zimny i mdły krąg, który, kul-minując, stał tylko na 9°18' ponad linią horyzontu. Jednak nie upłynęło i godziny, już musieliśmy skracać żagle i zataczaliśmy się znowu w łopocącym śnieżnymi skrzydłami południowo-zachodnim sztormie.

Cokolwiek wam czynić wypadnie, zyskujcie przybliżenie zachodnie! Przede wszystkim przybliżenie zachodnie! — wskazówkę tę pokolenia żeglarzy po wielu smutnych doświadczeniach z Hornem *przekazały* potomnym. Rozumiem teraz, dlaczego kapitanowie okrętów, którym udało się schwycić wiatr pomyślny, nie spuszczaali tu łodzi, kiedy marynarz wypadł za burtę. Przylądek Horn jest nieubłagany i tylko nieubłagani ludzie mogą dokoła niego się przebić ze wschodu na zachód.

A my wciąż nie czynimy postępów na zachód. Wiatr zachodni dmie wiecznie. Słucham z niedowierzaniem, gdy Mr. Pike, albo Mr. Mellaire opowiadają o czasach, gdy wschodnie wiatry dęły w tych szerokościach. To niemożliwe. Od wieków wiecznych wiał tu wichur zachodni, wichur z zachodu nadlatywał za wichrem, bo pocóżby stało na mapach morskich: „Wielki Zachodniego Wiatru Dryf”. My z rufy jesteśmy skołatani, a cóż dopiero mówić o marynarzach. Są wyprani z wszelkiej mocy, rozwałkowani na ciasto, obsypani wyrzutami i wrzodami. Nie zdziwiłbym się, gdyby Kapitan West koniec końców zawrócił i pognął na wschód, by drogą naokoło świata dostać się do Seattle. Ale Margaryta uśmiecha się, potrząsa głową i utrzymuje z całą pewnością, że ojciec jej na pewno opłynie przylądek i osiągnie 50° szerokości na Pacyfiku.

Jak Charles Davis może być w tej nawilgłej, lodowatej, zacieklej i oblaźłej z farby kabinie na śródkręciu przechodzi mój rozum; tak samo jednak przechodzi mój rozum, że nieszczęśni marynarze w nieszczęsnym kasztelu nie zalegną w swych kojach i nie czekają śmierci, albo. po prostu nie wypowiedzą posłuszeństwa.

Minął jeszcze tydzień i dziś wedle obserwacji jesteśmy o sześćdziesiąt mil na południe od Cieśniny le Maire. Znowu tłuczemy się pod skróconymi żaglami, idąc lewym ciągiem. Barometr spadł do 28.58 i nawet Mr. Pike przyznaje, że burza, z którą się poramy, to jeden z najgorszych sztormów, jakie przechodził w okolicach Hornu.

W bardzo odległych czasach żeglarze zapędzali się między lodowce Południowego Oceanu Antarktycznego po 64°, a nawet 65°, by przy pomyślnym wirażu wiatru z karkołomną szybkością zsunąć się na północ. Ale od dawna już kapitanowie zmienili taktykę i trzymają się lądu. Doświadczenie stu tysięcy podróży dokoła Przylądka Grzmotu wykazało, że to najlepszy system. Więc Kapitan West trzyma się lądu. Żeglujecie lewym ciągiem, aż okręt, dryfując ku powietrznej, znajdzie się w niebezpiecznym sąsiedztwie lądu, wówczas przeprowadza go na przeciwny ciąg i dryfuje na pełne morze.

Męczy mnie, co prawda, ta szalona chwiejba w miotanym przez burze po lodowatym morzu okręcie, a jednocześnie nic sobie z tego nie robię. W sercu mym zapłonęło nagle wielkie, życiodajne światło. Czuję się zdolnym do wielkich rzeczy. Znalazłem w sobie źródło większego zadowolenia, niżli można je znaleźć w papierowym królestwie książek. Coś się we mnie zmieniło, a instynkt mi mówi, że zmiana to najgłębsza, jaka może zajść w mężczyźnie. Pokochałem kobietę. Nie wiem, czy ona dba o mnie. Nie o to chodzi. Chodzi o to, że sam uniosłem się na szczyt uczuciowości, dostępny dla mężczyzny. Kulminuję.

Poznałem kobietę, a na imię jej Margaryta. Jest dla mnie Margarytą, kobietą i pożądam jej. Czuję



pulsowanie czerwonej krwi w żyłach. Przestałem już być bezkrwistym inteligentem, co mnie wbijało niegdyś w taką dumę. Jestem mężczyzną, który kocha, na złość księżkom i wbrew nim. Co zaś do De Casserese, to — jeżeli wrócę kiedy do New Jorku — po wszystkim, co przeżyłem, zbiję jego argumenty z taką samą łatwością, jak on zbija argumenty swych przeciwników. Około miłości wszystko na świecie się kręci. Trzeźwemu człowiekowi irracjonalna miłość daje tylko rację bytu. Jak Bergson, który stworzył sobie niebo intuicji, jak ci, którzy posiadli ogień Ducha Świętego lub widzieli Nową Jerozolimę, zdeptałem materialistyczne maksymy nauki, wdrapałem się na niebotyczne szczyty filozofii i dałem susa w moje własne niebo, które, koniec końców, we mnie samym się znajduje. Tak już jestem stworzony, że w miłości do kobiety znajduję sobie ostateczny wyraz. Miłość to zapłata za całą ułomność ludzką.

A ona jest tylko kobietą, jak każda inna kobieta, a Bóg mi świadkiem, że znam kobiety. I nie łudzę się co do tego, że Margaryta jest zwykłą sobie kobietą. I tak i nie. Oczyma w niej rozkochanymi widzę, że jest niezupełnie taka sama. Jej sposób wzięcia jest odmienny od sposobu wzięcia innych kobiet, a dla mnie niesłuchanie miły. I czuję, że skłoni mnie ona do wicia gniazda, gdyż ona to tak czarująco umie czynić. A kto wie, co lepiej — napisać całą bibliotekę, czy uwić gniazdo?

Włoką się długim szeregiem dni ponure i szare, i wilgotne, i zimne. Dziś upłynął miesiąc od wżegłowania Elsynory na szlak dokoła Hornu i oto dziś jesteśmy dalej od Przylądku, niżli przed miesiącem, gdyż zagnało nas ze sto mil na południe od Cieśniny Le Maire. Ale nawet i te dane są hypotetyczne, gdyż doszliśmy do nich za pomocą przekładania kursu, co nie da się ściśle uskutecznić na okręcie, idącym to jednym, to drugim ciągiem, na okręcie, lawirującym stale przeciwko Wielkiemu Zachodniemu Wiatrowi. Nie można obliczyć dokładnie dryfu przy takim wicherze. Upłynęło cztery dni od ostatniej obserwacji według słońca.

Burzliwy ocean nagle się zaludnił. Codzień więcej widzimy okrętów. Krótki arktyczny dzień nie minie, abyśmy nie naliczyli dwóch, trzech, a czasem do tuzina okrętów, żeglujących to jednym, to drugim ciągiem. Kapitan West przypuszcza, że co najmniej dwie setki ich się tłuką dokoła nas. Co noc jesteśmy w wielkim, śmiertelnym niebezpieczeństwie zderzenia. Ryzyko wielkie, którego uniknąć niepodobna. Od czasu do czasu poprzez szkwały śnieżne widzimy i przeklinamy, zmierzające na wschód okręty, które pomykają w pobliżu nas, gnane przez Wielki Zachodni wiatr z nieobliczalnym dryfem. To też pusty śmiech mnie bierze, gdy słyszę Mr. Pika, lub Mr. Mellaire, opowiadających o okrętach, które pod wiatrem wschodnim bez trudu i mozołu opłynęły Horn. Wydaje mi się, że rok upłynął od dnia, kiedy Elsynora wychynęła spoza zasłony Tierra Del Fuego w ów nieustanny sztorm południowo-zachodni. A wiek musiał upłynąć od wyruszenia z Baltimory.

Tyle się troszczę o furję i o monotonię ponurego oceanu na końcu świata, co o zeszłoroczny śnieg. Powiedziałem Margarycie, że ją kocham. Stało się to pod osłoną płótna na końcu rufy, gdy trzymaliśmy się balustrady i jedno drugiego ostatniej nocy. A powtórzyłem te słowa i otrzymałem odpowiedź w jasno oświetlonej i komfortowej kajucie po zmianie wachty, gdy wybiło osiem dzwonów. Oczy jej, dumne jej oczy, były promienne, ale zarazem pełne ciepła i łagodnego blasku. Była to wielka chwila — wielka chwila dla nas.

Mężczyzna tak jest już stworzony, że czuje się najszcześliwszy, kiedy, kochając, jest kochany. Ciężki musi być los tego, który kochając, nie jest kochany. A ja nie z jednego, z wielu powodów mogę sobie powinszować. Bo, gdyby Margaryta była kobietą zupełnie w innym rodzaju... hm, gdyby była kobietką adorowaną i nie mogącą żyć bez adoracji, jedną z tych, które zdają się być stworzone do miłości i kochania i rzucają się same w silne ramiona mężczyzny, nie miałbym się czemu dziwić, że mnie pokochała. Ale Margaryta jest Margarytą, silną, opanowaną o pogodnym na świat poglądzie kobietą — prawdziwą panią samej siebie. I oto cud, że taka kobieta zbudziła się do miłości i że

zbudzić ją mnie przypało w udziale. Rzecz prawie nie do uwierzenia. Zagląając w te długie, zimne, szare *jej* oczy, widzę jak nalewają się ciepłem i promienieją, gdy patrzy na mnie. Margaryta to nie Julia, Bogu dzięki, a ze mnie nie Romeo. Nie mniej błąkam się po lodowatej rufie i ciskam z triumfem szturmującym ustawicznie wichrom i walącym się na nas grzywaczom wyzwanie mojej ludzkiej miłości. Patrzę na nieszczęsnych marynarzy, pełzających po rozbluzganym, zapienionym pokładzie, a serce wzbiera mi dumą, że ani w tej, ani w poprzednich swych wegetacjach nie odczuwali oni nigdy, co ja obecnie odczuwam, co wypełnia moje serce. I dziwię się, po co ich Bóg stworzył.

— Jedną rzecz postanowiłam sobie od samego początku podróży — wyznała mi Margaryta dziś rano w kabinie, wymknąwszy mi się z ramion — że nie pozwolę ci durzyć się we mnie.

— Prawdziwa córka Herodiady — rzuciłem — więc o tym jednak myślałaś od pierwszej chwili naszego poznania się. Od pierwszej chwili widziałaś we mnie mężczyznę.

Odpowiedzią był mi jej uśmiech, pewny siebie i triumfujący.

— A dlaczego przypuszczałaś, że zakocham się w tobie ?

— O, to zwykła historia z młodymi pasażerami — odpowiedziała.

— Więc i inni...?

— Nie było wypadku, żeby się we mnie nie durzyli — odpowiedziała poważnie.

I poraz pierwszy odczułem — rzecz śmieszna — ostrze zazdrości, ale się tylko z siebie samego zaśmiałem i odparłem:

— Już pewien starożytny chiński filozof — powiedział, pono, a przed nim musiał to bełkotać człowiek jaskiniowy — że kobieta poluje na mężczyznę, wabiąc go ku sobie.

— Niegodziwiec! — zawołała; — Nigdy nikogo nie wabiłam. Czy ja cię kiedy wabiłam?

— To delikatny przedmiot... — zacząłem, symulując wahanie.

— Kiedy cię wabiłam? — pytała.

Nie było rady, musiałem uciec się do wybiegu.

— Od pierwszej chwili nie uszło *twojej* uwagi nic dotyczącego mojej skromnej osoby — zaatakowałem. — Ręczę, że wiedziałaś, że cię kocham od pierwszej chwili, gdy sam to odkryłem.

— Wiedziałaś, kiedy mnie łaskawie obdarzyłeś swą nienawiścią — uchyliła się zrećźnie od odpowiedzi.

— Tak, kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy i dowiedziałem się, że wyruszasz w podróż — powiedziałem. — Ale, powtarzam, wiedziałaś, że cię kocham od pierwszej chwili, gdy sam odkryłem w sobie to uczucie.

Jakże piękne były jej oczy, jaki spokój się w nich malował i pewność siebie, gdy położyła mi rękę na ramieniu i powiedziała niskim niezmaconym głosem:

— Tak, wiem... przypuszczam, że wiem. Było to tego ranka podczas pampero poza Plate, gdy wpadłeś, wybiwszy drzwi, do sypialni papy. Poznałam po oczach. Widziałam to. Sądzę, że wtedy to w sobie odkryłeś.

Skinąłem tylko głową i przyciągnąłem ją do siebie.

— Byłeś bardzo śmieszny. O tam siedziałeś, na łóżku, trzymając się jedną ręką, schowawszy drugą pod pachę, robiąc wielkie oczy, zdumiony, zupełnie oszołomiony i wtedy... jakim sposobem, nie wiem... odczułam, że w tej chwili zrozumiałeś, że...

— A w następnej chwili zamieniłaś się w kawałek lodu — zarzuciłem jej.

— Więc widzisz — przyznała szczerze; potem odsunęła się ode mnie, położyła mi ręce na ramionach i zaśmiała się, łyskając bielą zębów, swym młodym, czarującym śmiechem.

Śmiech ten, gotówem przysiąc, jest nieporównany, jest jak gdyby kto perły przesypywał; nie, z

niczym się nie da porównać!

# ROZDZIAŁ XXXVIII

Nie pojmuję. Nie pojmuję. Czyżby Samuraj się pomylił? A może popełnił ten błąd w omroczeniu, zwiastującym nadchodzącą śmierć, które zamgliło jego mózg precyzyjny, jasny i nieomylny, jak system słoneczny. Nie wiem i nigdy się nie dowiem, gdyż nikt z nas nie zająknie się nawet o tym, nie mówiąc już o dyskutowaniu na ten temat.

Równy przed pięciu tygodniami wypłynęliśmy na szary wzburzony ocean z Cieśniny Le Maire. Wczoraj popołudniu znaleźliśmy się znowu w bezpośrednim sąsiedztwie Hornu. Przy zmianie wacht o czwartej . Kapitan West wydał Mr. Pikowi rozkaz przejścia na przeciwny ciąg. Szliśmy wówczas prawym ciągiem, dryfując na podwietrzną. Przeszliśmy tedy, na lewy ciąg; a więc, rozumowałem, dryfujemy na ląd i to pod bardzo ostrym kątem.

W strażnicy spojrzełem na mapę i określiłem odległość naszą od Hornu na jakie piętnaście mil.

— Dryfując w ten sposób będziemy nad ranem u samego lądu, nieprawdaż? — rzuciłem podstępnie.

— Tak — odrzekł Kapitan West — trafilibyśmy na brzeg jutro rano, gdyby nie Dryf Zachodniego Wiatru i gdyby ląd nie biegł w północno-wschodnim kierunku. O świcie będziemy w pobliżu lądu na tyle, by przekraść się dokoła Hornu, w razie zmiany wiatru lub mieć miejsce na zwrot, jeżeli wiatr się nie zmieni.

Nie przyszło mi nawet do głowy zastanawiać się, czy sąd jego jest trafny. Co powiedział, stać się musiało. Czyż nie był Samurajem?

A jednak w parę minut potem, gdy Kapitan zeszedł na dół, zobaczyłem Mr. Piką, wchodzącego do strażnicy. Zrobiłem parę kroków w górę i w dół pokładu, popatrzyłem na kilku ludzi z Nancy na czele zmieniających płótno ochronne i zawróciłem ku strażnicy. Ulegając niewytłumaczonemu impulsowi zajrzałem do środka przez szybę jednego z iluminatorów.

Stał tam Mr. Pike z odrzuconym na plecy kapturem, w ociekającej błyszczącej opończy z cyrklem i linijką analityczną w ręku nachylony nad mapą. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, ale wyraz jego twarzy mnie zastanowił. Zły, warkliwy grymas znikł z niej bez śladu. Widziałem w niej tylko niepokój i obawę przed czymś... ba i oznaki podeszłego wieku. Nigdy mi się nie wydał jeszcze tak stary, i wystąpiły w owej chwili na, twarzy jego wszystkie ślady trudów i walk, przebytych w ciągu tych sześćdziesięciu lat tłuczenia się po morzach.

Uśliznąłem od okna z lewej strony strażnicy i dotarłem do zrębu rufy, gdzie, uczepiony balustrady, patrzyłem długo w tuman i naloty piany, w przypuszczalnym kierunku naszego dryfu. Gdzieś tam na północ, czy północo-wschód, myślałem, ciągnie się pozębione skaliste wybrzeże, na którym grzywacze rozbijają się z grzmotem. Tymczasem tu, w strażnicy, doskonały żeglarz stał schylony nad mapą morską, kreślił i liczył, i na nowo kreślił, wymierzał i wyliczał nasze miejsce okrętu i nasz dryf.

A jednak miałem niemal pewność, że to zdarzyć się nie mogło. Nie Samuraj mylił się, tylko jego pomocnik. Lata nareszcie zaciążyły na nim. Inaczej być nie *mogło*, wzięwszy pod uwagę, że i tak fenomenalnie długo urągał biegowi czasu.

Wzruszyłem ramionami na moje obawy i zeszedłem do kajuty niefrasobliwie, gdyż miałem tam spotkać moją ukochaną. Naturalnie Kapitan West miał rację, jak zawsze zresztą. Tyle razy już dowiódł swej mądrości i trafności swego sądu podczas tej długiej podróży z Baltimore.

Przy obiedzie Mr. Pike był strasznie roztargniony. Nie brał zupełnie udziału w rozmowie i zdawał się nasłuchiwać ciągle czegoś z zewnątrz, wsłuchiwać się w przeraźliwy gwizd

naciągniętych jak struny i wibrujących lin, gwizd, którym rozbrzmiewał wydrążony pień tylnego masztu, wsłuchiwać się w zgłuszony ryk sztormowego wichru na olinowaniu, w rumor i łoskot fal, toczących się po pokładach, bijących w żelazne ściany kajuty.

I znowu w głębi ducha zacząłem dzielić jego obawy, choć powstrzymałem się od wszelkich pytań zarówno u stołu, jak i później na pokładzie. O ósmej Mr. Pike wyszedł na pokład, bo miał wachtę do północy. Kładłem się spać, przeświadczony, że to Mr. Pike jest w błędzie i zastanawiałem się, ile jeszcze podróży zdoła on przetrzymać.

Zasnąłem prędko i obudziłem się o północy. Lampa paliła się. Zwierciadło Morza Conrada miałem na piersi. Książka widocznie z rąk mi się wysunęła, gdy zasypiałem. Doszły mnie hałasy, związane ze zmianą wachty. Czytałem już znowu w najlepsze, gdy Mr. Pike zeszedł przez małą lukę tylnej kajuty, przeszedł galerią mimo otwartych drzwi mojej kabiny i wszedł do swojej. Tak dobrze poznałem już Mr. Pike'a, że wiedziałem, co robi. Zwijał sobie papierosa. Potem kaszlnął, gdy dym z zapalonego papierosa podrażnił go w krtani i płuca.

Kwadrans po dwunastej, kiedy wczytywałem się w rozdział „Ciężar brzemienia” tego wspaniałego dzieła Conrada — usłyszałem, że Mr. Pike powraca galerią.

Ponad brzegiem mej książki, zobaczyłem go, jak przechodził w całkowitym rynsztunku sztormowym — w butach gumowych, opończy i kapturze. Miał tę wachtę wolną, nie wiele czasu na sen mu pozostawało przy ustawicznej niepogodzie, a mimo to wracał na pokład.

Z książką w ręku czekałem godzinę, ale nie powracał. Wiedziałem, że jest gdzieś na pomoście wpatrzony w ciemność gwizdzącą w locie. Ubrałem się również w pełny kostium sztormowy, buty, kaptur, opończę i półkożuszek pod nią. U stóp schodów, patrząc wzdłuż galerii, zauważyłem, że u Margaryty pali się światło. Zajrzałem do jej kabiny — drzwi zwykła trzymać otworem dla wentylacji — czytała książkę.

— Po prostu spać mi się nie chce — upewniła mnie.

Myślam o niebezpieczeństwie na pewno nie zaprzętała sobie głowy. Dotąd, pewien jestem, nie wie ona o omyłce Samuraja — jeżeli w ogóle była to omyłka. Zupełnie szczerze powiedziała, że nie jest śpiąca, choć niepokój Mr. Pike'a w jakiś niewytłumaczony sposób mógł *jej* się również udzielić.

U szczytu schodów, przechodząc krótką galeryjkę, aby wyjść przez podwietrzne drzwi strażnicy, rzuciłem wzrokiem do jej wnętrza. Na sofie, leżąc na wznak z głową, umieszczoną, jak mi się zdawało, za wysoko, spał Kapitan West. W strażnicy było gorąco, gdyż ciepło z kajuty szło w górę, więc leżał nie nakryty, całkowicie ubrany, choć bez opończy i butów. Oddychał głęboko i równo; ascetyczne, cienkie rysy jego twarzy zdawały się wygładzone i złagodniałe w świetle przykręconej lampy. Wystarczyło mi -jedno na niego spojrzenie dla odzyskania wiary w jego mądrość i pokrzepiony na duchu, śmiałem się z siebie. Opuściłem ciepłe łóżko i zupełnie niepotrzebnie wybrałem się na okręt, by marznąć na lodowatym pokładzie!

Po nawietrznej stronie pod osłoną płótna ochronnego u zrębu rufy znalazłem Mr. Mellaire. Nie zdradzał zaabsorbowania, ani też obaw jakiegokolwiek rodzaju. Nie powstało mu, snadź, w głowie, by zastanawiać się, a cóż dopiero podawać w wątpliwość manewr przejścia na przeciwny ciąg, dokonanego dnia poprzedniego południa.

— Sztorm skręcił kark — powiedział mi, wskazując tkwiącą w mitence ręką na skrawek rozgwiażdżonego nieba, który ukazał się wśród przecierających się chmur.

Ale gdzież był Mr. Pike? Czy drugi oficer wiedział, że jest on na pokładzie? Zacząłem Mr. Mellaire badać pod tym względem, gdy wędrowaliśmy po dziko skaczącej rufie ku sterowi. Przyznałem się, że nie mogę spać podczas burzliwej pogody, twierdziłem, że stan pół-snu, w który przy gwałtownym ruchu okrętu tu zapadam, męczy mnie bardzo i pytałem, jak złą pogodę znoszą

oficerowie.

— Wchodząc na górę, widziałem Kapitana Westa w strażnicy śpiącego, aż miło — zakończyłem moje wywody.

Staliśmy oparci po podwietrznej stronie strażnicy.

— Niech pan mi wierzy, Mr. Pathurst, że sypiamy równie dobrze, jak w pogodę — zaśmiał się drugi oficer. — Im gorsza pogoda, tym bardziej jesteśmy zmęczeni i tym mocniej śpimy. Ledwie dotknę głową poduszki, zasypiam snem kamiennym. Mr. Pike marudzi trochę dłużej, bo, zszedłszy z wachty, kończy swego papierosa. Ale pali, rozbierając się, więc nie zajmuje mu to więcej niż minutę czasu. Potem, mortus. Ręczę, że od kwadrans po dwunastej, kiedy się położył, nie przewrócił się nawet na drugi bok.

A więc drugi oficer nie wiedział, że pierwszy jest na pokładzie. Zszedłem do kajuty, aby się upewnić. Mała lampka wisząca paliła się w kabinie Mr. Pika i zobaczyłem w jej świetle, że koja jest niezajęta. Wracałem przez kajutę główną i, ogrzawszy się u wielkiego pieca, wróciłem na pokład. Ominąłem drogę u płótna ochronnego, gdzie musiał być Mr. Mellaire, lecz, przeszedłszy po podwietrznej stronie rufy, dostałem się na pomost i ruszyłem na przód okrętu.

Nie śpieszyłem się. Stawałem często w miejscach, gdzie mniej dokuczał ciąg wichru i piany. Sztorm mijał, bo od czasu do czasu gwiazdy mrugały poprzez przesłone chmur: Na platformie śródokręcia Mr. Pika nie było. Przebrnąłem przez nią, smagany marznącą w powietrzu, mżącą pianą i starałem się przebić wzrokiem ciemności, panujące na platformie kasztelu, gdzie podczas złej pogody, stawiano wartownika na oku. Przed nami szersza połać gwiazdowego nieba się ukazała, a na jej tle, o dwadzieścia stóp ode mnie zobaczyłem dwie sylwetki — postać wartownika, a obok niego charakterystyczną postać Mr. Pika. Długo ich obserwowałem, nie zdradzając niczym mojej obecności. Wiedziałem, że oczy starego oficera wświdrowywały się w czarny wiatr, dzielący Elsynorę od twardego i grzmiącego od przyboju fal brzegu, który spodziewał się każdej chwili ujrzeć.

Gdy wracałem na rufę spotkałem Mr. Mellaire, który zdumiał się na mój widok.

— Myślałem, że pan śpi, sir — zrzędził.

— Nie jestem dość na to zmęczony — wyjaśniłem. — Czytałem, aż oczy mnie rozboleły, a teraz chcę zziębnąć, aby móc zasnąć, rozgrzewając się w łóżku.

— Zazdroszczę panu, sir — odpowiedział. — Co za los! Całą noc mieć do spania! Jeżeli kiedy uda mi się zrobić kokosy, wybiorę się tak, jak pan na prawach pasażera i będę miał wszystkie wachty wolne. Pomyśleć tylko — wszystkie wachty wolne! I jak pan zabiorę w podróż służącego, Japończyka, i każę się budzić przy każdej zmianie wachty, aby za każdym razem rozkoszować się moim szczęściem, że oto mogę się na drugi bok przewrócić i spać, spać.

Życząc sobie dobrej nocy, rozeszliśmy się. Zajrzałem znów do strażnicy i przekonałem się, że Kapitan West śpi, jak spał. Przez cały czas nie zmienił pozycji, choć ciało jego poruszało się i miotało w tempie okrętu. W kajucie lampa Margaryty wciąż się paliła, przez drzwi jednakże zobaczyłem, że zasnęła z książką, na piersiach w takiej samej pozycji, jak ja często zasypiałem.

I sytuacja wydała mi się dziwna. Pół Elsynory spało. Samuraj spał. A mimo to stary jego pomocnik, który powinien był chwytać w lot każdą chwilę szacownego snu, dobrowolnie stał na oku. Czy jego niepokój był uzasadniony? Czy mógł być uzasadniony? Czy też była to przekora starcza? Czy dryfowaliśmy ku zagładzie? Czy po prostu wylęgła się ta zmora w porażonym nagle przez wiek mózgu starego człowieka, który nie zdążył wypełnić do końca zadania swego?

Wybiwszy się ze snu, nie wróciłem do łóżka, tylko zakwaterowałem się za stołem w kajucie głównej ze Zwierciadłem Morza w ręku. Nie ściągnąłem z siebie mego sztormowego rynsztunku,

prócz namiętkłych mitenek, które wyżółłem i powiesiłem u pieca, aby wyschły. Wybiły cztery dzwony i sześć dzwonów, a Mr. Pike nie powracał do kajuty. O ósmym dzwonie, gdy zmieniały się wachty, przyszło mi na myśl, co za ciężką noc Mr. Pike mieć musiał. Od ósmej do dwunastej stał swoją wachtę, potem całą wachtę drugiego oficera przebył na pokładzie, teraz zaczynał znów swoją wachtę, która miała trwać do ósmej rano — w rezultacie dwanaście godzin w lodowatym wichrze z wód arktycznych.

Zdrzemnąłem się. Obudziły mnie głośnie krzyki nad moją głową, powtórzone wzdłuż rufy. Dopiero później dowiedziałem się, że to ludzie, rozstawieni przez Mr. Pika wzdłuż pomostu podawali na rufę jego komendę — była to komenda położenia steru na burtę.

Oszołomiony snem, wiedziałem tylko, że coś się działo na okręcie. Wciągnąłem na gwałt parujące mitenki, porwałem się i po wirujących schodach, słysząc nad głową tupot nóg, które tym razem dudniły równo. W strażnicy usłyszałem głos Mr. Pika, dochodzący ze śródokręcia, gdyż nadbiegł on z dziobu i krzyczał:

— Do bezań-brasów! Luzuj, do wszystkich diabłów! Luzuj żywo! Ale zwój obłóż! Na rufę tu wszyscy! Żywo! Zwijaj się jeden z drugim, jeżeli nie chcecie pływać. Ciąg lewe brasy. A niech się wam nie wypsną! Podwietrzne brasy! — A puść mi tę linę, to ci łeb rozwalę! Żywo! Żywo! — Czy ten przeklęty ster położony! Co u diaska nie odpowiadasz?

Wszystko to usłyszałem, biegnąc ku drzwiom podwietrznej strony, zdziwiony, że nie słyszę głosu Samuraja. Mijając drzwi od strażnicy, zobaczyłem go. Siedział na kozetce, wciągając but na nogę, blady, jak śmierć i, przysiągłbym, ręce mu się trzęsły. Tyle tylko dostrzegłem w przelocie, w następnej zaś chwili już byłem na pokładzie. Z początku, wyleciawszy ze światła w ciemność, nic nie widziałem i słyszałem tylko ludzi u klubek i pierwszego oficera ryczącego i warczącego komendy. Ale zdawałem sobie sprawę, co się działo. Rękoma wyczerpanej załogi na końcowej fali przemijającego sztormu, mając grzmiący brzeg po podwietrznej, trzeba było dokonać zwrotu na przeciwny ciąg. Pod topslami i zrefowanym fok-żaglem trzymaliśmy się całą noc. Pierwszą rzeczą, którą Mr. Pike zrobił po położeniu steru na burtę było skantowanie rej bezańmasztu. W ten sposób wiatr nie uderzał w rufę, która łatwiej mogła wyjść pod wiatr podczas, gdy pod ciśnieniu wiatru na przednie żagle dziób się zwracał.

Ale potrzeba czasu na dokonanie zwrotu okrętem na wielkiej fali pod skróconymi żaglami. Powoli, bardzo powoli czułem zmianę kierunku wiatru na policzku. Księżyc, zamazany z początku, świecił jaśniej i jaśniej w miarę, jak ariergarda chmury odlatywała sprzed jego tarczy. Nadaremnie rozglądałem się, szukając lądu.

— Za brasy grotu! — wszyscy! — żywo! — ryknął Mr. Pike, pędząc sam na czele marynarzy z rufy na śródokręcie. I marynarze naprawdę pędzili. Ani razu w ciągu całej podróży nie byłem świadkiem, by wrywali tak szybko i sprężysto.

Skierowałem kroki do steru, u którego stał Tom Spink. Nie widział mnie. Jedną ręką trzymając bezczynne koło sterowe stał przechylony zupełnie na bok wpatrzony gdzieś w dal nieprzytomnymi oczyma. Poszedłem za kierunkiem jego wzroku, między strażnicą, i lewymi drablinami tylnego masztu, ponad spiętrzonymi górami wodnymi, lśniącymi bardzo mgliście w poświacie księżycowej. I wówczas zobaczyłem! Rufa Elsynory wleciała na fali i poprzez lodowaty ocean zobaczyłem ląd — czarne skały i śniegiem pokryte zbocza i żleby. A ku temu lądowi Elsynora, teraz prawie prosto pod wiatrem, mknęła.

Z platformy śródokręcia rozległy się ryki Mr. Pika i krzyki marynarzy. Ciągnęli i pchali, ile sił; w następnej chwili Mr. Pike sadył wielkimi krokami po rufie, a przed nim leciał jego ryk:

— Puść to koło tam! Na co się gawronisz? Wyrównaj ster, mówię ci! Nic więcej nie masz tam

do roboty!

Z dziobu doleciał mnie krzyk i zrozumiałem, że jest tam Mr. Mellaire i władza rejami foku.

— Teraz — grzmiał głos Mr. Pike. — Wybieraj szprychy! Więcej szprych! Równo! Równo! I gotuj się do hamowania!

Znowu uskoczył z rufy, wołając ludzi do brasów rej bezań-masztu. I ludzie się zjawili, niektórzy z jego wachty, inni z wachty drugiego oficera, pijani od snu — ludzie bez kurt, i bez kapturów, i bez butów; śmiertelni bladzi ze strachu, ale gotowi na każde skinienie człowieka, który wiedział jak i mógł uratować ich od śmierci, był u brasów i kok o rękach delikatnych, i Iatsua, żaglownik ciągnął co sił swą jedną zdrową ręką. Gała załoga stanęła do ratowania okrętu, wszyscy wiedzieli, że to kwestia życia lub śmierci. Nawet Sundry Buyers, który znalazł się na rufie, choć jego miejsce było na dziobie przy Mr. Mellaire, przestał gapić się i muskać brzuch. Naraz odmłodniał i zwijał się jak dwudziestoletni młodzieniec.

Księżyc ukrył się znów za chmurami. W ciemnościach Elsynora wypadła spod wiatru i przeszła na prawy ciąg. Okręt, żeglując tylko pod topsłami miał wiatr w pół burty, to znaczy pod prostym kątem do kierunku ruchu.

Mr. Pike był wspaniały, cudowny. Zdawał się wszechobecny. Wszędzie był, wszystko widział, wszystkim kierował. Podczas zwrotu Elsynory, kiedy przednie reje wciąż brasowano, dając baczenie jednocześnie na jej zachowanie i na ster, rzucając od czasu do czasu Tomowi Spinkowi komendy: — Jedną szprychę! Szprychę lub dwie! Jeszcze jedną! Równo! Trzymaj! Oddaj! — nakazał ludziom w omasztowaniu puścić bom-top-reje. Myślałem, że zwrotu już dokonano i jesteśmy ocaleni, ale podniesienie trzech górnych topsli zbiło mnie z tropu.

Księżyc wciąż krył się za chmurami i nic nie było widać po podwietrznej. W miarę, jak podnoszono żagiel po żaglu, Elsynora kładła się coraz bardziej. Dopiero wówczas odczułem, że mimo przejścia sztormu, wicher jeszcze dał silny. Czułem, jak pod dodatkowym ożagleniem Elsynora pruje wodę. Mr. Pike posłał Londyńczyka z Malty do pomocy Tomowi Spinkowi u steru. Sam zaś zajął stanowisko za tylną luką, skąd mógł objąć okiem pęd Elsynory, miał otwarte pole widzenia ku podwietrznej i widział sternika.

— Żegluj na wiatr! — brzmiała stale jego komenda. — Trzymaj na wiatr! — dobrze na wiatr i nie trać wiatru! Na wiatr! Jak najbliżej wiatru!

Nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi, choć, zmierzając na podwietrzną rufy, stałem u jego boku dobrą minutę, i miał sposobność odezwania się do mnie. Wiedział, że stoję przy nim, gdyż otarł się o mnie ramieniem, odwracając się przy porywie wiatru, by ostrzec sternika przed utraceniem wiatru. Nie miał czasu na uprzejmości w tak groźnej chwili.

Gdy dostałem się za osłonę strażnicy, księżyc zaczął wyglądać. Świecił coraz jaśniej i jaśniej i zobaczyłem ląd wprost po podwietrznej, nie dalej, niż o trzysta jardów. Widok był okrutny — czarne skały i śniegi, ścinające krew w żyłach, skały o zrębach tak prostopadłych, że Elsynora mogłaby przybić do nich i zatonać od strzaskania, biorąc wodę przez szczeliny w kadłubie, i pod ustawicznym taraniem przybijających do skał bałwanów.

Zrozumiałem, co za fatum nad nami zawisło. Trze- , ba było przebić się przeciwko wiatrowi, chcąc minąć brzeg i wyspy, ku którym zdryfowaliśmy. Falę i wiatr mieliśmy przeciwko sobie. Jedynym sposobem ucieczki było, rozwiniawszy całą szybkość, przemknąć, że się tak wyrażę, Hornowi przed samym nosem, minąć brzeg w pędzie, nie zawadziwszy się. Zaświtało mi to w głowie, gdy Mr. Pike ogromnymi susami sadził z rufy na dziób i usłyszałem, jak wrzeszczał do Mr. Mellaire, by podnieść wielki żagiel.

Najwidoczniej drugi oficer miał wątpliwości, bo zaraz potem Mr. Pike darł się:



— A wytrząsnąć refy! Ani chwili do stracenia! Cały grot-żagiel! Wszyscy do grot-żagla!

Różnicę znać było odrazu, gdy tylko ogromna płachta chwyciła wiatr. Elsynora skoczyła i zadygotała od siły nośnej tej płachty. Czułem, jak okręt wżera się w wiatr i jak pęd jego się zwiększył. Jednocześnie przy chybotach kładł się tak, że podwietrzna burta znikwała, a fale pienily się u samych luk. Mr. Pi-

ke obejmował całą Elsynorę sokolim wzrokiem i ani na chwilę nie spuszczał z oka Londyńczyka z Malty i Toma Spinka, w rękach których był ster.

— Łąd na podwietrznej w pół-dziobu! — nadleciał okrzyk wartownika na oku podany z ust do ust wzdłuż pomostu.

Dostrzegłem drwiące kiwnięcie głową Mr. Pika. Już wypatrzył ten brzeg z podwietrznej rufy, a czego nie dojrzał, to odgadnął. Ciągłe nastawiał policzek na wiatr, mierząc, znać, jego siłę i obserwując zachowanie się Elsynory. I wiedziałem, nad czym się zastanawia. Czy utrzyma rozpięte już żagle! Czy da się jeszcze co podnieść?

Nie dziw, że podczas tego alarmu zapomniałem o Samuraju. Drzwi strażnicy otworzyły się i schwyciłem go za rękę. Odzyskał równowagę i stanął za mną. Wybiegł wzrokiem ku ośnieżonym skałom i. nagim, okrutnym urwiskom, u których tryskały fontanny piany.

— Na wiatr! — ryczał Mr. Pike. — Steruj na wiatr, bo ci wyrwę serce! Niech cię lichy porwie, ty

psie podwórzowy, Tom Spink! Zwolna! Zwolna! Trzymaj koło! A nie trać wiatru! Równo! Gdzie u diabła starego uczyłeś się sterować? U jakiego pastucha byłeś na nauce!

Z tymi słowy puścił się ku przodowi, sadząc wielkimi susami.

— Byłoby dobrze podnieść górny bezań - topsel — usłyszałem słaby i jakby drżący głos Kapitana Westa.

— Mf. Pathurst, niech pan powie, proszę, Mr. Pikowi, by podniósł górny bezań-topsel.

W tejże samej chwili głos Mr. Pika rozebrzmiał od zrębu rufy:

— Mr. Mellaire! — górny bezań-topsel!

Głowa Kapitana Westa opadła, aż podbródek oparł się na piersi, i tak cicho mruknął, że musiałem nachylić się, aby go usłyszeć.

— Bardzo dobry oficer! — powiedział. — Doskonały oficer. Mr. Pathurst, byłbym panu bardzo wdzięczny, gdyby mi pan pomógł wejść z powrotem. Ja — ja nie wciągnąłem butów.

Pchnąłem drzwi i stałem chwilę z nogą. za progiem, by się nie zamykały przy chybotaniach i rozkołtychach okrętu. Gdy jednak pomogłem Samurajowi przejść wysoki próg, podziękował mi ruchem ręki za dalszą pomoc. I nawet wtedy nie wiedziałem, że jest umierający.

Nigdy jeszcze okręt Blackwoodów nie był tak forsowany, jak Elsynora w ciągu następnej pół godziny. Wszystkie górne żagle na przedzie zostały również podniesione, a gdy poszły w strzepy, sztakle fok-żagla zostały rozpięte. Nic nie mogło się ostać na platformie śródkręcia pod nieustannym szturmem fal. Mr. Mellaire z połową załogi trzymał się gdzieś na platformie śródkręcia, a reszta była z nami na rufie, gdzie nie rwały już tak fale. Nawet Charles Davis, przemoczony] do nitki i dygocący, wisiał u mosiężnego kółka, zastępującego kłamkę w drzwiach strażnicy.

Co za żeglowanie! . Pęd, rozruch szalony, gdyż Elsynora gnała ponad, poprzez i pod ogromnymi grzywaczami, które z pełnego morza przybijały z rozgrzmiotem. Od czasu do czasu, kiedy fala do spółki z wichrem kładła okręt, przysiągłbym, że końce dolnych rej grabiły po morzu.

Nasze szanse wylawierowania przeciwko wiatrowi przedstawiały się jak jeden do dziesięciu. Wszyscy wiedzieli, że nic nam nie pozostaje, tylko czekać. I czekaliśmy w milczeniu. Było słycać na

całym okręcie głos pierwszego oficera, klnącego bezustannie, grożącego i rzucającego rozkazy Tomowi Spinkowi i Londyńczykowi z Malty u steru. I ciągle mierzył natężenie wiatru, siłę jego porywów i wznosił oczy ku bom-top-reji. Jeszcze ten jeden żagiel chciał podnieść. Z dwadzieścia razy otwierał usta, by wydać rozkaz podniesienie szczytowego żagla i nie śmiał go wydać. I jak ja go nie spuszczałem z oka, tak wszyscy z oka go nie spuszczaali. Hartowny, ostry jak stal, opryskliwy i rykliwy jak tur ten wierny drużynnik naszej rasy był w owej chwili panem i władcą na okręcie. — Ale gdzież — myślałem — gdzież Samuraj ?

Jeden przeciw dziesięciu! Nie, jedną szansę na sto mieliśmy pędząc ku ostatniemu, krańcowemu zębowi skalnemu, który wrażał się w ocean i drogę nam zagradzał. Niemal ocieraliśmy się o skały, spodziewałem się każdej chwili, że opisujące straszny łuk reje naszych szczytowych żagli w zrąb uderzą. Nie byliśmy dalej, niż o długość wyciągniętego ramienia od tego bastionu ze skały litej, toteż, kiedy zapadaliśmy w wodny parów, przysięgłbym, że wszyscy bez wyjątku na okręcie z zapartym oddechem na fatalne uderzenie czekali.

A minęliśmy skałę szczęśliwie. I jak gdyby w porywie wściekłości z powodu naszej ucieczki, burza wybrała ten moment, aby nam zadać cios najsilniejszy ze wszystkich. Pierwszy oficer zorientował się, że idzie wał olbrzymi, gdyż skoczył do steru, nim ten wał wodny zdążył runąć. Spojrzałem wzdłuż okrętu i zobaczyłem cały dziób zakryty górą wodną, która się po tym wstrząsie ukazała z pokładem wypełnionym wodą. od burty do burty. Nagły poryw wiatru wykręcił żagle, zatoczył okrętem, aż nagromadzone wody stoczyły się z pokładów, na kształt lawiny.

Wzdłuż pomostu nadleciał podawany z ust do ust okrzyk: — Człowiek w morzu!

Spojrzałem na pierwszego oficera, który oddawał właśnie koło sterowe sternikowi. Potrząsnął głową jak zirytowany wydarzeniem tak trywialnym, wyszedł zza osłony sternicy i patrzył na brzeg, któremu uszedł, brzeg cały czarny od skał i biały od śniegu w świetle księżycowym.

Mr. Mellaire wszedł na rufę i obaj oficerowie spotkali się poza mną po podwietrznej stronie strażnicy.

— Nie zwolni pan nikogo, Mr. Mellaire — rozkazał pierwszy oficer — i najpierw ściągnijcie grotżagiel. Potem górny bezań-żagiel.

— Tak, sir — odpowiedział drugi oficer.

— A kogo zniosło — spytał jeszcze Mr. Pike, gdy Mr. Mellaire odwracał się, by odejść.

— Boney i tak był do niczego — brzmiała odpowiedź.

Oto cała mowa pogrzebowa. Boney Patyk znikł z horyzontu. W tejże chwili został zapomniany. Na rozkaz Mr. Mellaire załoga przystąpiła do ściągnięcia grot-żagla, ale wicher, który się wzmógł właśnie, prędzej spełnił ten rozkaz. Wyrwał płachtę z ref-sejzingów i w następnej chwili trzepotało się tylko parę postrzępionych skrawków żagla.

— Za górny bezań-topsel! — zakomenderował Mr. Pike.

Wówczas dopiero przypomniał sobie o moim istnieniu.

— Nareszcie pozbyliśmy się tego grotu — zawarczał. — Nigdy nie siedział, jak należy. Zawsze świerbiła mnie ręka na żaglownika, który go zrobił.

Schodząc na dół zajrzałem znowu do strażnicy. Samuraj leżał na podłodze strażnicy, przewracając się bezwładnie za każdym chybotem Elsynory.

# ROZDZIAŁ XXXIX

Jest tyle do napisania o wszystkim naraz. Ale przede wszystkim o Kapitanie West. Śmierć jego nie przyszła zupełnie nieoczekiwanie. Margaryta powiedziała mi, że obawiała się o ojca od samego początku podróży — a nawet przedtem. Obawy te skłoniły ją do raptownej zmiany wszystkich planów i do towarzyszenia mu w podróży.

Co się właściwie stało nie wiemy, lecz zgadzamy się wszyscy, że umarł na pewnego rodzaju atak sercowy. A z drugiej strony, czyż po ataku nie wyszedł na pokład? Albo czy mógł po pierwszym ataku nastąpić drugi, który spowodował śmierć już potem, kiedy mu dopomogłem przejść przez drzwi strażnicy? A jeżeliby nawet tak było, to nie słyszałem nigdy o ataku, poprzedzonym o całe godziny przez osłabienie władz umysłowych. Kapitan West zdawał się w pełni władz umysłowych popołudniu dnia tego, gdy kazał przeprowadzić *Elsynorę* na przeciwny ciąg i rozpoczął dryf na podwietrzną, ku brzegowi. A w takim razie popełnił błąd. Samuraj popełnił błąd i serce jego nie wytrzymało, gdy zdał sobie sprawę z popełnienia błędu. W każdym razie myśl o pomyłce ojca nie powstała ani chwili w głowie Margaryty. Uznała ona za rzecz dowiedzioną, że tak się skończyła długotrwała jego choroba. I nikt z nas nie myśli ją rozczarowywać. Ani Mr. Pike, ani Mr. Mellaire, ani ja w rozmowach między sobą nigdy nie napomykamy o tym, co o mały włos spowodowałyby katastrofę. Mr. Pike nie mówi o tym wszystkim zupełnie. W południe dnia, w którym wyrwaliśmy się szczęśliwie ze szpon *Tierra Del Fuego*, *Elsynora* zataczała się wśród ciszy morskiej, która przetrwała całe popołudnie, trzymając okręt w pobliżu brzegu. Pogrzeb Kapitana Westa odbył się o czwartej, a z uderzeniem ósmego dzwonu wieczorem tegoż dnia Mr. Pike objął dowództwo i przy tej sposobności wygłosił krótkie przemówienie do całej załogi. Były to lapidarne uwagi, którymi, jak sam się potem wyraził, „dopiekł im do żywego”. Między innymi przyjemnymi rzeczami powiedział marynarzom, że mają teraz innego kapitana i że będą musieli związać się pod jego rozkazami, jak należy. Dotąd *Elsynora* była pływającym hotelem i żyli sobie na niej, jak u Pana Boga za piecem, ale teraz będą musieli harować.

— Na tym zatraconym pudle od tej chwili — perorował — będzie jak za dawnych czasów, kiedy to każdy związał się ostatniego dnia podróży, jak pierwszego dnia. I niech Bogu poleci ducha, kto się nie będzie związał. Zakonotujcie to sobie. Zmienić sternika i wartownika na oku.

Jednakże ludzie są w okropnym stanie. Nie pojmuję, jak mogą oni się związać. Jeszcze tydzień trzymały się zachodnie sztormy z krótkimi przerwami cisz tak, że opłynięcie *Hornu* zajęło nam sześć tygodni wszystkiego. Duch oporu zdaje się być złamany w marynarzach, nawet bosmanmacy na pozór pogodzili się z losem, tak dalece podupadli na siłach. Drżą przed Mr. Pikiem i zdają się wyłazić ze skóry, kiedy ich gania, a gania ich bez chwili wytchnienia. Mr. Mellaire trzęsie na to głową.

— Niech pan poczeka, gdy zostawimy sztormy za sobą i dostaniemy się w pomyślniejsze szerokości — powiedział wczoraj popołudniu, wprawiając mnie w zdumienie tymi słowy. — Niech pan poczeka, aż obeschną, wypoczną, wyśpią się i wyleczą z wyrzutów od wody morskiej. Bo kiedy nabiorą znów ciała i krew znów zacznie żywiej krążyć w ich żyłach — nie dadzą się tak ganiać bez miłosierdzia. Mr. Pike nie zdaje sobie sprawy, że czasy się zmieniły, sir, i prawa się zmieniły i ludzie zmienili. Mr. Pike jest człowiekiem starego autoramentu. Na wiatr tych słów nie mówię.

— Czy pan przez to rozumie, że pan słuchał co ludzie między sobą mówią? — odezwałem się wyzywająco, nie mogąc opanować rozdrażnienia na myśl o niezgodnym z etyką oficerską postępowaniu tego oficera.

Trafiłem, snadź, w sedno, bo świetlista przesłona uprzejmości znikła w oka mgnieniu z jego oczu i czająca się za nimi, ukryta w głębi czaszki groźna bestia zdawała się przysiąść do skoku i rzucać na mnie podczas, gdy cienkie, okrutne usta stały się jeszcze cieńsze i pkrutniejsze. Oczyma wyobraźni zobaczyłem, jak mózg w tej jego rozłupanej czaszce pulsuje wściekle i nieprzytomnie pod cienką warstwą skóry, pokrywającej okropną szczelinę. W następnej chwili się opanował, blizna ust się skurczyła i świetlista przesłona pokryła jego oczy.

— Mówię tylko to, sir — powiedział spokojnie — czego mnie nauczyła długoletnia styczność z marynarzami. Czasy się zmieniły. Czasy żelaznej dyscypliny minęły. I mam nadzieję, że pan, Mr. Pathurst, nie będzie sobie moich słów tłumaczył opacznie.

Choć rozmowa zboczyła na inne, spokojniejsze tory, nie mogłem zapomnieć, że nie zapał się słuchania, co ludzie mówią. A mimo to nawet Mr. Pike niechętnie, coprawda, ale mu przyznaje, że jest dobrym żeglarzem i dobrym drugim oficerem, mimo poniżającej zażyłości z kasztelem, zażyłości, którą nawet Chińczycy, kok i stiuard, uważają za sprzeczną z obyczajem okrętowym i za, rzecz w skutkach swych zgubną.

Choć nawet tacy ludzie, jak bosmanmacy od ustawicznego międlenia w tym diabelskim młynie Elsynory stracili ochotę do walki z Mr. Pikiem, pozostaje trzech innych jeszcze w, kasztelu, trzech najśłabszych fizycznie ludzi, którzy ani myślą umierać i są równie żwawi, jak za najlepszych czasów. Zamieszkują w tych nędznych ciałach jakieś piekielne, wyposażone nieludzką żywotnością duchy. Charles Davis już dawno powinienby był pójść za burtę z worem węgla u nogi. A Mulligan Jacobs i Andy Fay podobni są raczej do widm, niż do ludzi. Fakt pozostaje faktem, że wszyscy, których wyrzucono za burtę, o wiele byli od nich silniejsi i daleko tężsi. *Zalegają* obecnie w nawilgłych kojach kasztelu. Żywotnością swą ludzie ci mogą się porównać tylko z kurami, wegetującymi w okropnych warunkach na platformie śródokręcia. Bezpióre te ptaki mokną w ustawicznej kąpieli w lodowatych falach, które samym swym ciężarem przebijają się przez osłony z brezentu, ani jedna zaś z kur nie zdechła.

I trzej rozbitkowie, Cyganie z Hornu o świecących topazowych oczach nie wyglądają na złamanych na ciele i duchu. Pracując w zupełnym odosobnieniu z powodu zabobonnego przed nimi strachu załogi, są oni zawsze pierwsi w każdym karkołomnym przedsięwzięciu. Przeszli do wachty Mr. Mellaire. Pracują dzielnie. A gdy nic nie mają do roboty, stoją jeden przy drugim, ramię przy ramieniu i kołyszają się unisono w takt rozruchu okrętu i zdają się śnić na jawie, tyle zadumy odbija się w ich bladych topazowych oczach.

Ale reszta załogi! Zmiłuj się Boże! Weźmy Londyńczyka z Malty. Został z niego cień człowieka. Policzki mu zapadły, ciemne kręgi ma pod oczami, które uciekły głęboko w oczodoły i palą się tam ustawicznie okrutnym febrycznym blaskiem. Tom Spink, marynarz anglosaskiego niezaprzeczenie pochodzenia, doskonały marynarz, czego dowiódł przy niejednej okazji, zupełnie upadł na duchu. Wciąż spełnia swoją, robotę, ale utracił wszelką dumę i poczucie wstydu.

— Nigdy już nie zaciągnę się więcej na okręt, wyruszający dokoła Hornu, sir — przemówił, gdy tłukąc się po okręcie, podeszłem do niego, do steru. — Przysięgałem się już na to przed tym ale tym razem dotrzymam. Nigdy więcej. Nigdy.

— A dlaczego poprzysięgliście to sobie już przed tym? — spytałem.

— Było to na Nahoma przed czterema laty. Dwieście trzydzieści dni trwała ta podróż z Liverpoolu do Frisco. Niech pan sobie wystawi, sir. Dwieście trzydzieści dni! A mieliśmy ładunek cementu i kreozotu i kreozot się wylał. Pogrzebaliśmy kapitana tu właśnie poza Hornem. Prowiant wyszedł. Większa połowa nas pomarła na szkorbut. Po przybyciu do San Francisco wszyscy bez wyjątku zostaliśmy wzięci do szpitala. Było to czyste piekło, sir, i dwieście trzydzieści dni takiego

piekła!

— A jednak znaleźliście się tu znowu — zaśmiałem się. — Zaciągnęliście się na nową podróż dokoła Hornu.

Nic mi wtedy nie odpowiedział. A dziś rano zwierzył mi się:

— Jaka szkoda, że nie straciliśmy cieśli, sir, zamiast Boney.

W pierwszej chwili nie rozumiałem, do czego pije. Potem dopiero mi się przypomniało. Cieśla to był czarownik Fin, Jonah, wilkołak, który ściągał burze.

# ROZDZIAŁ XL

Znowu zabobon okrętowy znalazł sobie potwierdzenie. Odtąd ci głupcy z kasztelu będą święcie wierzyli, że Finlandczycy to czarownicy. Jesteśmy na zachód od Diego de Ramirez Rocks i mkniemy na zachód z szybkością dwunastu węzłów, pchani przez wicher wschodni. A cieśla zginął. Wraz ze zniknięciem cieśli z okrętu przyszedł wschodni wiatr. I oba te fakty zbiegły się.

Wczoraj rano, gdy Wada pomagał mi przy ubieraniu się, uderzył mnie uroczysty wyraz jego twarzy. Trząśł głową złowróźnie, nim usta otworzył. Cieśli nigdzie nie można było znaleźć. Przeszukano okręt od kilu po szczyty masztów. Cieśli ani śladu.

— Co o tym myśli stiuard? — spytałem. — Co myśli Louis? — i Yatsuda?

— Marynarze zabić cieśla na pewno, sir — brzmiała odpowiedź. — Bardzo zła ta okręt. Ludzie mieć zła serca. Sama tylko świnia, sama tylko pies.. Cała czas tylko zabijać. Z czasem wszystkich zabić. Pan widzi.

Stary stiuard, którego zastałem przy pracy w kredensie, wyszczerzył zęby, gdy wspomniałem o cieśli.

— Oni robić ze mnie durnia, ja im dać — mówił zawzięcie. — Oni może mnie zabić, trudno; ale i ja zabić kilka.

Odrzucił połę długiej marynarskiej kurty i zobaczyłem, że przywiązany ma u boku w pochwie z płótna ciężki nóż, jaki używają rzeźnicy, tak umieszczony, by go łatwo było dobyć. Wyciągnął nóż — miał całe dwie stopy długości — i aby pokazać mi jak jest wyostrzony, pociął nim kawałek gazety na wąskie wstążeczki.

— Phu! — zaśmiał się drwiąco. — Moja być chińska małpa, przekłeta idiota, he? — nic dobrego, he? Dostyc oni robić ze mnie durnia.

A jednak nie ma żadnych poszlak. Nikt nie wie, co się stało z cieślą. Jak kamień w wodę. Żadnych śladów. Noc była spokojna i padał śnieg. Fale nie wpadały na pokład. Nie ulega wątpliwości, że ten ciężki, niezgrabny, wielkostopy olbrzym nie żyje. Zachodzi pytanie, czy sam z własnej woli rzucił się w morze, czy też go zabili?

O ósmej Mr. Pike przystąpił do indagowania wacht. Stał u zrębu rufy, na wysokim miejscu, oparty na balustradzie i patrzył na marynarzy, zebranych u jego stóp na głównym pokładzie.

Jednego po drugim wypytywał i każdy z marynarzy odpowiadał jednakowo. Nic nie wiedział, wiedział tyle, co i my — przynajmniej tak utrzymywał. — Więc to ja zdusiłem tego dryblasa jak szczenię i wyrzuciłem go za burtę własnymi rękami — odwarknął w odpowiedzi Mulligan Jacobs. — Ani chybi to moja robota, przecie jestem taki wielki i mocny jak słoń.

Twarz Mr. Pike się skurczyła, ale puścił wyzywającą odpowiedź mimo uszu i przeszedł do indagowania Johna Hackeya, włóczęgi z San-Francisco.

Była to scena niezapomniana — pierwszy oficer na wysokim miejscu, marynarze ponurzy i milkliwi na dole u jego stóp. Drobniutki śnieg prószył. Śnieg spadał pionowo przez zastygłe powietrze. Żagle targały się z głuchym trzaskiem, gdy okręt zjeżdżał i wjeżdżał na wielkich gładkich falach, których długie języki ze spazmatycznym siorbaniem lizwały otwory odpływowe. I wszyscy marynarze z rękami w mitenkach, z butami, owiniętymi w łachmany, z twarzami umrzyków chybotali się w tempie chybotów i rozkołychów okrętu. A trio śniących na jawie przybyszów kołysało się wraz z innymi, a w topazowych ich oczach nie błysła ani iskierka zainteresowania.

A potem nadleciał wiatr — tchnienie wschodniego wiatru. Mr. Pike poczuł go pierwszy.

Widziałem jak rzucił głową i nastawił policzek na niewyczuwalny niemal ciąg powietrza. Wówczas i ja poczułem wiatr. Jeszcze z minutę poczekał, aby się upewnić, po czym zapominając o zamordowanym cieśli, wyrzucił potok komend. I ludzie skoczyli, aby je spełnić, chociaż z braku sił drapali się na maszty powoli i z mozołem. I ledwie rabandy odwiązano z bramslu, już część załogi naciągała żagle, a część puszczała reje.

W miarę jak praca postępowała naprzód i w miarę jak przebrasowywano reje, Elsynora z dziobem zwróconym na zachód, zaczęła pruć wodę pod pierwszym pomyślnym wiatrem od sześciu tygodni.

Powoli słaby powiew zamienił się w lekką morkę, proszącą śniegiem. Barometr, który, spadł na 28.80, nie przestawał spadać w dalszym ciągu, a morka nie przestawała się wzmacniać. Tom Spink, śpiesząc do brasów bezań-masztu rzucił mi triumfujące spojrzenie. Zabobon zwyciężył. Znajdował potwierdzenie w faktach. Ledwie cieśla znalazł się za burtą, pomyślny wiatr zawiął. Wilkołak przestał zaklinać wiatry.

Mr. Pike mierzył rufę wielkimi krokami, zacierał ręce, na które zapomniał włożyć mitenek, śmiał się do siebie, rzucał znaczące spojrzenia na wydęte żagle, ukradkiem spoglądał na rufę w wir śnieżycy, skąd wiał pomyślny wiatr. Zatrzymał się nawet przy mnie, by pogawędzić o francuskich restauracjach w San Francisco, które, pono, słynęły ze sposobu pieczenia dzikich gęsi na kalifornijski sposób.

— Trzeba je przypiekać na wolnym ogniu — paplał niefrasobliwie. — Oto przepis — przypiekać na wolnym ogniu — przez szesnaście minut — choć ja trzymam je na ogniu tylko czternaście minut, co do sekundy — a potem je dobrze wycisnąć.

W południe śnieg przestał padać i gnaliśmy pod silnym wiatrem ze znaczną szybkością. O trzeciej po południu wicher był jeszcze mocniejszy. Pruliśmy szaloną krzyżową falę, bo naganiana wichrem fala ze wschodu zderzała się ze śladem Wielkiego Zachodniego Dryfu, ciągnącym za sobą wody z południo-zachodu.

Zdobywajcie przybliżenie zachodnie! O teraz je zdobywaliśmy jak nigdy wśród zwięzających się do bieguna południków, gdzie jedna mila liczy się za dwie, a Mr. Pike, patrząc na gnące się jak trzciny reje szczytowe przysięgał, że raczej da im się połamać, niżli ściągnie choć jeden żagiel. Ba, mało tego. Rozpiął ogromny prosty bezań-żagiel, jak gdyby niebu i morzu chciał rzucić wyzwanie.

Po prostu nie mógł zejść z pokładu. Stał obie wachty, za siebie i za drugiego oficera i mierzył rufę nieustannie tak sprężystym krokiem, jakby mu lat ubyło. Margaryta i ja byliśmy w strażnicy, kiedy z okrzykiem triumfu oznajmił, że barometr jest na 28.55 i spada. A potem na rufie dał nam prawdziwe przedstawienie, gdy przelatywaliśmy obok lawirującego na wschód stateczku. Przemknęliśmy niemal burta w burtę. Mr. Pike wskoczył na burtę i z drabin tylnego masztu żegnał okapturzonych marynarzy widocznych na rufie żaglowca szyderczym machaniem ręki.

Przez noc czarną, choć oko wykol, gnaliśmy w dalszym ciągu. Załoga była w śmiertelnym strachu. Po raz pierwszy stiuard był niespokojny i chmurny.

— Za dużo — powiedział mi złowrogo trzęsąc głową. — Za dużo żagiel, źle, wszystko polecieć do diabła. Jedna chwila i być może koniec. Pan wie.

Była to noc straszna zarazem i wspianiała. Spać było niepodobieństwem; ja przynajmniej zamknąć nie mogłem oczu. W kajucie zrobiło się okrutnie zimno. Przy tym dzikim pędzie coś się popsło w wielkim piecu kajuty i stiuard był zmuszony zgasić ogień. Więc mieliśmy próbkę tego, co znosić musieli ludzie w kasztelu z tą różnicą, że w kajucie było sucho. Piecyki naftowe paliły się, ale tak je czuć było, że wolałem zimno.

Żeglować w przystani na przeładowanym żaglami jachcie, to ryzyko, łechcące mile ambicję

sportowca. Ale żeglować w ten sam sposób na wielkim okręcie dokoła Hornu to rzecz nie praktykowana zgoła i zdejmująca grozą. Wielkiego Zachodniego Wichru Dryf, uderzając z ukosa w kolumnę wschodniego sztormu, wzbijał potworną, piramidalną falę. Po dwóch marynarzy co pół godziny zmieniało się u sterowego koła i na lodowatym wicherze twarze ich ociekały potem na długo, nim nadeszła zmiana.

Mr. Pike co innego. Wytrzymałość jego jest zdumiewająca. Nie schodził i nie schodzi wciąż z rufy. — Już straciłem nadzieję, aby tak żeglować kiedykolwiek w życiu — powiedział do mnie o północy, gdy przelatywały straszne porywy wicheru i byliśmy przygotowani, że lada chwila usłyszymy trzask pękających i lecących na pokład szczytowych rej. — Myślałem, że nigdy już nie będę żeglował jak żeglowałem. Ale nie. To jest żegluga! To jest żegluga!

— Boże! Boże! Byłem trzecim oficerem na Wampirze, gdy jeszcze pana na świecie nie było. Pięćdziesięciu sześciu ludzi załogi, a najgorszy z nich był jeszcze prawdziwym, na prawdę wykwalifikowanym marynarzem. A przy tym było ośmiu chłopców okrętowych i bosmani byli, bosmani jak się patrzy, i żaglownicy, i stuardzi, i pasażerowie, aby zawadzać na pokładzie. Trzech nas, oficerów i Kapitan Brown, kapitan — dziwo. Nie ważył stu funtów, a jak nas ganiał, jak on nas ganiał i od niego nauczyliśmy się ganiać ludzi. Od pierwszej chwil podróży wszystko na Wampirze poszło do góry nogami, każdy kufer, każda komoda wywaliła całą swą zawartość. W powietrzu latały tylko ćwieki żagielne, butelki whisky, klubki i co tylko było na okręcie. Tak a Wampir miał wszystkiego osiemset ton. Elsynora mogłaby go unieść na pokładzie. Ale to był okręt i byli na nim ludzie.

Margaryta, choć spać nie może, nie skarży się na tę szaloną żeglugę, jednak Mr. Mellaire zdradza niepokój.

— To mi się nie podoba — zwierzył mi się. — Nie można w ten sposób forsować frachtowca. Inna rzecz zrównoważony jacht, a inna węglownik. Byłem na okrętach, żeglujących w ten sposób, ale były to do szalonej żeglugi zbudowane okręty. Nasze górne pnie masztów nie wytrzymają. Powiem panu szczerze, Mr. Pathurst, że podniesienie tego prostego bezań-żagla to prawdziwe przestępstwo. Ten żagiel ma zupełnie inny cel. Zapomocą niego wykręca się okrętem. I jeżeli zdarzy się kiedykolwiek na dwie sekundy, że Elsynora wypadnie z kursu i zatoczy się...

— To co? — spytałem, a właściwie ryknąłem, gdyż musieliśmy sobie ryczeć do ucha, aby się słyszeć.

Wzruszył ramionami w wymowny sposób i choć wargi jego się nie poruszyły, wiedziałem, co przez to chce powiedzieć — koniec.

O ósmej rano wdrapałem się z Margarytą na rufę. I zastaliśmy tam znów Mr. Pika. Nie opuścił pokładu ani na chwilę w ciągu całej nocy. Wyglądał doskonale, nie znać było trudów na tym człowieku ze stali. Zatarł ręce i obdarzył nas perłą ze skarbnicy swych wspomnień.

— W 51 roku na tym samym szlaku, Miss West, Latająca chmura w dwadzieścia cztery godziny zrobiła trzysta siedemdziesiąt cztery mile pod górnymi topsłami. Pobiła rekord zarówno dla porawców, jak dla żeglowców.

— A ile my robimy przeciętnie, Mr. Pike? — spytała Margaryta, patrząc na górny pokład, który to jedną, to drugą burtą zagrzebywał się ustawicznie w bałwany, nabierał wody i uwalniał się od tego brzemienia dopiero przy następnym chybocie. Prawie ciągle stał pod wodą.

— Trzyście węzłów, średnio licząc, od piątej po południu wczorajszego dnia — triumfował. — Podczas szkwałów robimy nawet szesnaście, a jest to fenomenalne dla Elsynory.

— Zdjęłabym ten bezań-żagiel, gdybym nią dowodziła — zganiła Margaryta.

— I ja zdjąłbym go, Miss West, niezawodnie — odparł — gdybyśmy nie tłukli się dokoła Hornu



od całych sześciu tygodni.

Wzniosła oczy ku szczytom masztów. Ponad rejami z wydrążonej stali drewniane top-reje przy porywach wiatru wyginały się, jak łuki w ręku niewidzialnego łucznika.

Załoga nie miała śniadania. Trzykrotnie fale zalały kambuz. Marynarze w zalanym kasztelu przekąsili suchymi sucharami i suchym pekelflejszem z koniny. W kajucie stiuard sparzył się dwa razy, nim udało mu się zagotować kawę na piecyku naftowym.

W południe ukazał się przed nami szkuner żeglujący w tym samym, co i my kierunku pod niższymi topslami i jednym górnym. Z niesztormowych żagli niósł tylko fok-żagiel.

— I nie wstyd temu szyprowi — Mr. Pike szydził. — Powinien być ostrożniejszy i pamiętać o Bogu, właścicielach, armatorach i Ministerstwie Przemysłu.

Z taką mknęliśmy szybkością, że niemal w okamgnieniu porównaliśmy się ze szkunerem i już go mijaliśmy: Mr. Pike zachowywał się jak sztubak, wypuszczony ze szkoły. Zmienił kurs tak, że byliśmy tylko o sto jardów od szkuńca. Piękny przedstawiał widok, ale szybkość nasza była tak wielka, że zdawał się stać w miejscu. Mr. Pike wskoczył w drabiny i żeglarzom, stojącym na rufie szkunera pokazywał koniec liny, co oznaczało, że gotów ich holować.

Piszę to o północy. Spać nie mogę. Ołówek ślizga mi się i skacze po papierze. I, przysięgam więcej nie wezmę ,go do ręki, póki ten wichur sztorowy nie przestanie dąć, albo nas na dno nie zadmie.

# ROZDZIAŁ XLI

Dnie mijały za dniami, a sztorm dął. I piszę podczas, gdy Elsynora wlatuje, zjeżdża, miota się i skacze po wspaniałym, zasnutym welonami piany morzu. Złamałem słowo, ale mam po temu ważne powody. Pierwszy i bliższy to fakt, że dziś mieliśmy prawdziwy wschód słońca. Szary dotąd ocean smużył się niebiesko, a kłęby chmur ubarwiało karminem prawdziwe, tak długo niewidziane słońce.

Ale drugi i wcześniejszy powód, usprawiedliwiający moją niesłowność, to — że okrążyliśmy Horn! Jesteśmy poza 50° na Pacyfiku pod długością 80° 49, mamy Cape Pillar i Cieśninę Magellana na południo-wschodzie, a żeglujemy kursem Północna Północ ku Wschodowi. Okrążyliśmy Horn! — to wystarczy. Zrozumie to, kto tam bywał, kto się, jak my przebił, ze wschodu na zachód przeciw Wielkiemu Zachodniemu Wiatrowi. Nareszcie ! Horn to już dla nas wspomnienie. Nie, żaden wiatr niepomyślny nie zdoła nas już zdąć z powrotem. Nie było jeszcze wypadku, by jakikolwiek okręt z poza 50° zdęło ku Hornowi. Seattle, cel naszej podróży, nagle wydaje się bardzo bliskie.

Cała załoga czuje się lepiej. Wszyscy poweseleli, prócz Margaryty. Jest spokojna, ale łagodniejsza, bardziej kobieca. Nie rozpacza. Margaryta jest prawdziwą, kobietą, szukającą oparcia w ramionach mężczyzny. Ja zaś czuję się prawdziwym mężczyzną od czasu, gdy puściłem kantem wszystkie książki i dałem się opanować uczuciu i dbam tylko o Margarytę i aby być przez nią kochany.

Wracając do załogi, spostrzegam jak z każdym dniem, w miarę poprawy pogody, zmniejszenia się niebezpieczeństwa i lżejszej pracy ludzie nabierają ducha. Otucha wstępuje w nich wobec perspektywy balsamicznego południowo - wschodniego mussonu. Temperatura wciąż się podnosi i jest już na tyle umiarkowana, że marynarze zaczynają zrzucać z siebie nadmiar odzieży i nie obwiązują sobie już butów workami. W nocy na własne uszy słyszałem, jak któryś z nich śpiewał. Stiuard przestał nosić u boku ów ogromny nóż do siekania mięsa. Wyraz twarzy Wady jest mniej uroczysty, a Louis bardziej uśmiechnięty. Mulligan Jacobs. i Andy Fay, oczywiście, nie przestali być jadowitymi skorpionami. Trzech bosmanmatów znowu rej wodzi w kasztelu, stoi na czele buntowniczej klikki i tyranizuje słabszych. Charles Da-vis zdaje się wydobywać z cieniów śmierci, która wisiała nad nim podczas przeprawy dokoła Hornu i której widmo, rzekłbyś, odegnał, choć jakim cudem, Bóg raczy wiedzieć. Co. zaś do Mr. Pika ma się on najlepiej na okręcie. Wspaniała, szalona żegluga posłużyła mu doskonale. Odmłodniał. Na samo jej wspomnienie zaciera ręce i rozpromienia się.

— Phu! — rzekł do mnie, gdy rozmawialiśmy o załodze. — Dałem im próbkę, jak się żeglowało za dawnych dobrych czasów. Nigdy nie zapomną, tego pudła — przynajmniej ci z nich, którzy nie pójdą za burzę, nim wpłyniemy do portu.

— Przypuszcza pan, że będziemy mieli jeszcze więcej pogrzebów.

Spojrzał mi wprost w oczy,

— Ba! — odparł, wykręcając na pięcie. — Piekło się jeszcze nie rozpętało na tym diabelskim pudle.

W dalszym ciągu stoi swą dawniejszą wachtę pierwszego oficera, gdyż święcie jest przekonany, że nie ma na statku marynarza, któremu mógłby powierzyć funkcję drugiego oficera. Zajmuje również swe dawne pomieszczenie, może przez delikatność względem Margaryty, gdyż wiem na pewno, że po śmierci kapitana pierwszy oficer, wedle okrętowego obyczaju, wprowadza się do kapitańskiego pomieszczenia.

Mr. Mellaire miał rację, kiedy mówił, że w pomyślniejszych szerokościach ludzie nie pozwolą się tak ganiać, jak dotychczas. I Mr. Pike miał rację, mówiąc, że piekło jeszcze się nie rozpętało na tym diabelskim statku. A jednak marynarze nie przyczynili się do wybuchu. Przyczynił się Mr. Mellaire...

Dwa tygodnie temu minęliśmy 50° szerokości południowej i jesteśmy pod 37° — a więc na szerokości San Francisco, a właściwie równie daleko od równika na południe, jak San Francisco jest na północ. Katastrofa nastąpiła wczoraj rano zaraz po dziewiątej. Zaczęło się od paniki Possuma, a skończyło się na wybuchu buntu załogi na pełnym morzu. Była to wachta Mr. Mellaire, który stał na pomoście pod samym bezań-masztem, wydając rozkazy Sundry Buyersowi, który z Arturem Deaconem i Londyńczykiem z Malty mieli wykonać jakąś robotę w olinowaniu.

Proszę sobie wystawić sytuację w całej jej groteskowości. Mr. Pike z termometrem w rękę wracał wzdłuż pomostu z dziobu, gdyż mierzył temperaturę węgla w przedniej luce. Ditman Olansen ze zwojem liny na ramieniu, u której końca wisiał blok z wążkim hakiem, drapał się na gniazdo bezań-masztu. Possum kręcił się dokoła kojca z kurami. Z powodu łagodniejszego klimatu pokrywa z brezentu była z kojca zdjęta już od kilku dni.

Stałem u zrębu rufy, oparty na balustradzie, i przyglądałem się, jak Ditman Olansen pakował się na gniazdo z kłopotliwym brzemieniem. Mr. Pike, idąc na rufę mijał właśnie Mr. Mellaire. Possum, który od wielu tygodni nie widział kur, zasłoniętych brezentem, swym spiczastym nosem węszył dokoła kojca. I ostry, szybki dziób kury mignął i trafił w czuły nos szczeniaka.

Possum doskoczył do kojca, jak oparzony, szczekając przeraźliwie. Tym szczekaniem zwrócił uwagę Ditmana Olansena, który zawisł w olinowaniu i wyciągnął szyję, by zobaczyć, co się dzieje, i przez tę chwilę nieuwagi blok czepny na linie, która się wywinęła, spadł w dół. Obaj oficerowie uskoczyli z pod gniazda. Blok z liną wyprysnął i zawahał się w powietrzu nakształt żmiji i, choć sam blok nie ugodził Mr. Mellaire, lina zrzuciła, mu czapkę z głowy.

Mr. Pike, który zaczął wyklinać marynarza i wzniósł przy tym oczy ku gniazdu, nagle spostrzegł straszną szczelinę w czaszce Mr. Mellaire. Widniała oto w całej swej ohydzie, a dwaj jedyni ludzie na okręcie, którzy rozumieli jej znaczenie, Mr. Pike i ja, zrzędzeniem losu znaleźli się przy nim. Rzadkie włosy na ciemieniu drugiego oficera nie zakrywały jej bynajmniej. Zaczynała się w gęstszych włosach u uszu i biegła poprzez całą kopułę czaszki.

Potok przekleństw, przeznaczonych dla Ditmana Olansena, zastygł Mr. Pikowi w krtani. Był jak porażony widokiem tej ogromnej szczeliny w czaszce, znikającej po obu końcach w szpakowatych włosach. Był nieprzytomny, był w transie, ogromne jego pięści zaciskały się i kurczyły podświadomie, gdy tak patrzył na znak, po którym miał poznać mordercę Kapitana Somersa. I w owej fatalnej chwili przypomniałem sobie, jak obiecywał wbić palce w tę szczelinę śmierci.

Zupełnie jak we śnie, poruszając się powoli z prawą ręką wyciągniętą i zakrzywionymi palcami zbliżał się do drugiego oficera, jakby miał swą okropną groźbę wykonać, wbić palce w szczelinę jego czaszki, przebić i rozerwać mózg, który pulsował pod cienką osłoną skóry.

Drugi oficer cofał się po pomoście przed Mr. Pikiem, zdającym się częściowo przychodzić do siebie. Wyciągniętą rękę opuścił i zatrzymał się.

— Znam cię — rzekł nienaturalnym, drżącym głosem, któremu namiętność i podeszły wiek odjęły nagle całą wyrazistość. — Osiemnaście lat temu poza Plate byłeś na Cyros Thompson. Stracił maszty i zatonął. Byłeś w jedynej łodzi, która się uratowała. Jedenaście lat temu na Jason Harrison Kapitan Somers został pobity na śmierć przez swego drugiego oficera. Ten drugi oficer był rozbitkiem, ocalałym z Cyrus Thompson. Ten drugi oficer miał czaszkę, rozwaloną przez obłąkanego koka. Ty masz czaszkę rozciętą. Drugi oficer nazywał się Sidney Waltham. I jeżeli ty me jesteś Sidney

Waltham...

W tejże chwili Mr. Mellaire, a właściwie Sidney Waltham, mimo swych pięćdziesięciu lat dokonał rzeczy, której tylko prawdziwy marynarz dokonać potrafi. Przeskoczył bokiem balustradę rufy, uchwycił się ruchomego bloku bezań - masztu i wylądował lekko na równe nogi na Luce Nr. 2. Ale tu się nie zatrzymał, przeciął naukos pokrywę luki i wpadł w drzwi śródokręcia, gdzie znajdowała się jego kabina.

A Mr. Pikowi furia do tego stopnia odjęła przytomność, że dopiero wówczas zdawał się budzić z tego transu. Przetarł oczy grzbietami rąk.

Drugi oficer jednak nie wpadł do swej kabiny na śródokręciu, szukając ucieczki. W następnej chwili z niej wychynał z wielkim Smith i Wessonem w ręku i, gdy się tylko ukazał, zaczął strzelać.

Mr. Pike przez ten czas już przyszedł do siebie i widziałem walkę dwóch impulsów na jego twarzy, walkę pomiędzy chęcią przeskoczenia balustrady i rzucenia się na człowieka, który do niego strzelał, i między instynktem samozachowawczym, który nakazywał się cofnąć. Cofnął się. A gdy sadził wielkimi susami na tył okrętu po wąskim pomoście, bunt się zaczął. Artur Deacon wychylił się z gniazda bezańmasztu i cisnął stalowy ćwiek żagielny w uciekającego oficera. Ćwiek błysnął w locie. Chybili Mr. Pike i o mały włos nie przygwoździł Possuma, który, przerażony strzałami, kręcił się nieprzytomnie i skomlał. Ostrze ćwieku utkwilo w drewnianym poszyciu pomostu z taką siłą, że ćwiek jeszcze parę sekund wibrował.

Nie zdołałem zaobserwować i dziesiątej części tego, co nastąpiło w ciągu kilku następnych minut. Wiem, że ludzie z gniazda masztu spuścili się na pokład, ale nie widziałem, jak schodzili i kiedy zeszli. Wiem, że drugi oficer wystrzelał wszystkie naboje swego rewolweru, ale nie pamiętam, abym słyszał wystrzały. Wiem, że Lars Jacobson opuścił koło sterowe i kulejąc, bo złamaną nogę miał źle zrosniętą, pobiegł po rufie, zlął po drabinie i zwiął do kasztelu; a mimo to, przysięgłbym, że nie pozostało mi w pamięci wrażenie tej jego ucieczki.

Ale pamiętam, że usłyszałem tupot nóg ludzi, biegnących po głównym pokładzie z dziobu na rufę. I widziałem Mr. Pike szukającego osłony za , stalowym pniem tylnego masztu. Drugi oficer przeskoczył na lewą stronę łuki Nr. 3, szukając poręczniejszego miejsca do strzału. Mr. Pike dał nura za róg strażnicy, dopadł tylnej łuki, którędy zbiegł do kajuty. Usłyszałem wystrzał. Była to ostatnia kula z Smith Wessona, która rekoszetowała od stalowej ściany strażnicy. Co do mnie, to nie ruszałem się z miejsca. Może byłem tak zaabsorbowany tym, co się działo. Może z braku przytomności umysłu, lub zdolności szybkiej decyzji i przyzwyczajenia do działania. Byłem sam na rufie, gdy zbuntowani marynarze z drugim oficerem i bosmanmatami na czele rzucili się do szturm. Dudnili po trapach juty i nie przyszło mi na myśl ich zatrzymywać. I całe szczęście, że nie próbowałem się im przeciwstawić, bo bym nic nie dokazał, a zabiliby mnie na pewno.

Zostałem sam na rufie i marynarze zdawali się być zbici z tropu, nie widząc na niej nieprzyjaciela. Gdy Bert Rhine mnie mijał z nożem w ręku, losy moje zawisły na włosku. Już chciał zboczyć i ugodzić mnie nożem, ale — widziałem — rozmyślił się i pobiegł dalej. Uważał, snadź, że nie wchodzi w rachubę.

Tak gwałtownie i nieoczekiwanie dla samych marynarzy wybuchł bunt, że bezplanowo działali i chaotycznie. Byli oszołomieni. Raz tylko od samego wyruszenia z Baltimory koło sterowe sternik opuścił i to, kiedy je odbiegł Tony, ów zwariowany Grek. Widok opuszczonego koła sterowego zdumiał ich. Zatrzymali się chwilę. Bert Rhine z energicznym gestem i krótkim rozkazem posłał Guido Bombini, dokoła sternicy, aby się przekonał. Włoch powrócił, nie było nikogo.

I znowu muszę się zastrzec, że w natłoku wydarzeń fragmenty tylko utrwaliły się w mej pamięci. Zdawałem sobie sprawę, że marynarze w dalszym ciągu napływali na rufę, ale ich nie widziałem.

Całą moją uwagę pochłaniała grupa przywódców, stojących w pobliżu steru. I zauważyłem wówczas rzecz ważną, że to Bert Rhine, bosmanmat, a nie drugi oficer wydawał rozkazy i że jego to zbuntowani marynarze słuchali.

Na jego znak Izaak Chantz, ten sam, który na początku podróży został raniony przez O'Sullivana, powiódł napastników ku prawostronnym drzwiom strażnicy. Gdy to się działo — a wszystko to działo się w ułamkach sekundy — Bert Rhine podszedł ostrożnie do tylnej luki — i zaglądał do wnętrza lazaretu.

Izaak Chantz otworzył naroścież drzwi strażnicy, które zawahały się wprzód i w tył. Wszystko działo się tak błyskawicznie! W tej samej chwili, gdy Chantz drzwi otwierał, wyskoczył z nich dwustopowy rzeźnicki nóż do siekania mięsa, a za nim żółte żyłaste ramię. Nóż błysnął, nie trafił Chantza w głowę ani w kark, ale spadł mu na ramię.

Marynarze cofnęli się przed tym nożem. Chantz zatoczył się, aż po burtę, przyciskając ranę ręką prawą, a z pomiędzy palców ciemna krew zaczęła tryskać. Bert Rhine odbiegł od małej luki i wraz z drugim oficerem, trzymającym wciąż w ręku opróżniony Smith i Wesson, podskoczył do drzwi strażnicy.

O mądry, ostrożny, stary Chińczyk! Nie wysunął się z tych drzwi. Wahwały się one w? przód i w tył przy każdym chybocie Elsynory. Wszyscy wiedzieli, że za nimi z wielkim ciężkim nożem rzeźnickim czai się stiuard. I podczas, gdy się wahali i tłoczyli niepewnie przed drzwiami, zamykającymi się i otwierającymi na przemian z luki tylnej, położonej między strażnicą, a sternicą przemówił 44-o kalibrowy Colt Mr. Pika.

Padły strzały nie tylko z jego Colta. Ale nie wiem kto strzelał. Wszystko tonęło w chaosie i zamieszaniu. Kule gwizdały dokoła, a poprzez huk wystrzałów i ryki zbuntowanej załogi słyszałem w równych odstępach czasu powtarzające się monotonne cykanie 44-o kalibrowego Colta.

Widziałem, jak Mike Cipriani schwycił się gwałtownie za brzuch i osunął na pokład. Pierwszy dał pochop do ucieczki Kciuk, pół-krwi Japończyk, który, nakształt kłowna wyprawiał skoki w ariergardzie napastników. On to z wariackim przeraźliwym śmiechem dał nogę poprzez rufę i w dół po trapie juty. Nigdy nie zdarzyło mi się widzieć lepszego przykładu psychologii tłumu. Kciuk najbardziej chwiejny ze wszystkich osobników, wchodzących w skład zbuntowanego tłumu przyśpieszył ucieczkę, pociągając innych swoim przykładem,

Chantz, krwawiąc okropnie, popędził w ślad za Kciukiem jeden z pierwszych. Nosey Muruhy zatrzymał się na chwilę, by rzucić swym nożem w Mr. Pika. Ale nóż chybił celu i metalicznym brzękiem uderzył w miedzianą rączkę jednej ze szprych sterowego koła i zaklekotał rozgłośnie po pokładzie. Drugi oficer z pustym rewolwerem i Bert Rhine ze swym nożem w ręku razem uciekali z rufy.

Mr. Pike wychynął z tylnej luki i wystrzałem na chybił trafił powalił Billa Quigleya, jednego z „mularzy”, który padł u mych nóg. Ostatnim z uciekających napastników był Londyńczyk z Malty i u samego zrębu rufy odwrócił głowę, by rzucić okiem na Mr. Pika, który, trzymając rewolwer oburącz, celował uważnie. Marynarz nie tracił czasu na schodzenie po schodach, rzucił się po prostu z góry na pokład. Ale miast wystrzału rozległ się tylko suchy trzask cyngła. Ostatnia kula magazynu poraziła Quigleya.

I rufa była w naszej mocy.

Zbyt wielki panował chaos, abym mógł objąć całość obrazu. Zobaczyłem stiuarda, który wojowniczo i ostrożnie zarazem z wniesionym do zadania ciosu nożem wystąpił z drzwi strażnicy. Margaryta wyszła za nim, a na końcu Wada, niosący mój 22-u kalibrowy mały Winchester. Jak powiedział mi później, to Margaryta kazała mu wziąć karabinek.

Mr. Pike spiesznie, ale z całą zimną krwią próbował swój Colt, by się przekonać, czy jest wystrzelony, czy też się zaciął. Margaryta spytała go, jaki sterować kurs.

— Na wiatr — krzyknął ku niej, sadząc na przód okrętu. — Niech pani położy ster na burtę, bo nas zniesie.

Bunt obejmował okręt jak ogień, śmierć unosiła się nad pokładami, ale ten stary wilk morski mimo wszystko czuwał nad Elsynorą. Dla wszystkich była to maszyna ze stali i konopi, i przędzy bawełnianej, dla niego — istota żywa, obdarzona indywidualnością, powierzona jego pieczy. Hart całego jego życia przejawiał się w tej potrzebie.

Margaryta, biegnąc do steru, wskazała Wadzie w moją stronę. W chwili, gdy Mr. Pike ukazał się z poza rogu strażnicy, ze śródokręcia rozległ się strzał i kula uderzyła z brzękiem w stalową ścianę.

Widziałem człowieka, który strzelił. Był to cowboy Steve Roberts.

Mr. Pike schylił się i schronił za tylny maszt, ale jednocześnie lewą ręką sięgnął do bocznej kieszeni kurty tak szybko, że, znalazłszy się za, osłoną, wyciągnął już nowy magazyn. Pusty magazyn zsunął się na pokład, nabity w mgnieniu oka znalazł się w kolbie broni. Pistolet Mr. Pike'a był ośmiostrzałowy.

Wada podał mi karabinek. Wciąż stałem u trapu juty.

— Gotów do strzału — rzekł.

— Weź pan na cel Roberta — zawołał mi Mr. Pike. — To najlepszy ich strzelec. Jeśli nie będzie pan mógł go ściągnąć, nastraszyć go pan przynajmniej.

Pierwszy to raz w życiu strzelałem do człowieka i niech mi wolno będzie upewnić, że ręka mi nie drgnęła. W ogóle ręka mi nie drżała, ani wtedy, ani kiedy strzelałem potem. Oto go miałem przed sobą mniej niż o sto jardów na pokładzie między drzwiami kabiny Davisa i prawą burtą. Szukał poręcznego miejsca do strzału do Mr. Pike'a. Nie trafiłem Steve Roberta za pierwszym strzałem, ale kula uderzyła gdzieś tak blisko, że skoczył. W następnej chwili zorientował się, skąd padł strzał, i rewolwer zwrócił przeciwko mnie. Ale wszelka przewaga była po mojej stronie. Z mego automatycznego karabinka leciały kule jedna za drugą tak szybko, jak tylko zdążyłem cyngiel naciskać. Pierwszy strzał cowboya był chybiony, gdyż nim zdążył schwycić mnie na muszkę, już go moja kula dosięgła. Zachwiał się i zatoczył w tył, ale z dziesięć kul conajmniej — wytrysło przez ten czas z wylotu „mego Winchesteru, jak woda z polewaczki. Obsypałem go, literalnie, gradem kul. Nie wiem, ile razy go trafiłem, ale to pewna, że przez czas, kiedy potykał się i padał, conajmniej trzy jeszcze kule wpakowałem w niego. Padając, bezcelowo i automatycznie dwa razy jeszcze dał ognia.

Z chwilą jednak, gdy rozciągnął się na pokładzie, już nie drgnął. Przekonany jestem, że wydał ostatnie tchnienie, padając.

Gdy z bronią u ramienia stałem, omiatając wzrokiem pokład w poszukiwaniu przeciwnika, uczułem, że Wada ciągnie mnie za rękaw. Spojrzałem na niego. Podawał mi garść długich, niepancernych, bezdymnych naboji do karabinka. Chciał, abym nabił broń. Pochyliłem karabinek i wsunąłem nowe naboje.

— Dostań więcej — powiedziałem mu.

Ledwie odbiegł, gdy Bill Quigley, leżący u moich stóp, schwycił mnie za nogę. Łapy jego zacisnęły się dokoła na mej nodze, a zęby wgrzyły mi się w łydkę. Skoczyłem i, wyznając, wrzasnąłem na cały głos.

Mr. Pike przyszedł mi z pomocą. Śmignął tylko przez powietrze jak pocisk i ledwie znalazł się za mną, potężnym kopnięciem swej wielkiej stopy odrzucił ode mnie podstępnego napastnika. Tak potężne było to kopnięcie, że Bill Quigley poleciał za burtę. Co za cios, co za siła! W przelocie nie dotknął nawet burty. Mike Cipriani, który dotąd leżał bez ruchu, pła- wiąc się we krwi, zaczął pełzać

na tył okrętu; czy szukał ukrycia, czy zamierzał napaść Margarytę, nie wiem, gdyż nie dane mu było przejawiać swych zamiarów. W kilku susach Mr. Pike dopadł go i Włoch poleciał w morze w ślad za Billem Quigleyem.

Wracając po rufie, Mr. Pike orlim wzrokiem omiatał okręt. Na pokładzie głównym nie było żywego ducha. Nawet wartownik, postawiony na oku, zbiegł i Elsynora, sterowana przez Margarytę, sunęła leniwie po spokojnym morzu z szybkością dwóch węzłów. Mr. Pike szperał po rufie parę minut, bojąc się strzału z zasadzki, wreszcie włożył pistolet do bocznej kieszeni kurty i ryknął ku przodowi okrętu:

— Wyłażcie przekłete szczury! Pokażcie Wasze pyski! Chcę umówić się z wami!

Guido Bombini, najwidoczniej wyrzucony z kasztelu przez Berta Rhina, giestykulując pojednawczo ukazał się pierwszy. Gdy na dziobie przekonano się, że rufa nie strzela, reszta zaczęła się wysypywać. Wreszcie wszyscy znaleźli się na pokładzie, prócz koka, obu żaglowników i drugiego oficera. Ostatni wyleźli Tom Spink Buckwheat, chłopiec okrętowy i Herman Lunkenheimer, dobroduszny i ciężko myślący Niemiec, i to wyleźli z wielkim ociąganiem się na groźby Berta Rhina, który wraz z Noseyem Murphy i Kidem Twistem dowodził buntem. I jak wierny pies, Guido Bombini słuźalczo trzymał się przy nich.

— Wystarczy — zatrzymajcie się tam! — rozkazał Mr. Pike, gdy cała załoga rozsypała się od burty do burty na równi z luką Nr. 3.

Była to scena niezrównana. Bunt na pełnym morzu. Charakterystyczne to wyrażenie zaczerpnięte w szkolnych latach z Marryetta i Coopera, przy pomniało mi się w owej chwili. Był to, co prawda, swoisty bunt na pełnym morzu, ten bunt załogi w roku tysiąc dziewięćset trzynastym... Kogoż mieliśmy przed sobą? Trzech bosmanmatów, ptaszków więziennych, wcale nie marynarzy, a mimo to prowadzących bój na okręcie. Plątał się przy nich ten włoski pies, Bombini, a stali za nimi zegnani dziwnym zrządzeniem losu ludzie, tacy, jak Anton Olansen, Lars Jacobson, Frank Fitzgibbon i Richard Giller — a również Artur Deacon, handlarz żywym towarem, John Hackey, włóczęga z San Francisco, Londyńczyk z Malty i Grek Tony, opanowany manią samobójczą.

Trzej przybysze z głębi stali razem, ramię w ramię, zdala od pozostałych, kołysali się unisono do taktu z leniwym rozkołychem okrętu i marzyli z otwartymi topazowymi oczyma., I był tam Faun, głuchy jak pień, ale czujny, spostrzegawczy, i usiłował wymiarkować, co się dzieje. I Mulligan Jacobs i Andy Fay, jadowity jak padalec, a za nimi jak przyciągnięty do nich prądem nienawiści, Ditman Olansen „widzący czerwono”. Najdalej zahazardował się Charles Davis, a woskowa jego twarz odbijała od zżartych niepogodą twarzy innych marynarzy.

Obejrzałem się na Margarytę, która sterowała z całą zimną krwią. Obdarzyła mnie uśmiechem i spojrzeniem niemal tkliwym. I ona była z wysokiego miejsca, skąd padają rozkazy. I ona była z panującej blond - rasy, przeciwko której zbuntowała się ta zbieranina z całego świata i pomiot ciemnoskórych ras.

— Gdzie Sidney Waltham? — ryknął pierwszy oficer. — Żądam wydania go tu. Dajcie go tu. A potem reszta waszego draństwa ma stanąć do pracy!

Marynarze poruszyli się niespokojnie i zaszurali nogami po pokładzie.

— Sidney Waltham, słyszysz, wyłaż z dziury! — wrzasnął Mr. Pike, zwracając się ponad głowami tłumu do mordercy swego byłego kapitana.

Go za nadzwyczajny człowiek! — myślałem. — Ani mu w głowie nie postało, że nie był już panem i władcą tej hałastry, rozsypanej na dziobie okrętu.

— Ty stary grzmiecie! — odryknął mu Mulligan Jacobs w odpowiedzi.

— Stul pysk, Mulligan! — rzucił Bert Rhine, za co kaleka poczęstował go spojrzeniem

bazyliuszka,

— Poczekaj drabie! — groził Mr. Pike bosmanmatowi. — Już ja się zajmę twoją sprawą. Tymczasem wyciągnij mi tego psa.

I znów, zignorowawszy przywódcę buntu, zaczął wołać: — Waltham, ty psie, wyłaż, ty gadzino! Wyłaż!

Jeszcze jeden wariat! — przemknęło mi przez głowę. Opanowany pragnieniem zemsty zapomnia o buncie i o okręcie, o który dbać winien był przede wszystkim. Ale nie! Pamiętaj! Mechanicznie wzrokiem wybiegł wzwyż na maszty i błędził od żagla do żagla. Potem powrócił do załogi.

— I cóż? — warknął na Bert Rhina. — Daję wam dwie minuty na powrót do służby.

A przywódca i jego dwaj koledzy — bosmanmacy zaczęli się śmiać swym diabelskim, milkliwym śmiechem.

— Najpierw posłuchasz chyba, co mamy- ci do powiedzenia, stary koniu — odparł Bert Rhine — Davis zaczynaj i pokaż, jaki jesteś wyszczekany. Wypluj wszystko staremu w brodę i powiedz mu jak ma być.

— Ty przeklęty adwokacie morski! — ryknął Mr. Pike, nim Davis usta zdążył otworzyć.

Bert Rhine zwrócił się, jak do odejścia, wzruszając ramionami, i powiedział:

— Ha, dobrze, jeżeli nie chcesz słuchać... Mr. Pike cokolwiek spuścił z tonu:

— Zaczynaj! — warknął. — Wypluj, co masz na wątrobie, Davis. Ale pamiętaj, że za każde słowo zapłacisz mi i zapłacisz drogo. Zaczynaj!

Adwokat morski odchrząknął przed przemówieniem.

— Przede wszystkim, nie brałem w tym żadnego udziału — zaczął. — Jestem chory człowiek i powinienem być teraz w mojej koi. Trudno mi utrzymać się na nogach. Ale oni pytali mnie, co mówi prawo i ja powiedziałem im...

— A cóż mówi prawo — he? — przerwał mu Mr. Pike.

Ale Davis nie dał się zastraszyć.

— Prawo mówi, że, kiedy oficer jest niezdolny do pełnienia służby, załoga może sama okręt doprowadzić do portu. Na to są przykłady. Naprzykład Abissynia w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym drugim, kiedy szyprowi zmarło się na frybrę, a oficerzy zaczęli chlać.

— Dosyć o tym! — uciął krótko Mr. Pike. — Nie potrzeba mi twoich cytat. Czego chcecie? Wypluć to nareszcie.

— Dobrze — mówię jako postronny, jako chory człowiek, nie pełniący służby, którego proszono, by za innych mówił — otóż, chodzi o to, że nasz szyper był dobry, ale umarł. Nasz pierwszy oficer jest gwałtowny i usiłuje odebrać życie drugiemu oficerowi. To nie nasza rzecz. Ale my chcemy bezpiecznie dostać się do portu. A nasze życie jest zagrożone. My nie zabiliśmy nikogo. Oficer zrobił cały ten rozlew krwi. Oficer zabił i wyrzucił dwóch ludzi za burtę, jak każdy może zaświadczyć z załogi, jak każdy zaświadczy przed sądem. I prócz tego padł Roberts i pójdzie za burtę, rekinom na pożarcie — a za co? Za obronę konieczną przed morderczym napadem, jak każdy z załogi może zaświadczyć pod przysięgą, mówiąc prawdę — czyż nie tak koledzy?

Pomruk aprobaty przeleciał nad głowami tłumu.

— Chcecie odebrać mi dowództwo, co! — Mr. Pike wystrzeżył zęby. — A co zrobicie ze mną? — Zostanie pan wydany władzom — zaszwargotał szybko. — Najprawdopodobniej będzie pan mógł zasłonić się niepoczytalnością i ujdzie pan kary.

W tej chwili uczułem dotknięcie na ramieniu. Była to Margaryta, uzbrojona w długi nóż sturda, któremu oddała koło sterowe.

— Zupełnie inaczej stanie się, Davis — rzekł Mr. Pike. — Nie mówię tego do ciebie, mówię do



wszystkich. Daję wam dwie minuty. Niech się każdy decyduje i wybiera. A macie tylko dwie rzeczy do wyboru. Wydacie drugiego oficera i wróćcie do służby, albo czekają was lata ciężkiego więzienia. Macie dwie minuty do namysłu. Ci, co chcą więzienia, niech zostaną gdzie są. Ci, którzy nie chcą więzienia i służyć chcą wiernie, mogą do mnie przejść na rufę. Odwrócił się do mnie i powiedział półgłosem. — Niech pan będzie gotów z tą pukawką. I niech się pan nie waha ani chwili.

Był to Buckwheat, który zrobił pierwszy ruch, jakby zamierzał iść na wezwanie pierwszego oficera. Naprężył tylko nogi i drgnął ramionami. Wystarczyło to jednak by Herman Lunkenheimer wielkimi swoimi stopami zaczął miarowo i spokojnie człapać po pokładzie. Kid Twist dopadł go jednym susem, ramieniem obwinął mu głowę z tyłu, podbijając mu nogi kolanami. W chwili, gdy kolbę karabinka przyłożyłem do ramienia, Bombini przeciągnął nożem pod samym łokciem Twista po naciągniętym gardle Niemca.

W tejże chwili Mr. Pike zawołał: — Tego psa! — i pociągnąłem za cyngiel. Ale za sprawą jakiegoś demona, kula zamiast Bombini, trafiła Fauna, który się zachwiał, odtoczył, siadł na pokrywie luki i zaczął kaszleć. I nawet kiedy kaszlał cierpiętliwe jego oczy usiłowały zrozumieć, zrozumieć?...

Nikt więcej się nie poruszył. Puszczony przez Kida Twista Herman Lunkenheimer zwałił się na pokład. I ja nie strzelałem. Kid Twist stał znowu obok Berta Rhina, a Guido Bombini przypochlebnie kręcił się dokoła nich.

Bert Rhine wyszczerzył zęby w drwiącym uśmiechu.

— Jeszcze który z was, chłopcy, ma ochotę przespacerować się na rufę? — pytał aksamitnym głosem.

— Dwie minuty przeszły — oświadczył Mr. Pike

— A cóż teraz poczniesz, stary ośle? — szydził Bert Rhine.

W oka mgnieniu wielki pistolet został wyrwany z kieszeni kurty przez oficera, który siał kulami na prawo, na lewo, kto żyw szukał przed nimi schronienia. Ale jak już wspominałem złym był strzelcem i tylko na mały dystans mógł trafić — najlepiej na długość wyciągniętego ramienia.

Gdy tak staliśmy, omiatając wzrokiem główny pokład, na którym tylko zostało na wznak leżące ciało cowboya i Faun, wciąż kaszłąc, siedział na pokrywie luki, banda marynarzy wypadła przez przedni zrąb kajuty śródokrętowej.

— Strzelaj! — krzyknęła Margaryta poza mną.

— Nie! — ryknął na mnie Mr. Pike.

Już karabinek miałem u ramienia, ale *zdażyłem*. jeszcze go odjąć. Kok Louis biegł na czele tych ludzi poprzez śródokręcie i wzdłuż pomostu. Za nim, jeden za drugim, nie tracąc chwili czasu, biegli Japończyk, żaglownik, Henry, uczeń okrętowy i Buckwheat, drugi uczeń. Tom Spink ostatni w ariergardzie, gdy drapał się po drabinie na pomost kajuty śródokręcia ktoś z dołu schwycił go za nogę, usiłując ściągnąć na dół. Widzieliśmy go po pas nad krawędzią pomostu i wiedzieliśmy, że, kopiąc z całych sił poza siebie, usiłuje się wyrwać. Nagle wciągnął się na pomost, skoczył na równe nogi i pognął wzdłuż pomostu, dogonił resztę i *zderzył* się z Buckwheatem, który wrzasnął, że jakiś buntownik go pochwycił.

# ROZDZIAŁ XLII

My, obleżeni na rufie, na wysokim miejscu, skąd padały rozkazy, jesteśmy liczniejsi, niżli mogłem przypuszczać. Zdumiałem się, gdy się policzyliśmy. Margaryta, Mr. Pike i ja reprezentujemy klasę panującą. Jesteśmy otoczeni służącymi i niewolnikami. Nie rzucam tych słów na wiatr. Tak jest naprawdę. Tom Spink i Buckwhaet są poprostu niewolnikami. Henry, uczeń okrętowy jest czymś pośrednim. Przyjdzie dzień, kiedy zostanie oficerem okrętowym lub nawet kapitanem, ale tymczasem jeszcze nie zdobył swoich ostróg, jeszcze nie został promowany z klasy niewolników do klasy panującej.

Wada, Louis i stiuard są służącymi azjatyckiego pochodzenia. Żaglownicy japońscy tak samo, czymś pośrednim między służącymi i niewolnikami.

I tak, razem wzięwszy, jest nas jedenaście osób w tej fortecy. Ale nie mając pod komendą wojowników, tylko służących, nie możemy przedsięwziąć działań zaczepnych. Wycieczka na drugi koniec okrętu nie jest do pomyślenia. Podkomendni nasi będą się bronić i bronić wysokiego miejsca, którego załogę stanowią, będą walczyć, jak zagnane w róg szczury, ale nie rzucą się jak tygrysy na nieprzyjaciela

Po drugiej stronie, na przeciwnym końcu okrętu nieprzyjaciel liczniejszy jest i bardziej zaczepnie usposobiony. Jest tam drugi oficer, Mr. Mellaire, czy Waltham, jak kto woli, mocny człowiek z krwi naszej, ale renegat. Potem idą trzej bosmanmaci, mordercy i szakale Bert Rhine, Nosey Murphy i Kid Twist; Frank Fitzgibbon i Richard Giller, dwaj pozostali z trójki mularzy; Anton Sorensen i Lars Jacobsen, głupi skandynawscy marynarze; Ditman Olansen, podlegający atakowi dzikiej rurii; John Hackey i Arthur Deacon, prawdopodobnie włóczęga i handarz żywym towarem; Kciuk, kłown zagnatwanego pochodzenia; Guido Bombini, włoski pies; Andy Fay i Mulligan Jacobs, dwaj padalce w ludzkim ciele; trzej topazoocy przybysze, o których nie da się nic powiedzieć; raniony Izaak Chantz; Bob, nadmiernie wybujały dryblas; matołkowaty Faun, raniony w klatkę piersiową; Nancy i Sundry Buyers, dwaj bezradni bosmani i, wreszcie, Charles Davis, przeklęty adwokat morski.

Razem jest ich dwudziestu siedmiu przeciwko naszej partii, składającej się z jedenastu. Ale między nimi są przestępcy zdecydowani na wszystko. Oni z kolei mają swych niewolników i swych skrytobójców. Guido Bombini i Izaak Chantz to skrytobójcy. A takich słabeuszy, jak Bob Jacobsen tylko za niewolników uważać można.

Nie ulega wątpliwości, że położenie nasze mogłoby być gorsze. Gotujemy na piecu do palenia węglem i na piecykach naftowych. Mamy służących do gotowania i obsługi. I, co najważniejsze ze wszystkiego, jesteśmy w posiadaniu całego zapasu prowiantów na Elsynorze. Mr. Pike zgadza się na taktykę obronną. Jesteśmy obleżeni. Nie możemy się ruszyć z naszej fortecy, ale mamy wszystkie prowianty okrętowe podczas, gdy oblegającym grozi głód.

— Zagłodzimy tych psów — warczy Mr. Pike. — Zagłodzimy ich, aż przypełzną po pokładzie i będą nam lizać buty. Myśli pan może, że zwyczaj przechowywania prowiantu na rufie powstał tak sobie. Niema tak dobrze. Nim pan i ja przyszliśmy na świat, doświadczeni, starzy szyprowie zawsze się tego trzymali, by prowiant był na właściwym miejscu. I wiedzieli, co robią, trzymając go w lazarecie.

Louis twierdzi, że pekeflejsz, który marynarze mają w kasztelu starczy im najwyżej na cztery dni, a kury, które ostatniej nocy wykradli z kojca jeszcze na dzień jeden. Stąd wniosek, że są w fatalnym położeniu pod względem aprowizacji i spodziewamy się, że lada dzień rozpoczną pertraktacje.

Przestaliśmy żeglować. W ciemnościach wczorajszej nocy słuchaliśmy bezradnie, jak marynarze oddawali szkoty, spuszczać reje z łoskotem. Na rozkaz Mr. Pika strzelałem na oślep raz po razie, ale skutek był tylko taki, że w odpowiedzi posypały się rewolwerowe kule, dzwoniące po przedniej ścianie strażnicy. Więc dziś nikt nie steruje. Elsynora błądzi leniwie po cichym morzu. Stoję z Mr. Pikem wachty pod osłoną strażnicy i tylnego masztu. Mr. Pike twierdzi, że nie próżnował tak jeszcze od początku podróży. Stoję więc we dnie za stalowym pniem masztu z karabinem w rękę, a nocą. przekradam się do zręby rufy. Poza strażnicą w gotowości do odparcia ataku czatuje wachta z czterech ludzi — Tom Spink, Wada, Buckwheat, Louis. Henry, dwaj japońscy żeglownicy należą do wachty Mr. Pika.

Wydał on rozkaz, by nikomu z buntowników nie dać pokazać się na pokładzie, dzisiaj więc, gdy drugi oficer wyszedł z poza węgła kajuty śródokrętowej zmusiłem go do gwałtownego skoku, tak blisko jego głowy kula z mego karabina uderzyła w ścianę nadbudówki. Poczyniliśmy również pewne przygotowania na wypadek szturm. Mr. Pike założywszy bloki na pierwsze przęsło pomostu, kazał je podnieść i złożyć na rufie, co też zostało uskutecznione. W ten sam sposób podnieśliśmy drabiny, wiodące z rufy na pokład.

Margaryta zachowuje się, jakby bunt załogi to dla niej nie pierwszozna. Pokład pozostawia Mr. Pikowi i mnie, ale we wnętrzu rządzi po dawnemu. Zarząd kuchnią i rozmieszczeniem załogi należy do niej. Zajmujemy w dalszym ciągu nasze kabiny, a nowoprzybyłych Margaryta umieściła w wielkiej kajucie na tyle okrętu, wydawszy im pościel z garderoby okrętowej. Ze względu na jej zdrowie i stan psychiki bunt jest najlepszą rzeczą, jaka mogła się zdarzyć. W ten sposób nie ma czasu myśleć o śmierci ojca. Dziś popołudniu, stojąc ponad małą luką kajuty tylnej słyszałem jej uśmiech, jak za dobrych czasów na Atlantyku. Tak, i nuci sobie przy robocie. Dziś wieczór, gdy Mr. Pike skończył obiad i przyszedł do nas na rufę, powiedziała mu, że naprawi fonograf. Dźwięk muzyki robi niezawodnie silne wrażenie na wygłodzonych marynarzy.

W górze Elsynora wygląda okropnie. Na omasztowaniu panuje nieporządek i chaos nieopisany. Żagle niepozwijane zwisają i powiewają u rej, a nienaciągnięte i błędne liny bujają się melancholijnie za każdym chybotem. Wielka reja nie jest umocowana. Tylko cicha pogoda sprawia, że wielka reja się trzyma. Przy wietrze bardzo łatwo może spaść i jak olbrzymi dziryt przebić dach kasztelu.

Jednej rzeczy nie możemy zrozumieć. Minał tydzień, a marynarze zdaje się wygłodzeni i ani myślą lizać nam butów. Nadaremnie Mr. Pike wypytuje naszych ludzi, czy i jaki prowiant mogą mieć buntownicy. Wszyscy, jak jeden mąż od koka do Buckwheata twierdzą, że nic tam na przodzie nie ma, prócz małego zapasu w kambuzie i baryłki z pekelflejszem w kasztelu. A mimo to bije w oczy, że nie przymierają głodem. Dym dobywa się z komina kambuza, a więc palą w piecu i mają co gotować.

Dwukrotnie Bert Rhine próbował rozpocząć układy, ale za każdym razem, gdy tylko biała flaga ukazała się ponad krawędzią domu śródokręcia, Mr. Pike dawał do niej ognia. Niemniej zaczyna go ogarniać niepokój z powodu tajemniczego źródła zaprowiantowania zbuntowanej załogi. A przytem opanowany jest żądzą zemsty nad drugim oficerem. Od czasu do czasu mruczy pod nosem z zaciętym, złym wyrazem twarzy, to zaciskając, to rozwierając żelazne swe pięści i zgrzytając okropnie zębami. Mówi ciągle o możliwości zrobienia nocnej wycieczki na przód okrętu i ustawicznie zapytuje Toma Spinka i Louisa, gdzie różni marynarze śpią, a także ze szczególnym naciskiem: — Gdzie może spać drugi oficer?

Wczoraj wieczorem dowiedziałem się, że zemstę na drugim oficerze stawia nade wszystko. Była czwarta popołudniu i właśnie przyszedł mnie zastąpić. W tej samej chwili drugi oficer wyszedł powolnym krokiem z kasztelu, zawędrował na sam dziób i stanął u kluzy patrząc za burzę.

— Weź go na cel — rzekł Mr. Pike.

Był to strzał na daleki dystans, więc celowałem długo, gdy wtem dotknął mego ramienia.

— Nie, niech pan nie strzela do niego — powiedział.

Opuściłem mój karabinek i spojrzałem na niego pytająco.

— Mógłby go pan trafić — wyjaśnił. — A ja go chcę sam zabić.

Nigdy nie wiadomo, co życie przyniesie. W ciągu całej naszej podróży z Baltimory na południe do Hornu i naokoło Hornu na Elsynorze grasowała śmierć. A teraz, gdy nastąpił wreszcie punkt przełomowy, rozszalał się bunt otwarty, śmierć się przyczaiła. Trzymamy się na rufie, a buntownicy na dziobie, i tak trwa. Ustało brutalizowanie, warczenie i porykiwanie rozkazów, ba, przy tej pięknej pogodzie na Elsynorze odbywają się koncerty.

Na rufie Mr. Pike kręci fonograf, a Margaryta gra na fortepianie; na przodzie zaś okrętu panuje rodzaj okropnego jazz-bandu. Dzień i noc rozbrzmiewają ohydne dźwięki. W rękach Guido Bombini burczy, gwizdże i zgrzyta okropny akordion, który, pono, należał do Mike Cipriani; Bombini, zresztą zdaje się dyrygentem tego improwizowanego jazzu. Fałszują harmonie. Ktoś gra na żydowskiej harfie. Gros orkiestry tworzą piszczałki i bębny, grzebienie, pokryte papierem z improwizowanych trójkątów i pewnego rodzaju okarin, zrobionych z żeber końskich, jakich *używają* śpiewacy u Negrów.

Cała załoga zdaje się wchodzić w skład tej orkiestry i jak gromada małp uwydatnia prymitywny rytm, bijąc w bańki od nafty, palenie i wszelkiego rodzaju metalowe i dźwiękliwe przedmioty. Jakiś geniusz przeprowadził linkę do dzwona okrętowego na fokku i dzwoni przeraźliwie w patetycznych miejscach jazzu, a jednocześnie słysząc głos Bombiniego, strofującego go surowo. Mimo to zdarza się, że poprzez ten hałas przebijają, strzępy melodii. Guido Bombini ma silny, choć nieuczony tenor. Od czasu do czasu cała załoga powtarza chóralnie ulubiony jakiś motyw : A to niedźwiedź! A to niedźwiedź! A to niedźwiedź ! — Dziś rano Nancy dobył głosu. Podczas wieczornej wachty trzech topazoocy przybysze zawadzili pieśń dziwnie słodką, i smutną.

I to ma być bunt na pełnym morzu. Wierzyć się nie chce. A jednak, pisząc te słowa, słyszę nad głową kroki Mr. Pika, który czuwa na pokładzie. Dochodzi mnie zgrzytliwy śmiech stiuarda i Louisa. Wada i żaglownicy w kredensie roztrząsają arkana japońskiej polityki. I poprzez galerię słyszę Margarytę nucącą zcicha.

Ale wszystkie wątpliwości ustają z wybiciem ośmiu dzwonów. Idę zastąpić Mr. Pika na pokładzie. Mr. Pike milczy chwilę, potem zaczynamy gawędzić.

— Co pan na to — odzywa się tonem zwierzzenia — byśmy we dwóch zrobili porządek z tą całą bandą. To zupełnie możliwe. Wystarczy tylko przekraść się na przód i zacząć strzelać. Z chwilą, gdy usłyszą strzały, większość rzuci się na rufę — takie matole naprzykład, jak Nancy i Sundy Buyers i Jacobsen, i Bob i trzech obcy. Nasi ludzie na pewno ich powstrzymają, a przez ten czas będziemy mogli pozostałych w kasztelu porządnie przetrzebić. Cóż pan na to?

Wahałem się, myśląc o Margarycie.

— Dlaczegożby nie — mawiał — znalazłszy się raz w kasztelu, na bliską metę mogę położyć trupem każdego, bosmanmatów i Bombiniego i Faya, i Deacona, i Londyńczyka, i Mulligana Jacobsa i... i... Walthama.

— To już dziewięciu — uśmiechnąłem się. — A ma pan tylko osiem kul w magazynie Colta.

Mr. Pike zastanowił się chwilę.

— Dobrze — zgodził się. — Będę musiał puścić kantem Jacobsa. Zgadza się pan? Idzie pan ze mną?

Wciąż się wahałem, nim jednak zdążyłem otworzyć usta, Mr. Pike się opamiętał.

— Nie, pan nie może iść, Mr. Pathurst. Gdyby wypadkiem zabili nas obu... Nie. Będziemy trzymali się na rufie i czekali, aż ich głód przyciśnie. Ale skąd dostają strawę, nie mogę pojąć. Na przodzie nic nie ma, coby się na ząb dało położyć. Tydzień temu powinno im było już zabraknąć jedzenia.

# ROZDZIAŁ XLIII

To bunt prawdziwy, mimo wszystko. Zbierając wodę podczas ulewy dzisiejszego ranka, Buckwheat wystawił się na strzały i kula rewolwerowa, wystrzelona aż z dziobu, go dosięgła. Była to kula małego kalibru i straciła pęd w locie tak, że utkwiała w ciele i kości nie tknęła. Pomimo to Buckwheat zaczął wrzeszczeć, jakby go ze skóry obdzierano, aż Mr. Pike uspokoił go uderzeniem pięści w ucho.

Nie chciałem być pacjentem Mr. Pika. Szukał kuli swoim małym palcem, o wiele za grubym w stosunku do kanału rany, i tym też małym palcem, wytrząsając nad głową nieszczęśliwego chłopca okrętowego drugą ręką, wyjął kulę. Potem posłał go do wnętrza, gdzie Margaryta ranę przemyła i nałożyła na nią bandaż.

Widuję ją tak rzadko, że pół godziny, spędzone w jej towarzystwie jest dla mnie wypadkiem dnia. Dzień i noc jest zajęta utrzymaniem swego domu w porządku. Gdy piszę te słowa, słyszę, jak w tylnej kabinie wydaje rozporządzenia naszym marynarzom. Nakazała im wykąpać się w zebranej wodzie deszczowej, wydała świeżą bieliznę z garderoby i stiuardowi dała polecenie doglądać, aby wszystko odbyło się jak należy. Zakazała również palenia fajek w tylnej kabinie. A na domiar wszystkiego mają robić w kabinie tej wielkie porządki, czyścić, szorować ściany, sufit, wszystko, jutro zaś przystąpić do generalnego malowania. Wszystko to, razem, wzięwszy, zmierza do wpojenia we mnie przekonania, że buntu nie było wcale, albo że minął, albo, że go sobie wyimaginałem.

Ale nie. Słyszę jednocześnie bredzenie Buckwheata, który chce się kąpać, mimo że jest ranny. Czekam i nad słuchuję, co Margaryta odpowie. Zgadłem. Tomowi Spinkowi i Henry'emu nakazuje wykąpać Buckwheata.

Buntownicy nie umierają z głodu. Dziś łapali albatrosy. W parę minut po schwytaniu pierwszego wyrzucili zabitego ptaka za burtę. Mr. Pike przyglądał się mu przez szkła i zgrzytał zębami, gdy się przekonał, że odrzucili nie pióra i skórę, ale cały kadłub ptaka. Wyrwali albatrosowi tylko skrzydła, aby z ich kości zrobić pieszczalki. Stąd prosty wniosek: Umierający z głodu ludzie nie wyrzucaliby mięsa w ten sposób.

Ale skąd dostali żywności?

— Myślę i myślę, aż w głowie mi się kręci — mówi Mr. Pike — a jednak nic z tego zrozumieć nie mogę. Znam każdą dziurę i każdy schowek na Elsynorze i wiem, że nie ma ani jednej uncji prowiantu na przodzie okrętu. A jednak mają co jeść! Przerzuciłem do góry nogami cały lazaret. Na ile tylko mogę sprawdzić, niczego nie brakuje. A więc skąd to dostają? Chciałbym to tylko wiedzieć! Chciałbym to wiedzieć!

Wiem, że rano strawił całe godziny w lazarecie ze stiuardem i kokiem na sprawdzaniu zapasów według listy towarów, dostarczonych przez agentów w Baltimorze. I wiem, że wszyscy trzej wyleźli z lazaretu, złani potem i zupełnie zbici z tropu. Stiuard postawił hipotezę, że po pierwsze, były na statku prowianty, pozostałe z poprzedniej podróży, a po drugie, że wykradano je systematycznie po nocach, podczas wacht Mr. Mellaire.

Zaczynam rozumieć, co to znaczy stać wachtę naprzemian. Spędzam na pokładzie dwanaście godzin, a nawet trochę więcej na każde dwadzieścia cztery godziny. Dobre kilka godzin z pozostałych dwunastu rozchodzi mi się na jedzenie, ubieranie i rozbieranie, i z Margarytą, a w rezultacie zaczyna mi doskwierać brak snu. Prawie zupełnie nie czytuję. Z chwilą, gdy przyłożę głowę do poduszki, zasypiam. I śpię, jak kamień. Od lat już nie czułem się fizycznie tak dobrze. Spróbowałem

wczorajszej nocy czytać George'a Moora i strasznie mnie znudził. Przypuśćmy, że jest realistą, a mimo to nie zna życia, jak należy. Gdyby odbył podróż na takim żaglowcu dokoła Hornu byłby o wiele lepszym pisarzem.

Faun żyje, mimo mej nieszczęsnej kuli. Henry twierdził kategorycznie, że go dostrzegł wczoraj. Dziś widziałem go na własne oczy. Podszedł do rogu kajuty śródkrętowej i z natężeniem patrzył ku rufie, usiłując zrozumieć, co się dzieje. W ten sam sposób Possum często patrzy na mnie.

A piękna pogoda trwa. Zachodzę w głowę, ile czasu potrwa, nim buntownicy pochłoną cały tajemniczy zasób swej żywności i nim głód ich zapędzi w karby posłuszeństwa. Znajdujemy się na zachód od Valparaiso mniej niż na tysiąc mil od zachodniego wybrzeża Południowej Ameryki. Podług Mr. Pika, lekkie północne morki, oscylujące od północo-wschodu do zachodu, powinnyby były nas zanieść do Valpara-iso bez trudu, gdyby tylko Elsynora, żeglowała. Tak jak rzeczy stoją, Elsynora, nieożaglona i nieżeglująca, błąka się bez celu i nie posuwa się prawie, o ile nie liczyć małego dryfu na północ.

Mr. Pike traci głowę i panowanie nad sobą. Widzę, jak z dnia na dzień coraz bardziej opanowuje go żądza zemsty na drugim oficerze. Bunt sam przez się drażni go tylko. Bunt nie wyprowadza go z równowagi. Obecność na okręcie mordercy uwielbianego Kapitana Somersa odbiera mu zimną krew.

Pierwszy oficer pokpiwa sobie z buntu, z zadowoleniem wspomina, jak płaca jego wzrosła, i żałuje, że nie jest na brzegu, żeby podwyższyć swą stawkę asekuracyjną. Ale na widok Sidneya Walthama, spokojnie obserwującego z dziobu, morze i niebo, albo siedzącego okrakiem na bukszprycie i łowiącego rekiny, blednie i zagrzyta zębami. Wczoraj pożyczył ode mnie karabinka i gradem małych kul obsypał bukszpryt. Oczywiście miał bardzo małą szansę trafienia Sidneya Walthama, który spokojnie umocował swą wędkę, zanim zeszedł z bukszprytu i skrył się do kaszteleu. W każdym jednak razie Sidney Waltham wolał nie narażać swej szacownej osoby na długotrwały i uparty ogień Mr. Pika.

A jednakże nie jest ten bunt podobny do klasycznych buntów na pełnym morzu, którymi zaczytywałem się w zaraniu mej młodości. Nie ma walki na białą broń, ani huku armat, ani błysku kindżałów, ani marynarzy pijących grog, ani zapalonych lontów, trzymany nad otwartym arsenałem z beczkami z prochem. Wielkie nieba! — Nie ma ani jednego kindżału, ani też beczki z prochem na całym statku. A co do grogu, to marynarze nie pili, bo nie mieli skąd wziąć, whisky od wyruszenia z Baltimore.

Mimo to wszystko, jest to bunt, koniec końców. Wszelkie wątpliwości mnie opuściły pod tym względem. Jest to bunt tysiąc dziewięćset trzynastego roku na frachtowcu węglowym, bunt załogi, złożonej z cherlaków, matołów i przestępców, prawda, ale śmierć zbiera na naszych pokładach niemniej obfite żniwo, jak gdyby był to bunt za dawnych dobrych czasów. Wiele różnych rzeczy zaszło od czasu kiedy miałem sposobność poraz ostatni zapisywać kronikę wypadków w dzienniku okrętowym. Prowadzę, bowiem, urzędowo dziennik okrętowy Elsynory, o ile Margaryta mnie w tym nie zastępuje.

O czwartej zrana wczoraj zmieniłem Mr. Pika.

Podszedłem do niego w ciemności do zrębu rufy, a odmruknął mi dopiero, gdy po raz drugi do niego się zwróciłem.

W następnej chwili rozruszał się i ożywił, tylko, że ożywienie jego było sztuczne. Czuję to, ale nie byłem przygotowany na to, co nastąpiło.

— Będę z powrotem za minutę — powiedział, przełożył nogę przez parapet, i lekko, prędko, opuścił się na dół w ciemności.

Nic nie mogłem poradzić. Gdybym go zawołał, lub spróbował przekonywać, zwróciłbym tylko

uwagę buntowników. Doszedł mnie odgłos *jego* skoku na pokład, gdy puścił się zrębu rufy. Niezwłocznie ruszył na przód. Nie zachowywał wcale ostrożności. Przysięgnę, że do samego śródokręcia słyszałem charakterystyczne jego powłóczenie nogą. Potem odgłos jego kroków ucichł w oddali i to było wszystko.

Powtarzam. To było wszystko. Żaden głos nie doszedł z przodu okrętu. Stałem wachtę do świtu.

Czekałem, aż Margaryta wyszła z kajuty i zawołała do mnie w sposób zwykły: — Hej, co nowego, dzielny oficerze? — Stałem następną wachtę (która przypadała pierwszemu oficerowi) do południa, zjadłszy śniadanie i lunch za osłoną tylnego masztu. Dyżurowałem całe popołudnie i przez obie wieczorne wachty, a obiad został mi podany w ten sam sposób na pokładzie.

I to wszystko. Nic się nie stało. Komin kambuza dymił trzykrotnie, dowodząc, że buntownicy trzykrotnie gotowali strawę. Kciuk robił mi kłownowskie miny jak zwykle ponad zrębem przedniej nadbudówki. Londyńczyk z Małty złapał albatrosa. Powstało na dziobie poruszenie, gdy Grek Tony zobaczył rekina z bukszprytu a rekin był tak wielki, że sześciu ludzi wyciągało go z wody i nie mogło poradzić. Ale nigdzie nie dojrzałem ani Mr. Pika, ani renegata Sidneya Walthama.

Był to słowem, leniwie płynący, spokojny dzień słoneczny i owietrzony łagodną mokrą. Znikąd wieści, ani żadnej poszlaki co do losu pierwszego oficera. Co się z nim stało? Czy był jeńcem? Czy poszedł już w ślad za tyłu innymi za burtę? Dlaczego nie było wystrzałów. Wziął przecież swój pistolet. Rzecz niepojęta dlaczego nie wystrzelił choćby raz. Margaryta i ja roztrząsaliśmy tę sprawę i roztrząsali, ale nic nie uradziliśmy. Jak kamień w wodę.

Prawdziwa z niej córka zwycięskiej rasy. Ku końcowi drugiej wieczornej wachty przyszła uzbrojona w rewolwer swego ojca, aby stać pierwszą nocną wachtę. Musiałem się pogodzić z tym, sam nie będąc w stanie zawsze wartować. Kazałem jednak Wadzie zrobić mi postanie na pokładzie pod osłoną kajutowej luki świetlnej u tylnego masztu. Henry, dwaj żaglownicy i stiuard, uzbrojeni w noże i maczugi, zostali rozstawieni u zrębu rufy.

Na okrętach takich, jak *Elsynora* jest mało broni zarówno dla ataku, jak i obrony; my na rufie jesteśmy bardzo słabo uzbrojeni. Z broni palnej mamy tylko Kapitana Westa 38-o kalibrowy Colt i mój 22-u kalibrowy karabinek Winchestera. Stary stiuard ma długi nóż kuchenny i rzeźniczką stawkę. Henry, prócz noża marynarskiego u pasa, staje do apelu, z krótką sztabą żelazną. Louis, choć rozporządza arsenałem noży i tłuczków z kambuza, wierzy w skuteczność obrony ukropem, i pilnuje, aby dwa sagany z gotującą się wodą bulgotały na naszym piecu kajutowym. Buckwheat, który wskutek otrzymanej rany ma kilka nocy wolnych, piastuje siekierkę.

Wszyscy zaś podkomendni mają noże i maczugi, Yatsuda, pierwszy żaglownik, nosi się z siekierą, a Uchino, drugi nasz żaglownik, nie rozstaje się z młotkiem. Tom Spink włada harpunem, Wada jednakże ma pomysły genialne. Zrobił sobie rodzaj piki, przytwierdziwszy ostrze na kij, i zamierza od jutra przystąpić do fabrykacji broni dla innych.

Mimowolny dreszcz mną wstrząsa na myśl, co za arsenał kling, bagnetów i pił buntownicy znaleźli w warsztacie cieśli okrętowego. Jeżeli dojdzie do ataku na rufę będą prawdziwe jatki, a pozostali przy życiu najdziwaczniejsze rany będą mieli do opatrywania. Dopóki jednak automatyczny karabinek jest w moim ręku, mogę niedopuszczyć w dzień do szturm. Co prawda, o ile do szturm dojdzie, nastąpi on w nocy, kiedy mój karabinek nie zda się na nic. Wówczas dojdzie do walki ręcznej i najsilniejsze łapy i ramiona zwyciężą.

Ale nie. Znalazłem sposób obrony. Będziemy przygotowani na nocny atak. Rzecz jest prosta — iluminacja pola bitwy. Ale co za iluminacja! Na zawartość mego przyrządu składa się trochę gazoliny, pakuły, kapsle i proch z kilku nabo. A poza tym — świece rzymskie i ognie bengalskie niebieskie, czerwone i zielone. A cóż potrzeba do samego przyrządu? — metalowych miednic, by w



nich umieścić materiały wybuchowe i łatwopalne, ponadto trzeba kurkowego mechanizmu, aby przy pociągnięciu za sznurek wybuchły kapsle, a od nich zapalił się proch, a od prochu pakuły, nasiąkłe gazoliną a w nich ognie bengalskie i rzymskie świece. — Eureka!

Pracowałem jak trojańczyk dzień cały i pomysł mój urzeczywistniłem. Margaryta radziła to, lub owo, a Tom Spink wykonał wszystkie roboty, związane z związaniem aparatu. Nad naszymi głowami od tylnego masztu stalowe pręty, utrzymujące trzy tylne trajsle, biegną w dół ponad zrębem rufy i ponad głównym pokładem do bezań-masztu. Cienka linka została zarzucona na każdy pręt raz po razie tak, że utworzył się węzeł. Tom Spink po zapadnięciu ciemności wdrapał się w olinowanie i przytwierdził pierścienie ze sztywnego drutu dokoła prętów poniżej węzłów. Potem połączył linkami stałe węzły z ślizgającymi się po prętach pierścieniami. A między węzłami i pierścieniami jest pięćdziesiąt stóp luzu cienkiej linki.

Myśl jest taka. Co noc po zapadnięciu ciemności whisujemy nasze, trzy miednice, obładowane palnym materiałem, w górę prętów. Przy pierwszym alarmie pociągnąwszy za linkę od kurka, zapala się proch, jednocześnie zaś zwalnia pierścienie, które zaczynają się zsuwać w dół po prętach. Oczywiście, przyczepione do pierścieni jadą z nimi w dół pochodnie, a gdy zsuną się na pięćdziesiąt stóp linki automatycznie je powstrzymują. Wtedy pokład główny między rufą, a bezań-masztem będzie zalany światłem, a my stosunkowo w półcieniu.

Naturalnie każdego rana przed świtem mieliśmy opuszczać aparat na pokład, aby ludzie z przodu okrętu nie mogli odgadnąć, co się świeci. I dobrze się stało, bo zaraz dziś zauważyli te wszystkie części aparatu, które musieliśmy zostawić na omasztowaniu. Głowa po głowie ukazywała się ponad zrębem przedniego domu. Wyglądali i przypatrywali się, i usiłowali zrozumieć, co to być może. Łapię się na myśli, że niemal chciałbym, aby atak nastąpił jaknajprędzej i abym mógł zobaczyć, jak działa mój aparat.

## ROZDZIAŁ XLIV.

A co się stało z Mr. Pikiem pozostaje tajemnicą. Ale jednocześnie powstaje pytanie, co stało się z drugim oficerem? Przez ostatnie trzy dni notowaliśmy sobie, kogo z buntowników widzieliśmy. Pokazali się wszyscy, prócz jednego jedynego Mr. Mellaire, a właściwie Sidneya Walthama, jak powinienem go nazywać. Nie pokazał się od fatalnej nocy; nigdzie go nie można dojrzeć. To dziwne. Gubimy się w przypuszczeniach.

W ciągu trzech ostatnich dni rozmaite ciekawe rzeczy się wydarzyły. Margaryta stoi ze mną wachty naprzemian, co dzień i w nocy, gdyż nie ma wśród naszych podwładnych człowieka, któremu możnaby powierzyć tak odpowiedzialną funkcję. Choć bunt trwa i wciąż jesteśmy oblegani w rufie, wobec pięknej pogody, stali się oni tak niedbali, że śpią za strażnicą, kiedy wypada ich wachta na pokładzie. Jak prawdziwi marynarze, którym się dobrze dzieje, tyją i robią się leniwi. Nawet Louisa, stiuarda i Wadę złapałem na ucinaniu sobie drzemki. W gruncie rzeczy *trzyma*, się jeden Henry, uczeń okrętowy.

A tak nauczyłem rozumu Toma Spinka. Od czasu zniknięcia pierwszego oficera, zmienił się bardzo na niekorzyść. Bojąc się Mr. Pika, niemniej polegał on na nim i liczył, że pod jego przewodnictwem wyjdzie z tej awantury, jeżeli nie z całą skórą, to przynajmniej żywy. Ale we mnie nie wierzył. Jakie szanse miał dżentelmen-pasażer i córka kapitana w walce przeciwko całej bandzie z kasztelu? Tak musiał niezawodnie rozumować. Oboje, i ja, i Margaryta, zauważyliśmy w. jego zachowaniu pierwsze oznaki zuchwalstwa i niesubordynacji. Onegdaj omówiliśmy tę sprawę.

— Jest dobrym marynarzem, ale słabego charakteru — powiedziała. — Jeżeli pozwolimy mu tak zachowywać się w dalszym ciągu, popsuje resztę.

— Dobrze, ja go wezmę w obroty — oświadczyłem odważnie.

— Będziesz musiał dać mu nauczkę — zachęciła mnie. — Bądź surowy. Bądź surowy. Musisz być surowy.

Ci, którzy wysokie zajmują stanowisko, muszą być surowi ale nie łatwo być surowym. W ciągu krótkiego czasu nie nauczy się nowicjusz warkliwego panowania nad podwładnymi Mr. Pika, ani też wyniosłego, mrozącego krew panowania Kapitana Westa. Rzeczywiście sytuacja moja nie jest łatwa. Od chwili, gdy Margaryta zaleciła mi surowość, obserwowałem Toma Spinka nieustannie. Byłem jak na rozżarzonych węglach, gotując się każdej chwili do rozprawy. Tom Spink musiał wyczuwać ten naprężony stosunek, bo wystrzegał się pilnie wyraźnego wykroczenia, lawirując ciągle na samej granicy między dozwolonym, a karygodnym. A nadto widziałem, że Buckwheat czeka, co wyniknie z tej podstępnej gry. Kose oczy Azjatów, oczywiście, dostrzegły ją również. Louis łamał się z sobą, aby nie ostrzedz. Widziałem to wyraźnie. Jednakże zdołał się powstrzymać od tego nietaktu i utrzymać język za zębami.

Nareszcie wczoraj, gdy stałem na warcie, Tom Spink wypluł sok z prymki tytoniowej na pokład. Otóż trzeba wiedzieć, że jest to tak poważne wykroczenie z punktu widzenia dyscypliny okrętowej, jak bluźnierstwo z punktu widzenia kościoła.

Margaryta podeszła do mnie, do masztu tylnego, u którego stałem, a wzięwszy mój karabinek, zastąpiła mnie, abym mógł udać się na rufę.

Na pokładzie widniała brzydka plwocina. Policzek Toma Spinka wypchany był prymką.

— Wy tam, weźcie pakuły i zetrzeć mi to zaraz! — rozkazałem w najprostszy sposób, na jaki mogłem się tylko zdobyć.

Tom Spink obrócił tylko prymkę językiem w gębę na przeciwną stronę i patrzył na mnie. drwiąco. Ręczę, że nie był więcej zdumiony, niżli ja sam, tym, co w następnej chwili się stało. Jak

wystrzelona z łuku strzała, wyskoczyła ku niemu moja pięść i Tom Spink poleciał na pokrytą brezentem maszynę do sondowania i potoczył się na pokład. Chciał się na mnie rzucić, ale nie dałem mu powstać i przygwoździłem do pokładu.

Od czasów szkolnych nie uderzyłem nikogo pięścią i, wyznam szczerze, sprawiło mi to prawdziwą przyjemność. A bijąc Toma Spinka i obsypując gradem ciosów, rzuciłem okiem na Margarytę. Wystąpiła z poza osłony masztu i przyglądała się od rogu strażnicy. Patrzyła na mnie i na mego przeciwnika zimnym kalkulującym wzrokiem. Fakt, że moja pani była świadkiem walki, sprawiał, że biłem się dzielniej, z większym zapałem zadawałem ciosy i mocniej garbowałem skórę niefortunnemu marynarzowi.

I kostki rąk bolą mnie i są napuchnięte. Przystaję pisać na chwilę, by im się przyjrzeć. Mam nadzieję, że obrzmiałość ta zejdzie wkrótce.

W każdym razie Tom Spink, otrzymawszy frycówkę, obiecał się poprawić i spełniać rozkazy.

— Sir! — zagrzmiałem na niego, zupełnie w ten sam sposób, co Mr Pike.

— Sir! — zamarotał krwawiącymi wargami. — Tak, sir; wytrę to, sir. Tak, sir.

Ledwie się powstrzymałem od roześmiania mu się w nos, tak komiczna była rzecz cała; mimo to przybrałem najwynioślejszą, najsurowszą, najokrutniejszą minę, na jaką tylko się zdobyć mogłem, kiedy wycierał pokład. Najśmieszniejsze ze wszystkiego, że musiał z emocji połknąć prymkę, krztusił się i dusił cały czas przy wycieraniu pokładu.

Odtąd atmosfera na rufie cudownie się oczyściła, Tom Spink posłuszny jest na każde skinienie, a Buckwheat zdradza taką samą gotowość do spełnienia rozkazów. Co zaś do pięciu Azjatów, to, czuję, tworzą za mną bardziej zwarty zastęp od chwili, gdy okazałem zdolność do panowania. Zmasakrowawszy fizjonomię jednemu z naszych ludzi, podwoiłem nasze siły. I nie zachodzi już potrzeba teroryzowania kogokolwiek. Azjaci są pełni dobrej woli i sprężystości. Henry to kadet z naszej krwi, Buckwheat daje się prowadzić przez Toma Spinka, ten zaś jako prawdziwy chłop angielski będzie służył wiernie, dostawszy w skórę.

Dwa dni upłynęło i dużo godnych uwagi rzeczy zaszło. Zapasy prowiantu u buntowników zaczynają się wyczerpywać i nastąpiło pierwsze zawieszenie broni.

Zauważyłem przez szkła, że nie wyrzucają już za burtę ptaków morskich, które im się udaje złowić. A zatem zjadają już niesmaczne i twarde ich mięso, choć nie znaczy to, by wyczerpali wszystkie swe zapasy.

Margaryta zauważyła pierwsza spadek barometru i zbierające się chmury na niebie. Ona to zwróciła moją uwagę, że będzie wiatr.

— Gdy tylko powstanie fala — powiedziała — luźna grot-reja i cała reszta z topów pospada na pokład.

Z tego to względu podniosłem białą flagę na znak gotowości do pertraktacji. Bert Rhine i Charles Davis podeszli i zatrzymali się przed śródkręciem i podczas, gdy rozmawialiśmy ponad zrębem przedniej nadbudówki, wyglądało wiele oczu, a po obu stronach kasztelu ukazało się wiele postaci.

— Co, jesteście zmęczeni? — brzmiało bezczelne powitanie Berta Rhine. Co możemy dla was zrobić?

— Tak, możecie — odpowiedziałem ostro. — Możecie się ocalić, aby, kiedy powrócicie do roboty, było was dość do żeglowania okrętem.

— O, jeżeli zaczynacie z tej beczki — wyrwał się Charles Davis, ale urwał, spiorunowany wściekłym spojrzeniem bosmanmata.

— No, cóż takiego? — spytał Bert Rhine.

— To dla waszego dobra — odpowiedziałem. — Idzie wiatr, a wszystkie te niepozwijane żagle

zrzucą wam reje na głowy. My tutaj jesteśmy bezpieczni, Wy, jedni się narażacie, i dlatego w waszym interesie jest wdrapać się na maszty czymprędzej i wszystkie żagle umocować.

— A jeżeli nie będzie się nam podobała? — szydził bosmanmat.

— Wasze ryzyko — odpowiedziałem niedbale. — Tylko zwrócę waszą uwagę, że jedna z tych stalowych rej na pewno na sztorc przebije dach kasztelu, jak łupinkę od jajka.

Bert Rhine spojrział na Charlesa Davisa, aby zasięgnąć jego zdania, ten zaś skinął głową.

— Najpierw to omówimy między sobą — oświadczył bosmanmat.

— A ja dam wam dziesięć minut — odparłem. — Jeżeli w ciągu tych dziesięciu minut nie zabierzecie się do roboty, w każdego, który się pokaże wpakuję kulę.

— Dobrze, omówimy to.

Gdy zawrócił, zawołałem w ślad za nimi:

— Jeszcze chwilę. Zatrzymali się i odwrócili.

— Co zrobiliście z Mr. Pikem? — spytałem. Nawet opanowany Bert Rhine nie mógł całkowicie ukryć zdumienia.

— A co wy zrobiliście z Mr. Mellaire? — odparł. — Powiedzcie nam, a my wam powiemy.

Nie ulegało wątpliwości, że zdumienie jego nie było symulowane. Najwidoczniej buntownicy przypisywali nam zniknięcie drugiego oficera, tak, jak my im przypisywaliśmy zniknięcie pierwszego oficera. Im więcej nad tym rozmyślałem, tym prawdopodobniejsze się dla mnie stało, że pozabijali się nawzajem.

— Jeszcze jedno — rzuciłem prędko. — Skąd bierzecie jedzenie ?

Bert Rhine zaśmiał się swym cichym, milkliwym śmiechem; Charles Davis zrobił minę tajemniczą, i wyniosła, a Kciuk wyskoczył z poza węgła nadbudówki i zatańczył taniec wojenny.

Wyciągnąłem zegarek.

— Pamiętajcie — powiedziałem — że macie zacząć w ciągu dziesięciu minut.

Zawrócili i poszli naprzód. Nim dziesięć minut upłynęło, cała banda była w omasztowaniu i zwijała żagle. Przez cały ten czas nadlatujący z północo-zachodu wiatr się wzmacniał. Od dawna nie słyszany rozbrzek olinowania ciągnął nad okrętem, a ludzie, sądząc, że naprawdę wskutek wyjścia z wprawy, pracowali powoli.

— Nieźle byłoby, aby górne i dolne topsle zostały rozwinięte, tak, żeby można było lec w dryf — podpowiadała mi Margaryta. — Zrównoważyłoby to okręt i byłoby nam wygodniej.

Uchwyciłem się tej myśli, tylko ją rozwinąłem:

— Lepiej rozwińcie górne i dolne topsle, tak; byśmy mogli zabezpieczyć okręt — krzyknąłem do bosmanmata, który rozkazywał, zupełnie jak pierwszy oficer, z platformy śródokręcia.

Zastanowił się chwilę, a potem wydał właściwe rozkazy, chociaż to Londyńczyk z Malty i Nancy Buyers pod jego nadzorem byli wykonawcami tych rozkazów.

Kazałem Tomowi Spinkowi stanąć u steru, bezużytecznego tak długi czas, i dołem mu kurs wprost na wschód. Wiatr w ten sposób mieliśmy w pół lewej burty i Elsynora zaczęła pruć wodę pod pomyślną morką. A na wschód mniej, niż o tysiąc mil leżało wybrzeże Południowej Ameryki i port Val-paraiso.

I dziwna rzecz, nikt z buntowników nie zaprotestował przeciw temu manewrowi. Po zapadnięciu ciemności wysłałem moich własnych ludzi na górę strażnicy, by spinakier zwolnili z raband. Był to jedyny żagiel, który mogliśmy podnosić i rozciągać i skrócić, jedyny w naszym ręku. Bezań-brasy od czasu opływania Hornu wciąż były umocowane na rufie, choć przez to władaliśmy bezań-rejami, rozwijanie i zwijanie samych bezań-żagli zależało od bandy z kasztelu.

Margaryta, stojąc poza mną w ciemności u zrębu rufy, włożyła rączkę w moją rękę i uściśniła ją.

Obie nasze nieliczne wachty chwiały się ponad spinakrem my zaś, wstrzymując oddech, staraliśmy się wyczuć zwiększenie szybkości Elsynory.

— Nigdy nie chciałam wyjść za marynarza — powiedziała. — Myślałam, że nic mi nie grozi z takim lądowym, jak ty. A teraz odezwała się w tobie krew marynarzy i doskonale bierzesz kurs na wschód do portu. Prędko zobaczę cię jeszcze z sekstansem, łapiącego słońce, lub mierzącego wysokość gwiazd.

# ROZDZIAŁ XLV.

Upłynęło jeszcze cztery dni, wicher przeszedł, jesteście nie więcej, niż o trzysta pięćdziesiąt mil od Valparaiso, Elsynora znowu nigdzie nie zmierza chybcząc się przy lekkich podmuchach morki i posuwa się o tyle zaledwie, ile ją dryf znieśie.

Przy najmocniejszych porywach wichru, w jego punkcie przelomowym w ciągu tych trzech dni i nocy robiliśmy osiem do dziewięciu węzłów. Zdumiewała mnie milcząca zgoda buntowników na mój plan. Orientowali się przecież, dokąd zmierzamy. Władali żaglami, a mimo to pozwalali mi zbliżyć się do wybrzeży Południowej Ameryki.

Ba, kiedy wiatr osłabł rankiem trzeciego dnia, drapali się na maszty, rozwinęli bom-topsle i szczytowe żagle i nastawili reje na morkę w pół burty. Tego było dla mnie za wiele. Zagrała we mnie krew anglo-saska. Dokonałem Elsynorą zwrotu, wyszedłem pod wiatr, i kazałem przytrocić koło sterowe. Zarówno Margaryta, jak i ja przyszliśmy do przekonania, że chcą zbliżyć się do lądu, aż brzeg się ukaże, aby zdezertować wówczas w szalupach.

— Ale my nie możemy pozwolić, aby zdezerterowali — oświadczyła Margaryta z błyszczącymi oczyma. — Żeglujemy do Seattle. Oni muszą powrócić do służby. Prędko już wrócą, bo głód zaczyna im doskwierać.

Dziwna rzecz, wicher, który był przeszedł w łagodną morkę, nawrócił. Żagle były niezwinęte. Płachty zaczęły łopotać. Można sobie wyobrazić szastanie się, łoskot, rozgrzmiot w olinowaniu. Kto żyw, wysypywał z kasztelu, by zobaczyć, co się dzieje.

— Zwinicie żagle — krzyknąłem do Bert Rhina, który w towarzystwie Charles Davisa i Londyńczyka z Malty zapędził się aż pod rufę, aby lepiej słyszeć rozruch w ożaglowaniu.

— Żeglujcie pod wiatrem, a nie będzie wam trzeba zwijać! — bosmanmat dowrzasał mi w odpowiedzi z dołu.

— Chcecie do brzegu, he? — ryknąłem z góry. — Głód skręca wam kiszkę, he? A my nie chcemy do lądu, choćby tysiąc lat przyszło się błąkać po morzu.

— Co zrobicie, jeżeli zwiniemy żagle? — wtrącił Charles Davis.

— Weźmiemy kurs na pełne morze — odpowiedziałem — aż wygłodzimy was tak, że wrócicie do roboty.

— Pozwijamy, aby lec w dryf — zaproponował bosmanmat.

Potrząsałem głową i podniosłem broń. — Musicie wdrapać się na maszty aby to zrobić, a pierwszy, który pokaże się w drablinach pokosztuje ołowiu.

— A więc niech to biorą wszyscy diabli! — zakończył z patosem.

A właśnie w tej samej chwili runęła fok-bom-topreja — szczęśliwie że przy takim położeniu okrętu, kiedy dziobem zjeżdżał w bruzdę fali, z rozgrzmiotem, wielka reja chaotycznie leciała w uskokach, gmatwając się i znowu w dół waląc, i legła wreszcie na rumowisku przęśła pomostu między fok-masztem, a kaszteltem.

Bert Rhine słyszał, lecz nie mógł zdać sobie sprawy z rozmiaru szkody. Spojrzał na mnie w górę wyzywająco i drwił:

— Chcecie poczekać, aż i inne polecą! Tymczasem nie mogło się to wydarzyć bardziej a propos. Topenanty wielkiego bezań-żagla, najpierw lewa toplina, potem prawa, pękły. Była to wielka, najniższa reja bezań-masztu, a kiedy olbrzymi ten drąg stalowy przerażająco zaczął się szastać wtył i naprzód bosmanmat i jego towarzysze odwrócili się i aż przysiedli, zadzierając głowy. W następnej chwili puściła ogręcz pnia masztu, na której reja się wahała. Przy gwałtownym przechyle okrętu reja runęła końcem wdół wprost na lukę Nr. 3, rozbijając na drzazgi tę część pomostu.

Wszystko było. rzeczą nową dla bosmanmata — a również i dla mnie, ale Charles Davis i Londyńczyk z Malty zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa.

— Uważajcie, aby którego z was nie przetrąciło! — krzyknąłem im szyderczo i wszyscy trzej cofnęli się instynktywnie, przebiegając wzrokiem po omasztowaniu i szukając oczyma rei, która mogła lada chwila na nich runąć.

Dolny topsel wyrwał się z raband i poniósł z wichrem ku podwietrznej, czyniąc taki rumor, jakby nowa reja leciała z masztu. Wyznam, że i ja tak przypuszczałem w pierwszej chwili.

Bosmanmat - przywódca, choć nie marynarz, był dość inteligentny, by ocenić niebezpieczeństwo. Spojrzał ku mnie w górę. I muszę mu dodać sprawiedliwość, że nie śpieszył się zbyt z kapitulacją, podczas, gdy cała góra ze stali, konopi i płótna zdawała się im walić wprost na głowy.

— Trza będzie umocować reje — skapitulował. — Lepiej niech ściągają, żagle szczytowe i bomtopsle — szepnęła mi Margaryta do ucha.

— Skoro tak, to zwińcie szczytowe i bom-topsle! — ryknąłem w dół. — I dobrze je umocujcie rabandami.

Na twarzach Londyńczyka z Malty i Charlesa Davisa wyraźnie odbiła się ulga i na skinienie bosmanmata ruszyli pędem na przód, by jaknajprędzej zmobilizować swych ludzi.

Rzadko kiedy w tej podróży załoga biegła do roboty tak energicznie, jak w owej chwili. A trzeba było działać błyskawicznie, aby ocalić ożaglowanie Elsynory. Odcięli nożami resztki niższego bezańtopsla i grot-szczytowy żagiel zwolnili z ref-sejzingów.

Pierwszą próbę złamania naszego układu podjęli na grot-topslu, usiłując go zwinąć. Ponieważ bezańżagiel zdęło, ponieważ bezań-topsel został odcięty, mogłem zobaczyć co się dzieje. Gdy bzykliwe osy z mego karabinka zaczęły dziurawić płachty żagielne i rekoszetować od stalowych rej, ludzie, wiszący na rei i podbierający wydęty żagiel, zsunęli się zeń czymprędzej, i puścili rabandy. Skinąłem Bert Rhinowi, by żagiel spuszczone z powrotem i na rozkaz Bert Rhina żagiel odrefowano, a reję umocowano.

— Poco uciekać od brzegu? — powiedziałem do Margaryty, gdy szczytowe żagle były zwinięte, a reje postawione na wiatr. — O ile chodzi o wygłodzenie załogi, wszystko jedno, czy będziemy o trzysta pięćdziesiąt mil od brzegu, czy o trzy tysiące pięćset.

Zamiast, tedy, żeglować pod wiatrem na pełne morze, przeprowadziłem Elsynorę na przeciwny ciąg, dając jej zaledwie dryfować na zachód i południe.

Ale nasi buntownicy wzięli nad nami górę tejże nocy. W ciemnościach w omasztowaniu słyszeliśmy odgłos ich pracy. Spuszczano reje, zwijano żagle, mocowano je do rej, i wiązano rabandami. Dałem parę wystrzałów na chybił trafił, ale odpowiedzią był mi skrzyp bloków i zgrzyt lin, przez nie biegnących, i równie bezcelowe strzały rewolwerowe.

Sytuacja wytworzyła się dziwna. My z wzniesionego miejsca możemy sterować Elsynorą podczas, gdy banda z kasztelu włada jej siłą popędową. I jeszcze jest inna strona medalu. Uważam ten bunt za śmieszny i groteskowy. Niej było jeszcze takiego buntu na świecie. Za dawnych czasów, za czasów klasycznych buntów na pełnym morzu, zbuntowani marynarze rzuciliby się jak tygrysy na rufę, wybiliby większość z nas, albo sami do nogi byliby wybici. Toteż ja gwizdzę na naszych pyszałkowatych buntowników, ale Margaryta odmiennego jest zdania. Twierdzi ona, że natura ludzka zawsze jest jednaka i w podobnych okolicznościach podobnie się objawia. Wspominając zabitych, których posiała już po morzach Elsynora upewnia, że prędzej, czy później, gdy głód bandę z kasztelu dostatecznie przyciśnie, rzucą się której nocy szturmem na rufę.

Tymczasem trwa idylla. Gdyby nie konieczność ustawicznego czuwania, które mnie i Margarytę obarcza wyłącznie, bunt załogi byłby tylko atrakcją, dodającą pikanterii naszej miłosnej awanturze.

Ile uroku ma dla nas każda zmiana na warcie. Wiecznie zmienna panorama nieba i morza, z ust do ust szeptem podane rady, rozkazy, wcałowane w dłoń ciepłą...

Margaryta miała rację. Bunt nie odbiega zasadniczo od tradycji wszelkich innych buntów. Mieliśmy pełne ręce roboty w dnie i nocie. Ditman Olansen, pasjonat Elsynory został zabity przez Wadę, a los taki spotkał również i naszego dzielnego ucznia okrętowego, Henry'ego, który poszedł za burtę z worem węgla u nóg. Był atak na rufę. Moje iluminatory spisały się doskonale. Buntownicy cierpią głód, a my ostaliśmy się na rufie.

Przede wszystkim atak na rufę, dwie noce temu, podczas wachty Margaryty. Nie; przede wszystkim sfabrykowałem nową broń. Wziąwszy sobie do pomocy starego stuarda, który, jako Chińczyk znał się niezłe na fajerwerkach, z materiałów, wydobytych z naszych ogni sygnałowych i rakiet, przygotowałem bomby. Nie sądzę, by były naprawdę niebezpieczne, a zaimprovizowane ich lonty, pewien byłem, wolniej tlić się muszą, niżli Elsynora żegluję w obecnej chwili; pomimo to bomby, jak zobaczycie, spełniły swe przeznaczenie.

A teraz wróćmy do ataku na rufę. Zaszło to podczas wachty Margaryty, między północą, a czwartą rano. Ponieważ sypiałem na pokładzie przy luce świetlnej, byłem w pobliżu Margaryty, gdy z jej rewolweru zaczął padać strzał za strzałem.

Pierwszym mym odruchem było skoczyć do lin, zwalniających pochodnie-iluminatory. Zapalniki i linki nie zawiodły. Pociągnąłem za dwie linki i dwa przyrządy iluminacyjne wybuchły z trzaskiem i rozbłysły olśniewająco zsuwając się jednocześnie po prętach tylnego sztaksla, póki nie zatrzymały się u końca swych lin. Iluminacja była natychmiastowa i wspaniała. Henry, dwaj żaglownicy i stuard — jeżeli nie wszyscy spali, to conajmniej trzech z nich — zbudzili się ze snu mocnego — i popędzili na pomoc nam do zrębu rufy. Przewaga była po naszej stronie, gdyż znajdowaliśmy się w półmroku, a nasi wrogowie mieli światło poza sobą.

Cóż to było za światło! Proch trzaskał, syczał, furkotał i wypryskiwał nadmiar gazoliny i rozplomienione kule pakuł tak, że strugi ognia polały się w dół i po głównym pokładzie. A ognie bengalskie roniły z góry światło czerwone i niebieskie, i zielone.

Starcie było krótkie i prawie do niego nie doszło tak odstraszyły buntowników nasze iluminatory. Margaryta strzelała z rewolweru na chybił trafił, ja zaś z strzelbą u ramienia czekałem na tych, którym by się udało dostać na rufę. Ale atak minął równie prędko, jak przyszedł. Zobaczyłem, że Margaryta trafiła jakiegoś człowieka, który przełaził przez lewostronny parapet rufy, a w następnej chwili Wada, rzucił się na niego i, jak byk na rogi, podniósł go uderzeniem dzidy w pierś i zrzucił z rufy na pokład. I nic więcej. Reszta zaczęła zmiatać i znikła w ciemnościach podczas, gdy trzy trajsle u stóp prętów bd sztakli, najbliższe bezań-masztu, zapaliły się od spływającej gazoliny i spaliły całkowicie choć nic ód nich się nie zajęło. Na szczęście, na okrętach stalowych ze stalowym omasztowaniem nie grozi niebezpieczeństwo ognia,

A na pokładzie u stóp rufy pokurczony z twarzą, ukrytą tak, że nie można było go rozpoznać, leżał człowiek, którego Wada nadział na dzidę.

I jest jedna strona przygody, którą przeżywamy, a o której nie wyczytałem w książkach. To niedbalstwo i lenistwo w sprawach, gdzie chodzi o życie, lub śmierć. Zużyłem dwa iluminatory. Jeden tylko pozostał. W godzinę potem, zauważywszy, że ludzie poruszają się po pokładzie, zapaliłem: trzeci i ostatni. Światło odstraszyło napastników. Czy chcieli nas zaskoczyć zniemacka, by się dowiedzieć, czy iluminatory nam wyszły, czy też szli, aby odciągnąć Ditmana Olansena, nie mieliśmy się dowiedzieć nigdy. Tak, czy owak, nie doszli do rufy, zmuszeni byli się cofnąć przed światłem mego iluminatora. A był to ostatni mój iluminator. I nie zabrałem się do przygotowania nowych, może przez niedbalstwo, może przez lenistwo. Postawiłem na kartę życie nas wszystkich,



licząc, że buntownicy już nie powrócą.

I nie wrócili tej nocy. O świcie zobaczyłem ciało. Leżało na dawnym miejscu. O siódmej przed śniadaniem podczas, gdy Margaryta spała, posłałem obu chłopców okrętowych Henry i Buckwheata na pokład, do ciała. Stałem nad nimi z karabinem w ręku. Ale na dziobie nie było najmniejszego ruchu i we dwóch przewrócili trupa. Był to Olansen. Potem podnieśli sztywne ciało do rufy i wrzucili je w morze. Dzida Wady przebiła Norwega na wylot.

Ale nim doba minęła buntownicy wyrównali rachunek. Więcej, niż wyrównali, gdyż strata jednego proporcjonalnie do naszej liczby więcej dla nas znaczy. Pierwsza rzecz — to właśnie miałem na myśl przygotowując bomby — gdy jedliśmy z Margarytą śniadanie za osłoną tylnego masztu, grupa buntowników przekradła się na tył okrętu i dostała pod okap rufy. Buckwheat zobaczył nadchodzących i krzyknął na alarm, ale już było za późno. Nie było sposobu wykurzyć ich stamtąd bezpośrednim działaniem. Gdybym wychylił się z za parapetu rufy, by do nich strzelać, mogliby mnie zastrzelić z łatwością. Byli w ukryciu, ja zaś musiałbym się wystawiać na strzały.

Dwoje drzwi stalowych, umocowanych i powleczonych wapnem od burzliwych czasów Hornu, prowadziły z kajuty na pokład główny. Drzwi te zadudniły pod razami młotów podczas, gdy reszta załogi stała za osłoną, kajuty śródokręcia w pogotowiu do szturmu, gdy drzwi zostaną sforsowane.

Od wewnątrz kazałem bronić tych drzwi, z jednej strony stiuardowi z nożem kuchennym, a z drugiej Wadzie z jego dzidą. Ja zaś poza tylnym masztem zapaliłem lont jednej z moich zaimprovizowanych bomb. Gdy zaczął się iskrzyć i pryskać, przebiegłem rufę i rzuciłem bombę wdół na główny pokład. Usiłowałem cisnąć ją pod okap rufy, gdzie marynarze tarabanili w drzwi lewostronne. Ale to mi się nie udało, gdyż padło kilka strzałów rewolwerowych, a gdy strzelają i ołowiane kulki stukają dokoła, trudno o zimną krew. Dość, że bomba potoczyła się dalej na pokład.

Iluminatory jednak zyskały mi sławę pirotechnika wśród buntowników. Taki strach zdjął awangardę buntowników na widok bomby z rozżarzoną i pryskającym lontem, że jeden przez drugiego zmiatał z pod okapu rufy. Mógłbym paru rozciągnąć podczas tej ucieczki, gdybym nie był zajęty zapalaniem lontu drugiej bomby. Margaryta wystrzeliła trzy razy z rewolweru, na co odpowiedzią był gęsty ogień rewolwerowy z śródokręcia.

Chcąc zaoszczędzić drugą bombę, wyrwałem z niej zapalony już lont. Ale pierwsza bomba wciąż nie wybuchła, kręcąc się i iskrząc na pokładzie. Pięć minut potrało nim ta przeklęta bomba wybuchła, a kiedy wreszcie to nastąpiło, spotkało mnie rozczarowanie. Była to petarda, raczej, niż bomba. Niemniej zrobiła swoje. Odtąd nie odważyli się więcej pod występ rufy.

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że buntownikom daje się we znaki brak prowiantu. Dzisiejszego ranka Elsynora bez żagli, błędziła po morzu, będąc igraszką fal i wiatru. Marynarze z dziobu zarzucili dużo lin za burzę, łapiąc albatrosy i nury. Na końcu liny tkwił hak i przynęta. Oczywiście, niepokoiłem tych wygłodzonych rybaków z mego karabinka. Gdy tylko na dziobie pokazał się który, zaraz posyłałem kulkę za kulką, które nie trafiały, co prawda, ale gwizdały i dzwoniły dokoła. A pomimo to chwyтали ptaki nie bez ryzyka. Oczywiście i na mnie sypały się kule rewolwerowe. Nie można celować spokojnie, gdy śmierć w postaci kawałka ołowiu trafia z brzękiem w pobliżu, rekoszetuje od stalowych rej, lin, masztów. Niemniej udawało mi się o tyle, że buntownicy tracili co drugiego ptaka, który się na hak nadział.

Potem zastosowałem lepszą metodę. Zauważyłem, że ilekroć Elsynora jest pod wiatrem marynarze nie mogą poławiać. Spróbowałem trzymać Elsynorę pod wiatrem. Za pomocą wydętego spinakra i umiejętnego sterowania udawało mi się utrzymywać okręt w tej pozycji. I godzinę po godzinie, zmieniając ludzi u steru, żeglowałem pozbawioną siły nośnej Elsynarą. W rezultacie łapanie ptaków ustało.

Margaryta stała pierwszą wieczorną wachtę, od czwartej do szóstej. Henry stał u sterowego koła. Wada i Louis byli we wnętrzu i gotowali obiad na piecu węglowym i naftowych piecykach. Wyszedłem właśnie z wnętrza i stałem za maszyną do sondowania, o jakie sześć stóp od Henry u steru. Podejrzany dźwięk z wentylatora zwrócił moją uwagę. Patrzyłem w tę stronę, gdy padł strzał.

Ale powróćmy do wentylatora. Jest to szyb ze stali, który prowadzi z towarowego wnętrza kadłuba okrętowego pod lazaretem i dalej w górę po ścianie tylnej strażnicy. Zajmuje on wnętrze pustej wewnątrz tylnej ściany strażnicy. Otwór jego jest na wysokości głowy ludzkiej od pokładu rufy i tak założony żelaznymi sztabami, że dorosły szczur przez nie przecisnąć się nie może. Sterowe koło znajduje się ledwie o stóp piętnaście od otworu wentylatora wprost poprzez małą lukę. Któryś z opryszków przepęłził między węglem a pokładem we wnętrzu towarowym, a potem w górę wdrapał się po szybie. Znalazłszy się u otworu, mógł celować poprzez szpary między sztabami żelaznymi.

Jednocześnie zadymił, otwór wentylatora, rozległ się huk wystrzału. Doszedł mnie jęk Henry; odwróciwszy głowę, zobaczyłem, jak uczepił się szprych koła, które zrobiło pół obrotu, i jak padł u koła. Był to celny strzał. Chłopak został trafiony, albo w samo serce, albo bardzo blisko serca.

Tom Spink i drugi żaglownik Uchino poskoczyli do Henry. Strzały rewolwerowe podały jeden za drugim i kule bębniły po sternicy dokoła nich. Na szczęście ani jedna nie trafiła. Szybko udało im się odpełznąć. Chłopiec okrętowy żył jeszcze parę sekund. Tak skończył jeszcze jeden kadet ustępującej blondrasy na stanowisku u steru Elsynory, frachtowca węglowego z przeznaczeniem do Seattle.

## ROZDZIAŁ XLVI.

Sytuacja jest komiczna. W naszym ręku jest cały zapas prowiantu na Elsynorze, ale buntownicy zdobyli ster. Zdobyli go, ale nie opanowali. Ani oni, ani my nie możemy sterować. Rufa jest w dalszym ciągu w naszym ręku, ale nie możemy tknąć steru. Z poza sztab otworu w ścianie strażnicy mogą zastrzelić każdego, kto zbliżyłby się do steru. A za osłoną stalowej ściany strzelec siedzi jak w stalowej wieży.

Tymczasem panuje pogoda i Elsynora błąka się po morzu. I niech sobie płynie, gdzie chce, gdzie wichrom i fałom się podoba. Trzeba, aby głód dobrze się buntownikom dał we znaki. Tylko głodem można im przemówić do rozsądku.

Ptactwo, które otacza Elsynorę przyciągnęło za nią z okolic Hornu. Jest za daleko od lądu, aby nowe ptaki mogły ku niej przybywać. Stąd wyprowadziłem daleko idące wnioski. Rozumowanie moje było proste. Buntownicy żywili się ptasim mięsem, a ptaków dokoła Elsynory nie fruwa ilość nieograniczona, więc, aby ich ogłodzić, trzeba przystąpić do trzebienia ptaków, Zacząłem, tedy, od wyrzucania za burtę małych kawałków wieprzowiny i skórek suchego chleba. Gdy ptaki się na nie rzucały, strzelałem. Ale tym się nie zadowolilem. Wczoraj szperałem w okrętowej apteczce i każdy kawałek mięsa i chleba, przeznaczony dla ptaków, ochrzcilem z flaszek noszących na etykiecie wizerunek czaszki i złożonych piszczeli. Poszedłszy za radą stewarda, użyłem nawet trucizny na szczury.

A dziś, jak okiem sięgnąć, nie widać ani jednego ptaka na niebie. Coprawda, gdy byłem truciem ptaków zajęty, buntownicy nałapali trochę ptaków. Ale skończyło się dla nich polowanie i nie będą mieli co na ząb położyć, aż nie wrócą do służby.

Henry by czternastym z załogi Elsynory, rzuconym na pastwę potworom ciemnej, słonej głębi. I w ciągu jednego dnia dobrze został pomszczony, gdyż dwóch buntowników poszło w jego ślady. Steward zwrócił moją uwagę na to, co się działo na dziobie. Tak był ucieszony, że niemal wyszedł z roli służącego i dotknął mego ramienia. Wynoszono dwa trupy do burty. Obciążone węglem, zatoneły natychmiast i nie zdążyliśmy ich rozpoznać.

— Bili się między sobą — powiedziałem. — To dobrze, że się między sobą biją.

Ale stary Chińczyk wystrzeżył zęby i potrząsnął głową.

— Nie myślicie, aby się bili między sobą? — spytałem.

— Nie bić się. Oni jeść ptaki, ptaki jeść tłusta wieprzowina, dwa człowiek umrzeć, dużo człowiek chora zabardzo, wszystka pójsć do diabła, moja się cieszyć.

I zdaje mi się, miał! rację. Gdy ja trulem ptaki, buntownicy je łapali i musieli dostać i takie, które połknęły mieszaninę trucizn.

Dwaj otruci zostali wyrzuceni w morze wczoraj a od tej chwili notowaliśmy sobie w pamięci każdego, który się pokazał. Dwóch się nie pokazało. Bob, gruby i wybujały młokos, i jak na złość, Faun. Snadź było moim przeznaczeniem, zabić go — biednego, ztorturowanego Fauna, zawsze skorego do spełnienia rozkazu, zawsze chcącego się zasłużyć. Dlaczego ci dwaj otruci, to nie Charles Davis i Grek Tony? — albo Bert Rhine i Kid Twist? — albo Bombini i Andy Fay? I wyznam, nie ciężyliby mi wcale na sumieniu ten Izaak Chantz i Arthur Deacon, lub Nancy i Sundry Buyers, lub Kciuk i Larry.

Sytuacja staje się naprężona. Zabrakło ptaków i buntownicy przymierają głodem. Wczoraj rozmawiałem z Bert Rhinem. Dziś rozmawiałem z nim znów i pewien jestem, nie zapomni on nigdy naszej rozmówki.

Wczoraj po południu o piątej usłyszałem jego głos, dochodzący z otworu wentylatora w tylnej ścianie strażnicy. Stojąc na rogu strażnicy poza polem obstrzału z wentylatora odpowiedziałem mu.

— Zaczynacie być głodni? — szydziłem. — Posłuchajcie, co mamy dziś na obiad, właśnie przychodzę z kajuty i widziałem. Na zakąskę — kanapki z kawiozem ; potem bulion, potem szczupak w śmietanie i baraninę z francuskim groszkiem, z puszek — tym groszkiem, który rozplywa się w ustach i, kalifornijskie szparagi.

— Dość — ryknął. — Chcę mówić z tobą serio.

— Bardzo dobrze — rzuciłem — kiedy ty i reszta twojej kanalii wracacie do obowiązku?

— Stul pysk! — ryknął znów. — Jesteś w moich rękach. Mam cię. To czysta prawda. Nie mówię, jak, ale dostałem was pod mój obcas.

— W piekle już gotuje się smoła dla ciebie i reszty waszego draństwa! — krzyknąłem, nie przeczuwając w jaki sposób i jak prędko te słowa się ziszczą.

— Nie bądź taki pewny — odwzajemnił mi się. — Mam was pod obcasem i zgniotę, gdy mi się będzie podobało. Uprzedzam.

— DUBY SMALONE — odpowiedziałem. — Najpierw mi pokaż, jak wy to zrobicie.

Sytuacja była bestialska. Szesnastu ludzi dało już nurka w mrok wieczysty. Toteż język, którym się posługiwałem w rozmowie z tym rzadkim okazem opryszka, był bestialski. Znamienne, że tak się wyrażać ja właśnie musiałem, zrezygnowawszy ze snów utopijnych, z wizji poetów, z niebotycznych wzlotów wielkich myślicieli. Oto miałem do czynienia z produktem piekielnych kręgów New Jorku. Tu należało operować pojęciami dostępnymi dla pierwotnego umysłu — życie i śmierć, strawa i woda, pięść i krew.

— Macie do wyboru życie lub śmierć — ciągnął.

— Zawrzyjmy pokój, a nikomu z was nic się nie stanie.

— A jeżeli nie? — rzuciłem z nonszalancjboru.

— Pożałujecie! Pożałujecie, żeście na ten świat przyszli. Nie jesteś matoł. I masz teraz dziewczynę. Czas teraz o niej pomyśleć. Zrozumiałeś — co chcę przez to powiedzieć?

Zrozumiałem. Przed oczyma przesunęły mi się obrazy z obłężenia ambasad w Pekinie, o których czytałem i co zamierzali biali zrobić z kobietami swymi, na wypadek, gdyby żółte hordy przerwały się przez ostatnie linie obrony. I stary stiuard zrozumiał również, gdyż jego czarne oczy załśniły żądzą mordy w skośnych swych szparach.

— Zrozumiałeś? — powtórzył bosmanmat.

I ogarnęła mnie złość. Nie zwykły gniew, ale zimny, nieubłagany gniew. I oczyma duszy widziałem pochód mojej rasy, nasze kobiety z nami na placówkach straconych nadziei i chybionych usiłowań, pionierów, odciętych w górskich blokhauzach, trawionych febrą w głębi dżungli, wycinanych w pień na rozchybotanych pokładach okrętów. I zawsze mając kobiety nasze z nami i panując nad bestiami giniemy, prawda, a nasze kobiety z nami, ale póki życia, póty władzy. Królewski splendor wiał ku mnie z tej wizji. I oto znów stałem na rufie frachtowca węglowego w roku tysiąc dziewięćset trzynastym, osłaniając moją kobietę, za sobą mając tradycję przodków moich, kosookich sług pod moimi rozkazami, a zbuntowane bestie pod sobą i depcząc po nich. Boże! czułem się jak król. Zrozumiałem, co to być królem.

Złość mnie zdjęła biała i zimna. Ten podziemny nędzny szczur ludzki, który przepelzł przez wnętrze okrętu, by zagrażać mnie i moim! I owiany tym duchem zimnej zawziętości, odpowiedziałem bosmanmatowi :

— Kiedy przyczołgasz się na brzuchu w biały dzień wzdłuż całego pokładu, jak obity kundys, i kiedy każdym swym czynem pokażesz, że chcesz służyć i harować, wtedy, i dopiero wtedy, będę z tobą gadał.

Przez dziesięć minut rzucał najohydniejsze, najtrywialniejsze przekleństwa. Słuchałem.

Słuchałem spokojnie, a tak słuchając, zrozumiałem, dlaczego Anglicy skartaczowali zbuntowanych Sepojów.

A kiedy dziś rano zobaczyłem stiuarda, dźwigającego pięciogalonowy gąsior kwasu siarczanego, ani mi w głowie powstało, co ma na myśli.

Tymczasem wymyśliłem sposób zakneblowania tego plującego ołowiem iluminatora. Aż wstyd mi było, że nie domyśliłem się odrazu. Otwór był mały. Wystarczyło go zawiesić dwoma workami mąki, ujętymi w drewnianą ramę, na linach, spuszczonej z dachu śródkręcia.

Natychmiast przystąpiłem do wykonania pomysłu. Tom Spink i Louis byli ze mną na dachu strażnicy i mieliśmy opuszczać worki z mąką, gdy doszedł nas głos z szybu.

— Kto tam jest? — spytałem. — Odezwij się.

— Uprzedzam raz ostatni — odpowiedział Bert Rhine.

W tej chwili z poza rogu strażnicy wyszedł stiuard. Niósł w ręku duże wiadro metalowe i pomyślałem w pierwszej chwili, że przyszedł wziąć wody deszczowej z baryłek. Raptem zamachnął się wiadrem i chlusnął jego zawartością w otwór wentylatora. I w tejże chwili, gdy płyn zalśnił, lecąc w powietrzu, wiedziałem, co to takiego — nierozcieńczony kwas siarczany, dwa galony kwasu conajmniej.

Bosmanmat musiał dostać tym płynnym ogniem w samą twarz i oczy. Nieprzytomny z bólu stracił wszystkie punkty oparcia i spadł niezawodnie na węgiel na dnie szybu. Doszły nas jego wrzaski przeraźliwe, rozdzierające, które mi przypominały kwiki szczerów, dolatujące przez ten sam szyb na początku podróży. Wolałbym, żeby ten człowiek zginął inną śmiercią.

Nie zdawałem sobie sprawy z agonii bosmantnata, aż stiuard, który sobie oblał rękę kwasem, nagle poczuł gryzące jego działanie, mimo grubego i stwardniałego naskórka. Rzucił się do baryłki z wodą, stojącej na rogu strażnicy. A Bert Rhine, człowiek milkiwego śmiechu wrzeszczał, jak opętany w dole na węglu, oblany kwasem w same oczy.

Pokryliśmy otwór wentylatora workami z mąką. Krzyki z dołu przestały dochodzić, widocznie bosmanmata odciągnięto, po węglu. Margaryta była we wnętrzu w tym czasie i, odzyskawszy równowagę, kazałem przysiąc całej naszej załodze, że ukryją to wydarzenie przed nią.

Ba, zemsta bandy z kasztelu nas nie minęła. Przez cały wczorajszy dzień po tragedii u wentylatora, słychać było hałasy pod pokładem kajuty i pokładem rufy. Słyszeliśmy je pod stołem jadalni, pod kredensem stiuarda, pod salonikiem Margaryty. Pokład kajuty pokryty jest podłogą z drzewa, ale pod drzewem leży stal, z której zbudowana jest Elsynora.

Margaryta i ja, z Louisem, Wadą i stiuardem, obeszliliśmy wszystkie miejsca, z których dochodziły dźwięki kucia młotami i dłutami. Uderzenia zdawały się dochodzić zewsząd. Zdecydowaliśmy, że chcąc wyłamać dziurę dość wielką dla przejścia człowieka, musieliby wybrać jedno miejsce i hałas powstały przy tym, zwróciłby naszą uwagę.

— Gdyby im się udało wyłamać otwór, musieliby wyłazić po jednym i cóż za szanse mogliby mieć w takiej walce?

Zwolniłem Buckwheata z pokładu i postawiłem na straży w kajucie; a podczas wacht Margaryty miał go zastępować stiuard.

Pod wieczór po gwałtownym, stukaniu, wszelkie hałasy ustały. Nie ozwały się ani podczas pierwszej, ani drugiej wachty wieczornej, ani pierwszej wachty nocnej. Gdy stanąłem na warcie o północy Buckwheat zmienił stiuarda w kajucie. Nie mogłem pojąć, jakim sposobem z dołu mogło nam grozić niebezpieczeństwo. Banda mogła szturmować z pokładu poprzez parapet rufy, mogła po olinowaniu, przedostać się z bezań-masztu na tylny maszt i spaść nam na głowy, ale jak mogli zaatakować nas przez pokład, nadaremnie suszyłem sobie głowę.

A jednak zaatakowali nas z dołu. Współczesny okręt jest skomplikowaną maszyną. Skądże mogłem odgadnąć ich plany?

Od drugiej do trzeciej w nocy, całą godzinę dobywał się dym z tylnego, kompartymentu przedniej nadbudówki. Daremnie siliłem się zrozumieć, po co buntownicy puszczają, w ruch pompę, notabene, ani razu nieużywaną podczas całej podróży, o tak niezwyklej godzinie nocy. Wybiła czwarta. Stałem oparty o parapet rufy, gdy doszło mnie okropne krztuszenie się i kaszlanie z tyłu. Potem Wada podbiegł do mnie z kajuty.

— Niestety z Buckwheatem — rzucił mi. — Pan iść prędko.

Oddałem mu strzelbę, powierzając straż, a sam pognałem dokoła strażnicy. Kierunek wskazała mi zapałka płonąca w ręku Toma Spinka. Między małą luką, a kołem sterowni, siedział na pokładzie Buckwheat i chwiał się naprzód i wtył, wykręcał i rozmachiwał rękoma, a łzy ciurkiem ciekły mu po policzkach. Krztusił się i kaszlał w sposób okropny. Louis, nachylony nad małą luką, wydał okrzyk zdziwienia.

Zbliżyłem się do niego. Pociągnąłem nosem i serce we mnie zamarło. Poczulem siarkę. W tejże chwili zapomniałem o Elsynchronie, buncie, o wszystkim.

Poskoczyłem w dół po schodni małej luki i zacząłem zataczać się po wielkiej tylnej kajucie. Dym siarczany wgryzał mi się w płuca. Przy mętym świetle latarni morskiej zobaczyłem starego stewarda, pełzającego na czworakach, który kaszłając i krztusząc się trząsł Jattsudą, pierwszym żaglownikiem. Uchino, drugi żaglownik wciąż był pogrążony we śnie.

Przyszło mi na myśl, że czystsze powietrze musi być bliżej podłogi. Natychmiast padłem na czworaki. Rzeczywiście łatwiej było oddychać posuwając się na czworakach. Gwałtownym pociągnięciem wyrzuciłem Uchino z posłania, owinałem jego kołdrę dokoła twarzy i ust, powstałem na nogi i rzuciłem się do galerii. Po kilku zderzeniach z grodzią, padłem znów na czworaki i poprawiłem kołdrę tak, by ją w razie potrzeby móc wciągnąć na oczy.

Dym gryzł mnie boleśnie, ale najgorsze było odurzenie, które na mnie nachodziło. Zabłądziłem do kredensu stewarda i, wydostawszy się stamtąd przez drzwi prawe, potykałem się i obijałem po długiej galerii, aż do zderzenia ze stołem w jadalni. Ale nie straciłem orientacji. Okrążyłem stół poomacku. Odrobinę pozostałego mi w piersi tchu straciłem niemal, zderzywszy się z krągłym piecem. U stóp schodni, wiodącej do strażnicy, wypadłem w galerię. Drzwi kabiny Margaryty były otwarte. Dałem susa do jej pokoju. Z chwilą gdy ściągnąłem kołdrę z oczu, doznałem przedsmaku tego, co Bert Rhine musiał cierpieć. Oh, jak okropnie gryzł gaz! W płucach nozdrzach, oczach i mózgu wiercił mi ból nieznośny. W kabinie było ciemno. Zataczając się i potykając, dotarłem do łóżka Margaryty i padłem na nie.

Nie było jej w łóżku. Macałem dokoła i poczułem tylko, że posłanie ogrzane jeszcze ciepłem jej ciała. Nawet w stanie agonii, którą przeżywałem, doznałem lubego dreszczu. Jednocześnie doszło mnie przeraźliwe kaszlanie z korytarza. Upadłem u łóżka, potem się dźwignąłem i znów upadłem u drzwi, wiodących na korytarz. Stamtąd na czworakach przepelźłem do stóp schodów. Uchwyciwszy się rzeźbionego słupa u schodów, powstałem i nasłuchiwałem. Coś przy mnie poruszało się i dusiło. Padłem na to coś i poczułem w ramionach słodczy kształtów Margaryty.

Jak opisać to dźwiganie w górę po schodach! Była to droga krzyżowa, wieki trwająca, dławiąca zmora nocną. Raz po razie świadomość we mnie przygasała i przychodziła pokusa zaprzestać walki i osunąć się w noc ostateczną. Wywalczałem krok po kroku. Margaryta była już zupełnie nieprzytomna i musiałem ją podnosić ze schoda na schód, albo przeciągałem ją parę schodów w górę, aby zaraz się stoczyć. A mimo to wszystko pamiętam jedno — to ciepłe, miękkie jej ciało było mi najdroższe na świecie — o wiele droższe, niż mętna perspektywa ładu, o wiele droższe od czystego, życiodajnego

powietrza na pokładzie pod chłodem rozgwiażdżonego nieba. A gdy pamięcią sięgnę wstecz, w ową czarną otchłań, w której się zmagalem, to tylko pamiętam dobrze, że ani przez chwilę nie powstała mi w głowie myśl, by porzucić Margarytę i samemu się ocalić.

I przez cały czas walki z zabójczym gazem i tytanicznego drapania się w omroczy storturowanych bólem zmysłów, modliłem się tylko, by drzwi ze strażnicy na pokład rufy nie były zamknięte. Była to kwestia życia lub śmierci. Czy był choć jeden człowiek z całej naszej grupy, dość przewidujący i mający dość zdrowego sensu, by drzwi te otworzyć? Prócz Buckwheata i Toma Spinka reszta mych ludzi byli to Azjaci.

Dotarłem na górną platformę schodów, ale zbyt byłem słaby, by stanąć na nogi, ani nawet podnieść się na kolana. Pełzałem jak czworonożne zwierzę, ba gorzej, pełzałem na brzuchu, jak płaz. Parę stóp dzieliło mnie ode drzwi, ale dziesiątki razy miałem uczucie, że umieram przy przebywaniu tych stóp kilku. Mimo to nieustannie ciągnąłem za sobą Margarytę.

Czasami wszystkie moje siły nie wystarczały, by ją ruszyć z miejsca; krztusząc się i kaszląc, leżałem wówczas bezwładnie i czekałem na nowe ocknienie.

Drzwi były otwarte. Drzwi prawostronne i lewostronne na przestrzał stały otworem, a przy przechyleniu Elsynory przepłynął między nimi strumień świeżego, chłodnego powietrza i wypełnił mi płuca. Przewlokłem się i przeciągnąłem Margarytę przez wysoki próg i, rzekłbyś, zdaleka doszły mnie wystrzały z karabinka i rewolwerów. Nim ostatecznie zapadłem w nicość omdlenia zobaczyłem, jak we śnie i w dalekości u ostro zarysowanego parapetu rufy czarne sylwetki, które cięły i kłuły i rżnęły, a jeszcze dalej bezań-masz, oświecony jaskrawo przez nowe pochodnie - iluminatory.

Fakt faktem, że buntownicy nie zdobyli rufy. Moich pięciu Azjatów i dwaj biali obronili naszą twierdzę podczas, gdy ja z Margarytą leżałem nieprzytomny na pokładzie.

A stało się to wszystko całkiem prosto. Przepisy sanitarne dla okrętów wymagają, aby na nich nie było robactwa, które roznosi zarazki. W oddziale pomp na przodzie Elsynory znajduje się kompletny aparat fumigacyjny. Zbuntowani marynarze przeprowadzili po powierzchni węgla rury na rufę i przewiercili otwory w podwójnym stalowym i drewnianym pokładzie kajuty, a w otwory włożyli końce rur. Buckwheat zasnął i obudził się w atmosferze siarki. Zostaliśmy podkurzeni przez opryszków z kasztelu, jak szczury. Wada otworzył drzwi z jednej strony strażnicy, a stiuard z drugiej. Razem usiłowali dostać się do wnętrza, ale cofnęli się przed dymem. Potem pośpieszyli do zrębu rufy, by wziąć udział w odpieraniu ataku.

# ROZDZIAŁ XLVII

Omiał nie utraciliśmy stiuarda. Było to podczas ostatniej wieczornej wachty. Przez szpary między sztabami otworu wentylatora, któryś z ludzi przetknął nóż- i rozciął worki z mąką od góry do dołu. W ciemności mąka wysypała się na pokład niepostrzeżenie. Oczywiście człowiek w szybie nie mógł widzieć poprzez zasłonę z pustych worków, ale wystrzelił z tak bliska, gdy stiuard, człapiąc pantoflami, przechodził, że osmolił mu kark i policzek.

O szóstym dzwonie podczas pierwszej wachty znowu mieliśmy niespodziankę. Tom Spink nadbiegł zemocjonowany na przód rufy, gdzie stałem wachtę. Głos mu się trząsał.

— Na miłość Boską, sir, oni przyszli — powiedział.

— Kto ? — rzuciłem ostro.

— Oni — dzwonił zębami. — Ci sami, co przyszli na pokład blisko Hornu, sir tych trzech utopionych marynarzy. Oni są tam z tyłu, sir, stoją rzędem u koła sterowego.

— Jak się tam dostali?

— To wilkołaki i przylecieli, sir. Czy widział pan, aby obok pana przeszli?

— Nie — odpowiedziałem. — Nie przeszli obok mnie.

Biedny Tom Spink jęknął.

— Ale są w górze liny, po których mogli się przedostać z bezań-masztu na tylny — dodałem. — Przyślijcie mi Wadę.

Gdy Wada mnie zastąpił, poszedłem do sternicy. I oto stali przede mną trzej nasi jasnowłosi rozbitkowie z topazowymi oczami. W świetle latarki elektrycznej, którą oświecał ich Louis, oczy ich nigdy nie były bardziej podobne do oczu wielkich kotów. I, na Jowisza, miauczeli! W każdym razie głosy, które wydawali, podobne były bardziej do miauczenia, niż do czego innego. Że dźwięki te wyrażały pokojowe intencje było rzeczą oczywistą. Również wznosili ręce dłońmi w górę na znak pokoju. Każdy z nich zdjął czapkę i położył sobie swoją rękę na głowie. Nie mogło być dwóch znań, co to oznaczało.

Skinąłem głową. Nic nie miałem do powiedzenia ludziom, którzy miauczeli jak koty. Porozumiewać się na migi przy świetle elektrycznej latarki było trudno. Tom Spink jęknął, gdy kazałem Louisowi zaprowadzić ich do wnętrza i wydać im kołdry.

Zrobiłem znak spania, oni zaś skinęli głowami, potem pokazali na usta i potarli się po żołądkach.

— Topielcy nie jedzą — zaśmiałem się z Toma Spinka. — Idźcie na dół i popatrzcie jak będą jedli. Daj im jeść, niech się najedzą do syta. To znak braku jedzenia na kasztelu.

Po upływie pół godziny Tom Spink wrócił.

— Cóż jedli? — spytałem tonem zaczepnym.

Ale nie dał się przekonać. Ilość jedzenia, którą pochłonęli wydała mu się podejrzaną, a słyszał o upiorach, które pożerają ciała w grobach.

Wreszcie, dziś rano o siódmej buntownicy zawołali o pokój. Wkrótce Nosey Murphy i Londyńczyk z Malty i Charles Davis stali przede mną u stóp rufy. Twarze ich były pozapadane i wycieńczone. Patrzyłem na nich z góry i czułem się bardzo silny. Nigdy różnica sił pomiędzy nimi, a nami nie była mniejsza. Z trzema dezertkami z kasztelu, oddział nasz składał się teraz z dwunastu ludzi wraz ze mną i Margarytą, a nieprzyjacielski obóz po stracie Ditmana Olansena, Boba i Fauna liczył tylko dwudziestu. Bert Rhine był niezawodnie w stanie pożałowania godnym i mieli między sobą cherlaków, jak Sundry Buyers, Nancy, Larry, Lars Jacobsen.

— No i czego chcecie? — spytałem. — Nie mam dużo czasu. Śniadanie stygnie.

Charles Davis zaczął mówić, ale przeciąłem tę gadaninę.



— Nie chcę z tobą gadać, Davis. Potem w sądzie, którym zawracałeś głowę całą podróż, ale nie teraz.

Znowu zaczął czekać, ale tym razem ofuknął go Nosey Murphy.

— Zamknij żuwaczkę, Davis — warknął na niego bosmanmat — albo ci ją zamknę. — Spojrzał ku mnie w górę. — Chcemy wrócić do pracy, oto czego chcemy.

— To nie jest sposób proszenia o to — odpowiedziałem.

— Sir — dodał z pośpiechem.

— Tak lepiej — zauważyłem.

— Oh, mój Boże, sir, niech pan ich nie puści na rufę. — Tom Spink zamamrotał pośpiesznie mi do ucha. To byłby koniec z nami wszystkimi. A gdyby nawet innych nie ruszyli, mnie by nie darowali, sir, za przyłączenie się do rufy.

Zbyłem go milczeniem i zwróciłem się do bosmanmata.

— Wszyscy, dajmy na to, weźmiecie się do rozwijania żagli, aby dowieść dobrych intencji.

— Chcielibyśmy dostać jeść najpierw — zaoponował.

— Ja wolę, abyście rozwinęli żagle najpierw — odpowiedziałem mu. — I macie odtąd słuchać bez gadania, co wam każe.

Nosey Murphy zawahał się i spojrzał na Londyńczyka z Malty, który zastanowił się chwilę, jakby mierzył siły, potem skinął głową.

— Dobrze, sir — podjął bosmanmat. — Zrobimy, co pan każe... ale przez ten czas nie mogłoby się w kambuzie co dla nas gotować?

Potrząsnąłem głową.

— Gdy wszystkie żagle, co do jednego, będą rozpięte i wszystkie reje zbrasowane, i cały ten zwał popsutego olinowania uprzątnięty, wtedy dopiero wydam strawę. Spinankrem i bezań-brasami sami się zajmujemy.

Gdy zaczęli się drapać na maszty, okazało się, jak są słabi. Niektórzy byli za słabi, aby dźwignąć się w olinowanie. Biedny Sundry Buyers ustawicznie przyciskał brzuch rękoma i nigdy na twarzy Nancy nie widziałem tak nieprzytomnego wyrazu.

Stał się też! przed naszymi oczami cud, godny wniesienia do niezwyklej kroniki naszej podróży. Marynarze hissowali bezań-bom-top-reje za pomocą jednego z pokładowych kabestanów. Szło im bardzo ciężko. Lars Jacobsen skakał na swej dwukrotnie złamanej nodze, a z nimi harował Sundry Buyers, Grek Tony, Bombini i Mulligan Jacobs. Nosey Murphy mocował wyciągnięte swoje liny.

Gdy zatrzymali się z zupełnego wyczerpania Murphy przypadkowo spojrzał na Charlesa Davisa, który stał sobie bezczyinnie.

— Chodź pomóc, Davis — zawołał bosmanmat. Margaryta roześmiała mi się do ucha swym srebrzystym śmiechem.

Adwokat morski spojrzał na bosmanmata, nie posiadając się ze zdumienia, wreszcie rzekł:

— Jakto?

Skinąwszy na Sundry Buyersa, by wziął od niego zwój, Murphy wyprężył się, a podszedłszy na krok do Davisa, powiedział spokojnie:

— Takto.

Milczeli obaj. Ludzie u kabestanu kręcili, ciężko dysząc, stanęli i patrzyli — wszyscy, prócz Bombini'ego, który skoczył i stanął u boku bosmanmata.

Wówczas Charles Davis skapitulował, ale nawet kapitulując, proponował kompromis.

— Będę trzymał zwój — rzekł.

— Będiesz skakał dokoła jednej ze szprych kabestanu — odparł Murphy.

Adwokat morski wiedział, że musi wybierać między życiem, a śmiercią. Stał u kabestanu. A kiedy zaczęli pracować i Davis kręcił wraz z innymi, Margaryta i ja zaśmieliśmy się głośno i bezczelnie. A nasi ludzie podeszli do parapetu rufy, by zobaczyć Charlesa Davisa przy pracy.

Musiało to się podobać Noseyowi Murphy, gdyż, zwijając wybraną linę, obrzucił Davisa krytycznym spojrzeniem.

— Zwijaj się Davis! — rozkazał tonem ostrym. I Davis naprężył wszystkie siły.

Azjaci nasi z rufy wybuchnęli śmiechem i zaczęli bić brawo. Musiałem im na to pozwolić. Był to dla nas dzień świąteczny. Za wierność należało się im trochę pobłażania. Odeszliśmy więc z Margarytą do steru.

U koła stał jeden z Cyganów Hornu. Dałem mu kurs na wschód, na Valparaiso, i posłałem stiuarda na dół, by przygotował pożywienie dla zbuntowanej załogi.

— Kiedy następnym razem dostaniemy jeść, sir? — spytał Nosey Murphy przy spuszczeniu prowiantu z rufy.

— W południe — odpowiedziałem. — I dopóki będziecie posłuszni, będziecie dostawać jeść trzy razy dziennie. Możecie się podzielić na wachty, jak chcecie. Ale robota na okręcie musi być zrobiona i zrobiona jak należy. Przystaniecie pracować, przestaniemy wam dawać jeść. Teraz idźcie.

— Jeszcze jedno, sir — powiedział pospiesznie. — Z Bertem Rhinem jest bardzo źle. Ma twarz spaloną. Nie może spać. Jęczy cały czas.

Kazałem mu zaczekać. Wybrałem wszystko z apteczki, co mogło Rhinowi przynieść ulgę, przekonawszy się, że Murphy umie manipulować szprycą, dałem mu ją i dawkę morfiny.

Po naradzie z Margarytą, poddałem próbie dobrą wolę Cyganów z Hornu. Przyszliśmy do przekonania, że bandyci z kasztelu muszą mieć jakiś plan. Wcale im się nie uśmiecha więzienie w Valparaiso, do którego zmierzamy szybko. Nie ulegało wątpliwości, że chcą zdezertować w łodziach, gdy tylko zbliżymy się do lądu. Zważywszy również, ilu wśród nich jest zdeklarowanych przestępców i morderców, uciekając, napewno podziurawiliby dno Elsynory. Zatapianie okrętów praktykowane jest od niepamiętnych czasów przez zbuntowane załogi.

O pierwszej w nocy zorganizowałem wyprawę na przód okrętu, dla zniszczenia szalup. I przy tej sposobności wypróbowałem wierność naszych nowych trzech ludzi. Rozdzieliłem ich. Jednego zostawiłem na rufie z Margarytą, która objęła straż nad rufą. Postawiłem przy nim stiuarda z wielkim nożem. Znakami wyjaśniłem mu i jego dwom towarzyszom, którzy mieli nam towarzyszyć, że przy pierwszej oznace zdrady, zostanie zabity. Nie mogło być dwóch zdań, że stiuard wykonałby groźbę.

Z Margaryta zostawiłem również Buckwheata i Toma Spinka. Wadę, obydwóch żaglowników, Louisa i dwóch topazookich zabrałem ze sobą. Prócz broni palnej i siecznej wzięliśmy siekiery. Przeszliśmy przez pokład niepostrzeżenie, dostaliśmy się na pomost przez platformę śródokręcia i stamtąd na platformę kasztelu. Były tam łodzie, od których należało zacząć. Ale przede wszystkim obwołałem wartownika, stojącego na oku.

Był to Mulligan Jacobs. I przedostawszy się poprzez rumowisko pomostu, gdzie fok-bom-top-reja wciąż jeszcze leżała, podszedł do nas beztrwożnie niewzruszony i pełen śmiertelnej goryczy.

— Jacobs — szepnąłem do niego — zostaniecie tu przy mnie, aż nie skończymy z rozbijaniem łodzi. Rozumiecie mnie?

— Co, chce mnie pan nastraszyć? — warknął na głos, za głośno. — Zaczynajcie, jeżeli chcecie. Znam wasz plan. I znam plan tego diabelskiego pomiotu pod naszymi nogami w tej chwili. Chcą uciec w łodziach. Wy chcecie porozbijać łodzie i zaprowadzić ich pod klucz.

— Cyt! — uciszałem go nadaremnie.

— Poco? — podjął równie głośno. — Śpią, napchawszy kałduny. Jedyłą naszą wartą w nocy jest

marynarz na oku. Nawet Bert Rhine śpi. Parę ukłuł igłą i przestał jęczeć nareszcie. Zaczynajcie. Rozbijajcie łodzie. Ani mnie to ziębi, ani grzeje. Mój własny krzywy grzbiet, jest mi droższy, niżli karki tej zbieraniny tam w dole.

— Jeżeli tak myśleliście, dlaczego do nas nie przystaliście? — spytałem.

— Bo nie jesteście nic lepsi od nich, a nawet daleko jesteście gorsi. Oni są tym, czym wy i wasi przodkowie ich zrobili. A kto, do ciężkiej cholery, jesteście wy i wasi przodkowie? Grabieżcy pracy ludzkiej. Nie lubię ich wcale, ale was i waszych przodków nienawidzę. Dbam tylko o mój własny krzywy grzbiet, który stanowi dowód, że nie ma żadnego Boga, a Browning jest łgarz.

— Przyłączcie się do nas teraz — przynaglałem. — Będzie lżej dla waszego grzbietu.

— Do diabła starego z wami — brzmiała jego odpowiedź. — Zaczynajcie rąbać łodzie. Możecie posadzić na elektryczne krzesło niektórych z nich. Ale mnie prawo nie straszne. Jestem kaleką, za słabym, aby podnieść rękę na człowieka — piórko, miotane namiętnościami ludzi silnych na ciele, a bezmózgich.

— Pełny brzuch budzi w was ducha przekory.

— To przy pustym brzuchu żółć mnie zalewa. No, rąbacie te łodzie?

— Czym pomysłem było podkurzenie siarką? — spytałem.

— Nie powiem wam, ale zadrościłem temu człowiekowi, póki jego pomysł nie zawiódł. A czym pomysłem było oblanie kwasem twarzy Rhinowi? Mięso mu z tej twarzy odpada.

— Też wam nie powiem — odparłem. — Rad jestem, że to nie mój pomysł.

I porozbijaliśmy łodzie. Puściliśmy w ruch siekiery i poszło łatwiej, niż przypuszczałem. Topazoocy rozbitkowie pracowali z całą gorliwością. Na platformach kasztelu i śródkręcia zostawiliśmy góry szczątków. Na rufę wróciliśmy szczęśliwie. Nie padł ani jeden strzał. Zbudzeni hałasem marynarze, wylegli na pokład, ale nie próbowali nam przeszkadzać. Było ich dwudziestu, mieli za sobą przeszłość ciemną, czekało ich więzienie lub kara śmierci, a mimo to tych dwudziestu ludzi nie rzuciło się na nas, gdy niszczyliśmy ich ostatnią nadzieję.

Niewiele zostaje do napisania. Bunt na Elsynorze jest zlikwidowany. Rejs Elsynory się kończy. Za dwa dni przy obecnej szybkości wpłyniemy do Valparaiso. A stamtąd w dalszą podróż do Seattle.

Jeszcze jedno pozostaje mi do napisania, nim zamknę ten dziwny dziennik okrętowy. Stało się to ostatniej nocy. Jestem wciąż pod wrażeniem.

Spędziłem z Margarytą ostatnią godzinę drugiej wachty u zrębu rufy. Czuliśmy znów ruch Elsynory pod parciem wiatru. Znowu pruł nasz okręt i rozpieńał wody. Była mała fala.

Oślonięci w ciemnościach, objęci i przytuleni do siebie mówiliśmy o miłości i snuliśmy tęczowe plany. Ja wyznaję, byłem za pośpiechem. Przybywszy do Valparaiso, twierdziłem, możemy nająć nową załogę i nowych oficerów i posłać Elsynorę w dalszą podróż. Sami zaś wrócilibyśmy na szybkobieżnym parowcu. A ponieważ w Valparaiso łatwo o ślub, mogliśmy się pobrać przed wyruszeniem w powrotną podróż.

Ale Margaryta była uparta. Westowie nigdy nie opuszczali swoich okrętów, twierdziła; zawsze je doprowadzali do portów przeznaczenia, albo szli z nimi na dno. Elsynora wypłynęła z Baltimore do Seattle z Westami przy dowództwie. Elsynorze należało dać nową załogę i oficerów w Valparaiso, a wówczas przybędzie ona do Seattle z jedną z Westów na pokładzie.

— Ale pomyśl, kochanie — oponowałem. — Podróż potrwa miesiące. Pamiętaj co pisał Henley: — „Każdy pocałunek pozostawia nam mniej do przeżycia”.

Przycisnęła swe usta do moich.

— Całujemy się — powiedziała. Ale ja nie mogłem zrozumieć.

— O długie, męczące miesiące — — żaliłem się.

— Ah ty, głuptyś — śmiała się srebrzyście. — Czy nie rozumiesz?

— Rozumiem tylko, że tysiące mil dzieli Valpara-iso od Seattle — odpowiedziałem.

— Nie chcesz zrozumieć — — śmiała się.

— Jestem głupi — przyznawałem. — Wiem tylko jedno: — Ja chcę ciebie, ciebie chcę.

— Jesteś kochany, a wielki głuptyś — powiedziała, biorąc moją rękę i przyciskając dłoń moją do swego policzka. — Co czujesz? — spytała.

— Gorący policzek, bardzo gorący policzek.

— Czerwienię się przez to, co naiwność twoja zmusza mnie powiedzieć ci — wyjaśniła. —

Powiedziałeś przecie, że o ślub łatwo w Valparaiso... a więc... a więc... ?

— Chcesz więc... ? — zająknąłem się.

— A tak — zgodziła się.

— Miodowy miesiąc będzie na **Elsynorze** z Valpa-raiso do Seattle ? — wtrąciłem prędko!

— Tysiące, tysiące mil, długie męczące miesiące — przekomarzała się, póki nie zamknąłem jej ust pocałunkami.

Przygotowano na podstawie bookini.pl